

Ostatnia świątynia

Christian Jacq



calibre 0.9.27

CHRISTIAN

JACQ

OSTATNIA

ŚWIĄTYNIA

Dotykam nieba,

Moja głowa przebija firmament,

Ocieram się o brzuch gwiazd,

Błyszczę jak one,

Doznaję niebiańskiej radości,

Tańczę jak konstelacje.

Tekst pochodzący z miejsca wiecz-
nego spoczynku księcia Saremputo
w Assuanie

Na niebie koloru lapis-lazuli tańczyły gwiazdy. Izis, przełożona kapłanek świątyni File, podziwiała ich blask, który zdał się wypływać z głębi przestworzy. Objawiał obecność zmartwychwstałych królów w samym środku innego świata.

Dusze nieobecnych faraonów chroniły jeszcze sanktuarium, w którym wielka bogini czuwała nad swymi ostatnimi wiernymi: pięćdziesięcioro mężczyzn i kobiet — w sześć wieków po narodzinach Chrystusa — żyło w wierze dawnych Egipcjan, strzegąc czystości odwiecznych praw, chociaż nowa religia podbiła już cały kraj.

Broniła się tylko święta góra File, oświetlona ogniami wschodu. Pośród chaosu skał święta wyspa Izydy jawiła się niczym zielony raj opasany wysokimi murami. Według pradawnej legendy samo patrzenie na fortecę otwierało drzwi do niebios.

Młoda kobieta, odziana w białą tradycyjną suknię, usłyszała jazgot ptaków dochodzący ze skąpanej w cieniu akacji ptaszarni. Światło zaczęło już zwyciężać ciemności. Wyspa wyrastająca na granitowej skale, której surowość łagodziła bujna roślinność i wyniosłe palmy daktylowe, rzucała wyzwanie potężnemu biskupowi Teodorowi, duchowemu przywódcy i świeckiemu panu tej zapomnianej krainy, leżącej na południu Egiptu, gdzieś na krańcach Cesarstwa. Za nią już

tylko nieznane, niebezpieczeństwo i barbarzyńskie ludy.

Izis wyperfumowała swoje krótkie, czarne jak jaspis włosy i skierowała się w stronę kiosku cesarza Trajana. Budynek o wysmukłych kolumnach, który miał służyć jako przystań dla boskiej łodzi, nie został ukończony; kapłanka widziała w tym znak nadziei, dzieło do wykonania, nawet jeśli los zdawał się temu przeczyć. Czyż córka kapłana--seniora wspólnoty i najlepsza z uczennic Domu Życia mogła przyjąć do wiadomości, że cywilizacja egipska zniknie pod ciężarem dogmatu, w myśl którego nie wahano się stosować przemocy?

Nieprzyjaciel, nawet jeśli zagraża, rozbije się zawsze o mury świątyni. Świątyni, która była ostatnim przypomnieniem pierwotnego pagórka, gdzie życie powstało z kamienia i piachu przemieniło się w hibiskus o czerwonych płatkach, niebieski klematis i girlandy różowych bugenwilli. Izis odsunęła gałęzie sykomoru i zbliżyła się do brzegu.

Nie, to nie był kraj świata, tylko koniec doliny, którą Nil płynął coraz węższym korytem aż do miejsca, gdzie ginął w wirach i spiętrzonych falach pierwszej katarakty, bijących w skały i wysepki. Izis kochała to wspaniałe widowisko, ulegała czarowi rudych piaskowych wzgórków, pustyni koloru ochry, niewzruszonych skał. Tutaj nic się nie zmieniało. Tutaj objawiała się potęga pierwszych wieków, czasu pełnego

chwały, olbrzymów budujących najdoskonalszą z kultur.

File była sercem pierwszej prowincji Egiptu; to stąd rozlewała się ożywcza fala wezbranych wód. Z niej odradzała się pomyślność.

Izis odczuwała potrzebę samotności świtu, by lepiej chłonać balsam bogini, tajemniczą rosę powstałą z połączenia nieba, ziemi i świątyni. Tak jak święta wyspa oswajała swym czarem ciemne przybrzeżne skały, tak młoda kapłanka chciała ułagodzić wrogie siły, które przywiodły chrześcijańskie wojska do wrót ostatniego egipskiego sanktuarium. Skoro nosi imię bogini z File, okaże się jej godna.

Izis usiadła na brzegu. Łagodny wiatr owinał ją niczym szal; pod jej bosymi stopami piasek był już letni.

Jakąż czią darzyła to odosobnione miejsce, tę świątynię zagubioną pośród wód i skał, ten hymn piasków na cześć niewidocznej potęgi, radosną pieśń królowej gwiazd! Urodziła się tutaj, w komnacie narodzin. W Domu Życia nauczyła się czytać, pisać i liczyć. Tutaj, kiedy miała szesnaście lat, została wprowadzona w dziedzinę podstawowych tajemnic, potem rozwinęła umysł jak ptak skrzydła, dostąpiła oświecenia w sprawach wielkich tajemnic i odczuła ciężar, jaki niosła ze sobą funkcja przełożonej. Ale jak zapomnieć o wstrząsach w świecie zewnętrznym, o okupacji bizantyjskiej, która była równie ciężka jak okupacja Rzymian? Jak

zapomnieć o tym, że biskup Teodor zawładnął Elefantyną *,
o tym, że przymusowo nawracano skrybów, wioślarzy i chłó-
pów, zmuszano ich do wyrzeczenia się własnych korzeni,
zamieniając ich w posłusznych chrześcijan?

Dzisiaj kapłan-senior ugiął się pod ciężarem lat. To Izis
miała kontynuować walkę i chronić File od napaści.

Fanatycy marzyli o zdobyciu świątyni i jej skarbów. Ona
liczyła na umiar biskupa, Egipcjanina, który przyjął wiarę
Chrystusa.

Kiedy zgaśnie kapłan-senior, trzeba będzie wyznaczyć
nowego zwierzchnika zdolnego panować wraz z nią. Jak tu
nie myśleć o Sabnim, młodym mężczyźnie o surowym obliczu
i szerokim czole? W ostatnich miesiącach rozmyślała o nim
zbyt często, tak często, że czuła zmieszanie podczas doko-
nywania obrzędów. Według niej Sabni posiadał wszelkie
kwalifikacje do pełnienia tej funkcji. Ale czy nie kieruje nią
namiętność?

Rzeński podmuch przyniósł brzęczenie sistrów. Izis wróciła
do świątyni, z której właśnie wychodziły dwie starsze kap-
łanki, potrząsając instrumentami. Metaliczny dźwięk prze-
ganiał demony nocy, które próbowały przyczaić się w szcze-
linach murów. Jedna z kapłanek trzymała w ręce sistrum,
którego pręciki służyły za podstawę miedzianym węzom.
Grzechotka drugiej miała rączkę w kształcie kolumienki

zwieńczonej głową Hathor, bogini miłości. One same miały na sobie odświętne szaty. Pochyliły się, kiedy Izis się zbliżyła.

Pomimo młodego wieku przełożona cieszyła się szacunkiem:

* Miasto położone na wyspie naprzeciw dzisiejszego Asuanu.

uśmiechnięta, nigdy nie podnosząca głosu, miała w sobie wrodzoną powagę wysoko urodzonych Egipcjanek, których piękno unieśmiertelniły tysiące płaskorzeźb. Była promienna.

Już sam jej widok uspokajał. Adeptci, którzy zdecydowali się pozostać na wyspie i którym przyznano uświęcony tytuł

„brata" czy „siostry", wiedzieli, że tylko ona może ich ocalić.

Słońce wyszło zza zasłony góry Wschodu, a jego ogień

zalał niebo. Procesja, w której szli wszyscy adepci, prze-

kroczyła bramę Euergety. Na czele Sabni wybijał rytm za

pomocą długiej laski ze złoczonego drewna. Za nim kroczył

kapłan-senior podtrzymywany przez perfumiarza i rzeźnika,

potem szli kapłani o wygolonych głowach i kapłanki. Nieśli

posążki bóstw, złote i srebrne wazy, berła i drewniane

skrzynie. Drogocenne przedmioty, przechowywane w kryp-

tach i ciemnych komnatach, wydobywano na światło dzienne

zgodnie z rytuałem.

Izis postanowiła zorganizować ceremonię w porze upa-

łów, kiedy tylko wyspa File chlubiła się zielenią, na którą

niejeden patrzył zazdrosnym okiem. Wokół rozciągały się

jedynie urwiska skalne, wrogie kamienie i spękane jałowe

ziemie, wysuszone przez wiatr wiejący z południa, nosiciela chorób. Niebawem Nil osiągnie najniższy ze swoich stanów i odsłoni skały katarakty, przez którą nie będzie mogła przepłynąć żadna łódź. W Elefantynie oddychało się coraz ciężiej. Śmierć zakradała się jak rabuś i z łatwością porywała dzieci i starców.

Izis dostrzegła oznaki zmęczenia u swych braci i sióstr.

Siły kapłana-seniora słabły: miał przeszło dziewięćdziesiąt pięć lat i wątpił, czy dożyje stu dziesięciu, wieku mędrców.

Nadal zachowywał pogodę ducha, jakby potworne bóle, które przenikały jego piersi, były tylko złudzeniem. Izis obawiała się, że nadchodzi kres pomimo opieki, jaką go otaczano — chyba że jej ojciec jeszcze raz zwycięży.

Czekała na procesję w drzwiach małej świątyni; usunęła się, kiedy Sabni, prowadząc nieskalanie biały orszak, wszedł między rzędy czternastu kolumn. Wspólnota złożyła święte przedmioty. Po całym roku użytkowania energia, którą zaczerpnęły podczas poprzedniego obrzędu, wygasła.

Tylko

słońce mogło sprawić, że znów staną się skuteczne, zdolne przekształcić brzydotę w piękno.

— Jakże promienne jest twoje oblicze, boska światłość ci — wyrecytowała prowadząca obrządek — kiedy twe ramiona kształtują materię, by tworzyć bogów, ludzi, zwie

rzęta i wszystko, co istnieje.

Wokół rozbrzmiewał hymn liczący trzy tysiące lat. Izis podjęła decyzję, którą nosiła w sobie od wielu tygodni.

— Słońcu, które odradza, winna towarzyszyć łódź. Wy niesiemy ją zatem. Tak postępowali nasi przodkowie, tak postąpimy i my.

Pryśł uroczysty spokój wspólnoty. Zgromadzenie przebiegł szmer dezaprobaty. W oczach kapłana-seniora pojawił się błysk wzburzenia.

— Siostrzo przełożona — rzekł z szacunkiem Sabni — ten projekt wydaje się zbyt śmiały; nie mamy prawa opuszczać wyspy. W Elefantynie zbierają się wojska.

Mogą nam się dać we znaki.

— Musimy wzniecić opór. Żaden z chłopów pracujących na naszej ziemi nie jest chrześcijaninem. Zostali ochrzczeni z mieczem nad głową. Jeśli łódź bogini pozostanie niewidoczna, Egipt będzie nadal umierał.

— Przeciwnik ma przewagę.

Izis zwróciła się do kapłana-seniora.

— Nie należy ryzykować życia ludzi letnich — zakpił. — Jest niezbyt strawne, nawet dla szakali.

Przełożona wzięła ojca za rękę.

— Ty, który nie boisz się niczego, bądź strażnikiem świątyni. Weź ze sobą starszych. Chcę, by towarzyszyli mi

tylko ochotnicy świadomie podejmujący ryzyko. Jeśli mamy
zginąć, niech to miejsce nadal żyje.

Wspólnota dysponowała jeszcze wieloma łodziami. Wprawdzie liczne ekipy cieśli i sama stocznia były tylko odległym wspomnieniem, ale dwóch wyznawców nadal opiekowało się bezcennym skarbem.

Jedną z nich spuszczone na wodę przed kioskiem Trajana, z dala od zwykłej przystani, by nie zwracać uwagi ewentualnych obserwatorów. Wsiadło do niej dziesięciu kapłanów.

Sabni trzymał w rękach małą świętą barkę z dziobem w kształcie kwiatu lotosu. Jeszcze próbował spojrzeniem odwieść Izis od podjęcia wyprawy. Przełożona usiadła z przodu, wystawiając twarz na podmuchy wiatru. Krótka podróż z wyspy na pustynny brzeg zapowiadała się dobrze.

File burzyła niewidzialne obwarowanie, które nie pozwalało jej komunikować się ze światem zewnętrznym. Emblem wielkiej bogini znów pojawił się wśród pozbawionych jej obecności i pogrążonych w rozpacz wiernych.

Procesję pierwszy zauważył pasterz. Ze szczytu wzgórza zobaczył, jak ustawia się na brzegu, z Izis na czele. Szalejąc z radości, pobiegł uprzedzić sąsiadów, wieśniaków pochyłych nad małym poletkiem wyrwanym spiekocie. Któryś z nich wskoczył na osła, by jak najszybciej rozpowszechnić dobrą nowinę.

Kiedy orszak wspiał się na jeden ze skalistych tarasów

górujących nad miastem, Izis dostrzegła ze wzruszeniem przedmieścia Elefantyny. Wielki gród Południa był już tylko garnizonowym miastem opuszczonym przez bogów, sprofanowanym terytorium, którego świątynie splądrowano. Sabni z trudem ukrywał niepokój, ale i on cieszył się, opuszczając miejsce odosobnienia, widząc miasto, w którym przyszedł na świat i spodziewał się lepszej przyszłości dla swojego kraju.

Kapłani z niepokojem rozglądali się na wszystkie strony, obawiając się interwencji słynących z okrucieństwa zbrojnych. Z każdym krokiem nabierali odwagi. Kiedy doszli do pierwszej winnicy, gdzie między krzewami winorośli rosły palmy daktylowe, byli już przekonani, że ich marszu nie powstrzyma żadna przeszkoda. Chroniła ich barka bogini oświetlona promieniami gorącego słońca. Posuwali się bez pośpiechu, przyjąwszy uroczystą postawę, taką samą, z jaką poruszali się wewnątrz świątyni. Na końcu drogi, przy pierwszym skupisku domów, podejmie ich cały Egipt; Izis ogłosi powrót tradycyjnej wiary, wytryśnie jeszcze raz źródło szczęścia.

Grupa dziesięciu wieśniaków o nieprzeniknionych twarzach stanęła na ich drodze. Sabni powierzył świętą łódź postępującym za nim kapłanom, a sam zrównał się z krocząca do przodu Izis. Wieśniacy, bez broni, padli na kolana.

Kapłanka kazała im się podnieść.

— Wielka bogini żywi się waszym zaufaniem, a nie poniżeniem.

Wieśniacy przyłączyli się do kapłanów. Jeden z nich zaintonował pieśń, której słów już nie rozumiał. Opiewała piękno ziaren jęczmienia dojrzewających dzięki przychylności niebios. Kapłan podjął refren, pociągając za sobą współbraci. Kiedy procesja stała się widoczna z pierwszych fortyfikacji okalających miasto, jeden potężny głos dobył się z setki piersi: ogrodnicy, wędrowni kupcy, flisacy porzucili pracę, by przyłączyć się do święta odnowy.

Izis modliła się. Śpiewała półgłosem hymn do boskiej matki, broniąc się przed ogarniającym ją uniesieniem. Na cóż były wszystkie rozważania, rozterki, skoro zwycięstwo przyszło tak łatwo? Liczba wyznawców bogini ciągle rosła. Kobiety i dzieci ośmieliły się wyjść z domów i uczestniczyć w uroczystości. Przeszłość powracała, Egipt zmartwychwstawał.

Sabni nie poddawał się radosnemu podnieceniu: pieśni i krzyki radości wcale go nie uspokoiły. Na trasie patrolu dostrzegł dwóch uzbrojonych we włócznie żołnierzy.

Przeszedł go dreszcz. Nie byli to na siłę zwerbowani chłopci, ale dobrze uzbrojeni najemnicy, których zadaniem było pilnowanie komory celnej, pobieranie podatków i eskor-

towanie transportów z żywnością. Mieli przede wszystkim zapewniać porządek, nie licząc się z ludzkim życiem. Okryci pancerzami, na nogach mieli skórzane ochraniacze, a na głowach hełmy z dwoma otworami na oczy. Chętnie posługiwali się piką i obosiecznym toporem. Lud nienawidził tych przybyłych z Azji barbarzyńców.

Orszak zbliżył się do fortu wzniesionego z suszonej cegły, zwróconego na południe, w stronę, z której pojawiły się przed laty zbuntowane plemiona nubijskie. Ponura budowla, połączona z wieżami obserwacyjnymi obozów, gdzie szkolarowano oddziały wyznaczone do ochrony granicy, dróg i kamieniołomów, symbolizowała władzę biskupa.

Dzięki wspólnocie otwierającej na nowo bramę Egiptu, Elefantynę, potężne tchnienie ogarnie cały kraj. Za kilka tygodni każdy się dowie, że wielka bogini opuściła świętą wyspę, by wskrzesić dawne sanktuaria i ożywić uspione wierzenia. Wszędzie znów będzie się święcić święto nieba i ziemi.

Czterech obszarpanych żołnierzy podbiegło do orszaku. Pozbyli się obuwia z papyrusu i odrzucili krótkie miecze o stępionym ostrzu. Brudni i zarośnięci, co tydzień musieli pobierać okup od własnych rodzin, od których ich odebrano, by uczynić z nich policjantów podległych rozkazom cudzoziemskich najemników.

Rozpoczęła się dezercja.

Dwustu, trzystu... Sabni przestał liczyć sprzymierzeńców, którzy, zrzucając z siebie chrześcijańskie łachmany, pozwalali przemówić sercu. Miał sobie za złe, że zwątpił: żaden ciemiężca nie złamie duszy Egiptu.

Jakże Izis była piękna w tej chwili triumfu! Spokojna, pełna blasku, łagodnie wydawała rozkazy. Choć krucha, wydawała się niezniszczalna. Sabni podziwiał ją już od tak dawna, że sam się dziwił, iż jego uczucia nabrały jeszcze więcej żaru; w jego spojrzeniu szacunek mieszał się z porywami namiętności, którą jeszcze powstrzymywał. Ta miłość nie mogła się spełnić. Jakżeby mogła połączyć dwie istoty tak różne: Izis, spadkobierczynię długiej linii egipskich królowych i Sabniego, skromnego kapłana pochodzącego z prostej rodziny?

Zaatakowano ich od tyłu. Ogarnięci uniesieniem pielgrzymi nie zauważyli błyskawicznie przeprowadzonego manewru okrążającego. Najemnikom wydano rozkazy, które nie pozwalały im na najmniejszą chwilę wahania — nie wolno było tolerować żadnych zamieszek. Zwykle okładali kijami pijaczka lub łapali uciekającego wieśniaka, któremu niewola i nędza pomieszały w głowie. Tym razem sytuacja była o wiele bardziej kłopotliwa: chodziło o bunt, rebelię przeciw ustalonemu porządkowi. W dodatku wartownicy byli świad-

kami dezercji wielu policjantów, którzy dołączyli do agitatorów. Dlatego przystąpiono do wykonywania rozkazów z całą bezwzględnością.

Pierwszy szereg najemników posłużył się łukami. Strzały dosięgły pleców wiernych wyznawców Izydy. Żołnierze toporami zaczęli ciąć po głowach i nogach rannych, przebijać brzuchy ostatnich buntowników. Po kilku minutach wojsko opanowało teren.

Ci, którzy uwierzyli w powrót wielkiej bogini, leżeli teraz na zakurzonej drodze. Tylko jeden kapłan padł z porażonym gardłem. Któryś z żołnierzy w nadmiernym zapale za późno przypomniał sobie o zaleceniach biskupa: nie nastawać na życie mężczyzn i kobiet odzianych w białe szaty. Rozebrano trupa i nałożono nań pobrudzoną tunikę wieśniaka.

Izis, Sabniego i pozostałych członków wspólnoty odprowadzono pod eskortą do łodzi. Zrozpaczeni słyszeli rozdzierające krzyki dezertów, których najemnicy wieszali za nogi, oblawszy ich genitalia wrzącym ołowiem. Należało — To konieczne.

— A gdybym ci zakazała tej wyprawy?

— Posłuchałbym. Ale umieralibyśmy z niepokoju.

Izis podniosła się. Jak trudno było nie zbliżyć się do niej, powstrzymać się od porwania jej w ramiona!

Przełożona zgadzała się z opinią Sabniego. Kiedy dzielono
ziemie, biskup nie zniszczył tego, co było własnością świątyni.
Wprawdzie nie posiadała ona już niegdysiejszych bogactw,
ale nadal miała dość uprawnych ziem, by wyżywić wspólnotę.
Każdy z wieśniaków wierzył, że jeśli bogini otrzyma pierwszą
część plonów, jego los będzie lepszy. Biskup przymykał na to
oczy i cały system gospodarczy funkcjonował jak za dawnych
czasów: znoszono plony do świątyni, przełożona je poświęcała
i dopiero potem dzielono się nimi.

— Jest jeszcze jeden powód, dla którego muszę bez-
zwłocznie udać się do Elefantyny.

— Jaki?

— Nie dotarła do nas zwykła wiadomość od wiernego
Mersisa. Na brzegach są żołnierze, i żaden rybak nie
może wypłynąć na nasze wody.

Mersis, Egipcjanin, którego imię znaczyło „Czerwony”,
był jednym z zaufanych ludzi biskupa. Choć dawno temu
zmienił wiarę, nie mógł znieść myśli o tym, że inne wierzenia
odchodziły w niepamięć. Chciał uratować File i
przekazywał jej niezbędne do przeżycia informacje.

— Jak tego dokonasz?

— Dopłynę do pierwszego granicznego posterunku. Pil-
nują go wcieleni na siłę do wojska wieśniacy. Oni albo
śpią, albo grają w kości. Później wsiądę na prom. W

Ele-fantynie będą czekał na okazję, by spotkać się z

Teodorem w cztery oczy.

Izis odwróciła się do Sabniego. W jej oczach niepokój mieszał się z czułością.

— A zatem nie mamy wyboru...

— Jestem twoim sługą. Ty jesteś duszą File.

— Wracaj szybko, Sabni.

Sabni z łatwością przepłynął odnogę rzeki dzielącą wyspę od baraku, w którym celnicy, gdy zdarzyła się okazja, składali krokodyle skóry i kiepskiej jakości nubijskie opaski na biodra. Nikt nie odwiedzał tego posępnego miejsca, gdzie nie było nic do ukradzenia. Dostrzegł wznoszące się w od-dali, tuż przed pierwszą kataraktą, fortyfikacje wielkiej placówki celnej, która wyznaczała granicę pomiędzy Egiptem a Południem. Oświetlały ją pochodnie — w okresie niskich wód stan pogotowia obowiązywał w dzień i w nocy. Okupant nie obawiał się zanadto prób inwazji ze strony murzyńskich plemion; ostatnie napady miały miejsce ponad dziesięć lat temu. Ale trzeba było chronić przed rabusiami skarby zgromadzone w magazynach: worki złota, kość słoniową, hebanowe drewno, skóry drapieżnych zwierząt. Kiedy je policzono i oszacowano, trafiały na najbardziej ruchliwy rynek w kraju. Celnicy odprawiali karawany przybyłe z Afryki, pobierali opłaty i gwarantowali bezpieczne przechowywanie

towarów, zanim wystawiono je na sprzedaż.

File nie miała już wystarczającej ilości srebrnych monet, które mogłaby zamienić na drogocenny metal, jakim pokrywano posągi bóstw i skrzydła drzwi. Sabni z uczuciem melancholii pogрузił się w ciemnościach. Jako dziecko tak często bawił się na brzegach i urwiskach, że znał tu każdy kamień. Niektóre na pozór łatwo dostępne ścieżki kryły śmiertelne niebezpieczeństwo. Niejeden bizantyjski żołnierz złamał tu sobie kark, nie licząc się z tym, że kamienie ledwo się trzymają i mogą w każdej chwili pociągnąć wędrowca za sobą w dół.

Sabni zdjął wieśniaczą tunikę i zasnął na szczycie wzgórza pod osłoną skalnego bloku różowego granitu. O pierwszym brzasku zszedł spokojnym krokiem do przystani, gdzie zbierał się gęsty tłum. Prom na wyspę Elefantyńską, na której mieszkał biskup, był darmowy. Tłoczyły się na nim kozy, barany, osły i rolnicy przywożący żywność panu tego miejsca i jego garnizonowi. Sabni zdjął z pleców starej kobiety ciężki kosz wypełniony wiązkami cebuli, którą miała dostarczyć do kramów w mieście zbudowanym na południowym krańcu wyspy. Kiedy szedł obok niej, gawędząc, wyglądał na dobrego syna pomagającego matce. Nie zatrzymali ich ani policjanci, ani żołnierze. Przeszli obok słynnej studni, tej samej, którą posłużył się Grek Eratostenes w 230 roku przed

narodzeniem Chrystusa, by potwierdzić miarę obwodu Ziemi ustaloną przez egipskich uczonych. W tym regionie w dniu letniego przesilenia promienie słoneczne padały pionowo. Oświetlone wskazówki słonecznych zegarów nie rzucały w ogóle cienia. Dzięki temu zjawisku geometrzy mogli rozpocząć swoje skomplikowane obliczenia.

Tarasy większości domostw zamieniły się w dachy pokryte okruchami tynku. Niektóre domy zrównano z ziemią aż do fundamentów. Świadczyły o karze, jaka spotkała tych, którzy z uporem nie chcieli się nawrócić. Dawna siedziba wrogo nastawionego do chrześcijaństwa egipskiego namiestnika była porzucona. Szerniała i podrapana fasada przypominała twarz męczennika.

Sabni odprowadził starą do sklepiku, którego właścicielem był Libańczyk, zawsze gotów chwalić Bizancjum i mądrość okupanta. Był kuzynem oficera. Kiedyś kupił mnóstwo ziemi, gdzie teraz bezkarnie wykorzystywał wiele rodzin, które bez niego umarłyby z głodu.

Handlarka cebulą, całkiem wyczerpana, poprosiła Sabniego, by zaniósł jej resztę towaru do domu. Mieszkała w najbiedniejszej dzielnicy i musiała codziennie chodzić na swój kawałek ziemi na wschodnim brzegu. W porze wielkich upałów pracowała w nocy. Jej mąż nie żył, a dwaj synowie byli skoszarowani w Azji. Utrzymywała się z największym

trudem.

Niski dom przy błotnistej i ciemnej uliczce był zbudowany z surowej cegły suszonej na słońcu. Jedno okno w brunatnej, źle utrzymanej fasadzie opatrzone drewnianą kratą. Sabni wszedł wraz ze starą po trzech zużytych stopniach. Właścicielka wyciągnęła zardzewiały klucz; wierzyła w złudną ochronę rozklekotanego zamka. Na wpół zgniłe meble gnieździły się w dwóch maleńkich pomieszczeniach.

Stara rozłożyła się na klepisku.

— Kim jesteś?

— Naprawdę chcesz to wiedzieć?

Zamknęła oczy.

— Nie zachowujesz się jak wieśniak, a głos twój brzmi jak głos kapłana... Pamiętam, jak spokojnie mówili wyznawcy Izydy, kiedy wychodzili z procesją, zanim biskup zmusił ich do pozostania na wyspie. Poruszali się dostojnie. Tak jak ty.

— Te czasy już minęły. Przybyłem zaciągnąć się do wojska. Żegnaj.

Stara nadal mrużyła powieki. Jeśli zadenuncjuje uciekającego kapłana, dostanie niezłą sumkę. Będzie miała co jeść przez kilka miesięcy.

Obok siedziby biskupa wznosił się największy gołębnik na całym obszarze Elefantyny. Ekskrementy gołębi stanowiły skuteczny i ceniony nawóz, zwłaszcza w winnicach. Budowla należąca do pana całej prowincji dumnie wystawiała na pokaz swe dwa piętra i taras. Sabni znał ją doskonale: zanim biskup znalazł tu schronienie, willa była własnością sędziego. Jego dzieci, do których chętnie dołączał mały Teodor, bawiły się z przyszłym kapłanem Izydy.

Codziennie dziesiątka służących sprzątała salę przyjęć, pokoje, kuchnię, łazienkę, portyki i spiżarnie. Sabni myślał przez chwilę, że mógłby zająć miejsce któregoś z nich, ale szybko się okazało, że żołnierze sprawdzali ich tożsamość. Postanowił się więc wmieszać w grupę zajmującą się chlewem i kurnikiem. Tutaj często przyjmowano nowych.

Aż do wieczora zajmował się świniami, gęsiami i kurami. Czyż nie robił tego samego w świątyni, zanim przyjęto go do szkoły skrybów? Zamienił kilka słów z towarzyszami, a kiedy opuścili dziedziniec, dał się na nim zamknąć.

Gdy zapadła noc, wszedł do piwnicy przez niskie okienko z kiepsko osadzoną kratą, przesmyknął się między dwoma rzędami glinianych dzbanów wypełnionych szlachetnym winem. Wszedł na górę po schodach. Gabinet biskupa znajdował się na drugim piętrze.

Teodor siedział przy stole z hebanowego drewna, pochylony nad stertą rachunków, którą oświetlały dwie lampy oliwne.

— Wejdz, Sabni. Poruszasz się niemal bezgłośnie, ale ja czekałem na ciebie. Po tym, co się wydarzyło, byłem przekonany, że przybędziesz.

Wyznawca Izydy rozejrzał się po pokoju wypełnionym zwojami papirusów, starannie ułożonymi w szafach. Teodor lubił porządek, nienawidził bałaganu i niestaranności. Choć królował nad całą armią sekretarzy, nadal sam segregował swoje dokumenty. Wiecznie zapracowany, rzadko pozwalał sobie na odpoczynek. W wieku trzydziestu lat wyglądał na człowieka dojrzałego, wyczerpanego nadmiarem zadań. Sabni wydawał się o wiele młodszy od Teodora, choć była między nimi różnica tylko dwóch lat. Pociągła twarz, łysiejące czoło i chude ciało podkreślały surowość Teodora. Jako młodzieniec zazdrościł swojemu towarzyszowi urody, zazdrościł mu promiennej i radosnej natury.

— Rozsiądź się na poduszkach i skosztuj tych wyśmienitych fig. Ja muszę skończyć raport, albowiem Bóg nie miał nade mną litości, powierzając mi administrowanie tą prowincją. Urzędnicy cesarza umieją kultywować jedynie lenistwo. Kto mógłby przypuszczać, że Teodor jest z pochodzenia Egipcjaninem? On, kochający się w bizantyjskich szatach z

fioletowymi obrzeżeniami i haftami w kwietne motywy?

Ściany pokryte były mozaikami przedstawiającymi sceny z greckiej mitologii, hellenistyczne inkrustacje zdobiły meble, kielichy i srebrne naczynia pochodziły ze stolicy Wschodniego Cesarstwa. Sabni gardził nadmiernym przepychem, ale był głodny.

Z przyjemnością zjadł kilka fig niemal pozbawionych pestek. Bogacze uwielbiali tę późną odmianę.

— Teodorze, zabito kapłana.

— Oficjalnie mówi się o dezercerze. Ta wersja jest o wiele lepsza.

— Przecież obiecałeś.

— Wy także obiecaliście nie opuszczać wyspy pod żadnym pretekstem. Prości ludzie stracili przez was życie.

— Musisz nas zrozumieć.

— To ty musisz zrozumieć, że File już za długo gwałci

boskie i ludzkie prawa. Czyżbyś nie wiedział, iż

Konstancjusz Drugi nakazał zamknięcie wszystkich

pogańskich świątyń już w trzysta pięćdziesiątym

szóstym roku po narodzinach Zbawiciela i że

chrześcijaństwo jest religią państwową od trzysta

osiemdziesiątego roku, a heretyckie wierzenia zaka-

zane od trzysta dziewięćdziesiątego drugiego?

— Rzym upadł w czterysta dziesiątym — przypomniał

Sabni. — Jego upadek dowodzi, że wiara chrześcijańska nie jest niezwyciężona i że najbardziej bezlitosna z tyranii może upaść.

— Cesarstwo Wschodu przejęło pochodnię. File istnieje tylko we śnie, który może łatwo zmienić się w koszmar. Nawróć się. — Biskup obrócił się do egipskiego kapłana. — Jesteśmy przyjaciółmi, a bogowie umarli. Na świecie zapanowała prawdziwa wiara. Chrystus przyjmie cię do swojego Kościoła, zaznasz wreszcie spokoju... a ja razem z tobą.

Oczy Teodora błyszczały nadzieją. Zachód, nie mogąc się pogodzić z upadkiem Rzymu, rozpadał się w barbarzyńskich konwulsjach, gdy tymczasem dziedzictwo Konstantyna, bogate w prowincje Azji Mniejszej, Syrii i Egiptu, uczyniło ze Wschodu latarnię ludzkości. Nowy Rzym, Bizancjum, dzierżył klucze cywilizacji. Tylko Aleksandria próbowała z nim rywalizować i rozkładała swe bogactwo u stóp pałacu Patriarchy, wyznawcy monofizytyzmu, według którego boska natura Chrystusa pochłonęła jego ludzką naturę. Zakazany przez cesarza egipski partykularyzm rozkwitał. Biskup Teodor powinien był zwalczać go z większą energią, ale jego umysł zaprzętał inny przeciwnik: File, ostatnia czynna świątynia pogańska.

— Nie nawrócę się nigdy — odrzekł Sabni ze spokojną

pewnością, jaką daje niezmacona wiara.

— Właśnie podpisałem nowy dekret z rozkazu cesarza.

Każdy ochrzczony, który praktykuje dawne wierzenia, choćby nawet w zaciszu swojego domostwa, będzie skazany na śmierć. Czytaj.

Sabni odcyfrował tekst napisany po grecku, pismem demotycznym i po łacinie, by każdy mógł go zrozumieć. Niepiśmienni mieli zgromadzić się na placach publicznych, a tam heroldowie przekażą im uroczyście ostrzeżenie:

Niech nikt, bez względu na to, z jakiej pochodzi rodziny, jakie zajmuje stanowiska i piastuje godności, jaką pełni funkcję czy sprawuje władzę, szlachetnego czy skromnego urodzenia, wielkiej czy małej fortuny, nie święci w jakimkolwiek miejscu, w żadnym mieście symboli, niech nie składa żadnych ofiar. Jeśli się do tego nie zastosuje, niech zostanie wydany.

Sabni zwinął papirus.

— Oto wasza nowa broń: donosicielstwo. Nie obawiaj się, nie zostałem ochrzczony. Serca stały się pożądliwe, łagodność umiera, ludzie cieszą się ze zła, zbrodniarz jest ponad prawem, a każdy chyli twarz ku ziemi. Kraj pozostawiono na pastwę tych, którzy go nienawidzą.

— Nie upieraj się.

— Czas jest tylko pozorem. Dzisiejsze nieszczęście jest zapowiedzią jutrzejszego szczęścia.

— Nie doceniasz gniewu swoich wrogów. Zastępy mniczów, które zajęły pradawne grobowce, nie zniosą dłużej istnienia File. Na każdym zgromadzeniu ich przedstawiciele domagają się wyjazdu wspólnoty i zniszczenia świątyni. Próbuję ukryć obecność ostatnich pogan w mojej jurysdykcji, ale wasza głupia procesja zniweczy cały mój wysiłek.

— Izyda rozkazuje gwiazdom i przepędza demony. Nikogo nie prześladowa, a jej miłość zwycięży.

— Sabni, jesteś człowiekiem z innej epoki. Izyda... jest zapomnianym duchem.

— Dlaczego twój bóg przelewa tyle krwi i zniewala całe kraje?

— Dlaczego czcisz bóstwa z ludzkim ciałem i zwierzęcą głową?

Sabni 'iśmiechnął się.

— To argument niegodny ciebie, Teodorze. W zwierzęciu

ucieleśnia się boska siła; nie czcimy żadnych idoli, tylko rozpoznajemy przekaz zawarty w symbolach.

— To ty musisz zrozumieć, że File już za długo gwałci boskie i ludzkie prawa. Czyżbyś nie wiedział, iż

Konstancjusz Drugi nakazał zamknięcie wszystkich pogańskich świątyń już w trzysta pięćdziesiątym szóstym roku po narodzinach Zbawiciela i że chrześcijaństwo jest religią państwową od trzysta osiemdziesiątego roku, a heretyckie wierzenia zakazane od trzysta dziewięćdziesiątego drugiego?

— Rzym upadł w czterysta dziesiątym — przypomniał Sabni. — Jego upadek dowodzi, że wiara chrześcijańska nie jest niezwyciężona i że najbardziej bezlitosna z tyranii może upaść.

— Cesarstwo Wschodu przejęło pochodnię. File istnieje tylko we śnie, który może łatwo zmienić się w koszmar. Nawróć się. — Biskup obrócił się do egipskiego kapłana. — Jesteśmy przyjaciółmi, a bogowie umarli. Na świecie zapanowała prawdziwa wiara. Chrystus przyjmie cię do swojego Kościoła, zaznasz wreszcie spokoju... a ja razem z tobą.

Oczy Teodora błyszczały nadzieją. Zachód, nie mogąc się pogodzić z upadkiem Rzymu, rozpadał się w barbarzyńskich konwulsjach, gdy tymczasem dziedzictwo Konstantyna, bogate w prowincje Azji Mniejszej, Syrii i Egiptu, czyniło ze Wschodu latarnię ludzkości. Nowy Rzym, Bizancjum, dzierżył klucze cywilizacji. Tylko Aleksandria próbowała z nim rywalizować i rozkładała swe bogactwo u stóp pałacu Pat-

riarchy, wyznawcy monofizytyzmu, według którego boska natura Chrystusa pochłonęła jego ludzką naturę. Zakazany przez cesarza egipski partykularyzm rozkwitał. Biskup Teodor powinien był zwalczać go z większą energią, ale jego umysł zaprzętał inny przeciwnik: File, ostatnia czynna świętynia pogańska.

— Nie nawrócę się nigdy — odrzekł Sabni ze spokojną pewnością, jaką daje niezmacona wiara.

— Właśnie podpisałem nowy dekret z rozkazu cesarza.

Każdy ochrzczony, który praktykuje dawne wierzenia, choćby nawet w zaciszu swojego domostwa, będzie skazany na śmierć. Czytaj.

Sabni odcyfrował tekst napisany po grecku, pismem demotycznym i po łacinie, by każdy mógł go zrozumieć. Niepiśmienni mieli zgromadzić się na placach publicznych, a tam heroldowie przekażą im uroczyście ostrzeżenie:

Niech nikt, bez względu na to, z jakiej pochodzi rodziny, jakie zajmuje stanowiska i piastuje godności, jaką pełni funkcję czy sprawuje władzę, szlachetnego czy skromnego urodzenia, wielkiej czy małej fortuny, nie święci w jakimkolwiek miejscu, w żadnym mieście symboli, niech nie składa żadnych ofiar. Jeśli się do tego nie zastosuje, niech zostanie wydany.

Sabni zwinął papirus.

— Oto wasza nowa broń: donosicielstwo. Nie obawiaj się, nie zostałem ochrzczone. Serca stały się pożądlive, łagodność umiera, ludzie cieszą się ze zła, zbrodniarz jest ponad prawem, a każdy chyli twarz ku ziemi. Kraj pozostawiono na pastwę tych, którzy go nienawidzą.

— Nie upieraj się.

— Czas jest tylko pozorem. Dzisiejsze nieszczęście jest zapowiedzią jutrzejszego szczęścia.

— Nie doceniasz gniewu swoich wrogów. Zastępy mniczów, które zajęły pradawne grobowce, nie zniosą dłużej istnienia File. Na każdym zgromadzeniu ich przedstawiciele domagają się wyjazdu wspólnoty i zniszczenia świątyni. Próbuję ukryć obecność ostatnich pogan w mojej jurysdykcji, ale wasza głupia procesja zniweczy cały mój wysiłek.

— Izyda rozkazuje gwiazdom i przepędza demony. Nikogo nie prześladowa, a jej miłość zwycięży.

— Sabni, jesteś człowiekiem z innej epoki. Izyda... jest zapomnianym duchem.

— Dlaczego twój bóg przelewa tyle krwi i zniewala całe kraje?

— Dlaczego czcisz bóstwa z ludzkim ciałem i zwierzęcą głową?

Sabni • uśmiechnął się.

— To argument niegodny ciebie, Teodorze. W

zwierzęciu

ucieleśnia się boska siła; nie czcimy żadnych idoli, tylko

rozpoznajemy przekaz zawarty w symbolach.

Biskup opuścił miejsce za stołem i usiadł obok swego

przyjaciela. Sięgnął po figi, które ten mu podsunął, i nalał

białego wina do dwóch srebrnych pucharów.

— Czy zgodzicie się przynajmniej czcić Pana w niedzielę,

dzień obowiązkowo wolny od pracy?

— Każdy dzień musi zostać uświęcony. Obrządek nie

zostaje przerwany nigdy. Każdy świt przynosi

odrodzenie całego stworzenia. Dlaczego wyróżniać

niedzielę?

— Mówisz tak, jakby świat w ogóle się nie zmienił. Głos

faraonów zamilkł na zawsze.

— Jeszcze jest File. Przybądź na naszą wyspę, Teodorze.

Pomedytujesz na dziedzińcu przed świątynią, w cieniu

kolumn. Przejdziesz się po salach i kaplicach,

przeczytasz hieroglify wyryte na ścianach,

zakosztujesz spokoju Izydy, niebiańskiej królowej.

Przez chwilę Sabni wierzył, iż biskup pójdzie za nim i

otworzy swe serce na tajemnice bogini — przynajmniej na

czas pielgrzymki. Niech tylko Teodor da się uwieść magii

świętyni, a ostatnia wspólnota odżyje w nadziei.

— Jesteś dzieckiem! Czy wiesz, że File zaludniają diabelskie postaci, boginki o prowokujących kształtach, których obcisłe suknie pozwalają dostrzec nagie piersi? Czy wiesz, że ich ubiór jest tak przezroczysty, iż nie kryje nawet tego, co wstydlive, a klejnoty i ozdoby obrażają ubóstwo sprawiedliwego? Biskup, który przekroczyłby próg tego lupanaru, nazywanego przez was „świętynią”, skazałby się na natychmiastowe potępienie.

— Czyż to nie apostoł Paweł powiedział, że kobieta została stworzona dla mężczyzny, jest odbiciem mężczyzny? To nie jest moje zdanie. Jeśli uważasz, że kobieta jest pomiotem szatana, dlaczego wyznajesz, że Chrystus narodził się z Panny Marii? Józef, Maria, Jezus... czy to nie trójca Ozyrys, Izyda i Horus?

— Błuźnisz.

— A ty powtarzasz dogmat, w który wierzysz tylko w polowie.

— Mylisz się. Wierzę w jedyne Boga, Ojca, od którego pochodzą wszystkie rzeczy i dla którego urodziliśmy się. To

on wybrał mnie na sługę swojego Kościoła. Moim obowiązkiem jest obrona wiary i walka z odstępstwem.

— Jesteś szefem armii diakonów, funkcjonariuszy i administratorów, posiadasz wiele ziem i domów, pobierasz podatki, które pogłębiają ubóstwo biednych. Twoja religia jest okrutna; nie uznaje żadnej prawdy poza sobą. Obierają ją jedynie niewolnicy. Wiara faraonów nie była wiarą misjonarzy i zdobywców: ważne było tylko nawrócenie płynące z serca. Głęboka zmiana istoty dokonywała się poprzez poznanie boskich skarbów.

— Sakramenty zastąpiły inicjację.

— Rządzisz baranami. Doznają objawienia zamiast budować.

— Ich szczerłość warta jest szczerości ostatnich wyznawców Izydy.

— Służ dalej Chrystusowi, skoro takie jest twoje powołanie, ale pozwól żyć naszej wspólnotie. Ma w sobie duchowość, która pozwoli rozkwitnąć jutrzejszemu światu.

Biskup wyciągnął ręce przed siebie w modlitewnym geście.

— Błagam cię, Sabni! Przekonaj przełożoną, by nie po grązała się bardziej w szaleństwie. Ty przynajmniej udawaj, że się nawróciłeś. Wezmę na siebie ciężar twojego kłamstwa i będę błagał Boga, aby nam wybaczył.

Sabni podniósł się, Teodor za nim. Obu tych mężczyzn

łączyło porozumienie, które daje jedynie niezniszczalna przyjaźń.

— Nie zrezygnuję, Teodorze.

— Historia walczy z tobą.

— Liczba i siła także. Ale nie mają racji.

— Razem pokonalibyśmy wszelkie przeszkody i uczynili raj z tej krainy.

— Jest już File. Chroń ją. To, czy przeżyjemy, zależy od twojej czujności.

Biskup odwrócił się i wyciągnął papirus z szafki przeznaczonej na sprawy nie cierpiące zwłoki.

— Przedwczorajszy incydent zmusza mnie do podjęcia pewnych kroków. Mieszkańcy wyspy muszą zacząć pracować jak inni. Mają dostarczyć za darmo ubrania żołnierzom garnizonu. Pierwsza dostawa na początku przyszłego miesiąca.

— To niemożliwe. Nasze obie stare szwaczki są prawie niedołążne, a pozostali członkowie wspólnoty mają inne naglące zadania.

— W takim razie likwiduję dostawy lnu dla File.

— Liczyliśmy na najbliższą, by uszyć nowe szaty.

— Nie obchodzi mnie to! Poddani cesarstwa nie spacerują w białych sukniach.

Teodor zabrał się z powrotem do pisania.

— Czy dasz mi przepustkę?

— Nigdy się tutaj nie pojawiłeś, Sabni.

Biskup umoczył trzcinę w naczynku wypełnionym czarnym atramentem i zredagował po grecku formalny i definitywny zakaz dostarczania lnu do pogańskiej świątyni.

Bez przepustki Sabni niewiele więcej był wart niż zwykły przestępca. Patrole przemierzające uliczki Elefantyny mogły zażądać od niego, by powiedział, jaki ma zawód, gdzie pracuje i jak nazywa się jego pracodawca. Egipcjanin spodziewał się większej pomocy ze strony biskupa. Ale dostał od niego tylko nauczkę. Sam we wrogim mieście, musiał zmylić czujność patroli, by dostać się na File. Nie mógł wyjść przez dziedziniec, który teraz był pilnowany.

Sabni po raz ostatni rzucił okiem na oświetlone okno biskupa, przeskoczył przez parapet okalający taras i dostał się na dach szopy. Przebiegł wzrokiem uliczki: nie było śladu żołnierzy. Szedł po dachach z jednego budynku na następny, oddalając się od centralnej dzielnicy. Konar winnej latorośli pomógł mu opuścić się na pełen odpadków placyk.

Musiał już tylko dotrzeć do brzegu, na którym znajdowały się dawne ogrody świątyni. Butwiały tam z rzadka używane łodzie. Minał zaułek i wszedł w małą uliczkę, która ciągnęła się wzdłuż rozbebeszonych domostw kapłanów Chnuma, boga-barana. Idąc po niskim murku, zbliżył się do warsztatu garncarza. Domostwo zwrócone było w stronę Nilu. Nad oknem tkwiła jeszcze belka nadproża z drewna cedrowego. Kostki tworzące bruk i ozdoby z wapienia zostały wyrwane. Wśród stosów cegieł dostrzegł ślady wielkiej sali wyposażo-

nej w nisze, schronienie — jak na urągowisko — domowych bóstw, do których niegdysiejsze rodziny kierowały modlitwy o wschodzie i zachodzie słońca. Przeskoczył zrujnowane drzwi i pomyślał, że za niecałą godzinę będzie z powrotem na wyspie.

— Nie ruszaj się. Jesteś aresztowany.

Z ruin wychylnęło z dziesięciu żołnierzy w hełmach. Skierowali ku niemu miecze.

— Jeśli będziesz próbował uciekać, zabijemy cię.

Sabni odwrócił się. Na jego drodze stali kolejni żołnierze.

Znieruchomiał. Dowódca patrolu, chudy i nerwowy Bizantyńczyk, spytał:

— Kim jesteś?

— Wieśniakiem.

— Jak się nazywasz?

— Już nie pamiętam...

— Co tutaj robisz? Czy nie wiesz, że to teren wojskowy?

— Zgubiłem się.

Dowódca patrolu kręcił się wokół Sabniego z podniesionym mieczem, jakby szukał najdogodniejszego miejsca do pchnięcia.

— Jesteś chrześcijaninem?

— A któż nim nie jest?

— Byłeś więziony?

— Nie.

— Bierzcie go.

Dwóch żołnierzy schwyciło Sabniego i wypchnęło przed siebie. Nie bronił się. Zaciągnięto go do wartowni garnizony. Stara handlarka cebulą, schowana za policjantem, popatrzyła na dowódcę patrolu i skinęła głową, kiedy przechodził Sabni.

Podjeźzanego wrzucono do lochu z niewypalanej cegły, z klepiskiem zamiast podłogi. Dach był tak nisko, że więzień nie mógł się wyprostować. Zacznie się dusić, kiedy słońce stanie w zenicie. Sabni usiadł w pozycji skryby i wyzwolił swój umysł od wszelkich wrażeń. Kapłan-senior nauczył go wykraczać poza bieżącą rzeczywistość, nauczył go stawać się niemal obcym samemu sobie, by sprawniej myśleć. Młody człowiek zapomniał o śmierdzącym pomieszczeniu, o przechodzących tam i z powrotem żołnierzach, o obozowym gwarze. Strach, jaki odczuwał, ześliznął się po jego skórze i oddalił.

Jak uprzedzić Izis? Ucieczka wydawała się niemożliwa.

Trzeba będzie przekupić żołnierza i ubłagać go, by dostarczył wiadomość na File. Sabni nie miał jednak nic do zaoferowania. Czy znajdzie kogoś litościwego w tej sforze? Nie dostał nic do jedzenia ani picia. Późnym popołudniem poczuł, jak nabrzmiwa mu język, a mięśnie się kurczą.

Otwarto drzwi. Żołnierz wyciągnął go z celi za ramię.

Sabni z trudem złapał równowagę. Szedł z podniesionym czołem. Przyspieszył, kiedy pika prześliznęła mu się po plecach. Wepchnięto go do pomieszczenia o popękanych ścianach. Na skrzyni leżały w nieładzie zapisane tabliczki.

Żołnierze odeszli. Wszedł pięćdziesięcioletni, wysoki rangą oficer. Miał złamany nos, jego prawy policzek przecinała głęboka szrama, liczne ślady wielu walk widniały na ciele.

Zamknął drzwi silnym kopnięciem.

Sabni cofnął się.

Obaj mężczyźni padli sobie w ramiona.

— Mersis!

— Stara cię zadenuncjowała. Aresztowali cię moi ludzie.

— Jako kapłana Izydy?

— Jako bandytę. Przynajmniej takie określenie figuruje w oskarżeniu. Wypij to.

— Czy zaryzykowałeś i osobiście napisałeś tekst?

— Pisarz sądowy jest mi posłuszny. Mam jeszcze trochę władzy w garnizonie. Być może nie na długo. Wydaje się, że przyszłość rysuje się czarno.

Kapitan Mersis uderzył pięścią w ścianę.

— Prefekt Maksymian przybywa jutro na czele pięciuset ludzi. Cztery setki piechurów i setka jeźdźców.

Doborowy oddział, stanowiący znaczne wsparcie dla

najemników i siłą wcielonych do wojska żołnierzy.

Otrzymałem rozkaz uporządkowania koszar i

wyczyszczenia broni.

— Po co ten pokaz siły?

— Ostateczna pacyfikacja regionu.

— File?

— Nie mam pojęcia, chociaż nadzór nad wyspą zostanie

wzmocniony. Nie będę już mógł posyłać ci

codziennych wiadomości.

— Biskup zlikwidował dostawę Inu.

Surowe oblicze kapitana skrzywiło się boleśnie.

— Szaty kapłanów...

— Będziemy szanowali te, które mamy.

Żołnierz był bliski płaczu. Nie bał się śmierci, ale nie był

obojętny na piękno ceremoniału.

— Ten Teodor to potwór.

— Czy jest w dobrych stosunkach z Maksymianem?

— Nie znają się. Ale powiadają, że prefekt jest człowie-

kiem bardzo władczym. Biskupowi to się nie spodoba.

— Szczęście uśmiechnie się do nas.

— A te setki żołnierzy?

— File nie zasługuje na taką armię. Musi być inny powód.

Kapitan nie dostrzegał żadnego innego. Już od bardzo

dawna na Północy wszelkie próby buntu zostały wykorze-

nione jak stare winnice. Ze względu na graniczne fortyfikacje pomiędzy Egiptem a Południem każda próba inwazji była z góry skazana na porażkę. Pozostał tylko jeden ośrodek zamieszek na drodze do całkowitego opanowania Cesarstwa: pogańska świątynia.

— Nie narażaj się, Mersisie. Gdyby się dowiedzieli, że nam pomagasz...

— Nie boję się przeznaczenia. Pozostaniesz w więzieniu aż do jutra rana. Zostajesz uniewinniony w wyniku przesłuchania, przez które właśnie przeszedłeś. Przy porzuconej przystani jest dziurawa łódź. Powinna wytrzymać do połowy drogi. Dalej popłyniesz.

Spróbuję wysłać gołębia, jak tylko będę wiedział więcej. Jednak najlepsi posłańcy, gołębie, które latają w nocy, zostały zarekwirowane przez biskupa. A teraz wybacz mi: podejrzany nie wychodzi bez szwanku z tego biura.

Mersis szybko uderzył kilka razy Sabniego, gwałtownie otworzył drzwi i wyrzucił na zewnątrz ofiarę, której jęki wcale nie były udawane.

— Wrzućcie mi to do celi. Ten nędzny złodziej potrzebował nauzki.

Kapłan-senior zgrabiałymi palcami wyrzeźbił figurkę w oliwkowym drewnie. Nie panował nad dłutem, lecz zadanie wydawało mu się tak istotne, że otarł sobie grzbiet lewej dłoni i wcale nie poczuł bólu. Sabni patrzył na niego w milczeniu. Kiedy powrócił z Elefantyny, opisał sytuację Izis i jej ojcu. Ten ostatni z gniewu odzyskał mowę i zaciągnął Sabniego do świątynnej biblioteki.

— Nadejdzie czas, gdy bogowie opuszczą ziemię i po wrócą do nieba. Obcy ludzie zmienią oblicze naszego kraju. To uświęcone ponad wszystko miejsce, ojczyznę naszych świątyń, pokryją trupy i groby. Nie przetrwa nic oprócz kilku znaków wyrytych na kamieniu. Tak mówią prorocy. Nie zważam na ich przepowiednie i będę walczył aż do końca!

Starzec naciął figurkę. Nadał jej z grubsza kształt ludzkiej istoty, przykrył materiałem i umieścił na stole, przed którym stała gliniana kadzielnica i piecyk z surowej cegły. Wrzucił doń nieco węgla drzewnego i kulki gęsiego tłuszczu.

— Wszystko gotowe. Wystarczy zapalić ogień, wypowie dzieć głośno imię naszego wroga i wrzucić jego podobiznę do ognia. Wróg zostanie zniszczony. Ach, byłbym zapomniał...

Kapłan rozwinął dziewiczy papirus.

— Weź ten kalamus * i posłuż się tym atramentem. Jeszcze nigdy nie były używane. Napisz imię biskupa Teodora.

— Odmawiam.

— Dlaczego?

— Bo to próżne sztuczki.

— Były skuteczne tysiące razy.

— Teodor nie jest naszym wrogiem. Tylko on może nas uratować. To nie jego trzeba zlikwidować, lecz całe Cesarstwo z jego zastępami żołnierzy. Żadna magia tego nie dokona.

Kapłan-senior wrzucił statuetkę do pieca, w którym nie rozpali ognia.

Prefekt Maksymian miał około sześćdziesiątki, dorobił się brzucha, a skóra jego dziecinnej twarzy błyszczała od odmładzającej pomady. Wkroczył do Elefantyny na koniu, na czele swych oddziałów. Podkreślał w ten sposób, że nieodwracalnie przejmuje władzę. Miejscowe władze mają bezzwłocznie podporządkować się jego woli.

Za nim ciągnęło groźne, świetnie wyposażone i doskonale odżywione wojsko: czterystu pieszych obutych, w nowych zbrojach, czystych tunikach i płaszczach. Setka kawalerzystów dosiadała mocnych koni. Każdy z żołnierzy dostawał codziennie podwójną rację chleba, mięsa, oliwy i wina. Żołd pozwalał najrozsądniejszym zaoszczędzić trochę złota. Od-

dział składał się z Greków, Syryjczyków, Rzymian, Azjatów i kilku Egipcjan. Jego zadaniem było definitywnie spacyfikować region, którego skrywane nieposłuszeństwo doprowadzało do furii cesarza.

Prefektowi misja wcale się nie podobała. Kochał tylko Aleksandrię, swoją przytulną wygodę, swoje kobiety, swoje bankiety i łagodny nadmorski klimat. Po raz pierwszy — po piętnastu latach spędzonych w Egipcie — posuwał się tak daleko na południe. Dokuczała mu spiekota, a obnażone

* Pióro z trzciny. Egipcjanie pisali takim piórem na papirusie począwszy od III wieku p.n.e. (przyp. tłum.).

skały i jałowy pejzaż katarakty jawiły się jako przerażające pustkowia. Tylko główna dzielnica Elefantyny, pełna drzew i ozdobiona ogrodami, miała trochę uroku. Ta prowincjonalna miejscina szybko go znudzi. Już marzył o powrocie.

Na szczęście jego zadanie jest równie łatwe, co szybkie.

Zdziwił go porządny wygląd wojsk, które oddawały mu honory. Niezyczliwe raporty wspominały o bandzie obdartusów niezdolnych do walki. Tymczasem ich ubiór podobnie jak uzbrojenie dorównywały ekwipunkowi nowo przybyłych.

Odpowiedzialny za garnizon biskup wykonał dobrą robotę.

Prefekt nie przyjął pomocy żołnierza i sam zsiadł z konia.

Mimo widocznej tuszy był w doskonałej formie fizycznej, której nie zniszczyło pełne rozkoszy życie. Teodor wyszedł

na jego powitanie. Obaj mężczyźni skłonili przed sobą głowy.

— Jestem szczęśliwy, mogąc cię gościć, prefekcie Maksymianie.

— Gratulacje, Wasza Wielbność. Porządek nie jest w Elefantynie pustym słowem.

— Dyscyplina jest cnotą, którą ukochał nasz Pan. Czeka na ciebie posiłek. Zapewne zechcesz najprzód się wykąpać.

— Chętnie. Droga była długa i pełna kurzu.

Maksymian pogрузił się w rozkoszach wonnej kąpieli w ciepłej wodzie płynącej starodawnym ruociągiem, z którego biskup korzystał bez skrpułów. Teodor miał tyluż wrogów co zwolenników. Uważano go za najwybitniejszego z egipskich duchownych i za doskonałego administratora. Ale jego ambicja dorównywała jego wierze: rządził Południem w sposób absolutny, licząc zapewne na nowe godności. Prefektowi wspomiano o człowieku zimnym i szorstkim, tymczasem Teodor zachowywał się nadzwyczaj uprzejmie. Posiłek godzien był najlepszego stołu: białe melony, ryby z Nilu, pieczone jagnię, zielone warzywa, kozi ser, śliwki, figi i granaty. Kucharz doskonale dobrał przyprawy i uzyskał smaki zachwycające podniebienie. Czerwone miejscowe i białe znad Deltę wina nie popsuyby przyjęcia u cesarza. Biskup jadł niewiele, natomiast Maksymian, który poznał jedynie

kiepskie jadlo w oberzach napotkanych po drodze, nie mógł powstrzymać apetytu.

— Jesteś osobą zdumiewającą, Wasza Wielebność. Porządne wojsko, wspaniała siedziba, wybitny kucharz...

Czy nie jest ci za ciasno w tej oddalonej prowincji?

— Urodziłem się tutaj.

— To bez znaczenia. Ja nie mogłem się doczekać, kiedy opuszczę rodzinną wioskę w Afryce Północnej.

— Ta ziemia jest surowa, choć nie pozbawiona bogactw.

— Jest w niej bogactwo, którego okrutny brak cesarz odczuwa od dłuższego czasu: nubijskie złoto. Od przeszło roku żaden transport tego cennego kruszcu nie dotarł do stolicy.

— Dostałem rozkaz wzmocnienia granicy, by zniechęcić wszystkich do jakiegokolwiek próby napaści. Karawany nie docierają już do złotodajnych regionów.

Murzyńskie plemiona zmasakrowałyby je. Nie mam pozwolenia na zorganizowanie ekspedycji.

— Ale ja mam. Generał Narses poprowadzi tę armię aż do Nubii, podczas gdy ja zajmę się sprawdzaniem rachunków i twego zarządzania.

Biskup wydał się zakłopotany.

— Narażasz się na trudności nie do pokonania.

Prefekt ze złością postawił swój puchar na masywnym

stole z drewna akacjowego.

— Odmawiasz?

— Chętnie udostępnię ci moje biuro; będziesz mógł do woli przeglądać wszystkie administracyjne dokumenty. To nubijską ekspedycję uważam za niekorzystną.

— W jaki sposób dzikusy mogliby się oprzeć doświadczonemu wojsku?

— Musiałoby najprzód pokonać kataraktę.

Maksymian wytarł sobie czoło kawałkiem płótna.

— Nikt mi w Aleksandrii nie wspominał o takich trudnościach... Wytłumacz się.

— Jest teraz okres niskiej wody, skały wystają z wody.

Żadna łódź nie zaryzykuje przepłynięcia przez ten labirynt. Jeśli będziesz upierał się przy swym projekcie, zginie trzy czwarte twoich ludzi.

Eksperci od strategii, którzy nigdy nie widzieli katarakty, brali pod uwagę tylko rzeczywistość wojskową.

— Czy kiedy woda przybierze, nie będzie trudności z pokonaniem przeszkody?

— Nie w pierwszych dniach. Potem wszystko będzie zależało od jej nurtu. Jeśli będzie za słaby, zaledwie przykryje najbardziej niebezpieczne skały. Jeśli będzie zbyt silny, powstaną wiry, których nie pokonają nawet

najlepsi żeglarze.

Maksymian był załamany. Ile miesięcy przyjdzie mu czekać, zanim wypełni wolę cesarza? Na jakie sankcje narazi się w wypadku niepowodzenia? Jego misja, tak łatwa z pozoru, przemieniła się w koszmar.

— Zapewniam cię o mojej całkowitej chęci współpracy.

Jeśli twój pobyt tutaj ma być długi, niechaj przynajmniej będzie przyjemny. Moi sekretarze i mój personel spełnią każdą twoją zachciankę.

— Jest jeszcze jedno... Do cesarza dotarły skargi dotyczące małej grupki pogan, którzy nie chcą się nawrócić.

— To prawda.

— Gdzie mieszkają?

— Na zagubionej wśród wód wyspie File. Miejsce jest odizolowane i nikt go nie odwiedza.

— To świątynia?

— Owszem.

— Dlaczego nie kazałeś jej zamknąć? Przecież nawet jej istnienie jest bezprawne.

— Jestem tego świadom, ale waham się przed użyciem siły. File nie przeszkadza ludności. Tych pięćdziesięciu pogan żyjących na wyspie, daleko od ludzi, jest skazanych na zagładę. Większość z nich to niegroźni

starcy. Ich dzieci nawróciły się już dawno, a niektórzy służą w wojsku. Czy mam ich wysłać przeciw własnym rodzicom?

Maksymian nalał sobie czerwonego wina.

— Nie jestem zwolennikiem siły... Chrześcijaństwo przyniosło za wiele śmierci, a były jeszcze cierpienia dawnych prześladowań. Ale ta sytuacja jest nie do przyjęcia. Czy nie można tych ludzi wyrzucić i darować im życie?

— Zrozum ich. To marzyciele, żyjący przeszłością.

Wielu z nich urodziło się na wyspie, żyło tam i chce na wyspie

umrzeć. Niebawem świątynia i tak znajdzie się we władaniu Kościoła. To litość kazała mi się tak zachować.

Maksymian uznał stanowisko biskupa za dziwne. Przecież miał reputację człowieka nieprzejednanego. Nie posługiwał się wykrętami i dokładnie stosował do litery prawa. Czyżby ukrywał jakieś fakty o zasadniczym znaczeniu?

— File jest zatem jedyną czynną pogańską świątynią?

— To przesadne określenie. Pogańską świątynią w letargu, oto właściwe słowa.

— Czy można się dostać na wyspę?

— Statkiem, owszem. Ale...

— Czyżby to już nie było terytorium cesarstwa?

Teodor nie odpowiedział.

— Udam się na File — powiedział Maksymian. — A teraz
niech Wasza Wielbność raczy pokazać mi swoje biuro.

Sabni podtrzymywał kapłana-seniora, który rozkoszował się codziennym spacerem pod krytym portykiem, biegnącym między nabrzeżem a pierwszym słupem. Świeże powietrze dziedzińca, miejsca, gdzie medytowało tylu mędrców, skłaniało do zatrzymywania się przy rytualnych tekstach i wyobrażeniach bogów, które zdobiły kolumny i ściany. Oto faraon pogrążony w rozmowie z pełnymi gracji młodymi kobietami, których harmonijne ciała wyrażały ziemską miłość do niebiańskich mocy. Starzec tryskał radością, chociaż poruszał się z trudem.

— Jedna chwila służby Bogu kryje w sobie więcej bogactw niż całe istnienie bogatego człowieka. Cenniejszy jeden dzień spędzony na składaniu ofiar niż wszystkie skarby świata.

Tak mówił mi mój ojciec, który powtarzał to za swoim ojcem. Czy ty, Sabni, przekażesz te słowa?

— Niech bogini da mi na to siły.

Senior zatrzymał się i popatrzył w niebo.

— Dzisiaj nastąpi wydarzenie, które zadecyduje o przyszłości naszej wspólnoty. Obserwuj słońce... to ono przemówi.

- Nowe siły wstąpiły w nogi starca, który przeszedł znacznie większy kawałek drogi niż zazwyczaj. Sabni, sam niespokojny, nie ważył się stawiać mu pytań. On także przeczuwał, że najbliższych godzin nie będzie można

porównać z żadnymi innymi.

Obaj mężczyźni skierowali się na południowo-zachodni kraniec wyspy, gdzie nad wodą wznosił się kiosk Nekta-nebo I. Niegdyś przybijały tu łodzie, przywożąc tych, którzy przez tydzień pracowali w świątyni, zanim powrócili do zewnętrznego świata. Trybunie należącej niegdyś do kolegium muzykantek, których melodie witały nowo przybyłych, groziła ruina. Obydwa obeliski wznoszące się przed południową fasadą pawilonu chwiały się u podstawy.

Kapłan zasiadł na najwyższym stopniu schodów schodzących do wody naprzeciw wyspy Biga, świętego terytorium, na którym spoczywał Ozyrys. Żaden profan nie miał tam prawa wstępu. Po dłuższym odpoczynku starzec zażyczył sobie, by jeszcze raz przemierzyli portyk; zatrzymywał się przy każdym z szerokich prześwitów, przez które można było dojrzeć wodę i skały. Na jego twarzy malowało się wielkie rozczarowanie.

— Mój wzrok psuje się, uszy stały się głuche, siła odchodzi, usta nie mogą już mówić, bolą mnie kości, a moja myśl jest chwiejna. Czy potrafię jeszcze odczytać przepowiednię? Pozostała mi już tylko radość z mojej córki. Czy wiesz, że Izis przynależy do największego z rodów, że pochodzi od Kleopatry, ostatniej z wielkich królowych... która marzyła o odbudowaniu imperium faraonów?

Senior pogrążył się w rozpamiętywaniu wspomnień, w których cały czas powracało imię jego córki. Zdania stały się niezrozumiałe. Słowa i rojenia zderzały się ze sobą.

Rozbijał przeszłość w wirze umierającej nadziei.

Nagle powstał gwałtownie, patrząc nieruchomo przed siebie.

— Patrz! Patrz na słońce!

Zza oślepiającego kręgu światła wyleciał raptem trójkątny klucz dzikich kaczek. Prowadzący ptak zanurkował w kierunku kiosku Nektanebo; inne swobodnie ześlizgnęły się za nim. Sabni nie krył się już za kolumnami, wyszedł, by móc lepiej obserwować wspaniały balet. Zielone kaczki zmieniły kierunek lotu i zaczęły kręcić się nad jego głową.

— Przepowiednia! — krzyknął kapłan-senior.

Ptaki powróciły do trójkątnego szyku i wzbiły się w niebo.

Starzec osunął się w ramiona młodego człowieka.

— To znak, na który czekałem... To ty będziesz przełożonym wspólnoty.

Ceremonia intronizacji Sabniego rozpoczęła się w samo południe. Zahukała sowa. Ten nowy znak potwierdził decyzję kapłana-seniora. Wcześniej zwrócił się do Isis, która zgodziła się z jego zdaniem.

Wspólnota upajała się swą nową młodością z egzaltacją, do jakiej wcześniej nie czuła się zdolna. Narodziny nowego

przełożonego, który wraz z Izis miał stanowić symboliczną parę rządzącą wyspą, gwarantowały przetrwanie kultu.

Oczyszczono sale świątyni i usunięto chwasty; nawet chorzy i starzy nie szczędzili sił. Jeśli niektóre z lnianych sukni były podniszczone lub dziurawe, po wielokrotnym praniu lśniły teraz czystością. Nie było takiego rytualnego przedmiotu, który by nie został odkurzony, takiego posągu, który by nie odzyskał dawnego blasku. Świątynia gotowa była na przyjęcie swego nowego pana.

Sabni spędził noc na medytacji. Nie rozumiał, dlaczego kapłan-senior dokonał takiego wyboru ani dlaczego Izis się nań zgodziła. Czy przełożony nie powinien być człowiekiem dojrzałym, spokojnym, wyzutym z namiętności, zważającym na słowa pochodzące od Boga, oderwanym od siebie samego? Sabni wiedział, że jest niewolnikiem własnej młodości. Kierowanie wspólnotą, której członkowie są od niego starsi i bardziej doświadczeni, wydawało mu się niemożliwe. Dlatego spędził godziny oddzielające go od ceremonii wstąpienia do świątyni w wielkim niepokoju. Dwóch starszych wyciągnęło go z celi, w której został zamknięty. Poprowadzili go na północny kraniec krytej galerii. Stał między dwoma obeliskami, twarzą do pierwszego pylonu, którego dwie wieże osiągały wysokość około dwudziestu metrów. Do zamkniętych podwoi prowadziły

stopnie. Brama otwarła się powoli, kiedy kapłanka prowadząca ceremonię silnym głosem zapowiedziała nadejście uznanego przez wspólnotę przełożonego. Przed wyruszeniem na drogę transformacji Sabni popatrzył na dumne oblicze faraona: poruszając białą maczugą, władca rozłupywał czaszki widocznych i niewidzialnych wrogów, przywracając ład w chaosie i rozświetlając siły ciemności. Od tej chwili świat poza świątynią przestał istnieć. Zniknęło chrześcijaństwo, bizantyjski najeźdźca, okupacyjne wojska. Pozostała tylko święta wyspa, osłonięta od nieszczęść i zniszczenia. Brzuchate postaci o zwisających piersiach na cokółkach kolumn symbolizowały zapładniający Nil, a urodziwe młode kobiety — prowincje obfitujące w najlepsze pożywienie, przeznaczone dla bóstw.

Na polecenie kapłanki prowadzącej obrzęd Sabni zatrzymał się na progu pylonu, między dwoma szerokimi wieżami z wyobrażeniami bogiń karmiących nowe słońce. Nieznany strumień energii przeniknął ciało kandydata. Ściany zajaśniały dobroczynnym światłem.

Do Sabniego podszedł teraz człowiek z głową szakala, kapłan w masce Anubisa otwierającego drogę, i podprowadził adepta do drugiego pylonu. Oś świątyni załamywała się. Monumentalne drzwi przesunęły się, dając początek spirali, Macierzy świątyni, dążącej do nieśmiertelnych gwiazd na

północnym krańcu świata.

Sabni przeszedł przez dziedziniec okolony od zachodu podcieniami domu narodzin. Z wierzchołka kapiteli uśmiechała się Hathor. Rzeźbiarz nadał każdej z twarzy bogini inny wyraz: muzyka żywych kamieni rozbrzmiewała szczęściem, radością, rozkoszą i czułością. Na fasadzie drugiego pylonu znowu pojawiał się faraon — tutaj na zawsze zwyciężał moce ciemności. Kapłan w masce szakala ustąpił miejsca kapłanowi w masce sokoła. Teraz krokami Sabniego kierował Horus.

Kiedy otwarły się drzwi za kamieniem w kształcie steli, na której Ptolemeusz VI wyliczał dary dla świątyni, przyszły przełożony ujrzał salę z dziesięcioma kolumnami. Na szczycie kapiteli rozkwitała zieleń, błękitne łodygi roślin łączyły posrebrzaną podłogę z sufitem, po którym latały sokoły, rozpościerając skrzydła. Wielobarwne sznury zaciskały się na bukietach kwiatów i wiązках czerwonych i żółtych papirusów, nadając rytm scenom ofiarowania. Kolumny, jakby pęczniejące od soków, były pokryte złotymi liśćmi. Tu ożywał rytuał celebrowany przez hieroglify, które emanowały energią pierwszych wieków, energią „czasu Boga”, o którym wspominały annały świątyni.

Sabni zobaczył kapłana-seniora. Stał wyprostowany, bez laski. Wręczył młodemu człowiekowi opaskę na biodra,

podobną do tej, którą nosili królowie Egiptu, kiedy dokonywali obrządków w miejscach świętych.

— Zrzuc Inianą szatę. Twoją funkcję będzie znamionować ten ubiór.

Horus i Anubis stanęli z obu stron Sabniego, oczyścili jego nagie ciało, polewając je świeżą wodą. Kapłan-senior okręcił wielki Iniany zwój wokół bioder przełożonego w taki sposób, że koniec szala utworzył coś w rodzaju języczka, pozwalającego zaciskać i rozluźniać okrycie. Materiał przechodził między nogami i trzy razy owijał biodra. Całość zaciskał skórzany pas. Ręce starca nie drgnęły ani na chwilę.

Tak odchodziła młodość Sabniego. Ta zwykła przepaska wprowadzała go w nieprzerwany łańcuch przełożonych wspólnoty.

— Będziesz poskramiał niewiernych. Ich rasa zostanie poniżona, dzieci zginą, a kobiety będą bezpłodne. Staną na nowo posągi bogów. Kraj dzięki władcy zrodzonemu ze słońca będzie znów przepelniony radością. Doczekamy końca naszych nieszczęść; nasza ziemia karmicielka będzie dawała życie tym, którzy kochają życie. Zmarli powstaną, by dzielić się z nami odnalezionym szczęściem. Idź, Sabni!

Dokonaj dla nas przeznaczenia.

Kapłan-senior odsunął podwójne rygle, które broniły dostępu do czcigodnego Przybytku. Tajemnicze miejsce, w

którym koncentrowała się boska potęga, było pogrążone w ciemności. Gubiły się tu słabe promienie światła dochodzące z maleńkich lukarn.

Tot z głową ibisa i Sechmet, władczyni Domu Życia, której ciało przyobleczone było w skórę pantery, wzięli przełożonego za ręce. Ruszyli teraz obejściem, z którego wiodły drzwi do sali tkanin, sali skarbu, sali oczyszczenia, sali ofiar i stanęli naprzeciw Najświętszego ze Świętych.

Dostępu do tych drzwi broniły dwa zamki.

— Wysokość świątyni odpowiada wiedzy — oznajmił

Tot — jej szerokość odpowiada prawu liczby, proporcje zaś oddają harmonię niebios. Stań się kamieniem węgielnym budowli, przeniknij tajemnicę.

Bóstwa zniknęły, cisza ogarnęła świątynię. Sabni otworzył rygle, położył je na ziemi i popchnął ostatnie drzwi.

Poraziło go światło: granit świecił srebrnym blaskiem, z którym mieszało się złoto naosu. U szczytu monolitu wyprężone kobry pluły ogniem, który miał odstraszać; u jego podstawy faraon podtrzymywał niebo.

Kiedy światło przestało go oślepić, zobaczył ją. Była odziana w obcisłą białą tunikę. Jej szyję zdobiła szeroka złota kolia, a głowę diadem z lapis-lazuli. Isis stała w narożniku naosu. Palcem wypchnęła złotą łodyżkę, która zamy-

kała skrzynię, gdzie czuwał posąg bogini z wiecznie otwartymi oczami.

— Jam jest Izyda, matka Boga, królowa niebios, władczyni ziemi świętej. Powołałam życie do istnienia według życzenia mego serca, stworzyłam bóstwa, pokazałam drogę do gwiazd, uregulowałam bieg słońca i księżyca, dokonałam inicjacji ludzi, by poznali tajemnice, założyłam świątynie, przegnałam demony, obaliłam prawa tyranów, uporządkowałam to, czego nie zmieni żadne szaleństwo. To moja miłość sprawia, że rozkwita ziemia, wiatr dmie łagodnie, upał nie jest dokuczliwy, a Nil niesie bogactwo. Rozdaję złoto nieba i dobry los tym, którzy mnie czczą. Sabni, ty, który jesteś przełożonym wspólnoty File, przechowuj to bogactwo.

Położyła swą dłoń w dłoni Sabniego i wyprowadziła go z sanktuarium. Młody człowiek drżał od stóp do głów. Jego istnienie nie będzie już należało do niego. Będzie żył u boku tej nierealnej niemal kobiety, która obdarzyła go swym zaufaniem.

Wspólnota zebrała się pod drugim pylonem. Z chwilą kiedy pojawiła się para kapłańska, wyznawcy jednogłośnie uznali prawowitość ich władzy. Sabni rozwinął papirus Reguły przeznaczonej dla wszystkich: biednych i bogatych, szlachetnie urodzonych i wieśniaków.

— Wy, którzy spełniacie obrządki i chronicie tę świątynię — przeczytał Sabni — nie pozwólcie żadnemu profanowi przekroczyć jej progu. Niech nie wejdzie do niej nikt, jeśli nie jest prawy. Złóżmy ofiary bogom, aby ta ziemia zaznała pokoju i szczęścia po wsze czasy. Wy, którzy kroczyście drogą światła i czuwacie nad siedzibą Zasady, idźcie w spełnieniu i szczęściu! Życie jest w ręku Boga, a szczęście w jego pięści. Zobowiązuję się przegnać gadatliwych i gwałtownych, gdyż naszym niebem jest harmonia wspólnoty. Braterska miłość jest jedynym trwałym pomnikiem. Idźmy bez obaw ku próbom; jeśli będą zbyt ciężkie, powiększymy codzienną ofiarę. Kapłan-senior ucałował Sabniego.

— Ty, który jesteś naszym przywódcą, szukaj wszelkich okazji, by działać sprawiedliwie, tak aby twoje zachowanie było bez zarzutu. Reguła jest wielka i potężna. Nic jej nie zakłóciło od czasów Ozyrysa. Nadejdzie koniec, a Reguła będzie trwała wiecznie.

Sabni wyciągnął się na letniej posadzce nieopodal zbiornika ze świeżą wodą, któremu cienia używały tamaryszki. Od chwili gdy objął rządy i zapoznał się z zamkniętą świątynią, w której miał od tej pory praktykować kult w towarzystwie Izis, nowy przełożony File odczuwał wielkie zmęczenie. Kapłan-senior mylił się: on, Sabni nie jest godny kierować wspólnotą. Zacisnął przepaskę wokół bioder, tak jakby gest ten dodawał pewności, której nie posiadał. Jego poprzednicy pewnie czuli zachwyty podczas ceremonii, a nie ten miazdzący ciężar, który przygwaźdżał go do ziemi.

Po jego piersi spłynął ciepły i pachnący płyn. Sabni otworzył oczy i zobaczył Izis: trzymała w ręce zabarwiony na żółto flakon z długą ciemnozieloną szyjką. Lała się z niego bursztynowa strużka płynu pachnącego jaśminem. Młody człowiek poddał się jego działaniu. Wkrótce rozluźniły się jego mięśnie i odeszło uczucie zmęczenia.

— To ostatni środek, jaki nasz brat perfumiarz wypróbował tuż przed śmiercią. Recepturę zabrał ze sobą do krainy wiecznego milczenia.

Sabni pragnął, by dobroczynny strumień nigdy się nie wyczerpał. Skóra łapczywie chłoneła płyn, próbując zatrzymać falę, która napelniała wonnością całe ciało.

Zapadał zmierzch. Sabni nie spuszczał Izis z oczu. Jej

twarz zaczynała rozmywać się w łagodnym cieniu śmierci dnia. Już dawno odłożyła flakon i zatyczkę w kształcie palmy.

— Wracajmy — rzekła. — Muszę pokazać ci tekst fundacyjny świątyni.

Zasiedli w małym pomieszczeniu, które znajdowało się za wschodnim nabrzeżem pierwszego pylonu, obok biblioteki.

Tutaj przechowywano archiwalia składające się ze zwojów papirusów i rulonów skór pokrytych hieroglifami. Izis napełniła sezamowym olejem lampkę z terakoty, sprawdziła, czy jej otwór wywietrzny nie jest zatkany, i podciągnęła knot utkany z lnu. Zapaliła go. Sabni podniósł lampkę za ucho i oświetlił pożółkły papirus, który przełożona wyciągnęła z długiej skrzyni, spoczywającej na czterech lwich łapach.

Rozwinęła go ostrożnie.

— Oto akt narodzin File, podpisany przez Imhotepa.

— Twórcę piramidy schodkowej?

Izis przytaknęła.

Sabni z niedowierzaniem przeczytał krótki dokument napisany wprawną ręką skryby z okresu Starego Państwa, złotego wieku cywilizacji egipskiej. Oznajmiał, że wyspa, na której połączyła się pierwsza królewska para, jest święta.

Ozyrys i Izyda objawili mieszkańcom brzegów Nilu reguły architektury, muzyki i rolnictwa. Imhotep, mędrzec wśród

mędrców, prosił swych następców, by upiększali File, celeb-
rując kult wielkiej bogini aż po kres wieków.

Sabni ucałował papirus.

— Teraz jesteś przełożonym tej wspólnoty. Obyś nie
zdradził zaleceń twórcy tego dzieła.

Izis schowała skarb do swej szkatułki. Gdy wychodzili z
sali archiwów, spojrzenie Sabniego zatrzymało się na
skalnym rzeźbionym bloku wkomponowanym w podstawę
muru. Widniała na nim groteskowa i niepokojąca zarazem
figura: małpia głowa odziana w czapkę w paski, oczy w
kształcie migdałów, gruby nos, otwarte usta z trójkątnymi
spiczastymi zębami, owłosiona broda, muskularny tors,
olbrzymi członek i jądra.

— Co to za potwór?

— To członek plemienia Blemiów.

— Istota wymyślona?

— Należy do murzyńskiego plemienia zamieszkującego
niedostępne tereny dalekiego Południa, za czwartą
kataraktą. Blemio wie nienawidzą chrześcijan. Czczą
boga Man-dulisa, który gości w jednej z kapliczek
naszej świątyni. Jego ulubioną ofiarą jest wino z Nubii
o smaku świeżych owoców, które Blemio wie
przywozili tutaj w wielkich bukłakach. Jeszcze zanim
myśmy się urodzili, roznosili w puch rzymskie

garnizony, by czcić tutaj Mandulisa za zgodą mojego ojca. Są także silnie przywiązani do świętej wyspy Biga, na której spoczywa Ozyrys. Przy jego boku czuwa ich niebiański pan, którego uważają za władcę tajemnego sanktuarium, za żywą duszę i odważnego lwa odpierającego ataki niewiernych. Budowa fortyfikacji na granicy zniweczyła ich plany uwolnienia prowincji.

— Czy naprawdę są tacy brzydcy?

— Tę karykaturę wyrył jeden z naszych rzeźbiarzy, którego zranił blemijski łucznik. W gorączce walki przestali rozróżniać nieprzyjaciół i sprzymierzeńców.

Być może ich rasa wygasła.

— Jesteś tego pewna?

— Przestań marzyć, Sabni. Musimy liczyć na siebie i tylko na siebie.

Przełożony przyklęknął na jedno kolano, by lepiej przyjrzeć się podobieżnie barbarzyńcy, symbolu nadziei.

— Gdzieś za czwartą kataraktą...

— Nie znamy dróg. Jako przełożony masz bronić świętego ciała wspólnoty. Nie wolno ci opuszczać File i ryzykować życia. Odrzuć ten bezsensowny projekt.

Żaden z braci nie był dość młody, by przebiegać afrykańskie ścieżki i przebyć cztery katarakty. Sabni z rozczarowa-

niem powrócił na drogę rozsądku. Blemijski sprzymierzeniec

oddalał się równie szybko, jak się pojawił.

— Powinieneś już spać. O świcie poprowadzisz swój pierwszy obrządek.

— Chciałbym... Położyła mu dłoń na ustach.

— Teraz jest czas ciszy.

Izis oddaliła się w noc, biała zjawa, której świetlisty ślad zawisł na chwilę w ciemności. Sabni chciał ją zatrzymać, powierzyć jej swój niepokój, wyjawić potrzebę jej obecności.

Ale odmówiła, chowając się za wyniosłym murem milczenia, niedostępnym jak forteca. On przełożony, ona przełożona...

Obcy sobie więźniowie swoich funkcji.

Tak naprawdę funkcji złudnych! Czyż biskup nie mógł ich zniszczyć jednym pociągnięciem swego pióra? Jak długo jeszcze Izis będzie udawać, że wierzy w przetrwanie File?

Sabni nienawidził siebie w tej chwili. Te podłe myśli ściągają nań tylko pogardę tej, którą tak źle kochał: do niepokoju człowieka słabej woli dodawał jeszcze brak odwagi. On przełożonym... Cóż za kłamstwo! A przecież zobowiązał się wobec Imhotepa. Ta przysięga wiązała go, zmuszała do zadania ponad jego siły, zadania, którego nie złamie niczyja wola. Sabniemu nie wolno już było żyć według własnej woli, poddawać się impulsom. Czy nie mając

wyboru, zazna spokoju? Spokoju tych, którym objawia się światło dlatego, iż niczego nie oczekują od siebie?

Krzyk rozdarł ciszę na wyspie. Dobiegał z zachodniego brzegu, od portyku Hadriana. W tym miejscu nie było obronnego muru. Sabni przyspieszył kroku. Usłyszał wołanie o pomoc.

Księżyc oświetlał okropną scenę: włochata i brodata istota okładała pięściami tkaczkę należącą do wspólnoty. Kobieta przestała już jęczeć, twarz miała zalaną krwią. Napastnik ciągnął ją za włosy, lecz Sabni zmusił go, by puścił ofiarę. Szalenciec śmierdział; robaki biegały po jego pożółkłym ciele pokrytym czerwonymi strupami. Sabni rozpoznał jednego z mnichów, którzy zamieszkali w egipskich grobach. Wcześniej sprofanowali malowidła religijne i podpalili kapliczki. Nadbiegli liczni członkowie wspólnoty, z pochodniami w rękach. Bezzębny mnich próbował ugryźć Sabniego, ten jednak odepchnął go z łatwością.

— Zabijmy go! — zażądała jakaś siostra.

Napastnik zjawił się na File sam. Teraz zbiegał po skalnym zboczku aż do tratwy skleconej z palmowych gałęzi i patyków.

— Pomrzecie! — wołał. — Pomrzecie wszyscy!

O świcie Izis i Sabni przekroczyli próg zamkniętej świątyni, by obudzić wielką boginię rezydującą w samym sercu czcigodnego Przybytku. Przełożony wznosił ręce na znak adoracji; Izis stała za nim, magnetyzując jego kark.

— Witaj, skrzydlata tarczo — powiedział przełożony. —

Wynurzasz się z oceanu początku dziejów, stwórco bogów i ojca wszystkich ludzi, jedyna istota, której kształt pozostaje

nieznany, rzeźbiarzu, którego nikt nie wyrzeźbił. Przebiegasz wieczność i wywołujesz radość całego stworzenia. Dla ciebie każdy dzień jest tylko chwilą.

Wyciągnął rygiel, w ten sposób usuwając palec Seta, pana burzy i mocy, którą należało okiełznać, dokonując rytuału.

Uleczył oko Horusa, otwierając drzwi ciemnego pomieszczenia, z którego emanowało światło bogini.

— Widzę twą tajemnicę — oświadczyła przełożona — łączę dla ciebie niebo i ziemię.

Ani Izis, ani Sabni nie mogli przestać myśleć o ciężko rannej siostrze tkaczce. Przełożony nie zgodził się, by wspólnota zlinczowała mnicha; umknął, rzucając przekleństwa.

Sabni ofiarował bogini skromny okrągły chleb. Już dawno zapomniano o ołtarzach pokrytych wiktuałami, minął czas procesji niosących świeże mięso, pachnące warzywa o ży-

wych barwach, dzbany wina. Niedysiejszy przepych
ustąpił miejsca czytaniu tekstów napisanych na murach.

Ucieleś-

nając się w słowie, hieroglify zamieniały się w tłuste woły,
dymy kadzideł, złote i srebrne klejnoty, drogocenne szaty i
rzadkie pomady.

Izis wyjęła posążek z naosu i postawiła go w świetle
lampki. Moc przebyła ciemne podziemne przestrzenie, ra-
terializowała się w kamiennym cieple, w którym koncentro-
wała się niezbędna świątyni energia. Teraz udzieli się płasko-
rzeźbom, znakom wyrytym w kamieniu i tchnie w nie czyste
życie.

Przełożona wyperfumowała podobiznę Izydy nakarmioną
subtelnością rzeczywistości ofiary i zamknęła drzwi naosu.

Izis i Sabni opuścili czcigodny Przybytek, cofając się.

Pokłonili się boskiej obecności, potem sobie nawzajem.

Przełożony wykonał właśnie gesty liczące sobie tysiące lat,
nauczone przez pierwszych faraonów, powtarzane każdego
poranka. Chwycił dłoń młodej kobiety, pragnąc podzielić się
z nią wzruszeniem swego pierwszego obrządku. Ich palce
splotły się, zrazu z wahaniem. Sabni chciał przemówić, lecz
Izis nakazała mu milczenie. Złączeni przeszli przez salę z
kolorowymi kolumnami i przekroczyli drzwi drugiego
pylonu. Ostre słońce wtargnęło na wewnętrzny dziedziniec,

który zamykał pierwszy pylon. Izis wysunęła dłoń z uścisku.

— Pierwsza kolumna po prawej jest zniszczona. Powinieneś ją odrestaurować.

Sabni przystał na to z entuzjazmem. Wielokrotnie miał już okazję objawić swój talent rysownika i malarza.

— Zgromadzę siostry przy świątyni Nektanebo — powiedziała. — Musimy przyjrzeć się tekstom dotyczącym powrotu dalekiej bogini; już za długo nie zajmowaliśmy się tym mitem.

Otoczona przez kobiety, które poświęciły swe życie świątyni, Izis kierowała pracą. Lektorka przeczytała kilka zdań opowieści, każda z sióstr podała swą interpretację, a przełożona poprawiała je i naprowadzała. Na krótko przed południowym posiłkiem uświadomiła sobie, że żadna nowicjuszka nie zasiłła szeregów żeńskiego zgromadzenia — biskup zakazał młodym dziewczynom opuszczać rodziny i ubiegać się o okres próbny w świątyni. Najmłodsza z sióstr przekroczyła już pięćdziesiątkę. Męskie zgromadzenie też nie było w lepszej sytuacji i podlegało temu samemu kościelnemu zakazowi. File skazana by była na wymarcie z braku nowych adeptów. Tylko jedna kobieta mogła urodzić dziecko: Izis. Ale jej funkcja sprzeciwiała się temu; jej rodziną i dziećmi była wspólnota.

Jedna z sióstr wstała, wskazując palcem na błękitną

wodę.

— Tam! Łódź!

Przerażona chwyciła ramię Izis, która odsunęła ją łagodnie.

— Wracajcie wszystkie do waszych izb.

— A ty...

Uśmiech Izis zastępował rozkazy; siostry rozpierzchnęły się.

Najzwyklejsze pomagały kalekim. Przełożona podeszła do skraju nabrzeża.

Na barce z białym żaglem, już prawie dobiegającej do brzegu wyspy, siedziało około dwudziestu żołnierzy. Na dziobie stał prefekt Maksymian odziany w czerwoną tunikę przetykaną złotymi nićmi, z oczami utkwionymi w File.

Jego spojrzenie napotkało spojrzenie Izis. Żadne z nich nie pokazało słabości. Kiedy barka przybiła do nabrzeża, żołnierz rzucił linę, którą młoda kobieta pochwyciła pewną ręką.

— Ta wyspa jest świętym obszarem. Żaden profan nie może stąpać po tej ziemi bez mojej zgody.

Maksymian spróbował zejść z pokładu. Izis zastąpiła mu drogę. Na pełnej uroku twarzy przełożonej — na przekór łagodnym rysom — malowała się nieugięta wola.

— File przynależy do terytoriów Cesarstwa. Jestem prefekt Maksymian, wysłał mnie tutaj cesarz.

— Jeśli pragniesz złożyć hołd wielkiej bogini, przyjmie cię. Pójdiesz sam i bez broni.

Żołnierze w bezruchu czekali na rozkazy. Uderzyć kobietę... Czy ten na pewno nie dodałby chwały wysokiemu rangą dygnitarzowi.

— Zgadzam się.

Izis owinęła linę wokół słupka cumowniczego i pomogła prefektowi przekroczyć poręcz. Dotknięcie ramienia, którego skóra była delikatna jak bisior, poruszyło go.

— Witaj na File. Tutaj zaznasz spokoju serca. Nie podnoś głosu, bogini lubi spokój.

Izis sama wyjęła miecz z pochwy i położyła go na ziemi.

Prefekt nie zareagował, urzeczony widokiem wielkiej kolumnady, która wznosiła się nad wodą i prowadziła do pierwszego pylonu. Spokój i szlachetność miejsca oczarowały go — poczuł pulsację żywej istoty ukrytej w kamieniu. Kiedy zobaczył rytualne sceny przedzielone oknami wychodzącymi na wodę i skały, wzruszyła go przebrzmiała wielkość tych figur przedstawiających potęgę suwerenów panujących nad największym imperium na świecie. Przez chwilę uwierzył, że faraon wyjdzie z tych murów, by na nowo zdobyć utracone szczęście. Dotknął jednej z rzeźb. Piaskowiec pulsował. Prefekt stał się współnikiem króla, którego unieśmiertelnił rzeźbiarz. Jak by mu służył, jak zarządzałby prowincjami obfitującymi w

bogactwo? Odrzucana od wielu lat prawda pojawiła się z gwałtownością burzy: żył w marnej epoce pozbawionej geniuszu; wielkość, o której zawsze marzył, znalazła wyraz właśnie tutaj, na tej uwięzionej wyspie.

— Czy pozwolisz mi zwiedzić wnętrza?

Izis otworzyła drzwi pierwszego pylonu. Na wewnętrznym dziedzińcu zebrali się wszyscy bracia i siostry. Maksymian przyglądał się tym kobietom i mężczyznom z innej epoki, wrogo nastawionym do ekspansji wiary chrześcijańskiej. Dlaczego nie uciekali, dlaczego nie powracali do swych rodzin, dlaczego się nie nawracali? Miał ochotę wykrzyknąć im prawdę o rzeczywistości bezlitosnego, wypełnionego nietolerancją świata, lecz żadne słowo nie spłynęło na jego wargi. Godność tych pogodzonych z losem ofiar, ich spokój i powaga zdezorientowały go. Stworzyli świat funkcjonujący autonomicznie, poza czasem, który odrzucili. A jeśli mieli rację, jeśli istnienie świątyni okaże się ważniejsze niż istnienie Cesarstwa?

Prefekt poczuł zawrót głowy. Wszedł na schody prowadzące do uchylonych drzwi drugiego pylonu i oparł się o słup. Cierpki pot pokrył mgłą jego oczy.

— Ta świątynia musi zniknąć. Narusza prawo.

Stojąca pośrodku dziedzińca Izis uśmiechnęła się tylko.

Potęga, w którą zdawał się wierzyć Maksymian, legła u jej

stóp.

Prefekt czuł się pozbawiony sił, wyzuty z wszelkiej agresji, niemal posłuszny. Magia File, czary wielkiej bogini... tylko szaleńcy byliby skłonni uwierzyć w te przesady. A jednak chylił czoła przed kobietą, którą mógł zgładzić jednym uderzeniem ręki.

Chcąc umknąć jej władzy, przekroczył próg krytej świątyni. Przed jedną z kolumn klęczał młody człowiek o szerokim czole i przydawał barw spłowiałym wzorom. Na palcu z małymi zagłębieniami zmieszał kredę i gips w taki sposób, że uzyskał błyszczącą biel; zmiądzony lazuryt dostarczał trwałego błękitu. Mistrz, poprawiwszy kołeczki o złożonych główkach, które podtrzymywały płytkę złota pokrytą hieroglifami, odnawiał teraz koronę bogini.

Maksymian zrobił kilka kroków w głąb sali z malowanymi kolumnami, zachwycony mnogością kolorów ożywiających się nawzajem: nie było kawałka ściany, skrawka kamienia, które byłyby pozbawione scen ofiarnych, postaci bogów czy opiekuńczych duchów. Świątynia mówiła i nauczwała. Złocena paleta malarza ożywiła każdy, nawet najmniejszy szczegół — żaden grecki, rzymski czy bizantyjski artysta nie osiągnął takiego mistrzostwa.

— Musisz opuścić to miejsce — powiedział Sabni, podnosząc się. — Nie jest dostępne dla profanów.

Maksymian powinien być ukarać zuchwalca. Posłuchał go

jednak. W powrotnej drodze stanął naprzeciw Izis i długo na nią patrzył.

Kiedy powrócił na statek, żołnierzom wydał się jakiś

dziwny. Błady, drżący, wymamrotał rozkaz powrotu do

Elefantyny. Nie doszło do zajęcia File.

Teodor wstał przed świtem i raz jeszcze przeczytał raport jednego z żołnierzy orszaku prefekta, który miał śledzić jego słowa i ruchy. Wyglądało na to, że Maksymian stracił głowę. Kiedy powrócił z File, zamknął się w pokoju swego obszernego, przynależnego mu z racji funkcji domu. Jego przyboczny oddział, nie wiedząc, co robić, powrócił do koszar. Po mieście krążyły słuchy, że prefekt oszalał na skutek czarów wyznawców Izydy i szykuje się do wojny z chrześcijanami. Wszyscy pamiętali jeszcze fale prześladowań, które zdziesiątkowały całe wioski. Niebawem pustelnicy wyruszą w teren zbierać wiernych; utworzą zbrojną w widły, łopaty i motyki milicję, która będzie zwalczać oddziały biskupa. Wojna domowa między chrześcijanami...

Teodor obawiał się przyjazdu tego prefekta, nieświadomego rzeczywistości Południa, ale nie przypuszczał, iż jego zachowanie pociągnie za sobą tak katastrofalne skutki, i to w tak krótkim czasie. Jakież zwycięstwo dla File! Przez Maksymiana wyspa wyłaniała się z ciszy, w której biskupowi udało się ją zamknąć. Znowu jawiła się jako niebezpieczeństwo, które należało jak najszybciej zlikwidować. W jaki sposób pohamować nienawiść swoich współwyznawców i uratować Sabniego?

Teodor odłożył wszystkie sprawy i niezwłocznie udał się

do prefekta. Spoglądając na srebrne o świcie fale Nilu i skaliste pomarańczowoczerwone nabrzeża wylaniające się z nocy, pojął, do jakiego stopnia czcił tę ziemię. Żaden wyznawca Izydy nie odczuwał tego piękna z takim żarem jak on, sługa Boga wcielonego zarazem w samotność pustyni i obfitość roślinności. Kształtował piekło i raj w tym samym pejzażu, kreślił wszystkie drogi, drogi nadziei i żalu za grzechy. File, ostatnie miejsce herezji, przeżyje jako dowód zwyciężonego pogaństwa i symbol boskiego miłosierdzia. Wczorajsi niewiedzący zamienią się w wierzących jutra. W chwili kiedy przechodził przez drzwi do ogrodu okalającego willę prefekta, podszedł do niego jeden z kurierów i wręczył mu kawałek pożółkłego pergaminu. Teodor rozpoznał pieczęć świątyni; jakoś materiału oznaczała, że wiadomość jest ważna. Jednak zanim ją odczyta, musi porozmawiać z Maksymianem.

Słudzy twierdzili, że śpi. Ale żaden z nich nie zatrzymał go, kiedy wchodził do jego pokoju. Prefekt leżał na łożu i szeroko otwartymi oczami patrzył w sufit zdobiony roślinnymi motywami. Przez chwilę Teodor pomyślał, że Maksymian nie żyje; oddychał jednak.

— To ty, Eminencjo... Jest już tak późno...

— Raczej wcześniej... Musiałem się z tobą zobaczyć.

— File...

— Tak, File.

— Trzeba uratować świątynię.

—

Czyżby rzeczywiście rzucili na ciebie czar?

Prefekt podniósł się i popatrzył na biskupa rozgorączkowanymi oczami.

— Czy byłeś już zakochany?

— Wolno mi się ożenić, ale mam inne troski. Jakąż miłość można by porównać do miłości bożej?

— Miłość kobiety.

— Izis?

— Nigdy jej nie widziałeś, Eminencjo. Nie pożądałeś jej piersi, ust, jej ciała... Nie odczułeś jej uśmiechu jako wezwania do najwyższej ekstazy, jej obecności jako rozkoszy skąpanej w szczęściu. Nosi to samo imię co bogini. A jeśli...

— Majaczysz.

Maksymian wstał.

— Tym właśnie jest prawdziwa miłość... Szaleństwem, które unosi nas ponad nas samych, ogniem, który nas niszczy, byśmy lepiej mogli się narodzić. Myślałem, że znam kobiety, biskupie. Dziesiątki, setki kobiet w różnym wieku i różnych ras przewinęły się przez moje łóżko... Ale ta! Jestem przy niej jak dziecko. Nie

grzeczny chłopczyk, lecz kapryśny urwis, rozgorzały
namiętnością.

— Podróż cię wyczerpała. O tej porze roku słońce jest
niebezpieczne.

Maksymian zjadł kilka daktyli i nalał sobie kubek mleka.

— Nie myśl, że oszalałem. Pozostaję mężem stanu.

Biskup odetchnął z ulgą. Maksymian nie ulegnie swojej
namiętności.

— Cechą męża stanu jest to, że umie zmienić zdanie w
odpowiedniej chwili. Chciałem zamknąć świątynię

File; nie wiedziałem wtedy o Izis.

— Jak chcesz postąpić?

— Przywróćmy wyspie dawne przywileje.

— Byłby to dramatyczny błąd. Chrześcijanie by tego nie
zniesli.

Prefekt odwrócił się do biskupa.

— To groźba?

— Jeśli chcesz uratować File, zrób tak, by zapomniano o
jej istnieniu.

Maksymian dziwnie się uśmiechnął.

— To będzie trudne.

— Dlaczego?

— Bo Izis zostanie moją żoną. A żona prefekta

otrzymuje to, co jej się podoba! Nigdy nie porzuci swej

świątyni; trzeba będzie ją upiększać i przywrócić jej

dawny splendor.

— Czyżbyś lekceważył rozkazy cesarza?

— To już moja sprawa. Spotkanie skończone.

List ostemplowany pieczęcią świątyni donosił o podniesieniu Sabniego do rangi przełożonego wspólnoty File. Z powodu mianowania i prerogatyw, które z niego wynikały, nowy pan wyspy prosił o audiencję regenta wyspy, biskupa Teodora. Tekst, zredagowany w języku hieroglifów, pismem demotycznym, dumnie ignorował grekę. File rozmawiała z władzą jak z kimś równym sobie, jak gdyby istnienie świątyni było legalne.

Sabni oszalał — tak jak prefekt. Tytuł upajał go, wyrzucał poza nawias epoki, w czas mityczny, który zdawał mu się bardziej konkretny niż teraźniejszy. Teodor nagle wpadł w pułapkę: uratowanie przyjaciela z dzieciństwa nadal było dominującym obowiązkiem, ale mnożyły się trudności i niebezpieczeństwa. Należało najprzód zneutralizować prefekta, później przywołać Sabniego do porządku. Biskup wyraził zgodę na prośbę tego ostatniego, a potem przyjął generała Narsesa, kolosa o kwadratowym obliczu, którego podbródek zdobiła delikatna czarna bródka. Sztynność zawodowego wojskowego uwydatniała się dzięki pewnej okazałości; nie umniejszał jej całkowity brak lewej ręki, obciętej podczas

walki wręcz z pewnym Egipcjaninem, który nie chciał oddać wojsku swojego gospodarstwa. Narses cieszył się doskonałą reputacją. Cesarz cenił jego dyscyplinę i wierność, a żołnierze uwielbiali go. Jego długiej kariery nie zhańbiła żadna porażka: uparty, dokładny, nigdy nie podejmował się zadania, dopóki uważnie nie przeanalizował sytuacji. Niektórzy uważali, że jest ograniczony i pozbawiony inteligencji, ale biskup w tym względzie ufał tylko własnemu osądowi.

Teodor siedział przy swym stole do pracy. Narses stał, lekko przymknąwszy oczy.

— Czy podoba ci się w Elefantynie, generale?

— To bez znaczenia. Wykonuję rozkazy prefekta.

— Wasza obecność tutaj może trwać dłużej niż przewidywano. Mówił ci już o tym?

— Mało rozmawiamy. On rozkazuje, a ja słucham.

— Czy tak będzie również ze mną?

— Ty jesteś odpowiedzialny za stały garnizon. Musimy więc współpracować.

— To właśnie jest moim zamiarem. Usiądź.

— Wolę stać.

— Trochę wina?

— Nigdy nie piję.

Biskup wstał.

— Chodźmy na taras, generale.

Otoczony wysoką balustradą dach biskupstwa górował nad miastem. Narses, stojąc u boku Teodora, spoglądał na Elefantynę, na skupiska białych domów stłoczonych obok siebie, na kępy akacji i gaje palmowe, na wysokie brzegi Nilu, umocnione forty. I chociaż na twarzy generała nie było widać śladu emocji, biskup wyczuł jego wzruszenie. Któż pozostałby obojętny na ten widok? Od tej chwili Narses chciał chronić tę prowincję o barwach wieczności i spędzić tu spokojną starość. On, żołnierz tułacz, wreszcie odkrył spokój.

— Jesteś człowiekiem uczciwym, generale.

— Tak mówią.

— Jak oceniasz postawę prefekta?

— Jest moim przełożonym.

— Jesteś dobrym chrześcijaninem?

Narses drgnął.

— Czyżbyś w to wątpił?

— Zachowanie Maksymiana powinno cię szokować.

— Nie do mnie należy wypowiedanie opinii.

Narses zgodził się przysiąc na kamiennej ławeczce w cienistej altanie pokrytej winną latoroślą.

— Masz za wiele doświadczenia, generale, by nie brać pod uwagę czegoś takiego jak genius loci. Elefantyna jest bardzo przywiązana do swej chrześcijańskiej

wiary.

— A jednak toleruje wspólnotę żydowską i ostatnią pogańską świątynię.

— Nienawidzę fanatyzmu, wierzę w nawracanie serc i nieustannie nad tym pracuję. Ale jestem, tak jak i ty, wiernym poddanym cesarza. Dlaczego nie pozwolić, by te nieszczęścia z przeszłości same zaniknęły? Czas zadziała skuteczniej niż siła. Chyba że będzie się podsycać wygasający ogień. Czy nie mógłbyś ostrzec prefekta?

— Byłby to brak poszanowania hierarchii.

— Czy wiesz, że zakochał się w przełożonej File i chce przywrócić wyspie prawnie zlikwidowane przywileje?

Żołnierz był wstrząśnięty.

— Czy... nie przesadzasz?

— Kłamstwo byłoby grzechem, a ukrywanie tego także.

Jeśli nie będziemy interweniować, namiętności mogą się rozpalić.

Narses zmieszał się; ta dyskusja go niepokoiła. Sofistyka budziła w nim lęk i stronił od dyplomatów. Rewelacje biskupa wykraczały poza zakres jego zadania. Buntowanie się przeciw przełożonemu byłoby aktem najwyższej zdrady, nie chciał też dać się wciągnąć w krwawe konflikty z ludnością.

— Miejmy nadzieję, że Maksymian odzyska nieco rozu-
mu. I ty, i ja ufamy mu. Będę zajmował się nadal File. Za
kilka dni przyjmuję przełożonego wspólnoty. Tylko ciebie
uprzedziłem o tym. Lepiej, by ta wiadomość pozostała
poufna.

Narses nie odrzekł nic. Milczenie czyniło go współnikiem
biskupa.

Zgodnie z żądaniem Sabniego, łódź płynąca z File zatrzymała się w połowie drogi do brzegu. Przełożony przesiadł się do barki zajmowanej przez żołnierzy biskupa; wysadzili go przed wejściem do obróconej w ruinę świątyni Chnuma, największej faraonńskiej budowli Elefantyny. Roztrzaskane pilastry, oderżnięte piłą bębny kolumn, nadproża i fragmenty rzeźb leżały rozrzucone na ziemi jak pocięte kawałki ogromnego ciała. Sanktuarium pana katarakty i dobroczynnej fali powodzi zostało zdewastowane przez Rzymian, a później przez chrześcijan. Według czarowników to miejsce nawiedzały uzbrojone w noże widma. Nikt nie miał prawa wierzyć w te bajki, niemniej ruiny były stale puste. Żaden Egipcjanin nie ośmieliłby się tam zawędrować. A bizantyjscy okupanci nie przejawiali najmniejszego upodobania do smutnej przeszłości. Ani biskup, ani Sabni nie obawiali się wysłanników boga-barana. Pierwszy mógł mu przeciwstawić krzyż Chrystusa, drugi znał formuły, które potrafiłyby go ułagodzić. Przyjaciele mieli absolutną pewność, że nikt nie zakłóci ich spokoju i że znajdą się z dala od niedyskretnych uszu. Usiedli obok siebie, na krawędzi leżącego na boku naosu z różowego granitu.

— A zatem przyjąłeś funkcję przełożonego?

— Kapłan-senior mi ją zaproponował, a Izis go poparła.

— Jak mam walczyć z tym nowym szaleństwem? Już od dwudziestu lat File obchodziła się bez przełożonego!

Można by przysiąc, że chcesz wskrzесиć wspólnotę.

— To mój obowiązek: mam przekazać potomnym wtajemniczenie otrzymane od przodków.

Teodor podniósł kawałek granitu i cisnął go daleko.

— Jesteś podobny do tego kamienia: nie potrafi poruszać się sam i jest niewolnikiem ręki, która go schwytala.

Jesteś śmiesznym przywódcą zgromadzenia starców stojących u wrót śmierci. Gdyby twój dziwaczny list trafił do rąk prefekta, siedziałbyś już w więzieniu.

— Moja godność przełożonego...

— Już nie istnieje, Sabni! Jestem jedynym autorytetem religijnym w tej krainie.

— Rządzisz chrześcijanami. Ja Egipcjanami. Nieważna jest ich liczba. Dzisiaj jesteśmy sobie równi. Dlatego liczę na przychylną odpowiedź na moją prośbę.

Biskup, zawiedziony, że nie może wyrwać Sabniego z jego snu, słuchał go ze zdziwieniem.

— Niektóre części świątyni są w złym stanie. Do pokrycia dachów potrzebuję pni palm, które sami potniemy na deski. Na nowe drzwi niezbędne są akacje i sykomory, a kilka sztuk azjatyckich sosen pozwoli odrestaurować

liturgiczne skrzynie. Potrzebuję też około setki bloków piaskowca, których wymiary ci dostarczę. — Teraz Sabni wziął do ręki kawałek granitu. — Czyż twój kościół nie stoi na skale?

Głęboka zmarszczka pojawiła się na czole biskupa.

— Skąd ta prowokacja?

— To oficjalna prośba.

— Czy chociaż przez sekundę myślałeś, że spełnię twoją prośbę?

— Jeszcze nie straciłem nadziei, że cię przekonam.

— Drewno i kamień to bardzo rzadkie i drogie materiały, zarezerwowane dla wojska i na publiczne budowle.

Muszę się z nich rozliczać wobec prefekta.

— Świątynia przynależy do bogini. Tylko jej będziemy musieli zdać rachunek z naszej bytności na ziemi. Jej siedziba

musi być najpiękniejsza i najbogatsza, żaden materiał nie jest dość wspaniały, by ją uczcić.

— Bóg nie mieszka w świątyni, Sabni. Stał się człowiekiem po to, by człowiek stał się Bogiem: nie ja żyję, ale Chrystus żyje we mnie.

— Cóż za próżność! Oto najwyższa zdrada chrześcijaństwa: uwielbienie jednostki. On nie jest boski, Teodorze. Ani ty, ani ja nie jesteśmy na podobieństwo

Boga. Tylko świątynia wybudowana według Reguły

jest symbolem Zasady.

— Ty zamknąłeś Boga w świątyni. Ja pozwoliłem mu ją opuścić. Ty odosobniłeś go w kręgach wtajemniczeń, ja objawiłem go wszystkim ludziom.

— Nastawiając się na coś najbardziej lichego: na tłum, odrzucając transcendencję i wysiłek, dokonujesz podbojów jak wojskowy dowódca.

— Człowiek musi pokazać swoją słabość, napisał Paweł, aby siła Chrystusa mogła zniżyć się do niego.

— Paweł... To przez niego twoja religia stała się fanatyczna i doktrynerska. Nie ma gorszej rasy niż nawróceni ciemniejący.

— Twoja krytyka jest jałowa. Ten, który został przysłany na świat, był mu całkiem obcy, zanim się narodził: stał się człowiekiem, nie przestając być Bogiem.

Maria wydała go na świat ze swego łona jak z nieba, na sposób boski. Pojawiło się inne światło. Negowanie go jest pozbawione sensu.

— Maria jest córką Izydy. To wielka bogini, jutro albo za tysiąc lat pokaże światu wiarę bez dogmatu.

— Dzięki garstce wtajemniczonych bez przyszłości?

— Pamiętaj o swoim Piśmie: wystarczy jeden sprawiedliwy.

— Izyda umarła. Jej ostatni wierni niebawem znikną.

— Czy to jest ta słynna tolerancja, którą głosisz?

— Pragnę was uratować, ciebie i wspólnotę, a nie wasze szkodliwe idee, które zatruwają umysły. Kiedy się z nich wyzwolicie, wasze serca oświeci prawdziwa wiara.

— Przeląła krew i łzy. Bizancjum jest tak samo okrutne jak Rzym. W epoce faraonów Egipt był piękny, bogaty

i szczęśliwy. Chłop i król obcowali ze świętością. Prostaczk za pośrednictwem posągu stojącego na jego polu, a mędrzec poprzez kontemplację światła ukrytego w świątyni. Popatrz na mój kraj, Teodorze, popatrz na nasz kraj... Wynędzniały, wyzyskiwany, zrujnowany! Nikt nie czyści kanałów, nie podlewa pól, bogaci zamienili się w dzikie zwierzęta, triumfuje przemoc, wioski są brudne i zapchlone, a korupcja zastąpiła prawo. Gdzie ukrył się garncarz Chnum *, który potężnymi ramionami zasypywał Egipt pożywieniem? Przypomnij sobie naszą regułę: ofiarować chleb głodnemu, ubrać temu, kto jest nagi, łożyć temu, kto nie może przepłynąć rzeki, trumnę temu, kto nie ma synów. Dzisiaj ludzie ignorancją zastąpili wiedzę, a pożyteczne zamienili na szkodliwe. Żyją ze śmierci, karmią się nią codziennie. Czy jesteś zadowolony i dziękujesz swojemu bogu?

— Stworzenie nie jest doskonałe.

— Ludzkość jest zbrukana. Faraon budował niebo i ziemię kosztem nieprzerwanej pracy. Każąc wierzyć każdemu człowiekowi, że nosi w sobie Boga, prowadzisz świat na drogę najgorszych konfliktów.

— Chrystus głosi miłość bliźniego; chyba o tym zapominasz.

— Piękne słowa są dobre dla Greków. Egipt wymagał czynów, istot pragnących budować w drzewie i kamieniu. Zamykając świątynie, zasypujesz najbardziej życiodajne źródło.

— Czy pogański Egipt byłby matką świata?

— A czy gdybyś nie był o tym przekonany, pozostawałbyś tutaj?

Biskup patrzył w dal. Skupisko kamiennych bloków katarakty zamykało horyzont. Sanktuarium Chnuma jeszcze oddychało; gasnące, lekko wyczuwalne tchnienie krążyło między pociętymi kapitelami i rozbitymi kolumnami.

— Teodorze, dlaczego nie zniszczysz File?

* Bóg Chnum stworzył ludzi z gliny, którą otrzymał, łącząc ziemię, wodę i powietrze. Przedstawiany był jako garncarz siedzący przy kole garncarskim (przyp. tłum.).

— Bo jesteś moim przyjacielem.

— Czy nie ma innego powodu? Czy nie próbujesz chronić

ostatnich śladów swojej przeszłości?

Biskup ukrył twarz w dłoniach.

— Ta procesja... a teraz tytuł przełożonego, niebezpieczna działalność, którą nadal zamierzasz prowadzić...

Dlaczego chcesz mi tak bardzo utrudnić zadanie?

— Żeby cię zmusić do wyboru.

— Obyś umiał zatrzymać się na czas, Sabni. Armia Maksymiana nie jest mirażem. Muszę jej być posłuszny.

— Mam do ciebie zaufanie: jesteś posłuszny jedynie sobie samemu. Czy dasz mi kamień i drzewo, których potrzebuję?

— Nie. Zrujnowana File będzie moją największą radością.

— Do zobaczenia niebawem, Teodorze.

Sabni oddalił się zdecydowanym i spokojnym krokiem.

Kapłan-senior nie pomylił się: młody człowiek miał postawę przełożonego.

Maj dobiegał końca. Wieśniacy żęli pod gorącym słońcem. Zaczynała się młócka. Wszyscy zadawali sobie pytanie: jaki będzie następny wylew? Czy biskup potrafi zapewnić sobie jego łaskę i zapanować nad nim, wzorem faraonów i wielkich kapłanów Izydy? Teodor był świadom, że to jego imię stanowi główny motyw niepokoju, który powracał w ulicznych rozmowach. Kolacje spożywano późno, rozmawiając i korzystając ze świeżości nocy. Ale gry i zabawy kończyły się, gdyż zbliżał się moment, który miał zdecydować o losie całego narodu podczas następnego roku: czy zapanuje dobrobyt, czy głód? Wzrastała ogólna nerwowość. Tu i ówdzie wybuchwały bójki, które żołnierze brutalnie tłumili. Wielu nie mogło spać. Szaleńcy krążyli po wioskach, przepowiadając najgorsze klęski. Astrologi, których sztuka została skazana przez Kościół, milczeli.

Maksymian zaprosił władze prowincji na bankiet godny najwspanialszych przyjęć w Aleksandrii. Nie zabrakło żadnego diakona, żadnego wyższego rangą oficera, żadnego bogatego właściciela ziemskiego. Ostentacyjny akt poddaństwa gwarantował zachowanie przywilejów i pozwalał liczyć na wzbogacenie się lub awans. Teodor był pełen podziwu dla Maksymiana, który zapoznał się z przebiegiem kariery każdego ze swych gości i do każdego potrafił zwrócić się

osobiście. W mniej niż trzy tygodnie zdążył przestudiować archiwa biskupa. Ci, którzy stawiali na to, że stetryczał, przeżyli rozczarowanie: podczas okresu izolacji prefekt zasięgnął informacji o kaście kierowniczej.

Wino i piwo lały się strumieniami. Stołownikom proponowano dziesięć rodzajów mięsa i ryb, podano również owoce i ciasta. Kiedy nadchodził świt, Maksymian poprosił biskupa do swojego biura.

— Nic nie piłeś, Wasza Wielbność.

— Mój stan duchowny wymaga umiaru. Twój nie. Ty także nie kosztowałeś tych wyśmienitych win.

— Czas na przyjemności przyjdzie później.

Obszerne pomieszczenie, w którym pracował prefekt, przypominało gabinet Teodora.

— Podziwiam twoje umiejętności organizacyjne. Prawdę mówiąc, trudno o lepsze. Wybacz, że cię naśladowę.

— To wielki zaszczyt.

— Taki rygor czasem źle służy jego twórcy.

— A to dlaczego?

— Szybko doszedłem do wniosku, że wszyscy notable tego regionu są pod twoim wpływem. Do ciebie należy przynajmniej połowa ziem.

— Do Kościoła — poprawił Teodor.

— Twoja polityka nabywania nabrała bardzo szybkiego

tempa. Ubierasz żołnierzy z garnizonu Elefantyny i dostarczasz im żywności. Ktokolwiek próbowałby ci szkodzić czy się sprzeciwić, szybko zostałby wyeliminowany.

— Któż by miał atakować sługę bożego? Kocham tę prowincję. Chcę uczynić ją bogatą. Czy to niewłaściwe?

— Przeglądałem twoje rachunki i nie mam ci nic do zarzucenia. Masz większe kompetencje niż skarbnik cesarza. W Bizancjum byłbyś ministrem. Jesteś doskonałym materiałem na przyszłego patriarchę Aleksandrii. Jest jednak sprawa, która nie cieszy się moją aprobatą.

— Która?

— Dlaczego prześladujesz File? Teodor ścisnął krzyżyk w prawej ręce.

— Zakaz dostarczania lnu, zakaz dostarczenia drewna i kamienia na odrestaurowanie budowli... Czytałem twoje dekrety.

— Nie są tajemnicą. Heroldzi ogłaszają je na placach publicznych.

— Torturujesz tę wspólnotę.

— Te zarzuty zaskakują mnie. Czy mam ci przypominać, że to są poganie?

Prefekt zaczął przechadzać się nerwowo.

— Musiałem poprzeć twoje decyzje.

— Rzeczywiście, nie miałeś wyboru. Dokładnie odpowiadają woli cesarza.

— Ale nie mojej. Teodor nie krył oburzenia.

— Czy tak wyraża się sługa Cesarstwa?

— Jest coś, co mnie zadziwia: nie zamykasz tej świątyni, chociaż mógłbyś zarządzić szybką i definitywną ewakuację zgromadzenia. Zatem coś musi hamować twoją wrogość; ja ze swej strony chcę uzyskać względy Izis. Skoro jesteśmy solidarni, postarajmy się zyskać na czasie i poszukajmy rozwiązania, które zadowalałoby nas obu.

Teodor nie mógł zasnąć i spędził noc przy swoim biurku.

Uporządkował kilka dokumentów, zajął się budżetem miasta na następny miesiąc, sprawdził listę swych ziem, a później się modlił.

Nazwiska nierzetelnych płatników były podkreślone czerwonym atramentem. Jeszcze raz zwróci się do żołnierzy, by ściągnęli brakujące pieniądze. Biskupowi nie przeszkadzało to, że prefekt sprawdza jego rachunki, gdyż zgodnie ze swym charakterem i w przewidywaniu tego rodzaju inspekcji, nauczył się niczego nie ukrywać. Wszystkie jego sprawy były legalne, a dochodów używał z niesłychaną zręcznością.

Niebezpieczeństwo polegało na czym innym: Maksymian tracił głowę. Jego szaleństwo wydawało się tym groźniejsze, im bardziej sprawiał wrażenie człowieka odpowiedzialnego i opanowanego. Izis zaprzętała jego myśli do tego stopnia, iż gotów był zapomnieć o swych zobowiązaniach wobec cesarza. Absurdalna namiętność skazana na porażkę. Namiętność, która sprawiała, że Maksymian wymykał się spod kontroli jak źdźbło słomy igrające na wietrze. File stawała się przedmiotem konfliktu z powodu tej nagłej miłości.

Świątynia, którą Teodorowi udało się pogrążyć w cieniu, niemal w zapomnieniu, znowu pojawiała się na pierwszym planie.

Maksymian zmienił się w młodzieńca łatwo poddającego się wzruszeniom. Jego uczucia do przełożonej całkowicie przekreślały jego przeszłość. Izis, taka piękna, taka pociągająca, osłonięta magią bogini, którą czciła! Biskup rozumiał to oczarowanie. Mogło ono jednak wywołać gniew chrześcijan, gniew, którego on, Teodor, nie będzie miał prawa zdławić.

Nie miał już żadnego wpływu na Sabniego. Jego przyjaciel się zmienił, gdy stał się przełożonym. Traktował swoje zadanie poważnie, karmił się iluzjami i marzył o niemożliwych przedsięwzięciach. Czy Izis będzie popierać samobójcze działania, czy też uzna umiar i spokój za najsku-

teczniejszą broń?

Teodor żałował, że nigdy się z nią nie spotkał. Łączyli się w niemym dialogu, który odbywał się w samotności obojga.

Postrzegali swe intencje z oddalenia: jednak Maksymian i Sabni zamazywali obraz.

File częstką jego samego? Pogańska świątynia obrazem wiary, której nie potrafił wyrwać z głębi swojej duszy?

Pytania pozbawione sensu. Przyjmując chrześcijaństwo, zmienił swoje życie. Zagłębiając się w Chrystusie poświęcił się wprowadzaniu solidnej i trwałej doktryny, która wywiedzie z błędu nawet najbardziej upartych.

Czekały go trudności. Teodor nie obawiał się ich. Wyrwie przyjaciela tragicznemu przeznaczeniu, nawróci File bez stosowania przemocy i zneutralizuje Maksymiana. Powiedzie mu się, skoro Bóg mu pomoże.

Pewnego bardzo upalnego dnia w połowie czerwca Nil zmienił kolor. Woda zabarwiła się na brązowo, a nurt stał się szybszy. Niósł błoto i muł. Praca na roli zamarła. Na File Izis obserwowała Syriusza, główną gwiazdę konstelacji Psa, której wschód tuż przed wschodem słońca zapowiadał początek wylewu, karmionego potem i limfą ciała zamordowanego Ozyrysa. Kiedy jego małżonka zacznie ronić obfite łzy żałoby, odbędą się ponowne zaślubiny, tym razem w zaświatach, a ziemia Egiptu zostanie zapłodniona.

Biskup zarekwirował robotników rolnych, robotników sezonowych, objazdowych kupców i rzemieślników, by wyczyścili kanały i baseny irygacyjne, w których zbierały się nadwyżki wody. W większości prowincji zaprzestano tych uciążliwych prac, które w czasach faraonów zrobiły z Egiptu olbrzymią oazę w sercu pustyni. Ponad połowa uprawnych ziem została utracona. Nieszczęśni ludzie odrabiający pańszczyznę, gdy było trzeba, nie chcieli poświęcać się dla administracji, która z roku na rok uciskała ich coraz bardziej. Teodor na swój sposób walczył z niesprawiedliwością. Region Elefantyny miejscami przypominał owe raje na ziemi, tworzone przez dynastie królewskie. Ale praca i pieniądze nie wystarczały — ludzie najbardziej potrzebowali entuzjazmu wiary. Któż mógł im ją dać prócz

Chrystusa?

— Utrzymam porządek, ale ta katastrofalna susza de
moralizuje wojska Narsesa.

Generał przytaknął.

— Mówi się, że klątwa ciąży nad Elefantyną. Niektórzy
z moich ludzi są nadzwyczaj przesądni i nadstawiają ucha
na zapowiedź nieszczęścia. Powodem klęski miałyby być
gniew dawnych bogów.

Biskup popatrzył surowo na swych rozmówców.

— Oczywiście obaj nie przyjmujecie tych bzdur do wia-
domości.

Ani prefekt, ani generał nie odpowiedzieli. Ciszę przerwał
Maksymian.

— Bunt ludu zagroziłby misji powierzonej mi przez ce-
sarza.

— Co proponujesz?

— Spacerowałem po mieście, rozmawiałem z mieszkań-
cami. Poprośmy o pomoc przełożoną File, aby
przebłagać zły los. Ona zna formułki, które spowodują
wzrost poziomu wody. Niech święci dawny rytuał.

— Czarna magia karana jest śmiercią — zaoponował
Teodor. — Już od wielu lat próbuję wyeliminować te
przeklęte praktyki, a wy macie odwagę przywracać je
z pogardą dla praw ludzkich i boskich?

— Przypadek wyższej konieczności — ocenił prefekt.

Stwarzając Izis okazję pokazania się i udowodnienia, iż stara religia żyje, liczył, że zaskarbi sobie jej względy.

— Zdajesz sobie sprawę z ryzyka?

Maksymian przemówił łagodniej.

— Czy bezbronna młoda kobieta może stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego? Lud uwielbia przesady, jej pojawienie się uspokoi umysły. Później wróci na swoją wyspę.

— Nie doceniasz czystości wiary chrześcijańskiej; nie ścierpi takiego afrontu.

— Jestem chrześcijaninem — przypomniał Maksymian.

— Izis nikogo nie nawróci. Chociaż przebywa w odosobnieniu, cieszy się dużym szacunkiem.

Jednodniowa sojuszniczka służyć będzie sprawie pokoju. Powiemy cesarzowi, że ten region został całkowicie podporządkowany.

— Mylisz się. Izis nie będzie z nami paktować. Wykorzysta daną jej szansę, by ogłosić wszechwładzę bogini.

Konsekwencje...

— Jesteś tak słabo przekonany o wierności swych owieczek?

— Chwasty szybko rosną.

— Połączmy nasze siły.

— Nie jestem pewien, czy mogę ci pomóc.

Maksymian ściągnął brwi.

— Nie zwracam się do służi Kościoła, ale do swojego podwładnego. Nie chcę nawet myśleć o odmowie, która oznaczałaby dezercję.

Narses położył dłoń na rękojeści miecza. Biskup zdał sobie sprawę, że nie zawaha się użyć przeciw niemu broni.

— Twoje obawy nie mają podstaw — oświadczył lodowatym głosem.

Ubrana w długą białą suknię Izis wysiadła z łodzi u stóp najwyższego wzgórza Elefantyny. Jej bezpieczeństwa strzegł generał Narses z oddziałem żołnierzy. Piechurzy przegnali grupkę anachoretów żyjących w sąsiednich grotach.

Zamknięci w koszarach nie mogli dowiedzieć się o obrzędzie, który miała odprawić przełożona File. Przyjęła propozycję prefekta w zamian za dostarczenie żywności wspólnocie. Wielu jej członków osłabło, niektórzy nie mieli już siły pracować.

Zanim Izis odpłynęła, łódź wyładowana warzywami, owocami i mąką przybiła do świątyni. Sabni zajął się wyładunkiem. Kiedy jej bracia i siostry rozkoszowali się pierwszym konkretnym od wielu dni posiłkiem, Izis wyruszała w nieznane. Przeciwwstawiła się ojcu, który był przekonany, że Maksymian wciąga ją w pułapkę. Prefekt jednak już dotrzymał słowa i dostarczył pożywienie na wyspę.

Widok ze szczytu wzniesienia był wspaniały. Rzeka płynęła sennie między urwistymi brzegami. W oddali widać było zielono-białe miasto. O tej porze roku brak wody powodował pojawianie się brunatnych plam na polach: wszędzie zwyciężała pustynia.

— Wspaniały kraj — Maksymian patrzył w pustą prze-

strzeń, założywszy ręce do tyłu.

— Bogowie wybrali go na swoją siedzibę — przypomniała stojąca koło niego Izis.

Stojący z tyłu żołnierze nie mogli nic usłyszeć ani zobaczyć.

Prefekt nie miał odwagi spojrzeć na młodą kobietę. Sama jej obecność sprawiała, iż w jego żyłach krążyły płomienie.

Ból był równie straszny co rozkoszny.

— Wylew będzie za mały i tysiące ludzi umrą z głodu.

Zbiorów nie będzie, kłosa wyschną. Już teraz dzieci płaczą, a starcy osłabli. Mnoży się robactwo. Musisz interweniować, Izis!

— Za późno.

— Czy łzy bogini nie powodują przypiływu?

— Właściwa chwila minęła.

— Nie istnieje jakiś zbawczy rytuał?

— Można urządzić procesję, podarować rzece mięso, ciasta, owoce i posążki kobiet, które zapłodni... Było to niezbędne, kiedy zmieniała się barwa wody.

— Więc nie ma żadnego ratunku?

— Istnieje jeden sposób, którego użył Imhotep ponad trzy tysiące lat temu, kiedy najcięższa susza zagroziła tronowi faraona: udać się do źródeł Nilu.

— To legenda — sprzeciwił się Teodor. — Źródła Nilu

nie znajdują się w Elefantynie!

Maksymiana nie poruszyły jego słowa.

— To, co widzą nasze oczy, często jest złudne; Izis twierdzi, że cała moc rzeki mieści się w jakiejś grocie niedaleko stąd. To ty kazałeś zamknąć wejście do niej.

— To było konieczne. Poganie zbierali się tam co roku przed rozpoczęciem przyływu i odprawiali szatańskie obrzędy.

— Przełożona zgadza się tam udać i modlić do ducha Nilu.

— Nie zgadzam się na tę maskaradę.

— Chodzi o życie tysięcy ludzkich istot. Samo istnienie twojej prowincji zależy od wezbrania wód. Pozwól działać Izis; ona ma w ręku klucze, których my już nie posiadamy.

— I to mówisz ty, chrześcijanin!

— To przypadek wyższej konieczności, powtarzam. Odsłońmy wejście do groty.

— To wrota piekieł...

— Nie bądź przesądny, biskupie.

— Czy to rozkaz?

— Do natychmiastowego wykonania.

Ona przełożona. On biskup. Nie spuściła oczu, zachowywała się, jakby była prawowierną chrześcijanką. Teodor

zapomniał jednak kazania, które sobie przygotował.

Nie zamienili ani słowa, chcąc jak najszybciej skończyć z delikatnym zadaniem, które zmuszało ich do przymierza.

Położenie groty stanowiło tajemnicę państwową, znaną niewielu osobom. Znajdowała się na wschodnim krańcu wyspy, chroniona przez wystający blok skalny. Było tylko wąskie wejście, dostępne osobie niezbyt tęgiej. Jedyne Maksymian, Teodor, Izis i kamieniarz wstąpili na zarośniętą ścieżkę prowadzącą do groty. Zanim dotarli do maleńkiego tarasu, który maskowały sześciometrowej wysokości papyrusy, musieli przedzierać się przez gałęzie i dzikie chwasty. Izis prowadziła swych przeciwników przez labirynt, w którym zgubiłby się najzręczniejszy z łowców przygód.

Na widok schronienia Chnuma, boga-barana, który wyzwał nurt rzeki, podnosząc swój sandał, serce Izis zabiło radością. Z całej Elefantyny tylko ona знаła to posępne miejsce. Ojciec przyprowadził ją tutaj trzykrotnie, zanim biskup ogłosił swój zakaz.

Teodor nakazał kamieniarzowi usunąć bloki kamienia, które sam polecił tam zgromadzić, by zamknąć otwór.

Kiedy otwór stał się dostępny, Maksymian zaczął się niecierpliwić.

— Wejdiesz, Izis?

— Nie przed otrzymaniem znaku. Nie można zwracać się

do boga ludzkimi słowami.

Kamieniarz usiadł z boku. Przełożona wsunęła ręce do wnętrza groty i wyciągnęła dwa małe naczynia. Jedno zawierało wodę z nieba, drugie wodę z Nilu. Umieściła je po obu stronach wejścia. Biskup czuł się niezręcznie i nieustannie. Stojący z tyłu żołnierze nie mogli nic usłyszeć ani zobaczyć.

Prefekt nie miał odwagi spojrzeć na młodą kobietę. Sama jej obecność sprawiała, iż w jego żyłach krążyły płomienie. Ból był równie straszny co rozkoszny.

— Wylew będzie za mały i tysiące ludzi umrą z głodu.

Zbiorów nie będzie, kłosa wyschną. Już teraz dzieci płaczą, a starcy osłabli. Mnoży się robactwo. Musisz, interweniować, Izis!

— Za późno.

— Czy łzy bogini nie powodują przyptywu?

— Właściwa chwila minęła.

— Nie istnieje jakiś zbawczy rytuał?

— Można urządzać procesję, podarować rzece mięso, ciasta, owoce i posążki kobiet, które zapłodni... Było to niezbędne, kiedy zmieniała się barwa wody.

— Więc nie ma żadnego ratunku?

— Istnieje jeden sposób, którego użył Imhotep ponad trzy tysiące lat temu, kiedy najcięższa susza zagroziła

tronowi faraona: udać się do źródeł Nilu.

— To legenda — sprzeciwił się Teodor. — Źródła Nilu nie znajdują się w Elefantynie!

Maksymiana nie poruszyły jego słowa.

— To, co widzą nasze oczy, często jest złudne; Izis twierdzi, że cała moc rzeki mieści się w jakiejś grocie niedaleko stąd. To ty kazałeś zamknąć wejście do niej.

— To było konieczne. Poganie zbierali się tam co roku przed rozpoczęciem przypływu i odprawiali szatańskie obrzędy.

— Przełożona zgadza się tam udać i modlić do ducha Nilu.

— Nie zgadzam się na tę maskaradę.

— Chodzi o życie tysięcy ludzkich istot. Samo istnienie twojej prowincji zależy od wezbrania wód. Pozwól działać Izis; ona ma w ręku klucze, których my już nie posiadamy.

— I to mówisz ty, chrześcijanin!

— To przypadek wyższej konieczności, powtarzam. Odśłońmy wejście do groty.

— To wrota piekieł...

— Nie bądź przesądny, biskupie.

— Czy to rozkaz?

— Do natychmiastowego wykonania.

Ona przełożona. On biskup. Nie spuściła oczu, zachowywała się, jakby była prawowierną chrześcijanką. Teodor zapomniał jednak kazania, które sobie przygotował.

Nie zamienili ani słowa, chcąc jak najszybciej skończyć z delikatnym zadaniem, które zmuszało ich do przymierza.

Położenie groty stanowiło tajemnicę państwową, znaną niewielu osobom. Znajdowała się na wschodnim krańcu wyspy, chroniona przez wystający blok skalny. Było tylko wąskie wejście, dostępne osobie niezbyt tęgiej. Jedynie Maksymian, Teodor, Izis i kamieniarz wstąpili na zarośniętą ścieżkę prowadzącą do groty. Zanim dotarli do maleńkiego tarasu, który maskowała sześciometrowej wysokości papirusy, musieli przedzierać się przez gałęzie i dzikie chwasty.

Izis prowadziła swych przeciwników przez labirynt, w którym zgubiłby się najzręczniejszy z łowców przygód.

Na widok schronienia Chnuma, boga-barana, który wyzwał nurt rzeki, podnosząc swój sandał, serce Izis zabiło radością. Z całej Elefantyny tylko ona знаła to posępne miejsce. Ojciec przyprowadził ją tutaj trzykrotnie, zanim biskup ogłosił swój zakaz.

Teodor nakazał kamieniarzowi usunąć bloki kamienia, które sam polecił tam zgromadzić, by zamknąć otwór.

Kiedy otwór stał się dostępny, Maksymian zaczął się niecierpliwić.

— Wejdiesz, Izis?

— Nie przed otrzymaniem znaku. Nie można zwracać się do boga ludzkimi słowami.

Kamieniarz usiadł z boku. Przełożona wsunęła ręce do wnętrza groty i wyciągnęła dwa małe naczynia. Jedno zawierało wodę z nieba, drugie wodę z Nilu. Umieściła je po obu stronach wejścia. Biskup czuł się niezręcznie i nieustannie-dotykał krzyża na piersiach, jak gdyby przygotowywał się do przeklęcia demonicznej zjawy.

— Jak długo jeszcze...?

— Nie wiem.

Upłynęła długa godzina. Poskromiwszy irytację, prefekt rozkoszował się łagodnością chwili. Podziwiał! Izis. Przypominała Kleopatrze, której szlachetne wizerunki zdobiły jadalnie starych aleksandryjskich rodzin. Jej twarz była jednak doskonalsza w rysunku. Jej słoneczna czystość czyniła ją tym bardziej godną pożądania. Wznosiła się ponad to, co wulgarne. Spoglądanie na nią było jak akt miłosny spełniony z nieskończonym poszanowaniem największych namiętności.

Izis należała do niego; nie będzie już należała do nikogo innego.

Teodor miał nadzieję, że nie dojdzie do wydarzenia, którego tak się obawiał. Nie otrzymawszy znaku, przełożona nie wejdzie do groty i Kościół nie zostanie upokorzony. Izis

była pogodna; jej nadzieja zamieniała się w pewność. File nie tylko nie zostanie zniszczona, ale jeszcze odzyska pierwotną funkcję: będzie kształcić adeptów, wprowadzać ich w misteria, przekazywać ducha. Dlaczego wola boska nie miałyby objawić się w tych okolicznościach? Oto staczała niemą bitwę bez broni, bez widocznych ran. Od jej wyniku zależała, być może, przyszłość świątyni.

Po raz pierwszy doszło do otwartego wyzwania pomiędzy Izis i biskupem. Cenili się nawzajem, ale i obawiali. Uroda młodej kobiety olśniła biskupa; w skrytości ducha zrozumiał bezsensowne porywy prefekta. Dostrzegł także nieugiętą wolę przełożonej i jej zdolności przywódcze. Jeśli Sabni okaże się dość inteligentny, by jej słuchać, będą stanowić parę zdolną do wszelkich śmiałych działań, mogą nawet stanowić zagrożenie dla pokoju.

Izis była zdziwiona, spotkawszy przeciwnika takiego wymiaru, człowieka, którego rzeczywiste możliwości przywódcze były większe, niż się powszechnie sądziło.

Teodor z zaletami dowódcy łączył elastyczność polityka i nieugiętą siłę człowieka wierzącego. Ten niezniszczalny wróg zachowa się jak bezlitosny przeciwnik, którego nie wzrusza żadna skarga.

— Znak — ze spokojem wyrzekła Izis.

Maksymian podążył za jej spojrzeniem: na progu groły

kołysała się żmija. Przełożona przyklęła na jedno kolano i szybkim ruchem chwyciła ją za głowę. Prefekt cofnął się instynktownie. Trzymając w ręku próbujące się wywinąć stworzenie, Izis ruszyła do wejścia groty. Teodor zastąpił jej drogę.

— Zabraniam ci posługiwać się symbolem szatana!

— Wąż nie jest złem, rodzi się z ziemi odrodzonej przez wodny nurt. Muszę zanieść go duchowi Nilu, sama, w ciszy i poszanowaniu ukrytego boga.

— Chrystusowa ryba zwyciężyła szatańskiego płaza.

Twoja magia jest złudna i niebezpieczna. Biskup Elefantyny nie ustąpi ci drogi, a żaden szatański rytuał nie zbruka jego miasta. Cofnijcie się wszyscy!

Prefekt odstąpił pod wrażeniem gwałtowności duchownego. Izis rzuciła żmiję w gąszcz papirusów.

— Zatkaj ten przekłety otwór — rozkazał biskup kamieniarzowi. — Niech to miejsce zostanie zapomniane na wieki.

Upadł na kolana i wyciągając przed siebie krzyż, przystąpił do egzorcyzmowania pogańskiej czeluści.

Winobranie rozpoczęło się pod koniec sierpnia. Żadne śpiewy nie dobiegały z winnic, zwykle pełnych radości: kraj żył w oczekiwaniu na skutki najsłabszego od dwustu lat przyływu. Biskup będzie musiał dostarczyć wymaganą przez cesarza ilość zboża i jęczmienia. Nie zostanie już nic dla mieszkańców prowincji, a gryzonie, które przetrwały dzięki niskiemu poziomowi wody, zaatakują sady i ogrody. Co wydarzyło się u wejścia do świętej groty, u tajemnych źródeł Nilu? Dla jednych Isis na próżno usiłowała uspokoić gniew Chnuma. Dla innych Teodor wstrzymał źródło, dokonując masakry ukrytych w wodach duchów. Niektórzy twierdzili, że ani przełożona, ani biskup nie udali się wcale do tajemniczego miejsca — wszak dawno już zapomniano, gdzie się ono znajduje. Biuro prefekta zaprzeczało, jakoby Maksymian odegrał jakąkolwiek rolę w tej wymyślonej przez bazarzy opowieści. Co zaś się tyczy jedyne go świadka wydarzenia, kamieniarza, nikt go już nigdy nie widział w Elefantynie. Tylko generał Narses wiedział, że biskup wygnał go do oazy Charga, z której miał nie powrócić. Prefekt zamknął się w swej siedzibie. Sam siebie nienawdził. Dlaczego zachował się jak tchórz, dlaczego rozczarował Isis, której oskarżycielski wzrok ciągle go zawstydział? Czego chciał naprawdę, zagubiony i niestały? Maksymiana ogar-

nęło nieznane uczucie, nad którym nie sprawował żadnej kontroli.

Ten człowiek, który dowodził innymi, nie potrafił już

rozkazywać sobie. Bez przerwy brzęczało mu w skroniach,

jakby jakiś monstrualny owad nękał go, nie pozwalając na

odrobinę wypoczynku. Izis zniweczyła karierę poświęconą

państwu i porządkowi publicznemu za pomocą kilku spo-

jrzeń i zachowania tym bardziej prowokującego, że nic nie

naruszało jej szlachetności, a nawet pewnego rodzaju nie-

obecności. Z godziny na godzinę stawała się coraz bardziej

niezbędna i coraz bardziej niedostępna. Prefekt brał zwykle

kobiety niczym dojrzałe owoce. Przełożona rozrywała mu

serce, pozostawiając ziejący otwór, w którym szalała burza.

Zupełnie wytrącony z równowagi, czuł, jak zamienia się w

kogoś obcego, kogoś, kto w radosnym szale niszczy

wszystkie dotychczasowe przekonania.

Czasem udawało mu się poświęcić trochę uwagi sprawom

bieżącym. Biskup dostarczał sporo raportów o uprawnych

parcelach, o zbiornikach irygacyjnych, o przewozie towarów.

Każdy z dokumentów roztrząsał wszelkie trudności z do-

kładnością, jakiej nie powstydziliby się najbardziej uważny z

aleksandryjskich urzędników. Ale Maksymian nie potrafił

skupić na nich uwagi i myślami powracał do Izis. Jak zyskać

w jej oczach?

Zajęcie wyspy nie było rzeczą trudną: robiąc to jednak, narażał się na to, że utraci Izis. Chciał się z nią ożenić, a ona miała go pokochać.

Ponad połowa ziem uprawnych nie została zalana przez wodę. Nie było po co zasiewać spękanej roli. Chłopi zaczęli opuszczać swoje ziemie i gromadzili się na przedmieściach Elefantyny. Podczas sumy biskup błagał Boga, by obdarzył wierzących siłą konieczną do przezwyciężenia trudności. Później sprawiedliwie rozdzielił żywność. File otrzymała swoją część, tak jakby świątynia była zwykłą wioską podlegającą władzy administracyjnej.

Wizja spragnionego i wypalonego słońcem kraju, zboczy w kolorze ochry, które zagłębiały się w Nilu zbyt słabym, by mógł się przez nie przelać, przypomniała Maksymianowi o wielkim projekcie wyprawy po nubijskie złoto. Zaskarbił sobie łaski cesarza, ofiaruje Izis część szlachetnego kruszcu na pokrycie boskich posągów. File rozbłyśliła dawnym blaskiem. Maksymian wymyślił swój ślubny prezent.

Wezwał Narsesa, nakazał mu przygotowanie wojsk i zgromadzenie łodzi zdolnych do pokonania katarakty. Żołnierze, szczęśliwi, że mogą wyrwać się z bezruchu, niemal natychmiast osiągnęli sprawność bojową. Generał spotkał się natomiast z oporem cechu przewoźników, którzy zgodzili się oddać mu zaledwie trzy łodzie w kiepskim stanie.

Pozostałe należały do biskupa.

Wściekły Maksymian wtargnął do biura Teodora, który zagłębiał się właśnie w zagadnieniach dotyczących nawadniania ziem.

— Żądam wszystkich łodzi, jakie tylko są do dyspozycji.

— Są niezbędne dla życia miasta.

— Nie przeciwstawiaj się mojej woli. Pokonam kataraktę.

— Nil jest zbyt niski. Nie uda ci się.

— Przełynę.

— Żaden przewoźnik nie zechce cię przeprowadzić.

— Rekwiruję łodzie.

Ludność zebrała się na pochyłościach brzegów okalających labirynt skał, na których rzeka rozwścieczona uderzeniami wiatru rozbijała się o przytępione lub ostre głazy, zanim nie popłynęła w niespodziewanych wirach. Biskup odmówił asystowania przy wyjeździe ekspedycji. Pomimo jego oficjalnych ostrzeżeń, prefekt postawił na swoim.

Żołnierzy umieszczono na ciężkich barkach, które manewrowały z trudem. Prefekt, obejrzawszy flotyllę, jaką miał do dyspozycji, wybrał takie właśnie łodzie, gdyż były solidne.

Stojący na dziobie człowiek za pomocą długiej żerdzi miał badać nurt.

Kiedy pierwsza barka wyruszyła, by zmierzyć się z kata-

raką, z tłumy dobyły się okrzyki zachęty. Entuzjazm Maksymiana okazał się zaraźliwy; wielu wierzyło w powodzenie przedsięwzięcia, choć starszyzna uważała je za szalone.

Prefekt wraz z generałem Narsesem obserwowali scenę ze szczytu wzniesienia. Przewoźnik, człowiek doświadczony, ominął olbrzymią skałę ukrytą w błotnistej wodzie, wyminął wir, wtargnął w wąskie gardło i uderzył o granitowy blok.

Narsesowi ścisnęła się krtąń. Pilot, manewrując z dużą szybkością, wprowadził łódź w bystry nurt; za ujściem następnego toru wodnego rzeka płynęła spokojniej. Maksymian pomyślał, że wygrał zakład.

Człowiek stojący na dziobie zbyt wcześnie oderwał wzrok od nurtu. Kiedy dostrzegł długą płaską skałę drzemiącą pod powierzchnią, nie było już czasu, by ostrzec pilota; z wrzaskiem puścił żerdź i rzucił się w bok. Barka uderzyła w przeszkodę, zawisła w powietrzu i przewróciła się. Wielu żołnierzy zostało zgniecionych, inni się potopili.

Dwie kolejne łodzie porzucone przez pilotów spotkał ten sam los. Narses bezsilnie patrzył na śmierć swoich ludzi.

Maksymian zamknął oczy.

Dwustu piechurów zginęło w wodach katarakty: doświadczeni żołnierze, godni rzymskich legionów z najświetniejszego okresu, bohaterowie, którzy cało wychodzili z naj-sroższych pól bitewnych, śmiałkowie pochodzący ze wszyst-

kich stron Cesarstwa w głupi sposób stracili życie w skalnym chaosie.

Narses, chociaż stracił połowę swego wojska, nie czuł żalu do Elefantyny. On, zapalony wojskowy, powoli odrywał się od obowiązków wynikających z funkcji i coraz częściej pogrążał w medytacji, spoglądając na rozgrzaną pustkę pustyni, w której ginał szczęk bitewny dawnych wojen.

Dobrnął do kresu drogi. Od czasu kiedy w wieku dwunastu lat zaciągnął się jako ochotnik, bez przerwy przebiegał prowincje Cesarstwa w poszukiwaniu chwały, którą los obdarzył go hojnie. Ostatnia kampania miała podnieść jego prestiż w oczach cesarza, który przyznałby mu w nagrodę honorowe stanowisko w Bizancjum — preludium do zamożności na starość. Narses nie chciał opuszczać Elefantyny; przepych i intrygi stolicy przestały go interesować. Pokój, o który walczył, panował na tych opuszczonych ziemiach, na których człowiek był tylko intruzem.

Maksymian nie próbował na nikogo zrzucić odpowiedzialności za katastrofę; wobec biskupa i generała przyznał się do błędu. Nie chcąc pogodzić się z porażką, pragnął jak najszybciej zorganizować kolejną wyprawę.

— Żaden z moich ludzi nie opuści garnizonu — odrzekł

Teodor. — Moim obowiązkiem jest chronić bezpieczeństwo mojej diecezji.

Po długim wahaniu biskup podarł raport o działalności prefekta, który chciał posłać do Bizancjum. Taka strategia doprowadziłaby do odwołania Maksymiana, ale musiałoby jej towarzyszyć długie śledztwo prowadzone przez sędziów i wojskowych. Teodor wolał działać sam i pozbyć się swoich przeciwników bez czyjejkolwiek pomocy.

— Twoje zachowanie nie dziwi mnie, Wasza Wielebność.

Jednak generał i ja przywieziemy nubijskie złoto.

— Nie myśl o tym — powiedział Narses. Zdumiony

Maksymian zwrócił się do podwładnego.

— Jak śmiesz...?

— Mam prawo sprzeciwić się twoim rozkazom.

— Tylko w wypadku szaleństwa.

Narses i biskup popatrzyli na siebie — niespodziewani sojusznicy. Biskup nie znał powodów tej nagłej zmiany, ale postanowił natychmiast ją wykorzystać.

— Temu szaleństwu nikt nie zaprzeczy.

— Uważaj, biskupie. Jedno moje słowo i...

— Nie ruszymy do Nubii — powtórzył stanowczo Narses.

— Zwariowałeś, generale.

— Katarakty nie da się przepłynąć. Powinniśmy sami kierować nawigacją, a nie jesteśmy do tego zdolni. Nie chcę, by zginęła druga połowa mojej armii. Jeśli to konieczne, niech interweniuje władza sądowa.

Maksymian powstrzymał złość. Władza sądowa... Inaczej

mówiąc, biskup!

— Co proponujesz?

— Czekać. Tak długo, jak będzie trzeba.

— Ale złoto...

— Cesarz to zrozumie. Jesteśmy zależni od Nilu i jego kaprysów. Donieś o tym w raporcie, który i ja podpiszę.

— Nie pisz nic o stratach — doradził biskup. — Ja także o nich zapomnę. Elefantyna leży daleko od Bizancjum... Jeśli nawet jakieś słuchy dojdą do uszu cesarza, będziemy zaprzeczać pogłoskom. Oficjalnie ci ludzie pomarli, bo byli chorzy: w latach, gdy jest niski przypływ, zdarzają się epidemie i dziesiątkują ludność.

Prefekt zawahał się. Propozycja biskupa miała tylko jedną wadę: zmuszała go, by stał się jego współnikiem.

— Co o tym myślisz, generale?

— Najdzielniejszy z ludzi może popełnić błąd. Jestem gotów o tym zapomnieć.

— Pod jakim warunkiem?

— Że zostanę mianowany dowódcą stałego garnizonu Elefantyny.

— Chcesz... tutaj żyć?

— Już powiedziałem. Postaraj się teraz przekonać cesarza, z biskupim błogosławieństwem.

— Muszę się zastanowić.

Generał i biskup opuścili biuro prefekta. Jak Maksymian źle znał ludzi... To złudzenie także prysło. Narses, ten ponurak zimny jak śnieg gór Azji, ten nieprzejeźdźny wojskowy, którego horyzont ograniczał się do otrzymanych rozkazów, zakochał się! Odkrył swój raj i chciał mu poświęcić własną karierę.

Na szczęście Teodor i Narses nie spiskują przeciw niemu: generał ukochał tylko południową prowincję. Ten cud posłuży jego, Maksymiana, interesom. Narses zaaprobuje status quo i będzie chronił File na równi z chrześcijanami.

Ucieszył go zmysł dyplomatyczny Teodora. Biskup tak samo nie życzy sobie otwartego konfliktu. Nawet jeśli File jest jabłkiem niezgody, nie wyklucza to porozumienia. Sługa boży mógł osiągnąć porozumienie z dygnitarzem cesarskim.

Horyzont rozjaśnił się. Pozostawał tylko jeden powód do zmartwienia: Maksymian nie mógł ofiarować Izis nubijskiego złota.

Izis dobrze poznała wszystkich członków wspólnoty, umiała rozwiać ich wątpliwości, rozniecić nadzieję; jeden gest, postawa wystarczały jej, by odgadnąć strapienie. A jednak zachowanie bibliotekarki zadziwiało ją. Ta pięćdziesięcioletnia okrągła kobieta była bardzo wesoła, skora do żartów.

Żaden smutek jej nie pokonał. Żyjąc wśród starych tekstów i konserwując papirusy, stała się dobrotliwa i zrównowazona.

Izis rozmawiała z nią codziennie rano. Już od wielu miesięcy przełożona badała rytuał powrotu dalekiej bogini.

Zgodnie z tradycją dodawała własne sformułowania do dawnych słów, wyraźnie zaznaczała „inaczej mówiąc”, by podkreślić swoje interwencje. Od zarania Egipt nigdy nie niszczył wyobrażenia absolutu właściwego danej epoce, odrzucał prawdę ostateczną i wolał budować myśl jak piramidę, kamień po kamieniu.

Zdenerwowana bibliotekarka zmięła kawałek papirusu.

Jak oszalała podbiegła do drzwi biblioteki, wróciła na środek pokoju i zaczęła przeszukiwać półki. Izis złapała ją za rękę.

— Jesteś cierpiąca?

Siostra spuściła głowę i spróbowała się wymknąć. Izis nie zwalniała uścisku.

— Wytłumacz się.

— To zbyt okropne... Ja... popełniłam taki błąd... —

Wybuchnęła płaczem.

— Czy to naprawdę takie poważne?

— Nie potrafię tego powiedzieć nawet tobie. A jednak...

— Jednak?

— Cała wspólnota i tak się dowie. Ja...

Pogryzła wargi do krwi, zanim wypowiedziała prawdę:

— Jestem w ciąży.

Czekała na wyrok przełożonej. Izis uścisnęła jej dłoń.

— Myślałam, że nie jest to już możliwe — wyznała bibliotekarka. — Nie zachowałam ostrożności.

Spotykamy się z bratem szafarzem już od tak dawna...

Nie chciałam tego, przysięgam! Teraz jestem

wykluczona ze wspólnoty.

— Nie sądź pochopnie. Decyzje podejmie Izba Reguły.

— Nasze prawo nie przewiduje odstępstwa.

— File jest świętą wysepką w pogańskim świecie. Musimy brać to pod rozwagę.

Łagodność Izis uspokoiła kobietę. Ale jej nadzieje stopniały, kiedy wkroczyła do sali Maat, Reguły wszechświata.

Stanąła naprzeciw trybunału, w skład którego wchodził

kapłan-senior, Izis i Sabni. Ten ostatni zabrał głos: reguła

świętyni, która nakazywała czystość tylko w krótkich okre-

sach poprzedzających inicjację, odradzała siostrom rodzenie

dzieci i zakazywała tego przełożonej. Ale odnosiła się do

epoki, w której całe mnóstwo neofitów ubiegało się o przyjęcie na wyspę. Teraz File jest skazana na wygnanie, odosobniona, dlaczego więc odrzucać dziecko, którego obecność symbolizuje przyszłość? Od tej pory siostra bibliotekarka ma zamieszkać pod jednym dachem z bratem szafarzem.

Kapłan-senior, który znowu stracił mowę, skinął głową. Isis ucałowała swoją siostrę.

Kiedy przełożona wyszła z Izby Reguły, podeszła do niej Ahure. Z wolna wspinając się po stopniach hierarchii, osiągnęła godność rytualistki. Wobec Isis często odgrywała rolę rzeczniczki wspólnoty.

— Nasze siostry obawiały się wyroku — wyznała.

— A ty?

— Byłam pewna, że okażesz się łaskawa.

Ahure, kobieta po czterdziestce, była zdumiewająco potężna. Silna, masywna, o kwadratowych ramionach, nie pozbawiona jednak kobiecości, czasem pozwalała się ujawniać własnej kokieterii i sięgała po przeróżne szminki. Isis czasem szukała u niej wsparcia jak u niewzruszonej skały zdolnej przeciwstawić się najgorszym wichrom, choć nigdy nie zrobiła z niej swej powiernicy.

— Surowość osłabiłaby wspólnotę. Musimy sobie wzajemnie pomagać, a nie odsuwać się od siebie.

— Nawet gdyby jedna z nas zdradziła?

— Jakże ty, która nami kierujesz, możesz myśleć o takiej zbrodni?

— Wróg zbliża się do świątyni — rzekła Izis. — Jutro będziemy walczyć. Czy wszyscy wyznawcy będą mieli odwagę poświęcić się ostatecznie?

— Nie masz prawa w to wątpić.

— Uspokajasz mnie, Ahure.

— Patrzą trzeźwym okiem, Izis. File jest naszym najcenniejszym dobrem, ostatnim wspomnieniem złotego wieku. Któż mógłby być dość szalony, by się tego wyrzec?

Nawet najmniejszy podmuch wiatru nie zakłócał bezksiężycowej nocy. Woda zachlupotała przy południowym krańcu kolumnady. W ostatniej chwili Sabni dostrzegł pomalowaną na czarno łódź dobijającą bezgłośnie do skały, za którą ukrył ją jej jedyne pasażer, kapitan Mersis.

— Dlaczego przybywasz osobiście?

— Nie wierzę już nikomu. Generał sprawuje stałą kontrolę nad garnizonem; jest podejrzliwy. Chcąc rywalizować z Narsesem, biskup narzuca nam ciągłą dyscyplinę. Można by pomyśleć, że dojdzie do konfliktu między obydwoma stronnictwami.

— Szczęśliwe wydarzenie.

— Nie ciesz się pochopnie. Jestem zaniepokojony, bardzo

zaniepokojony. Biskup, prefekt i Narses często się spotykają. Skoro nie powiodła się wyprawa do Nubii, została im tylko jedna kość do zgryzienia: File.

— Jakież konkretne decyzje?

— Nic o tym nie wiem.

— Może szykują inne projekty?

— Życzymy sobie tego. Jest wprawdzie dziwny dekret dotyczący środków sanitarnych...

— Epidemia?

— Ani śladu, oprócz głodu. Zapewne jakiś wymysł prefekta mający na celu usprawiedliwienie śmierci jego żołnierzy. Maksymian jest sprytny i jadowity.

— Wizyta w świątyni wywarła na nim wrażenie.

— Nie wierzę w to. Czy można przejrzeć kogoś takiego?

Wszystko potrafi poświęcić karierze. Elefantyna jest tylko krótkim etapem; jeśli zniszczenie File będzie decydowało o jego awansie, nie zawaha się ani chwili.

Powtarzam ci, boję się. Mój żołnierski instynkt rzadko mnie zwiódł: niech wspólnota będzie gotowa do ucieczki.

Izis obudziła Sabniego w środku nocy.

— Mój ojciec umiera.

Przełożony udał się szybko do siedziby kapłana-seniora, małego, białego, dwupiętrowego domku stojącego na prawo

od przystani, naprzeciw świątyni. Starzec leżał na wąskim łóżku, z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała. Na jego twarzy nie było widać żadnego cierpienia, ale słabe i zmęczone oczy błagały już o odpoczynek w rajach, gdzie nad brzegami kanałów ocienionych kwiatami i drzewami unosiły się dusze błogosławionych. Umierający prawą ręką uchwycił nadgarstek Sabniego. Wargi zadrżały; próbował przemówić. Izis pomogła ojcu się podnieść.

— Poszukujcie mądrości, moje dzieci, szukajcie jej aż do wyczerpania wszystkich waszych sił, aż do chwili kiedy śmierć ukaze się wam pod postacią uśmiechniętej bogini Zachodu, która zaprowadzi was do rajów naszych przodków, zanim strach zapadnie w serca zniwiarzy i rolników. Nie płaczcie nade mną, lecz nad naszym Egiptem, znad którego wycofuje się boskie światło. Re będzie musiał rozpocząć dzieło tworzenia od nowa. Słoneczna tarcza zasnuwa się, pokrywają ją grube chmury, a ludzie stali się ślepi i głusi. Niedługo rzeka się opróżni, zatrzyma się jej bieg, a muł nie użyźni obu brzegów. Zginą ryby i plaki, a kolejni najeźdźcy narzucą swoje prawa i gardzić będą naszymi świątyniami. Wszędzie zgiełk. Wszędzie krew dla zdobycia chleba, bolesny śmiech, zgłodniałe brzuchy. Synowie zwrócą się przeciw ojcom, bracia będą zabijać się wzajemnie, a zło zastąpi dobro. Państwem kierować będą złodzieje, klórzy sfalszują

wagi. Nasz kraj będzie tak chory, że nawet najslabszy stanie się potężny, by uciskać słabszych od siebie. Heliopolis, miasto słońca, w którym narodziły się bóstwa, zniknie pod zwalami głupoty i nienawiści. Nasza ziemia była tak szlachetna, tak podobna do gwiazdy porannej, łagodna jak niebiańska rosa, świeża jak wonie dnia zaczynającego rok. Wznosiła świąteczne ołtarze, łączyła się z rzeką żywicielką, z zaroślami papirusów, z białymi i niebieskimi kwiatami lotosu. Pamiętasz, Izis? Żeglowałem do wyspy, na której pod perseą czekała na mnie twoja matka o pachnących włosach. Jej cera lśniła, a oczy mówiły o miłości. Moja ręka pozostanie w twojej ręce, obiecała, a twoje szczęście będzie moją jedyną troską. Mogę pójść za nią, ponieważ ty także, moja córko, znasz drogę.

— Zostań — błagalnie powiedziała Izis. — Tak cię potrzebujemy.

— Śmierć jest dla mnie dzisiaj jak uzdrowienie. Uwolni mnie od starości, której już nie mogę udźwignąć.

Znika moje ciało, ale mój duch was nie opuści.

Kontynuujcie... Kontynuujcie dalej dzieło Imhotepa!

Imię wielkiego mędrca było ostatnim słowem, jakie wypowiedział kapłan-senior. Jego usta pozostały otwarte, oczy znieruchomiały. Izis przycisnęła do ciała głowę zmarłego; Sabni złożył na niej pocałunek pokoju.

— Teraz pozostaliśmy sami — powiedziała przełożona.

Izis przekazała wspólnocie wieść, że kapłan-senior wyruszył w szczęśliwą podróż w zaświaty, po czym nakazała bratu mumifikatorowi przystąpić do dzieła. Izis naruszała prawo — biskup oficjalnie zakazał dawnych praktyk. Kiedy ktoś umierał, pierwszą rzeczą, jaką należało zrobić, było skreślenie jego nazwiska z listy podatników, drugim opłacenie miejsca na jego pochówek na legalnym cmentarzu. Brat zamordowany podczas tragicznej procesji został pochowany we wspólnej fosie, zarezerwowanej dla ubogich. Senior kapłanów zasługiwał na lepszy los.

Wyznawcy wykapali się w basenach przeznaczonych do oczyszczających ablucji i natarli ciała oliwą. Nie ogolili się. Krzemiennym nożem mumifikator otworzył lewy bok trupa leżącego na kamiennym łożu, wyciągnął z niego wnętrzności, po czym długim metalowym hakiem wyekstrahował mózg przez lewą dziurkę od nosa. Po oczyszczeniu przepony palmowym winem zanurzył ciało w natronie, który miał pozbawić ciało wody. Ta boska sól przekształcała wysuszone i umyte ciało zmarłego w ciało Ozyrysa.

Izis umieściła na szyi ojca złotą kolumienkę *dzed*, symbol stałości wskrzeszonego po wielu próbach boga, oraz sępa z drogocennych kamieni, który przypominał o niebiańskiej matce. Posypała złotym pyłkiem cichą twarz zmarłego, ręce

i stopy. Głowa została przystrojona koroną z kwiatów.

Sabni namaścił mumię drogocennymi pachnidłami i owi-
nął ją w bandaże nasączone bituminem. W miejsce serca
złożył skarabeusza, obraz nieustającej zmiany. Ostatnim
całunem był żagiel. Czyż sarkofag nie był łodzią, która miała
wiecznie żeglować po niebie?

Na tabliczkach wypisano imię zmarłego, jego tytuły i for-
mułki pochodzące z *Tekstów piramid*, najstarszej świętej
księgi. Sięgała ona źródeł cywilizacji i została objawiona
cztery tysiące lat wcześniej w piramidzie króla Unasa. Prze-
kazywane z Domu Życia do Domu Życia przez jednego
mędrca drugiemu mędrcowi, przez jednego skrybę drugiemu,
teksty były nieustającym źródłem wiadomości udzielanej
adeptom. Podróżnikowi z drugiego świata dostarczały wie-
dzy o bramach, które musiał przekroczyć.

Mumię wyniesiono na dach świątyni. Tu znajdowała się
kapliczka, w której przedstawiono kolejne fazy zmartwych-
wstania Ozyrysa. Dusza kapłana-seniora po raz ostatni
zakosztowała ziemskiego słońca przed skąpaniem się w ener-
gii pierwotnego oceanu.

Członkowie wspólnoty skupili się na rozmyślaniach wokół
sarkofagu, po czym zeszli po schodach łączących dach z
salą o malowanych kolumnach.

— Nie przestawaj jeść ani pić — zaczęła psalm rytualist-

ka — przeżywaj nadal szczęśliwe chwile, połącz się z boginią, idź drogą serca. Niczego nie będzie można zarzucić sprawiedliwemu, który przemierzył boską ścieżkę. Spoczywasz na Zachodzie, ziemi pokoju. Ten, który milczy, odnajduje tu swoje źródło. Zapomnisz o tym co przelotne i niepotrzebne, będziesz pamiętać swoje imię i będziesz uczestniczyć w ucztach bogów.

Sarkofag został zakopany pod posadzką naprzeciw pierwszego pylonu. Ciężkie kamienie przykryły na zawsze grób kapłana-seniora. Jego pogrzeb, godny jego rangi, pozwoli mu w majestacie pojawić się przed świetlistym zgromadzeniem wskrzeszonych wyznawców.

Kiedy płyty posadzki powróciły na swe miejsce, Izis załamała się. Wstrzymała jednak łzy, zrezygnowała z darcia paznokciami kamienia i wydawania okrzyków rozpacz, które płynąc z ust płaczek, sięgały do nieba i wzbudzały litość bogów.

Takich istot jak zmarły nikt nie mógł zastąpić. Nie potrafi przyzwycząić się do nieobecności ojca, który wszystkiego ją nauczył; zawdzięczała mu wszystko, wielkie i małe radości, poczynając od dziecięcych zabaw aż po najbardziej abstrakcyjne nauki. Przewyciężył boleść, jakiej doświadczył, gdy jego małżonka odeszła w trzy lata po narodzeniu się Izis. Prowadził córkę ku poznaniu tajemnic, nie narzucając jej

niczego prócz poszanowania Reguły świątyni.

Przełożona nie miała prawa pograżać się w bólu; wspólnota domagała się jej pocieszającej obecności. Ahure chciała ją ukoić, lecz nic nie rzekła, gdyż słowa wydawały się jej zbyt błahe. W tej chwili Izis zdawała się być daleko od siostr — jej dusza żeglowała po jednym z tych tajemnych regionów, które przebiega nocne słońce, szukając miejsca swego odrodzenia. Przełożona błąkała się po świątyni, o której ojciec mówił, że powstała, kiedy ziemię jeszcze pokrywały ciemności, zanim się pojawiło jakiekolwiek stworzenie, roślina, kamień czy zwierzę. Weszła do warsztatów, do piekarni, do czystej rzeźni, badając członki wielkiego kamiennego ciała, w którym w szczęśliwych czasach liczny personel przygotowywał potrawy na boski stół, zanim pożywił się świętymi ofiarami i myślami Stwórcy. Przeszła wzdłuż muru sanktuarium narodzenia, gdzie bogini Izis karmiła piersią syna Horusa; mleko gwiazd czyniło go tak świetlistym jak jasność samych początków.

Zatrzymała się przed wielką granitową stelą wznoszącą się przy wschodnim nabrzeżu drugiego pylonu. Ojciec nauczył ją czytać tekst mówiący o poddaniu się Krainy Dwunastu, do której należała również część Nubii. Świątynia File, w której posiadaniu pozostawały liczne i bogate ziemie, składała hołd wszechobecnemu na murach faraonowi. Nie-

wzruszony, wzniosły, obojętny na czas profanów, z głową w niebiosach i nogami na ziemi, patrzył na inny świat, którego energią była krew ostatniej egipskiej wspólnoty. Prowadził ją przez nieprzewidywalne, przez niepewne drogi cierpienia, przez szaleństwa epoki. Izis zapomniała, że świątynia nie królowała już w sercu miasta i że tam barbarzyństwo zmuszało ludzi do czołgania się w ich własnych nieczystościach.

Kapłan-senior nie chciał poddać się najeźdźcom zniewalającym ciała i umysły. Z uporem właściwym starym przewodnikom stada, którym pogoń sfory myśliwskiej tylko przydaje siłę, nawet po śmierci chronił święty obszar. Jego mumia stała się progiem świątyni.

Izis weszła na wielki dziedziniec.

Nagle zauważyła obcą sylwetkę.

Szedł ku niej, chwiejąc się na nogach, młody, piętnastoletni chłopak, nagi, przemoczony, wyczerpany. Podeszła do niego.

— Kim jesteś?

— Mam na imię Chrestos. Dopłynąłem tutaj. Chcę do-
stąpić inicjacji.

— Skąd pochodzisz?

— Z Elefantyny. Ojciec chciał mnie zmusić, abym wstąpił do wojska. Uciekłem. Nie chcę być żołnierzem, lecz kapłanem Izis.

Wątki, niemal rachityczny chłopiec wyraźnie przecenił swoje siły. Niezdolny ustać dłużej na nogach, upadł na kolana. Izis zawołała o pomoc. Przybiegł Sabni w towarzystwie kilku braci, którzy nałożyli Chrestosowi przepaskę i dali mu trochę chleba.

— Źle pływam — przyznał — ale wolałbym się utopić, niż zostać zamknięty w koszarach. Chcę żyć tutaj.

— Nie mamy prawa cię przyjmować.

— To dusza mojego ojca sprowadziła tutaj tego postulanta. Czy naprawdę chcesz poznać tajemnice?

Twarz Chrestosa rozjaśniła się.

— Co noc śnię o świątyni. Zadawałem tysiące pytań, na które nikt nie chciał odpowiedzieć. Próbowano mnie zniechęcić. Jedni twierdzili, że File jest siedliskiem demona, inni, że to kryjówka czarnoksiężników. Boją się was i nienawidzą. W moim zamiarze utwierdził mnie pasterz. Tam, po wiedział, wskazując na świętą wyspę, płynie ostatnie źródło mądrości. W dniu, w którym wyschnie, ciemności ogarną świat.

Sabni przeszedł tę samą drogę, podjął te same kroki, wypowiedział te same słowa. Tylko silny wewnętrzny ogień otwierał drzwi do wspólnoty. Lecz Chrestos był przestępcą: jego obecność na File musiała pociągnąć za sobą interwencję policji.

— Jestem skłonna go przyjąć — osądziła Izis, którą chłopiec pożerał wzrokiem.

Gdyby przełożony zgłosił sprzeciw, petent zostałby bezapelacyjnie odrzucony. Ani Sabni, ani Izis nie mogli podjąć decyzji bez zgody drugiego.

Sabni zrezygnował z przytaczania rozsądnych argumentów, które Izis знаła równie dobrze jak on, i oddalił się, pozostawiając Chrestosa z jego nadzieją. Ponieważ Izis nie odchodziła, ten ostatni postanowił pójść za jej przykładem.

Była to pewnie pierwsza próba... Osiągnąwszy swój cel, gotów był się wykazać nieskończoną cierpliwością.

Kiedy wrócił Sabni, niosąc naczynie wypełnione wodą, Izis doznała jednego z tych szczęśliwych wzruszeń, których echo przepada gdzieś dopiero na tamym świecie.

Celebrując rytuał powitania, przełożony obmył nogi neofity.

— Rytualistka przygotowuje ci łóżko. W twojej celi przez całą noc będzie paliło się światło. Ofiarujesz libację * bogom, gdyż zawdzięczasz im życie. Jutro o świcie potwierdzisz dzisiejsze zobowiązanie: jeśli postanowisz zrezygnować, ode

jdiesz natychmiast.

Noc sprzyjała Chrestosowi. Samotny w głębi świątyni, uwolniony ze świeckich więzów, rozmawiał z płomieniem lampki. Jego dusza tańczyła wraz z nim. Poznawała gorliwie sekrety przekazywane przez te odwieczne miejsca. Wyzwolony od czasu, z radosną duszą, z sercem bijącym jak u kociołka... Ileż szczęścia w chwili, która nie umykała, lecz zapisywała się w pamięci niczym niewzruszone słońce zwyciężające miriady mroków. O bratnia nocy, w której nie pojawiały się demony z głowami osłów, uzbrojone w noże, lecz cienie przyjaciół i bliskich, przyjazne i bliskie chłopcu. Chrestos odnalazł swoje miejsce. Te surowe mury były jego

* W starożytności wylewanie napoju na ofiarę bogom.

powiernikami, a cisza napełniona głosami mędrców przenosiła go w sen równie rzeczywisty jak kamienie File. Jakże piękny będzie poranek jego inicjacji!

— Czy chcesz przynależeć do naszej wspólnoty? — zapytał Sabni.

— Jeżeli pokierujesz mną na drodze życia, dam ci moje życie.

— Obróć głowę ku niebu. Nie wchodź do świątyni w stanie nieczystości, nie kłam ani nie pożądam. Niezłomnie szanuj Regułę. Nie objawiaj tego, co poznasz w tajemnicy, nie pozwól zrodzić się w sercu żadnej

niszczycielskiej myśli. Zrezygnuj z własnej woli, by spełniać wolę Zasady. Bądź posłuszny, albowiem ta cnota uwolni cię od siebie samego. Wspólnota będzie cię chronić i otworzy przed tobą bramy świątyni, jeśli okażesz się godny zadań, które ci powierzymy.

Będziesz oczyszczał się wodą trzy razy dziennie, jadł z umiarem, dbał o nienaruszalność świątyni, naszego najwyższego dobra. Czy zobowiązujesz się spełniać te obowiązki?

— Przyjmuję je całym moim jestestwem.

— Przyjmij ten uścisk, który uczyni cię jednym z braci.

Sabni i Chrestos złożyli sobie powinszowania. Izis ucałowała chłopca, którego policzek zmoczyły łzy przełożonej.

Jakże miła i ciepła była ta radosna rosa, która witała narodziny wyznawcy! Kapłan-senior własną śmierć zamienił w cud.

— Od tej chwili musisz być odważny.

— Nikt nie oskarży mnie o tchórzostwo.

— Musisz zostać obrzezany, jak każdy z braci.

Chłopiec mężnie uniósł głowę. Brat rzeźnik posmarował jego członek maścią o znieczulających właściwościach, ale kiedy nóż naruszył napletek, nowy wyznawca nie potrafił powstrzymać krzyku.

Z okazji narodzin brata wydano skromny niestety bankiet,

na którym znalazło się jednak kilka dzbanów wina pochodzących z niemal zupełnie wyczerpanych zapasów świątyni. Każdy poprzysiągł, że dotrzyma tajemnicy. Żaden profan nie mógł się dowiedzieć o obecności Chrestosa na File.

Izisz rozmyślała o jego imieniu: czyż nie było podobne do imienia Chrystusa, boga chrześcijan, którzy chcieli zniszczyć świątynię? Dziwny znak, zaiste.

Kiedy kończyła się zabawa, brat odpowiedzialny za pilnowanie przystani powiadomił Sabniego o zbliżającej się łodzi. Siedziało w niej dwóch żołnierzy. Przełożony rozpoznał ich: należeli do oddziału, który towarzyszył mu w drodze do świątyni Chnuma.

— Biskup chce mówić z tobą. Płyniesz z nami.

— Teodor... czy to na pewno on?

Biskup przewidział takie pytanie. Jeden z żołnierzy wyciągnął krzyż, który zwykle nosił na piersi pan Elefantyny.

Uspokojony Sabni wsiadł do łodzi.

Niemal natychmiast ogarnęły go kolejne wątpliwości: czy wiadano już o ucieczce Chrestosa?

Na łódce nie padło ani słowo, dopóki nie dopłynęli do pustego pomostu, na którym czekał biskup, który pociągnął Sabniego do palmowego gaju, miejsca przechadzek i medytacji. Tutaj cień wysokich drzew zapewniał spokój i świeżość.

— Mam złe nowiny.

— Dla mnie czy dla ciebie?

— Nie ironizuj, Sabni. Nie jestem odpowiedzialny za wasze protesty.

Jakie argumenty mógł mu przeciwstawić Sabni? Przyjmując zbiega, którego pewnie uznają za dezertera, File popełniła ciężkie przewinienie.

— Cesarz domaga się całego zbioru papirusów — wyznał Teodor. — Zminimalizuję zbiory, ale muszę obciąć partię łożdyg przeznaczoną dla świątyni.

Początkowe uczucie ulgi ustąpiło oburzeniu.

— Dobrze wiesz, że potrzebujemy papirusu do pisania, wyrobu mat, koszy, lin, sandałów i...

— Oczywiście, ale dekret własnoręcznie podpisał sam cesarz; prefekt już się zajmuje organizacją transportu.

— Czy wolno nam chociaż będzie chodzić do lasu na północ od miasta?

— To teraz teren wojskowy. Żołnierze bronią wejścia cywilom.

— Pozbawić nas papirusów... Któż mógł wymyślić takie okrucieństwo?

— Chrześcijanin nie obawia się żadnego cierpienia; Chrystus cierpiał za nas, Ozyrys nie.

— Ozyrys naucza zmartwychwstania. Ból nie jest drogą

do osiągnięcia pełni, lecz bólem: oblekanie go w inne szaty to oszustwo.

— Królestwo nadejdzie niebawem. Boska rasa wywodząca się od niebiańskiej ryby będzie mogła je osiągnąć. Umacnia swoje serce, gdyż karmi ją Pan, którego słowa są jak miód. Jesteś moim przyjacielem: nawróć się, a zostaniesz moim bratem. Cóż cię obchodzi papirus? Bóg jest bliżej ciebie, niż mógłbyś sądzić.

— Jeśli tak jest w istocie, nie jest Bogiem. Potęga stworzenia nie mogłaby być blisko człowieka; wyraża się w nim jedynie, zawsze daleka, często zniekształcona. Tylko Reguła świątyni może ją zmienić. Przypomnij sobie słowa naszych ojców: wykrzywione drzewo porzucone w polu wysycha i kończy swój biedny żywot w ogniu. Jeśli ręka rzemieślnika prowadzona przez Boga podniesie je z ziemi, to je wyprostuje i zrobi z niego berło dla mędrca.

— Tylko ufna wiara poprowadzi cię do prawdy.

Promień słońca wśliznął się między liście palm i oświetlił obu mężczyzn.

— Daj nam chociaż kilka łądyg, Teodorze. Użyjemy ich, by wytworzyć ostatnie zwoje i zapisać najważniejsze obrzędy.

Biskup zawahał się. Sabni nie poprosi go po raz drugi.

— Idź do składu i napełń swoją łódź. Weź tyle, ile zdołasz
unieść.

Po wnikliwej inspekcji elitarnego oddziału generał Narses dosiadł konia i ruszył do katarakty. Co wieczór zatrzymywał się przy tym samym granitowym bloku, u stóp którego grzmiały spiętrzone wody. Siedząc na płaskim szczycie od czasu do czasu zalewanym falą, spoglądał na boską rzekę, od której zależała pomyślność Egiptu. Właśnie tutaj, w zdarzeniu z kamienną zaporą, dawała świadectwo swej nieujarzmionej siły. Nieposkromiony Nil zostawiał błotnisty muł, gdzie tylko zechciał. Dlaczego w tym roku okazał się taki skąpy? Odpowiedzi można było szukać jedynie w niebie, tam gdzie nurt pojawiał się, zanim wyłobił sobie szeroką bruzdę na ukochanej przez bogów ziemi. Narses zasmakował w niepewności. Nie chciał wiedzieć, przewidywać, organizować. Jakże słodko było godzić się z niepewnością Nilu i poddawać mu się bez walki!

Jutro zapewne przyjdzie ruszyć w niebezpieczną drogę i walczyć w Nubii. Dzięki niekorzystnemu wylewowi wielkie Południe było niedostępne. Otrzymał od losu bezcenny prezent; będzie mógł z niego korzystać, jak długo sytuacja pozostanie bez zmian. A to, że prefekt i biskup wzajemnie unieszkodliwiali swoje działania, jemu sprzyjało.

Jego podanie o przeniesienie, poparte przez Maksymiana, było w drodze do Bizancjum. Nie bardzo wierzył, że rzecz

się uda. Cesarz pomyśli, że to chwilowa decyzja, znów zacznie domagać się nubijskiego złota, po czym mianuje go generalnym dowódcą jakiegoś oddziału wyruszającego do Azji. Po raz pierwszy w życiu Narses zaczął się modlić z głębi serca: błagał kataraktę, by na zawsze okazała się nie do przebycia.

Dobrze ubrany gruby mężczyzna zjawił się na policyjnym posterunku porządnie zamroczony alkoholem. Krzyczał i gestykulował. Oficer wyrzucił go za drzwi, lecz mężczyzna uparł się, że musi złożyć skargę. Odwoła się do prefekta i do cesarza. Jeden z policjantów rozpoznał go: ten rozeźlony człowiek był szefem gildy handlarzy figami. Sam z siebie mógł wstrzymać dostawy owoców. Czując się niekompetentnym, oficer zaprowadził go do koszar i oddał w ręce specjalisty od trudnych przypadków, kapitana Mersisa.

— Nazywam się Apollon.

— Jesteś pijany.

— Mam swoje powody, kapitanie.

— Przeciwko komu chcesz wnieść skargę?

— Przeciw File.

Pewnie jakiś egzaltowany chrześcijanin. Mersis nie przejął się.

— File nie istnieje.

— Co mówisz...?

— Świątynie są od dawna zamknięte.

— Ale nie ta!

— Prawnie, owszem. To opuszczony budynek.

— A żyjąca tam wspólnota?

— Nie figuruje w naszych rejestrach.

— A jednak płaci podatki!

— To nie należy do moich kompetencji.

— Żartujesz...

— Dostosowuję się do rzeczywistości administracyjnej.

Przez twarz Apollona przemknął zły uśmiech.

— Kiedy chłop porzuci swoje pole i ucieka, to jest...

wykroczenie?

— Nawet karane więzieniem.

— A nawet przymusowymi robotami?

— W niektórych wypadkach.

— Jeden z moich podwładnych tak uczynił. Macie go aresztować.

— Jak się nazywa?

— To mój syn, Chrestos.

— Twój syn?

— To moja sprawa. Porzucił dom dla świątyni; wyznawcy

Izis przyjęli go. Składałam na nich skargę. Chcę, aby

oddano mi Chrestosa i skazano ich wszystkich.

— Musisz najprzód wypełnić formularz.

— Mam czas.

— Czy umiesz pisać i czytać?

— Tylko liczyć.

Jeśli Apollon mówił prawdę, istnienie File było zagrożone.

Mersis musiał natychmiast znaleźć rozwiązanie.

— Kiedy wyślesz żołnierzy na wyspę?

— Istnieją odpowiednie procedury. Czy ktoś oprócz ciebie wnosi skargę?

— Tylko ja. Czy to nie wystarcza?

— Czy komuś wspominałeś o tej ucieczce?

— Nikomu. Za bardzo się wstydziłem. Wolałem się upić.

Teraz mogę się zemścić!

— Czy masz dowód, że twój syn ukrywa się na wyspie?

— Jestem tego pewien. Nie chciał zostać żołnierzem. Od dziecka chciał należeć do świątyni.

— A więc nie ma konkretnego dowodu.

— Przeszukajcie wyspę.

— W jakim charakterze Chrestos pracuje w twojej posiadłości?

— W jakim charakterze...? Nie rozumiem.

Mersis sięgnął po leżącą na półce drewnianą tabliczkę.

Wyrył na niej krótki tekst po grecku.

— Czy twój syn ma status niewolnika?

Handlarz zaczerwienił się.

— To mój syn! Przestań obrażać moją rodzinę!

— Dlaczego nie ma go na liście podatkowej, skoro jest wolnym pracownikiem?

— Kapitanie... To przecież tylko dziecko...

— Ale zasłużyło na przymusowe roboty. Wiek nie ma znaczenia: powinieneś go zadeklarować jako podatnika.

— Mówiłeś, że ta dziedzina nie przynależy do twoich kompetencji...

— Przekażę informacje odpowiedniej osobie. Wystarczy, że wpiszę twoje nazwisko na tę tabliczkę.

— Co ryzykuję...?

— Dożywotnie więzienie.

— Może znajdziemy jakiś sposób?

— Czemu nie?

— Czego żądasz?

Mersis udał, że się zastanawia.

— Wycofasz skargę, zapomnisz o Chrestosie i, co ważniejsze, powierzysz mi kilka srebrnych monet. Armia jest biedna.

Apollon opróżnił sakiewkę przypiętą do pasa.

— Wystarczy?

Mersis pochylił się, licząc monety.

— Gdybyś przyniósł mi jeszcze dwie czy trzy dodatkowe

monety, moglibyśmy zostać przyjaciółmi. Zapomniałbym nawet o tym, że masz syna.

Handlarz zaczął mruczeć pod nosem. Kapitan złamał drewnianą tabliczkę. Możliwie najszybciej dostarczy ten mały skarb na File, której zasoby finansowe topniały z dnia na dzień.

Najlepszy złotnik Elefantyny właśnie wykańczał bransoletę. Kiedy prefekt Maksymian wszedł do jego pracowni, poczuł się zaszczycony i zaniepokojony. Czego chciał ten możny pan? Gdyby chodziło o rekwizycje, przyszedłby z patrolami.

Rzemieślnik uklonił się.

— Twój pokorny sługa, panie.

— Mówią, że nie ma jak twoje klejnoty.

— Zwykle pochlebstwo...

— Pokaż mi swoje arcydzieła.

Rzemieślnik nerwowo sięgnął po drewnianą skrzynkę.

Na białym płótnie rozłożył kolię i kilka bransolet przeznaczonych do noszenia na rękach i kostkach nóg.

— Wspaniale — ocenił prefekt.

Chrestos czynił szybkie postępy. Rano obrabiał drewno i kamienie w towarzystwie Sabniego. Po południowym posiłku Izis uczyła go czytania hieroglifów i pisania; prowadziła jego rękę, uczyła go rysować bez drżenia dłoni jednym pociągnięciem skrzydło ptaka, nogę człowieka czy zapieczętowny papirus. Później nowy adept wysłuchiwał lekcji wytwórcy maści, a później rytualistki. Jego pragnienie wiedzy było nieugaszone, a zmęczenia wcale nie odczuwał. Po kolacji wdrapywał się na dach świątyni, gdzie przełożona tłumaczyła mu, jak rozszyfrowywać przesłanie gwiazd.

Tej nocy Izis nie udało się ukryć znużenia. Chrestos, świadom, że ją męczy, zadawał mniej pytań. U boku Izis cieszył się z ciszy nocy, która chroniła sanktuarium. Jednak nie wytrwał długo, milcząc.

— Jestem szczęśliwy, Izis.

— Świątynia jest radością dla serca. Większa radość nie istnieje.

— Wydajesz się zmęczona.

— Jesteś niedyskretny.

— Twoja siła jest naszą siłą. Jeśli ty osłabniesz, cóż stanie się z nami?

— Przyszłość wspólnoty nie zależy od jednej tylko istoty.

— Dzisiaj tak. Nie jestem tutaj od dawna, ale te prawdę

już odkryłem. Jeśli ty i Sabni znikniecie, znikniemy i
my.

— Twoje sądy są niezbite, neofito.

— Mam oczy do patrzenia i nie godzę się z hipokryzją.

— A może wrócimy do badania gwiazd? Posłuchaj głosu
naszych przodków, przekazywanego przez światło.

Oby nasze zamiary dorównywały szczodrobliwości ich
zamiarów; ich prawda jest bowiem największym z
możliwych bogactw, skoro prowadzi nasze myśli na
drodze poznania.

Bracia piekarz i stolarz poprosili przełożonego o spot-
kanie. Sabni przyjął ich w domu, który przedtem należał do
kapłana-seniora, a teraz był jego domem. Mężczyźni — obaj
dobiegający sześćdziesiątki — mieli czasem zastrzeżenia co
do decyzji przełożonej, nigdy jednak nie sprzeciwili się jej
głośno. Kiedy razem podejmowali jakieś kroki, długo się
przedtem zastanawiali. Sabni od razu przystąpił do rzeczy.

— Mówcie.

— Mów ty — powiedział piekarz do stolarza.

— To delikatna sprawa... Może byś nam pomógł?

— Jesteśmy braćmi. Nic was nie może krępować.

Byli podobni do siebie: krępi, mocne nogi, szerokie
piersi, twarze okrągłe, z podwójnym podbródkiem.

— To prawda — przyznał piekarz. — Ale czasem trud

no...

Surowe spojrzenie Sabniego onieśmiało go. Stolarz po-
spieszył mu z pomocą.

— Jesteśmy braćmi i winniśmy wszystko sobie mówić.

Izis popełniła poważne błędy: procesja, wizyta w grocie...

Nasz prestiż ucierpiał. Jako przełożony powinieneś coś
zrobić.

Podniósł głos, zadowolony ze swojej przemowy.

— Zgadząmy się walczyć z biskupem pod warunkiem, że
nie będziemy podejmować bezsensownego ryzyka.

Jesteś przyjacielem Teodora: pozbądź się Izis, która
jest zbyt niebezpieczna. Dwoje do rządzenia to o jedno
za wiele; niech się zajmie odprawianiem obrzędów.

— Czy jeszcze jacyś bracia myślą podobnie?

— Jesteśmy najbardziej doświadczeni.

— Czy to aby nie wam Izis odmówiła prawa do wtajem-
niczenia w misteria zakrytej świątyni?

Ani stolarz, ani piekarz nie odpowiedzieli.

— Widziałem raporty pisane przez kapłana-seniora
i przełożoną. Uwierzycie, że stworzyliście arcydzieła, jakich
wymaga nasza Reguła. Natomiast ty zrobiłeś koślawe krzes-
ło, a ty piekłeś chleb w sposób dyletancki. Wasza praca to
obraza naszej wspólnoty. Wasza znajomość hieroglifów jest
powierzchnowa. Udało wam się jedynie ujawnić wasz brak

godności. Nie liczcie na moją wyrozumiałość: nic nie uspra-
wiedliwia lenistwa. Wypełniajcie codzienne obowiązki i po-
zbądźcie się złości, która zatrzuwa myśli. W przeciwnym razie
nie postąpicie kroku naprzód.

Obaj bracia popatrzyli na siebie zbici z tropu.

Głód nie dotknął świątyni. Za srebrne monety kapitana
Mersisa Sabni zakupił dużo mąki. Łodzie dostarczyły ją
przed świtem, zanim patrole zaczęły krążyć na brzegu.

Zapał Chrestosa okazał się zaraźliwy. Kilku braci, mimo
ciężaru lat, czyściło płaskorzeźby niszczone przez pustynny
wiatr. File jakby przestała zamykać się w sobie i zaczęła
pełniej oddychać. Siostry naprawiły instrumenty muzyczne,
utkały białe suknie z resztek lnu i wyszorowały posadzki
komnaty narodzin, gdzie za kilka miesięcy miał przyjść na
świat nowy adept. Wspólnota wyrwała się z letargu, który
wydawał się śmiertelny. Od świtu do nocy przełożony
biegał ze świątyni na dziedziniec, z cel do krypty, to
zachęcając, to doradzając, to sprawdzając. Kiedy tylko jedna
praca dobiegała końca, proponował nową, trudniejszą.

Izis osiągnęła postępy w studiach nad rytuałem dalekiej
bogini. Jej praca nie pójdzie na marne, skoro File niebawem
powróci do życia. Wielokrotnie wyrzucała sobie roztarg-
nienie, myślała o Sabnim i o tym, czy mu się powiedzie. Ale
czy uda się jej przekształcić skazane na zgrzybiałość zgro-

madzenie w bractwo pełne ożywczych sił? Pojawienie się Chrestosa, bliskie narodziny... Znaki mnożyły się. Po tylu latach beznadziei Izis dostrzegła weselszy krajobraz, miała ochotę się odprężyć, powierzyć komuś swe wątpliwości i marzenia. Kiedy Sabni wreszcie to zrozumie?

Chrestos rozszyfrowywał linijki bardzo starego pouczenia, które faraon przeznaczył dla swojego syna:

Niespokojny człowiek wprowadza zamieszanie do wspólnoty. Wnikaj w swoje życie i nie zajmuj się zadowalaniem samego siebie, gdyż staniesz się nędznikiem. W godzinie sądu trybunał w zaświatach nie okaże żadnej litości. Dla niego całe twoje życie będzie jak jedna godzina. Odważ się wkroczyć na najtrudniejsze drogi: to one prowadzą umysł do poznania. Bóg rozpoznaje tych, którzy pracują na jego chwałę. Bądź budowniczym. Z twojego wysiłku zrodzi się radość, a z radości mądrość.

Neofita starannie zwinął papirus.

— Czy człowiek może osiągnąć ten ideał? — zapytał

Sabniego.

— Naszym ojcom się to powiodło. Ta świątynia istnieje, gdyż przeżywali niebo na ziemi.

— A ty?

— Ja jestem młodym przełożonym, równie niedoświadczonym jak nowicjusz, z którym rozmawiam.

Zajmujemy różne stanowiska, lecz nasze zadania są równie wielkie.

— Spędziłeś tutaj wiele lat.

— Masz w sobie żarliwy ogień ucznia.

— Czy on później wygasa?

— Zmienia się i rośnie. Jest mniej gwałtowny, ale potęż-

niejszy; później nadchodzi chwila pewności podobna

do słońca, które nigdy nie zachodzi. Życzę ci tego,

Chrestosie. Będziesz należał wtedy i do tego, i do

innego świata. Bóg jest w światłości świątyni, którą

kształtujemy wspólnie z naszymi przodkami i

następcami. Niech twoja inteligencja zinterpretuje

moje słowa, a serce je zastosuje w życiu.

— Sabni, czy słuchasz swojego serca?

— Czyżby moja nauka cię rozczarowywała?

— Wykracza poza moje najśmielsze oczekiwania.

— To skąd to pytanie?

— Jestem bardzo młody i nie mam prawa tak mówić. Ale

wspólnota stałaby się silniejsza, gdyby...

Chrestos zawahał się. Posuwał się za daleko.

— Co chcesz mi poradzić?

— Nie zaniedbuj tych, którzy kochają cię bardziej niż

siebie samych.

Nowy adept odzyskał spokój. Zaczął kreślić hieroglify na

odłamku naczynia. Starał się narysować tron z wysokim oparciem, symbol bogini Izydy.

Prefekt przybił do brzegu koło kiosku Trajana. Marynarz ściągnął biały żagiel wydęty przez wiatr. Maksymian, wybierając się w tę krótką podróż, obył się bez eskorty. Ledwo postawił stopę na wyspie, napotkał Sabniego, którego uprzedził strażnik.

— Chcę mówić z przełożoną.

— Pracuje ze swymi siostrami.

— Zawiadam ją, że tu jestem.

— Obiecay mi najprzód, że się stąd nie ruszysz.

Sabni zachowywał się jak przywódca niepokonanej kohorty, który niczego się nie lęka ze strony wysłannika cesarza.

Zawstydział Maksymiana. W ciągu całej swojej kariery prefekt nie tolerował najmniejszych nawet uwag pod swoim adresem, ale czyż Izis nie była godna najwyższych ofiar?

— Masz moje słowo. Pospiesz się.

Sabni wolnym krokiem podszedł do pierwszego pylonu.

Maksymian z każdą chwilą bardziej go nienawidził. Czekał ponad godzinę na prażącym słońcu, ale nie zwracał na nie uwagi. W chwili kiedy zobaczył Izis, kapłanka wydała mu się nadziemskim zjawiskiem, a świątynia rajem.

— Przyniosłem prezent.

Maksymian otworzył skrzynkę. Złote klejnoty zaśniły

pełnym blaskiem.

— Są wspaniałe — przyznała. — Przyozdobię nimi boskie posągi.

— Przyniosłem je dla ciebie.

— Dawniej włożyłabym je na wielkie święto. Przełożona powinna była wyglądać jak najpiękniejsza z kobiet.

Ale nie zapominała o tym, że jej kosztowności pochodziły ze świątyni i powracały do niej.

— Czeka nas nowe świętowanie. Te ozdoby są ich zapowiedzią, jeśli zgodzisz się zostać moją żoną.

Zdziwiony własną odwagą Maksymian nie śmiał podnieść wzroku na Izis. Bał się zdecydowanej odmowy. Tymczasem głos przełożonej był cichy i spokojny.

— Nasza Reguła zabrania mi małżeństwa z profanem.

— To przebrzmiały zwyczaj. Kiedy zostaniesz moją żoną,

File odżyje. — Prefekt natychmiast pożałował tych

groźnych słów. Czy nie zabrzmiały jak szantaż i ona

nie odwróci się od niego? — Tobie zależy na świętej

wyspie, Izis, a mnie zależy na tobie.

Bracia i siostry stali pod kolumnadą i zastanawiali się,

jaki był powód kolejnej wizyty prefekta. Ahure zapropono-

wała, by użyć przemocy: jest ich dość dużo, wrzucą wrogów

do Nilu. Sabni kazał jej zamilknąć. Obrażona udała się do

swojej celi.

— Popatrz na te załężnione istoty — powiedział Ma
ksymian, wskazując na członków wspólnoty. — Tylko ja
mogę sprawić, by wyzbyli się trwogi. Z miłości do Izydy,
żeby zdobyć ciebie, zagwarantuję świątyni przeżycie.
Oblicze przełożonej pozostało nieprzeniknione. Czy wal-
czyła ze sobą? To, że nie odrzuciła gwałtownie jego propo-
zycji, uspokoiło go; pewnie uczynił decydujący wyłom.
— Wróć, Isis. Nie zawieź mnie.

Dokumenty przechowywane na File nie określały dokładnie imion mędrców, których należało wzywać, by ceremonia powrotu dalekiej bogini okazała się skuteczna. Izis wydawało się, że wie, gdzie ich szukać: na zachodnim brzegu, w jednym z grobowców wzniesionych ku pamięci zdobywców niezbadanych szlaków wielkiego Południa za czasów Starego Państwa. Porzucone od dawna miejsce mogło być siedzibą błakających się duchów. Przełożona nie miała prawa narażać się na takie ryzyko, ale Sabniemu nie udało się jej przekonać. Czyż przyszłość File nie zależała od rytuału, który tchnie we wspólnotę niezbędną energię? Izis była przekonana, że to, co się tam wydarzy, otworzy przed nią nieznany świat. Uprzedzili o swojej wycieczce starą tkaczkę, która podczas ich nieobecności miała doglądać pracy braci i sióstr.

Wyruszyli w chwili, kiedy szczyty gór mieniły się na różowo. Sabni manewrował lekką łodzią, która gnana świeżym porannym wiatrem rwała po srebrzystej wodzie. Jak wszyscy synowie prowincji, przełożony wcześniej nauczył się żeglować. Często bawił się, skacząc z jednej łodzi do drugiej, gdy ściagały się po wodzie w szaleńczych igraszkach. Wykorzystywanie prądów wymagało wielkiej wprawy. Teraz Sabni posuwał się ostrożnie do przodu, okrążył wyspę Elefantyń,

przepłynął przed granitowymi murami chroniącymi forty i skierował dziób łodzi w stronę zachodniego zbocza góry. Ukryli łódź w listowiu, a potem odnaleźli drogę w gęstych zaroślach. Dotarli do długich prowadnic na stromym zboczu, które kiedyś służyły do wciągnięcia sarkofagów do wejścia do grobów.

Sabni wziął ze sobą makietę łodzi w kształcie antylopy, którą chciał ofiarować bogu śmierci, jedynemu mieszkańcowi tych cichych samotni. Droga pod górę była długa i uciążliwa; piasek obsuwał się, a każdy krok wymagał wysiłku. Gdy docierali do skalnej platformy, Sabni chwycił Izis za rękę; ruch był tak gwałtowny, że oparła się o niego: przez chwilę stali ciało przy ciele. Wyczuła jego zmieszanie i odsunęła się łagodnie.

Usiedli, by nabrać tchu. U ich stóp płynęła boska rzeka; opływała liczne wysepki, kierując się majestatycznie w stronę File, by w końcu wpaść na skały katarakty. Nieruchome niebo wypełniało ich spojrzenia żarliwym błękitem; białe żagle rysowały się na rzece, a prom pełen wieśniaków i zwierząt właśnie odbijał od zachodniego brzegu. Para wędrownych sokołów wzbiła się ku słońcu.

— Sabni, nasze życie powinno przypominać tę rzekę. Wiecznie podobne sobie i bez przerwy odnawiające się.

— Jesteśmy niedoskonali i kalecy.

— Ale służymy bogini.

Izyda, matka Boga, ozdoba nieba, przedmiot pożądania zielonych pól, pokarm zasypujący świat swym pięknem, zapach świątyni, pani radości, deszcz ożywiający pola, słodycz miłości... Wtajemniczyła Sabniego w jego funkcję, wznosząc go ponad niego samego. Czy Izyda nie wcielała się w tę kobietę o czarnych włosach, bardziej lśniących niż blask nocy, bardziej mięsistych niż dojrzałe winne grona, o zębach bielszych niż mleko gwiazd, twarzy słodszej od owoców sadu i świeższej od studziennej wody, a nogach zgrabniejszych niż nogi gazeli?

— Poszukajmy grobowca.

Kamienistą ścieżką ruszyli na szczyt skalnego nabrzeża, aż dotarli do porzuconych grobowców. Niektóre przedstawiały rozpaczliwy widok: podpalone kapliczki szerniały od dymu, pozbawione głów i poprzetręcane posągi, wyrwane lub polane wapnem płaskorzeźby. Kilka wiecznych schronień obroniło się jednak przed gniewem chrześcijańskich obrazoburców. Na ścianach widniały w niezmaconych barwach sceny polowań, połowu ryb, bankietów, walk i zabaw. Wesole życie dawnych czasów przypominało, że zdobywcy niezbadanych ziem powrócili do Elefantyny, by zaznać spokojnej starości. Z wysokości swoich grobowców mogli

oglądać po wieczne czasy harmonijny obraz krainy, w której zakończyła się ich tułaczka. Nubijskie złoto ofiarowali bogom; w zamian bogowie dali im sławę i fortunę. Jak głosił jeden z hymnów wyrytych na ścianie, drogocenne kamienie toczą się strumieniem z wnętrza góry Zachodu, kryją się w gęstwinie papirusów, by pojawić się na skrzydłach wrót świątyni.

Odwaga i wola zwycięstwa — oto co Sabni mógł wyczytać z inskrypcji, za pomocą których zdobywcy wielkiego Południa opowiadali o swoich dokonaniach. Na stojącej w ciemnym kącie steli Isis dostrzegła delikatną twarz bogini katarakty w koronie z wikliny. Czytając tekst, pozwoliła odżyć słowom przypływu wód: „Oto podnoszę dla ciebie strumień życia — wyrosną kwiaty, złociste staną się zboża, ziemia tryskać będzie radością, a serce ludzi przepelni szczęście”.

Isis czuła, jak inny zgoła strumień ciągnie ją w stronę Sabniego. Broniła się jeszcze; trzeba było myśleć o grobowcu, w którym były wypisane boskie nazwiska i ostatnie słowa rytuału. Na końcu dziedzińca z kolumnami ujrzeli prostokątne wejście. Sabni wszedł pierwszy. Do tej pory nic nie zakłóciło ich poszukiwań. Ale Sabni nadal zachowywał ostrożność. Niektórzy z anachoretów byli wystarczająco egzaltowani, by zaatakować odwiedzających grobowce, któ-

re dla nich były bramami piekieł.

Cofnął się wystraszony. Izis podeszła do niego i chwyciła go za rękę. Przytuleni do siebie mieli wrażenie, że wchodzi na wąską ścieżkę prowadzącą do królestwa zaświatów: z jednej i drugiej strony białe posągi o zielonych lub czarnych obliczach i nieruchomych oczach spoglądały na nich z uśmiechem. Złączeni przeszli między szeregami przodków uniesmiertelnionych w radości zmartwychwstania. Trzy schodki prowadziły do kapliczki, której ściany zdobiła scena przedstawiająca ucztę: niezliczone pokarmy leżały na stole istoty, którą sąd z zaświatów uznał za sprawiedliwą.

Kolumny hieroglifów opowiadały o radości wiernych wyznawców Izydy w chwili, kiedy bogini po wygnaniu do odległej Nubii powracała na File.

— Odpowiedź jest tutaj, Sabni. Złóż naszą ofiarę.

Przełożony położył na ziemi łódź w kształcie antylopy.

— Ozyrysowie chronią to miejsce. Jeden i wielu, oto jego sekret: tysiąc twarzy i jedno tylko serce. To on zwróci się do dalekiej bogini, a nie my. Bóg będzie wolał boginię, ona usłyszy jego głos i powróci do swojej siedziby.

Usiedli na kamiennych ławeczkach — goście nieruchomej ucztę o niematerialnym smaku. Izis dotarła do kresu swoich poszukiwań. Sabni mógł wreszcie zadać

nurtujące go pytanie.

— Czego chciał prefekt?

— Żebym została jego żoną. W zamian będzie chronił

File i spełniał moje żądania. Przyszłość świątyni

zostanie zapewniona. Czyż nie powinnam się zgodzić?

Sabni wstał i chwycił ją porywczo w ramiona.

— Reguła zabrania ci tego.

— Głosi, że naszym głównym zadaniem jest ochrona

wspólnoty.

— Kocham cię, Izis. Kocham cię całym moim jestestwem.

Tylko nasz związek może uchronić świątynię od

unicestwienia.

Zsunął białe szelki z jej złotych ramion.

— Nie wolno nam mieć dzieci.

— Nie dbam o to. Chcę ciebie i tylko ciebie.

Biała suknia zsunęła się z ciała Izis, ukazując jędrne piersi,

jaspisowe łono, długie nogi. Zdjęła tunikę Sabniego. Zaczął

pieścić jej biodra i całować szyję. Kiedy ich usta się połączyły,

czule przechylił ją do tyłu. Energia, która płynęła w ciele

Izis, miała żar młodego słońca i słodczy miodu.

Położyła się na kamiennej posadzce, między rzędami

Ozryśów, a on połączył się z jej pragnieniem. W szczęśliwej

ciszy wiecznej siedziby, gdzie zmartwychwstała para nadal

uczutowała i gdzie zmarli łączyli się z żywymi, odkryli złote

światło miłości tak gwałtownej, jak płomień dający

początek światu w samym sercu Wschodu.

Zapadał zmierzch. Izis i Sabni upajali się rozkoszą w grobowcu przodków. Chociaż nie nasycili jeszcze swoich ciał, pomyśleli o File. Liczyła się tylko przyszłość świątyni. Jako wierni wyznawcy nie mieli osobistych ambicji; nauczyli się je zwalczać, rezygnować z nich i uwalniać się od nich.

Namiętność nie mogła unicestwić lat ascezy, ale mogła uwznioślić ich podróż ku niewidzialnemu, w której uczestniczyli teraz duchem i ciałem.

Sabni pierwszy wychodził z grobowca. Świecił księżyc. Świetliste wrota gwiazd przebijały noc. Przełożony odetchnął powietrzem cichym i łagodnym. Powierzył swój entuzjazm światu — świat ten tkwały boginie, a garncarz Chnum obrabiał go na kole.

Zaledwie wychynął na próg, silne uderzenie kijem zgięło go na pół. Napastnik, długowłosego mnich, wydał okrzyk triumfu. Uderzył po raz wtóry. Sabni odskoczył na bok, złapał za kij i rozbroił przeciwnika. Chrześcijanin pomimo złości, jaka nim miotła, nie był dość silny; przerwał walkę i rzucił się do ucieczki.

— Jesteś ranny?

— Wracajmy.

Z łodzi podziwiali skalistą linię Zachodu ukrytą w niebieskawym mroku. Zniknęło wejście do grobowca, złało się

z mrokiem: widać było tylko rampę wznoszącą się na szczyt, gdzie zachował się sekret miłości wykraczającej poza czas.

Zgodnie ze zwyczajem Sabni wziął Izis w ramiona i przekroczył próg dawnego domu kapłana-seniora. Dla zebranej wspólnoty stali się mężem i żoną. Nie potrzeba było żadnych dokumentów: ich słowo stawało się prawem.

Bracia i siostry radowali się tą chwilą, Chrestos zaś doznał szczególnej radości: czyż w jakiś sposób nie był odpowiedzialny za ślub, który wyznawcy uważali za nowe dobrodziejstwo? Poprzez swój związek Sabni i Izis podkreślali wolność świątyni w samym sercu wrogiego im świata.

Małżonkowie zasnęli pod rybacką siecią o małych oczkach, która posłużyła im za moskitierę. Kiedy się przebudzili, rozkoszowali się prostą radością wzajemnej obecności.

— Strzeżmy się Maksymiana — powiedziała Izis.

— Czy tak bardzo jest zakochany?

— Gdyby się dowiedział...

— Wszyscy dochowają tajemnicy. Nie lękaj się. Izis przytuliła się do niego z ufnością.

Ahure nałożyła trochę barwiczki na oczy i wyperfumowała się olibanem. Czasem miała sobie za złe skłonność do kokieterii, ale reguła nie zabraniała siostrom być pięknymi. To, że bracia podkochiwali się w niej, bawiło Ahure, nie

odciągając wcale od uczonych prac. Czyż nie mogła pochwalić się doskonałą pamięcią i równie doskonałą jak Izis znajomością obrzędów? Nie zazdrościła funkcji przełożonej, gdyż niosła ze sobą więcej trosk niż satysfakcji, ale dobrze wiedziała, że jej solidne ramiona dźwigają sporą część ciężaru wspólnoty. Zwykle Izis podejmowała decyzje, które Ahure wydawały się słuszne. Tym razem jednak nie zastanowiła się dość głęboko i wciągnęła wyznawców na niebezpieczną ścieżkę. Krytykowanie przełożonej wymagało pewnej odwagi, którą niektórzy nazwaliby nawet bezczelnością, ale rytualistka, przekonana o swojej racji, nie ulękła się.

W przyświątynnym sadzie Izis oddawała się studiowaniu dawnych rytuałów dotyczących świąt. Wokół niej igrały ptaki. Na wyspie nikt na nie nie polował i nie rzucał w nie kijem. Jeden, o srebrzystej głowce i żółtej piersi, przycupnął na lewym ramieniu przełożonej, zanurzył dzióbek w jej wypomadowanych mirrą włosach, po czym odfrunął na pobliską perseę, na której zagnieździły się wróble.

— Czego sobie życzysz, Ahure?

— Czy ten ślub nie odbył się zbyt szybko?

— Obawiasz się, że Sabni i ja będziemy gruchać, zanie-
dbując święte obowiązki?

— Oczywiście, że nie. Ale prefekt...

— Jego namiętność wzbudza mój niepokój.

— Dlaczego się z nią nie liczysz?

— Chciałabyś, bym została jego żoną?

— Gdyby ta ofiara miała uratować świątynię i wspólnotę...

Izid podniosła oczy na wierzchołek persei o ciemnozielonych liściach w kształcie serca. Pod takim samym drzewem pierwszy z egipskich mędrców otrzymał naukę od boga wiedzy, Tota.

— Co przyniesie nam twój związek z Sabnim, prócz waszego samolubnego szczęścia?

— Twoje zarzuty zaskakują mnie, gdyż nie są niczym usprawiedliwione. Czy kupując kruchy pokój od

Maksymiana, nie zdradziłabym ducha naszego

zgromadzenia? Egipcami zawsze rządziła para, której

oczy spoglądały tak samo. Sabni i ja spróbujemy

wskrzesić tradycję, która, być może, zapoczątkuje

jeszcze inne wskrzeszenia. Bądź pewna, droga siostrze,

że naszymi działaniami nie kieruje przelotna

namiętność.

Ahure oddaliła się. Jej zazdrość napełniła smutkiem serce

Izid. Będzie musiała teraz uważać, by ta zazdrość nie zamieniła się w gorycz, groźną truciznę dla słabych dusz.

General Narses, jak co wieczór, siedział na olbrzymiej

granitowej skale, podziwiając kataraktę. Wody Nilu niebawem się cofną. Chłopi zebrali daktyle i oliwki, rozpoczęli siew zbóż na zbyt słabo nawodnionych ziemiach. Praktycznie całe ziarno trafi do Bizancjum; niewielkie gospodarstwa, które miały wyżywić Elefantyne, dostarczą tylko nędzne kłosa.

Ilu umrze z głodu? A jednak nikt nie będzie oskarżał Nilu; ta ziemia była zbyt piękna, zbyt czysta, by ludzkie cierpienie mogło usprawiedliwić najmniejszy nawet zarzut wobec niej. Narses oczekiwał na litościwy wir, który rzuciłby go na dno rzeki.

Generał sprawił sobie papirusowy zwój poświęcony przygodom słynnego badacza Afryki, Egipcjanina Hirkhufa, pochowanego na skalistym brzegu Zachodu. Trzy tysiące lat po jego legendarnych wyczynach ich wspomnienie było jeszcze żywe. Narses rozwinął dokument i pogрузił się w pasjonującą lekturę. Przecierając szlaki w nieznannej krainie na czele starannie zorganizowanego korpusu ekspedycyjnego, trzymanego żelazną ręką, bohater powrócił z dalekiej Nubii z orszakiem, w którym szło również trzysta osłów obładowanych workami ze złotem, drewnem hebanowym, kadzidłem, kością słoniową i skórami panter. Prezentem, który spodobał się młodemu faraonowi najbardziej, był Pigmej pochodzący z krainy za horyzontem; potrafił on z

werwą wykonać taniec boga.

Ile razy odkrywca opuszczał swój dom, zanim w bardzo podeszłym wieku powrócił dokonać żywota w rodzinnym mieście? Narses cisnął pergamin do rzeki. Nienawidził egzystencji w zgiełku, honorów, podbojów i chwały. Czego więcej nauczy się od rodzaju ludzkiego? Igraszki szczęścia i nieszczęścia przestały go bawić.

Uwagę generała przykuło dziwaczne zjawisko. Za ostatnimi skałami katarakty czarnoskóry mężczyzna, siedzący na zwierzęciu z długą szyją o plamistej sierści, tkwił nieruchomo na zboczu góry. Mógł z tego miejsca doskonale obserwować graniczne fortyfikacje. Kiedy słońce pochyliło się za horyzontem, wywiadowca zniknął.

Biskup i prefekt wysłuchali opowieści generała.

— To członek plemienia Blemiów na żyrafie — uznał Teodor.

— Taki lud już nie istnieje — zaprotestował Maksymian.

— Tak myślałem. Nawet pisałem o tym w raportach.

— Czy jesteś pewien, że to on?

— Obawiam się, że tak.

— To jakiś zagubiony ostatni z ocalałych.

— Blemiowie mieli zwyczaj wysyłać zwiadowców przed atakiem.

— Nasze fortyfikacje są nie do zdobycia. Armia trzykrotnie liczniejsza od naszej byłaby skazana na porażkę.

— A jeśli się mylimy? — zasugerował biskup, którego zirytowała pewność siebie prefekta. — Wiele bitew zostało przegranych z powodu próżności dowódcy.

— Czyżby chodziło ci o mnie?

— Jeśli ma dojść do ataku, chrońmy Elefantynę.

General Narses uznał za stosowne się wtrącić.

— Nasze lęki są pewnie bezpodstawne. Eksperci uważają, że Blemio wie nie potrafią utworzyć oddziału zdolnego do ataku. Niemniej dokonam inspekcji naszych obwarowań.

Jego decyzja pocieszyła Teodora. Niczego bardziej się nie obawiał niż najeźdźców przybywających z południa. Ci zatwardziali wrogowie chrześcijaństwa byli wściekli, że nie mają dostępu do File, siedziby ich boga Mandulisa, od którego ich odcięto dwadzieścia lat temu.

Narses skłonił się przełożonym i wyszedł.

— Nie waz się krytykować mojej osoby. — Maksymian zmierzył biskupa wzrokiem.

— Robię to tylko ze względu na moją misję.

— Uważasz, że potrafisz otworzyć mi oczy?

— Izis nigdy nie wyjdzie za ciebie.

— Nie ma już wyboru.

— Mylisz się. Szantaż jej nie złamie.

— Myślisz, że poświęci wspólnotę?

To pytanie Teodor stawiał sobie ze sto razy.

— Reguła świątyni...

— To tylko słowa! Tutaj chodzi o istnienie File.

— Nie pozwolę ci posunąć się za daleko — poważnie

powiedział biskup. — To pogańskie sanktuarium

prawnie nie istnieje. Jeśli przywrócisz mu zuchwałą

blask, chrześcijanie obrócą się przeciw Tobie.

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?

— Możesz być zakochany, Maksymianie, ale nie obrażaj

Chrystusa.

Prefekt zachował spokój. Jak gdyby nieobecny, podszedł

do szuflad wypełnionych papirusami i przejrzał jeden z nich

nieuważnym wzrokiem.

— Chcę wiedzieć, co dzieje się we wspólnocie. Potrzebu-

jemy tam szpiega.

— Prawo zabrania File przyjmowania nowych adeptów.

Jeśli pošlemy tam kogoś, nie będą mieli doń zaufania i

pozbędą się go.

— Sabni jest niepokorny i na pewno coś knuje.

Teodor także obawiał się tego, co może zrobić jego przy-

jaciel. Pomysł prefekta miał wiele zalet: informacje płynące

z wyspy pozwolą uniknąć wielu kłopotów.

— Może jest jakieś rozwiązanie...

Na północ od katarakty, w pewnej odległości od świątyni, rybak korzystał z pierwszych godzin poranka, by zapędzić do swych sieci jakieś ryby, uderzając długim kijem w wodę.

W chwili gdy złowił pięknego okonia, plusk wody zasygnalizował zbliżanie się pływaka. Mersis rozpoznał Sabniego, który złapał się dziobu łodzi, trzymając głowę na powierzchni, by trochę odpocząć. Kapitan łowił dalej, nie patrząc w stronę przyjaciela.

— Mam ważną nowinę. Podobno widziano Blemia koło katarakty.

— Myślisz, że to poważne?

— Narses dokonuje dokładnego przeglądu fortyfikacji.

Jest i inne niebezpieczeństwo: Maksymian rozpuszcza

wieści o swoim rychłym ślubie z Izis. Do prefekta

dociera mnóstwo

protestów. Strzeż się, Sabni: jesteś jedyną wielką przeszkodą

między prefektem a przełożoną. — Może nawet większą,

niż myślisz.

Chrestos nikogo nie zostawiał w spokoju. Nawet najstarsi

musieli wysłuchiwać jego pytań i próbować na nie odpowie-

dzieć. Najbardziej leniwych wyrywał ze stanu gnuśności i

zmuszał do powrotu do pracy. Stopniowo najważniejsze

stało się współzawodnictwo: każdy chciał udowodnić, że zajmuje ważne miejsce we wspólnocie. Bracia i siostry znów wymieniali poglądy, zastanawiali się nad znaczeniem symboli, wpatrywali się w ściany świątyni, gdzie przodkowie wyryli zasady mądrości. Na szczycie kapiteli rozkwitał uśmiech bogini Hathor.

Listopad, czas bronowania, był czarujący. Słaba fala przyływu ustąpiła; życie upływało łagodnie i miało posmak rozpuszczających się w ustach daktyli. Cięża bibliotekarki przebiegała prawidłowo. Izis modliła się codziennie wieczorem do bóstw opiekujących się porodem.

File nabierała z powrotem ufności w swą własną wiarę.

Wyznawcy zasypiali w pobliżu skarbu, którego nieocenioną wartość dobrze znali. Ale czy wielka bogini nie chroniła ich przed otoczeniem, które ich nienawidziło? Najprzód zwycięskie, traciło teraz na sile.

Sabni nie dał się ponieść fali optymizmu. Izis, choć pochwalała jego przezorność, podkreślała widoczną odnowę wspólnoty. Czy przełożony bardziej niż ktokolwiek nie powinien myśleć o przyszłości świątyni?

Gołąb pocztowy przysiadł na szczycie wschodniego nadbrzeża pierwszego pylonu. Chrestosowi polecono go złapać. Ptak przyniósł wiadomość od biskupa: matka brata stolarza jest umierająca. Jeśli brat sobie tego życzy, może wyjątkowo otrzymać pozwolenie na opuszczenie wyspy, by pożegnać się z matką. Na brzegu będą czekać żołnierze, którzy zapewnią mu eskortę. Nie wolno mu jednak rozmawiać z mieszkańcami.

Ani Izis, ani Sabni nie mieli nic przeciwko propozycji.

Poruszony do głębi stolarz wyruszył natychmiast; gołąb miał mu służyć za przepustkę.

Policjanci zmusili go, żeby włożył na siebie brązową tunikę i wełnianą czapkę, która kryła łysą czaszkę. Nie zaprowadzili go do matki, do biednej dzielnicy, lecz do siedziby prefekta. Wprowadzono go bocznymi drzwiami. Operacja odbyła się tak szybko, że nikt nie rozpoznał przybysza.

W obecności biskupa i prefekta stolarz wystraszył się nie na żarty. Czy była to pułapka? Teodor zapewnił go, że matka cieszy się doskonałym zdrowiem i w wieku osiemdziesięciu lat samodzielnie dogląda gospodarstwa. Zmusił adepta, który drżał pod zimnym spojrzeniem Maksymiana, by usiadł na składanym zydlu.

— Nie zrobimy ci nic złego — zapewnił prefekt. — Po-

trzebujemy twojej pomocy.

Taki wstęp do rozmowy wprowadził brata stolarza w osłupienie.

— Wiele o tobie słyszałem. Ponoć jesteś świetnym stolarzem i oddajesz świątyni nieocenione usługi, chociaż nie wszyscy potrafią to docenić.

Adept przytaknął.

— Dlaczego pozostajesz we wspólnocie?

— To moja prawdziwa rodzina. To wspólnota mnie wykształciła.

— Czy przestąpiłeś bramę wielkich tajemnic?

— Izis nie dopuściła mnie do nich, Sabni ją poparł.

Adept pożałował, że zwierza się profanom. Jednak za urazę, jaką nosił w sobie, odpowiedzialność ponosili przełożony i jego towarzysza.

— Gdybyś nie wyznawał bezbożnego kultu, chętnie bym cię zaangażował. Byłbyś bogaty.

— Nie dbam o fortunę. Kocham File.

— Czy życia nie kochasz bardziej? — zapytał prefekt.

Adept zbladł.

— Jeśli tak, mów. Inaczej moi żołnierze będą musieli zabić uciekiniera, który zajmuje się podburzaniem ludności.

— Czego oczekujecie ode mnie?

— Informacji o wspólnocie.

— File zmartwychwstaje. Najbardziej zgnębieni odzyskali nadzieję.

— Jaką prowadzicie działalność?

— Dbamy o świątynię, składamy ofiary, oddajemy hołd wielkiej bogini...

— Czy spiskujecie przeciw cesarzowi?

— Nie. Oczywiście, że nie!

— Kto was tak zachęca?

— Sabni, Izis, a także...

Współbracia zawsze mieli mu za złe zbyt długi język. Po raz kolejny powiedział coś bez namysłu. Prefekt zbliżył się i położył mu ręce na ramionach. Stolarz odniósł wrażenie, że zacisnęły się na jego ciele szpony drapieżnika.

— A także...

Przysiągł dochować milczenia. Nie dotrzymując przysięgi,

skazywał wspólnotę na zagładę. Ale czy potrafi oprzeć się torturze? Jego ofiara nie uratuje świątyni. Inni się przyznają: nie warto się poświęcać.

— Przyjęliśmy wieśniaka. Jego entuzjazm jest rękojmią przyszłości.

— Jego nazwisko?

— Nie znam go.

Biskup obiecał sobie, że zidentyfikuje uciekiniera. Przyjmując go, File popełniła błąd, który on potrafi wykorzystać.

Prefekt wcale nie zwrócił uwagi na ten szczegół. Interesowały go zupełnie inne informacje.

— Czy Sabni szykuje jakiś przewrót?

— Przełożony zajmuje się tylko świątynią. To człowiek twardy i nieprzejednany.

— Bracia gotowi są zbuntować się przeciwko niemu?

— Nie ośmielą się. Nikt nie podważa jego autorytetu.

— A Izis?

— Izis... Nie wyprze się go.

Maksymian zauważył skrepowanie brata: nie mówił prawdy i próbował ukryć coś istotnego. Jego palce wczepiły się gwałtownie w ciało stolarza, któremu wyrwał się okrzyk bólu.

— To nic w porównaniu z bólem, jakiego zaznasz, jeśli nadal będziesz kłamał. Izis i Sabni nienawidzą się, prawda? Ona chce wyjść za mnie, a on sprzeciwia się temu!

— Tak... nie zgadza się.

Prefekt, pomimo pasji, jaka nim miotała, potrafił zachować trzeźwość umysłu. Adept mówił to, co on chciał usłyszeć. Spoliczkował go. Stolarz zaczął płakać. Biskup odwrócił się.

— Zabierzcie tego człowieka.

— To już nie potrwa długo... Jeśli nie zaczniesz mówić, uduszę go.

Więzień zdał sobie sprawę, że prefekt rzeczywiście jest wściekły. Dłuższe milczenie byłoby samobójstwem.

— Sabni i Izis pobrali się wedle zwyczaju. Przystępując, złączeni, próg swojego domostwa, stali się mężem i żoną.

Maksymian puścił więźnia. Przez chwilę miał ochotę zmiażdżyć miękką twarz adepta.

— Wracaj na wyspę. Będziesz tam naszym szpiegiem.

Stolarz wycofał się tyłem i skłonił się. To, że uratował życie, wydało mu się najcudowniejszą z nagród.

— Ten ślub nie jest legalny — oświadczył prefekt. —

Jednak Izis oszukała mnie. File i Sabni zostaną ukarani.

Chrześcijanie będą mieli powody do zadowolenia, biskupie.

Będziesz cieszył się ze zwycięstwa, a ja zmuszę do posłuszeństwa kobietę, którą kocham.

Ahure napełniła srebrną wazę wodą z Nilu i wylała ją na

ręce współwyznawców. Cenny płyn pochodził od Nuna,

oceanu energii, w którym był zanurzony cały świat. Ziemia

była tylko pagórkiem, który wynurzył się z niego pierwszego

ranka, kiedy stwórca, zrodzony z siebie samego, wymówił

pierwsze słowo. Każda świątynia w Egipcie przypominała o

tym początku codziennie odnawianym rytuałem świtu.

Ahure wręczyła wazę przełożonej, nawiązując do decydującej chwili, kiedy to serce Początku stało się świadome dzięki jego synowi, Życiu, który połączył jego członki i sprawił, że stały się ruchome. On, jedyny, doprowadził swe ciało do istnienia dzięki magii słowa i umieścił w duszy każdej istoty chęć dzielenia się wiecznością tej chwili dzięki wprowadzeniu w tajemnice.

Kiedy wspólnota witała słońce, wznosząc ku niemu czyste ręce, Chrestos zwrócił się do Sabniego.

— Dlaczego rytualistka zapomniała o mnie?

Ahure obróciła się żywo w stronę chłopca.

— Milcz, neofito.

— Czy popełniłem jakiś błąd, by mnie tak pomijano? W takim razie niech się o nim dowiem!

— Niechaj ten zuchwalec zostanie skarcony, tak jak na to zasługuje. Proszę przełożonego, by pozwolił mi go surowo ukarać.

Chrestos nie spuszczał z tonu.

— Jestem takim samym bratem jak wszyscy i proszę o to, co mi się należy. Jeśli niesprawiedliwość ma królować w tej świątyni, tak jak króluje w świecie profanów, trzeba ją natychmiast przegnać. Zirytowana Ahure schwyciła kij, który podał jej stolarz.

— Powąchaj ziemi, buntowniku! Kiedy twoje plecy po

smakują tego pana, będziesz mniej arogancki.

Chrestos błagalnie popatrzył na Izis i Sabniego. Ani

jedno, ani drugie nie wstrzymało gestu rytualistki.

Zacisnąwszy usta i pięści, chłopiec wyciągnął się na ziemi i

otrzymał pięć razów kijem. Nie wydał nawet jęku.

Maść ukoiła ból. Sabni rozmasowywał spuchnięte lewe

ramię Chrestosa.

— Nie przejmuję się własnym ciałem. Ale dlaczego prze-

łożony nie bronił mnie przed niesprawiedliwością?

— Człowiek impulsywny podobny jest do drzewa, które

rośnie zbyt szybko i którego odrastające gałęzie

wrzuca się do ognia, zanim zetnie się samo drzewo.

Człowiek cichy jest jak zielone drzewo, jego owoce są

łagodne, a cień, który daje w ogrodzie, jest przyjemny.

— Nie można zawsze milczeć!

— Trudno zachować milczenie w obliczu niesprawied-

liwych słów, ale próżno odpowiadać ignorantowi.

Odpowiedź pociąga za sobą niezgodę, gdyż jego serce

nie może znieść prawdy.

Oczy chłopca załśniły.

— A więc przyznajesz, że rytualistka popełniła błąd! Nie

dopełnia swoich powinności... Ta siostra jest

ignorantką. Już nigdy się do niej nie odezwę.

— Nie bądź zarozumiała z powodu twojej wiedzy, Chres-

tosie. Rozmawiaj z nieuczonym jak rozmawiasz z
mędrcom, gdyż nikt nie osiąga zupełnego mistrzostwa.

Doskonałe słowo głębiej jest ukryte niż zielony
kamień; odkryjesz je jednak u najbardziej skromnego,
u tych sług świątyni, którzy oddają się jej, nie
oczekując niczego w zamian.

— Ahure taka nie jest!

— Nie sądz pochopnie.

— Nie możesz być ślepy... nie ty!

— Gardzisz mną? Zażenowany

chłopiec spuścił głowę.

— Nie, ale ta siostra...

— Adept, który chce poznać wielkie tajemnice, musi
z odważnym sercem pokonywać najtrudniejsze przeszkody.

Spotkasz je wewnątrz wspólnoty, a nie na zewnątrz. Zapo
mnij o krytyce, urazach i buncie, by łatwiej móc je znosić.

Ze szczytu najwyższej z wieżyczek wartownik zauważył dwóch Murzynów odzianych w skóry drapieźników. Pokonywali meandry katarakty z nieprawdopodobną zręcznością, skacząc ze skały na skałę aż do miejsca, gdzie zatrzymał ich wielki granitowy blok. Wokół skały tworzył się ogromny wir wodny. Kapitan Mersis, ostrzeżony przez strażnika, rozpoznał dwóch zwiadowców obserwujących stanowiska jego wojsk.

— Blemiowie!

Trzymali się w pewnym oddaleniu, poza zasięgiem strzał.

Nie warto było posyłać oddziału. Posuwając się wzdłuż brzegu, spowodowałaby tylko ucieczkę nieprzyjaciela.

Przez ponad dwie godziny Murzyni oglądali palisadę i warownie broniące dostępu do prowincji Elefantyny. Później zniknęli, szybsi od wiatru.

Mersis natychmiast napisał raport w dwóch egzemplarzach i zaniósł go do bezpośredniego zwierzchnika, biskupa Teodora. Ten udał się do prefekta, którego biuro zalegały stosy tabliczek z zaksięgowanymi rachunkami.

— Wszystko w porządku, biskupie. Tym razem File nie wyjdzie bez szwanku z tej przygody. Obiecuję jej ciężkie przejścia.

— Są sprawy pilniejsze.

— Któż tak twierdzi?

— Czytaj.

Raport Mersisa był zwięzły i dokładny.

— Wczoraj jeden, dzisiaj dwóch, jutro cała armia... Blemiowie szykują się do ataku.

— Odstraszą ich nasze fortyfikacje. Niechże je oglądają: jeśli ci dzikusy są obdarzeni choć odrobiną rozumu, zrezygnują.

— Nowina rozejdzie się szybko, a ludność zacznie się niepokoić. Powinieneś przeprowadzić przegląd wojska i zorganizować defiladę.

Rada biskupa, choć granoczyła z bezczelnością, nie była pozbawiona racji. Zirytowany Maksymian porzucił rachunki prowincji i powrócił do swych wojskowych funkcji. Oglądał koszary, pokazywał się na murach, rozmawiał z żołnierzami, poprowadził paradę wojsk i przemaszerował na czele oddziału ulicami Elefantyny. Demonstracja siły uspokoiła mieszkańców.

Jeśli Blemiowie odważą się zaatakować miasto, zostaną unicestwieni.

Sabni zaniósł do stolarza wezgiowie, które rozpadło się na dwie części. Rzemieślnik chodził ze smutnym obliczem, od kiedy powrócił na wyspę.

— Mógłbyś to naprawić?

— Nie wiem.

— Czy twoja matka bardzo cierpi?

Stolarz wyglądał na

wystraszzonego.

— Gaśnie: ledwo mnie rozpoznała. Będę chciał się z nią

znów zobaczyć. Pokaż mi ten przedmiot.

— Spotkałeś biskupa?

— Ja? A po co?

— Teodor dobrze wie, że adepci opuszczają swoją rodzinę

cielesną dla rodziny duchowej. Zwykle nie wracają do

przeszłości. Skąd ta dziwna propozycja, jeśli nie po to,

by zacząć wypytywać cię o sekrety świątyni?

Stolarz z wściekłością cisnął wezgiem o ziemię.

— Masz czelność oskarżać mnie o zdradę? Obiecałem

zachowywać milczenie, ale mam jeszcze ludzkie uczucia.

Nie jestem podobny do ciebie. Poddając się naszej słynnej

regule, utraciłeś wszelką dobroć. Stałeś się suchy i bezlitosny.

Nikt cię nie kocha, Sabni. Kiedy to zrozumiesz, będzie już

za późno. Ja nie mam sobie nic do zarzucenia.

— Słowo brata jest święte, nie potrzeba żadnych innych

usprawiedliwień.

Stolarz obiecał sobie, że będzie posłuszny prefektowi, bo

inaczej ten nie zawaha się go zabić. Sabni nigdy nie podniesie

ręki na żadnego adepta.

Przełożony wycofał się. Poczłł się nieswojo. Czy był godzien pełnionej funkcji, podejrzewając o zdradę jednego z członków wspólnoty? Ale File była w stanie wojny, a on nie miał prawa do naiwności. Nieprzyjaciół nie zadowolili się atakowaniem świątyni tylko z zewnątrz.

Stanowisko ciążyło mu tak mocno... Jak można całkowicie przestać ufać osobom, z którymi stykał się od tylu lat?

Biskup polecił swym sekretarzom przeprowadzić dochodzenie, które wyjaśniłoby niedawne ucieczki chłopów. Rezultaty rozczarowały go: policyjne raporty donosiły jedynie o drobnych kradzieżach, celowym niszczeniu narzędzi rolniczych, kradzieży osła i odrzuconej skardze kupca Apollona. Nigdzie wzmianki o ucieczce. Oficerowie odpowiedzialni za bezpieczeństwo nie dostarczyli żadnych nowych wiadomości. Ich dowódca, kapitan Mersis, trzymał w celi jedynie rolnika oskarżonego o rabunek w ogrodzie sąsiada.

Przyznał, że przesłuchiwał Apollona, kupiec jednak, pijany w sztok, mamrotał tylko niezrozumiałe słowa.

Teodor uznał, że zachowanie tak znacznej osoby było co najmniej dziwne. Postanowił wezwać go do siebie.

Niechętnie, ociągając się, kupiec stanął na progu biura.

— Jaką chciałeś wnieść skargę?

— Upiłem się.

— Dlaczego?

— Dla przyjemności... Nie wszyscy są ascetami.

— Masz dzieci?

— Czwórkę. Dwóch chłopców i dwie dziewczyny.

— Czy są w odpowiednim wieku do pracy?

— Pomagają od czasu do czasu.

— Żadne z nich nie uciekło?

— Niech mnie Bóg broni od takiego nieszczęścia! Moja rodzina jest nierozłączna.

— Niechaj Bóg chroni sprawiedliwych. Dostarczaj nam dalej swoich doskonałych fig.

Apollon nie posiadał się ze szczęścia, że wymknął się tak

tanim kosztem. Widząc, jak zmyka, biskup doszedł do

wniosku, że musi być zamieszany w jakąś niejasną sprawę.

Być może nie miało to nic wspólnego z uciekinierem. Jednak

lepiej to sprawdzić.

Ahure zebrała wokół studni grupkę sióstr, które, choć nie

były wrogo nastawione do przełożonej, chętnie słuchały

gadaniny rytualistki. Napelniając dzbany świeżą wodą, za-

częły się skarżyć na coraz trudniejsze warunki życia. Jedna

bardzo obawiała się przyszłości: jak walczyć z wszechpotęż-

nym prefektem, który nie zechce pogodzić się z istnieniem

buntowników, zwłaszcza jeśli biskup da mu wolną rękę?

Ahure zaleciła siostronom, by zachowały wiarę w niezłomną

wolę Izis.

— To nieustępliwość Sabniego jest dla nas groźna. Jest zbyt młody, by kierować taką wspólnotą jak nasza; władza upaja go i pozbawia zalet. Niedługo stanie się tyranem, zapomni nawet o obrzędach i zmusi nas do spełniania swoich wymagań. Niech każdy będzie tego świadom: przełożony toczy pojedynek z biskupem.

Los File obchodzi go tylko w takiej mierze, w jakiej świątynia jest fortecą, a nasze bractwo wojskiem.

— Tak mały oddział przeciw setkom żołnierzy? To nieprawdopodobne.

— Sabniego to nie obchodzi — stwierdziła Ahure. —

Sprzeciwianie się Teodorowi samo w sobie jest dlań zwycięstwem. To, że czeka nas deportacja lub niewolnictwo, jest mu obojętne. Poświęci nas swej szaleńczej namiętności, a kiedy przyjdzie czas, rzuci na pastwę biskupa w zamian za własną wolność.

Straszne słowa rytualistki zaniepokoiły siostry. Najbardziej odporne broniły przełożonego, wychwalając jego prawość, przypominały o jego poczuciu obowiązku, o uczciwości, której nie splamił żaden haniebnny czyn.

— Nie oskarżam go o dwulicowość, lecz o pychę i szaleństwo.

— Co proponujesz?

— Dyskretnie porozmawiamy z najbardziej doświadczonymi braćmi. Jeśli niektórzy z nich podzielają nasze zdanie, porozumiemy się z nimi i zastanowimy się wspólnie.

Jeszcze tego samego wieczoru rytualistka i stolarz zaczęli naradzać się przy kiosku Trajana, niewrażliwi na piękno zachodu słońca pokrywającego różem szare zbocza skalistych brzegów. Nie ufali sobie wzajemnie. Jeszcze nigdy dotąd żaden adept nie spiskował. Mieli świadomość, że rozpoczynają proces, który doprowadzi do otwartego konfliktu z przełożonym. Zimne oblicze i pełen nienawiści wzrok brata stolarza napełniały Ahure przerażeniem. Zaczęła żałować swego kroku. Jednak było za późno, by się cofnąć.

— Sabni to samochwał — oświadczył stolarz. — Myśli, że jesteśmy uległym bydłem i że nikt nie stanie na jego drodze. Jeśli stawimy mu opór, opuści wyspę i nawróci się przy poparciu swego przyjaciela Teodora. Przełożona nie będzie miała innego wyjścia, jak wyjść za prefekta, a File będzie uratowana.

Ahure uznała, że plan jest doskonały. Bracia i siostry, których spiskowcy podjęli się namówić do protestu, mieli stanowić oddział zdolny obalić Sabniego i uratować przyszłość świątyni.

Chrestos uszczelniał barcę, słuchając wskazówek Sab-

niego. Później postawili nowy maszt wycięty z ostatniego cedrowego pnia, jaki był w posiadaniu świątyni.

— Słońce ledwo wstaje za horyzontem... Czy naprawdę musimy pracować tak wcześnie?

— Mędrzec wstaje rano, by tworzyć, powiadają nasi ojcowie, głupiec zaś, by biegać na wszystkie strony.

Ten ostatni nie chce nikogo słuchać i żyje z tego, co prowadzi do śmierci. Kiedy tylko zostaje odprawiony rytuał świtu, odżywa nowy świat. Cóż znaczy zmęczenie, skoro mamy to szczęście, że możemy go oglądać?

— Nie chcę stać się głupcem i jestem zdecydowany pracować rękami, ustami i sercem, jak domaga się tego Reguła; ale chcę poznać wszystko i osiąść twoje zalety, zalety Izis i całej wspólnoty!

— Chron się przed zachłannością, Chrestosie. To nieuleczalne zło; upadła wszelkie istoty, potrafi zatruć największą przyjaźń i oddalić ucznia od mistrza.

Zachłanny nie ma już swego domu i traci wieczność.

Chłopiec, zbity z tropu jego uwagą, zaczął się bardziej przykładać do pracy.

— Czy łódź już jest gotowa, by popłynąć?

— Jeszcze nie. Musimy sprawdzić jej równowagę i dopasować ster.

— Ster... Czy nie nosi tego samego imienia co Maat,

Reguła wszechświata?

Sabniego ogarnęła fala radości, którą starannie ukrył.

Chrestos odczuwał konieczność porównywania hieroglifów między sobą, by wydobyć ich prawdziwe znaczenie. Niewielu adeptów równie szybko wkraczało na tę drogę. Ale czyhała na niego pycha, a pochwała mogła zawrócić go z właściwej drogi.

— Masz rację. Barka pochodzi z niebios i służy bogom do podróżowania po niewidzialnej przestrzeni. Nie prowadzi jej nikt, prócz steru obdarzonego oczami, które potrafią rozpoznać właściwą drogę. Poruszamy się po tym świecie jak żeglarze. File, pozornie nieruchoma, porusza się po falach. Twój ster, Chrestosie, posiada serce i język. Niechaj pozostają w zgodzie, bo inaczej się rozbijesz.

— Udowodnię ci, że barka świątyni jest z mojej krwi i mojego ciała.

— Czyżbyś był zarozumiały?

— Los się do mnie uśmiecha. Ja chwytam szansę pełnymi

rękami i pragnę przeniknąć wielkie tajemnice ukryte za bramą świątyni.

— One się nie chowają; twoje oczy nie zniosłyby ich

blasku. Oto dlaczego życie we wspólnocie uczy cię

patrzeć i wyteżać wzrok.

— Czy to długo potrwa?

— To zależy od ciebie.

— Przez wiele lat?

— Niektórzy nie dostępują ich nigdy.

— Nigdy? Ja bym się zbuntował!

— Daremnie. Namiętności nie mają prawa przekroczyć progów zakrytej świątyni.

— Czy gdybym był twoim synem, byłbyś dla mnie bardziej wyrozumiały?

— Byłbym o wiele bardziej surowy.

— Cóż za niesprawiedliwość! Boisz się mnie?

— Tak samo jak innych.

— To nasi bracia i siostry!

— Będą cię chwalić za twoją dobroć, a karcić za słabość.

Wspólnota nie wybaczy mi żadnej pomyłki i będzie miała rację.

— Dlaczego jesteś taki surowy wobec siebie? Czy braterstwo nie jest więzią, która pozwala nam oprzeć się atakom świata profanów?

— Co innego być adeptem, a co innego przełożonym.

— Nie rozumiem...

— To normalne, Chrestosie. Moja funkcja zakłada samo-

tność.

— Zapomniałeś o Izis?

Sabni wsiadł do barki i sprawdził wiązania masztu.

— Czyżbyś próbował badać serce przełożonego?

— Jestem twoim uczniem i mam prawo wiedzieć wszyst-

ko, co ciebie dotyczy. Jeśli naprawdę nie kochasz Izis,
dlaczego ją poślubiłeś?

Sabni uśmiechnął się.

— Możesz o to być spokojny, bracie.

Skończył się okres bronowania i wieśniacy zebrali ostatnie oliwki. Biskup odprawił mszę bożonarodzeniową w kościele za małym, by pomieścić wszystkich nastrojonych entuzjastycznie mieszkańców. Czy ludzie przybyli święcić Boże Narodzenie, czy raczej po to, by wyrywać sobie z rąk podarunki ofiarowane przez biskupa? Teodor nie chciał zgłębiać tej kwestii i obojętny na wzruszenie prefekta, obserwował pokojowy pokaz siły. Z każdego domu wychodziły kobiety, dzieci, starcy, chorzy i kalecy; tłum podążał do Elefantyny, gdzie zdolni do pracy mężczyźni zebrali się, by śpiewać na całe gardło kolędy. Omal nie doszło do awantur, kiedy wojsko zaczęło rozdawać worki ze zbożem, i dopiero uliczni grajkowie uspokoili nastroje. Bóg wyszedł zwycięsko z hałaśliwego tumultu ludzkiego.

Zakatarzony Maksymian owinął głowę w wonne płótno.

Nogi oparł na poduszce. Za jego plecami kosz wypełniony żarem utrzymywał miłe ciepło, bardzo cenne w porze zimna, która ogarnęła wielkie miasto Południa omiatane porywami lodowatego wichru. Żeglarze rezygnowali z pływania po wzburzonym Nilu.

Pomimo tych niedogodności prefekt był zadowolony z siebie. Nie pracował na próżno: dzięki całej serii przymusowych zaleceń udało mu się ulepszyć system podatkowy prowincji.

Nikt nie mógł już uniknąć pośrednich i bezpośrednich

podat-

ków. Pobierano opłaty i dopłaty od ludzi, ziemi, działalności zawodowej, sprzedaży, spadków, podróży, posiadłości, podatek gruntowy i podatek od ruchomości. W zamian państwo gwarantowało dobre funkcjonowanie poczty, utrzymanie budynków publicznych, żołd stałemu garnizonowi i pensje dla urzędników biskupa. To prawda, że uporządkowanie gospodarki przekładało się na listę liczącą około setki różnego rodzaju podatków, ale ich dokładność musiała zadowolić cesarza. Z jego pomocą Maksymian będzie o wiele swobodniejszy i zamknie usta Teodorowi.

Prefekt zaprosił go na kolację. Biskup jadł niewiele i nie chciał pić wina.

— Nie masz racji, biskupie. To najlepsze lekarstwo na mród.

— Jesteś już zdrowy?

— Zimne powietrze dodaje mi wigoru.

— Przeglądałem twój system podatkowy: zmiażdży prowincję.

— Nie bardziej niż twój. Cesarz wymaga rezultatów.

— Pamiętałeś o tym, że zbiory były niewystarczające?

— Ziemia musi być opodatkowana niezależnie od tego, czy jest uprawna. Tylko File wymyka się prawu.

Teodor obawiał się tego stwierdzenia. Umieszczając świątynię na liście gruntów jałowych, pozwolił jej uniknąć wysokich podatków.

— Ustaliłem sumę, którą jest nam winna wspólnota, biorąc pod uwagę zaszłości i kary.

— Nie będzie mogła zapłacić.

— Więc będzie musiała opuścić wyspę, przełożony zaś pójdzie do więzienia za oszustwo finansowe. Osobiście zajmę się przypadkiem przełożonej. Myślę, że kiedy uwolnię ją od ciężaru, jakim jest dla niej ten pogański klan, pójdzie po rozum do głowy.

— To zła droga. Będą się bronili.

— W jaki sposób? Poborca podatkowy nie okaże litości.

To ty nim będziesz.

Biskup musiał czekać cały tydzień na bezwietrzny poranek. Kiedy prefekt się niecierpliwił, odrzekł mu, że nie chce ryzykować życia załogi. Na początku stycznia statek dotarł do wyspy i przywiózł z niej Sabniego. Przełożony miał na sobie gruby lniany płaszcz i sandały z kory papirusu. Okna w gabinecie biskupa były zasłonięte wełnianymi portierami.

Teodor ogrzewał zgrabiące dłonie płomykiem lampki.

— Maksymian uznał wyspę za teren uprawny. Jesteś mi winien pokazać sumę, Sabni.

— Pięć lat temu uwolniłeś nas od tego zagrożenia.

— Ale tym razem prefekt jest tutaj. Muszę go słuchać.

Jeśli odmówię, wyśle wszystkie kościelne zasoby do

Bizancjum i prowincja będzie zrujnowana.

— Nie możesz pozbyć się Maksymiana?

— To ty nie chcesz się podporządkować, nie on.

— Dochody świątyni są niewielkie.

— Będziecie musieli opuścić wyspę i pozostawić ją rolnikom.

— Czy prefekt odważy się wysłać wojsko?

— Boję się, że tak.

— Skąd taka zawziętość?

— Chce ożenić się z Izis. Wspólnota, którą kierujesz, stanowi dla niego przeszkodę.

— Ten człowiek oszalał.

— Z miłości. Posłuży się najprzód prawem, później podstępem, a wreszcie siłą.

— Będziesz nas bronił przeciw niemu?

— Ja pragnę ruiny File, Sabni. Nigdy tego przed tobą nie kryłem. Jeśli strategia prefekta polega na unicestwieniu resztek pogaństwa, będę jego sprzymierzeńcem.

— To są słowa biskupa. A co radzi przyjaciel?

— Nawróć się i pracuj u mojego boku. Maksymian jest narzędziem Boga. Jego działanie oznacza, że twoja

szaleńcza przygoda dobiega końca.

Sabni pogрузył się w rozmyślaniu wpatrzony w szuflady pełne papirusów. Przywiodły mu na myśl długie rozmowy z młodym Teodorem; obaj byli zafascynowani prawem i chętnie dzielili się swą wiedzą.

— Jeśli File jest ziemią uprawną, ja jestem rolnikiem?

— Oczywiście.

— W takim razie mam prawo do dawnej własności świątyni i wszystkiego, co do niej należało: ziemi, winnic i ogrodów.

— Masz rację, jeśli dokładnie zastosować literę prawa.

Ten aspekt na szczęście umknął prefektowi. Inaczej podatki uległyby potrojeniu.

— A więc potrój je.

— Jaką absurdalną walkę chcesz podjąć?

— Maksymian życzy sobie próby sił: będzie ją miał.

Prefekt jest tymczasowy, a świątynia wieczna.

Kiedy Sabni postawił znów stopę na świętej wyspie, czuł się zarazem odprężony i zalękniony. Odprężony, bowiem świątynia, która była całym jego światem, stanowiła dlań źródło prawdziwej równowagi ducha, którą śmiertelnicy próbowali zniszczyć. Zalękniony, gdyż swoje wyzwanie rzucił na ślepo. Za miesiąc zostaną wygnani. Bracia i siostry będą kurczowo trzymać się kolumn, na próżno opierać się żół-

nierzom gotowym wpełznąć ich na statki, które zawiozą ich donikąd.

Izis czekała na niego na nabrzeżu. Słońce ślizgało się po jej obcisłej sukni. Chwycił ją w ramiona i zamknął oczy, mając nadzieję, że kontakt z ciałem łagodnym jak letnia noc przegna demony.

— Czy to aż tak poważne, kochanie?

— Prefekt narzuca nam statut posiadłości rolnej. Jesteśmy winni podatki i domiar za wyspę i dawne posiadłości.

To znaczna suma. Kiedy ogłoszą naszą niewypłacalność, będziemy pozbawieni naszych dóbr i zmuszeni do porzucenia sanktuarium.

— Nie mogliśmy uzyskać pożyczki?

— Bogaci są chrześcijanami i słuchają Teodora. Musimy przygotować siostry i braci na to, że czeka ich okrutny los.

Izis i Sabni przeszli wzdłuż murów świątyni i znaleźli się przed posągami wielkiej bogini. Przybraniem jej głowy było ciało sępa — symbol uniwersalnej matki — nad którym wznosiła się tarcza słoneczna wyrastająca spomiędzy dwóch rogów. W prawej ręce trzymała berło; to ono sprawiało, że zakwitała ziemia. W lewej dzierżyła klucz życia, otwierający przed adeptami świat bogów. Potężne mury przeglądały się w niebieskiej wodzie. Przełożona zatrzymała się przed płas-

korzeźbą: faraon kijem uderzał w kulę obrazującą złe oko.

W pięści król ścisnął sznur i związał cztery figurki nieprzyjaciół, ucieleśnienie złowrogich mocy, gotowych pojawić się z czterech stron świata.

— Dopóki niebo będzie się wspierać na swych czterech podstawach, a ziemia stać na swych fundamentach, boskie światło jawić się będzie pod postacią słońca; dopóki wylew będzie przychodzić we właściwym czasie, a ziemia będzie wydawać swój plon, dopóki północny wiatr wiać będzie o swej godzinie, dekania * wykonywać swoją służbę, a gwiazdy będą świecić na swoich miejscach, pozostanie trochę radości, ostatni ogień i zakaz rezygnacji.

— Jeśli postanowisz oddać się Maksymianowi, by uratować świątynię, zabiję go.

Pogłaskała go po czole.

— Pozbądź się tej troski. Nigdy nie będę należała do niego. Miłości, którą daję tobie, nikt ci nie odbierze. Jest inne rozwiązanie: zapłacimy podatek.

* Egipcjanie podzielili gwiazdy na 36 dekanów. Każda grupa gwiazd pojawiała się i pozostawała nad horyzontem przez 10 dni (przyp. tłum.).

Sabniego trzeba było przekonywać cały wieczór. Nie chciał słyszeć o naruszaniu dóbr, które przekazali im przodkowie. Isis wytłumaczyła mu w końcu, że prefekt, myśląc, iż rujnuje świątynię, w gruncie rzeczy zapewniał jej nowy dobrobyt. Skoro według prawa File znajdowała się pośrodku uprawnej posiadłości, dlaczego nie mieliby tego wykorzystać? Wielu chłopów byłoby szczęśliwych, pracując dla świętej wyspy. Korzystając ze swoich własnych zasobów, wyspa przestałaby być zależna od biskupa i szybko wyczerpującej się dobrej woli ludzi. Pozostawało płacić podatki i modlić się do Nilu, by zechciał ogromnym wylewem użyźnić pola i ogrody.

Sabni ustąpił. On trzymał się przeszłości, Isis otwierała przed nimi przyszłość.

Po obrzędzie świtu zebrali wszystkich adeptów przed pierwszym pylonem.

— Na mocy decyzji prefekta świątynia została z powrotem uznana za właściciela ziemi. File stanie się znów bogata, kiedy zapłaci swe długi cesarzowi. Wspólnota nie posiada wprawdzie ani jednej srebrnej monety, ale jest zasobna w przedmioty i stare meble. Proponuję sprzedać je handlarzowi.

Stolarz zbuntował się.

— Czy masz zgodę przełożonej?

— Kiedy któreś z nas przemawia do wspólnoty, wyraża myśl drugiego.

— Czy będziemy musieli rozstać się ze starymi papirusami? — zapytała bibliotekarka.

— Nie, ponieważ są duszą świątyni.

— Meble także — zaprotestował któryś z braci.

— Możecie nie zgodzić się na naszą propozycję — przyznał Sabni — ale wtedy armia nas ograbi i przegna.

Lepiej popełnić dziesięć morderstw niż oszukać poborcę.

— Przecież niczego nie ukradliśmy!

— Ale prefekt uznał, że nie jesteśmy w porządku wobec państwa.

— Dość dyskusji — przerwał Chrestos. — Jeśli wspólnota wybrała Izis i Sabniego, to po to, by nią kierowali.

Niech postanowią, a my będziemy słuchać.

Te słowa uciszyły protestujących. Strażnik nabrzeża udał się do swego domu, skąd przyniósł dzban na wino o prostej szyjce i wygiętych harmonijnie uchach, ulubiony przedmiot jednego z podczaszych Ramzesa II. Kucharz opróżnił skrzynie wypełnione drogocennymi naczyniami, z których najpiękniejsze były złote kubki zdobne w płatki niebieskiego lotosu oraz czarki z tego samego kruszcu z rysunkiem

kobiecych postaci wążających kwiat lotosu. Przed świątynią zgromadzono srebrne misy, lampy z brązu, miedziane kadzielnice wykonane przez genialnych artystów. Izis dorzuciła skarby, które były w posiadaniu kolejnych przełożonych: złote i miedziane lustra, misy na maści z lapis-lazuli i obsydianu, fiołki na perfumy pokryte spiekaną niebieskozieloną glazurą, grzebienie zdobione w żyrafy i porfirową czaszę pamiętającą dni panowania Cheopsa.

Jedna z sióstr zapłakała. Izis pocieszała ją:

— Jak będziemy bogaci, odkupimy nasze dobra.

Kiedy Sabni wczesnym popołudniem zszedł z łodzi, żołnierze otoczyli go i zaprowadzili przed oblicze kapitana Mersisa, który bezzwłocznie zawiadomił biskupa.

Przełożony zwrócił się o pozwolenie na swobodne poruszanie się między wyspą a terytorium prowincji; pozycja właściciela ziemskiego dawała mu te same prawa co każdemu mieszkańcowi Elefantyny. Teodor nie mógł mu przeciwstawić żadnego argumentu, tym bardziej że Sabni wyrzekł się wszelkiej prowokacji, zamieniając białą szatę na brązową tunikę zeszytą po dwóch stronach i ściśniętą paskiem.

— Jakie masz zamiary, Sabni?

— Chcę zapłacić podatki. Czyż to nie pierwszy i podstawowy obowiązek wiernego sługi cesarza?

— Które z was znalazło sposób, ty czy Izis?

— Jej geniusz przewyższa mój talent.

Teodor uśmiechnął się.

— Czyżbyś chciał przechytrzyć swego najstarszego przyjaciela?

— Reguła nakazuje mi mówić prawdę nawet nieprzyjacielowi.

— Kiedy wreszcie zrozumiesz...

— Zrozumiałem i cierpię na równi z tobą.

— Gdzie zaprowadzi cię ta zmiana kursu?

— Do szacowności, Wasza Wielbność.

Sabni udał się do antykwariusza, Libańczyka, który osiadł w stolicy Południa przed dwoma laty. Jego sklepy w Aleksandrii i Bizancjum cieszyły się dobrą sławą. Gromadził w nich bogactwa z czasu faraonów, które rzucał na pożarcie kilku dygnitarzom złąknionym egzotyki.

Kupiec, niewysoki mężczyzna o ciemnej cerze i żywych oczach, przyjął Egipcjanina dość podejrzliwie.

— Kto cię przysyła?

— Mam na imię Sabni.

— Czyżbyś był...

— Przełożonym File, w istocie.

— Nie mam nic do sprzedania.

— A ja owszem.

Libańczykowi wydało się, że śni. Bogaci klienci marzyli

o upadku File, przekonani, że świątynia pełna jest arcydzieł i rzadkich okazów. Proponowali mu pokaźne sumy za to, że pierwsi się o tym dowiedzą. Jednak ostatnia pogańska wspólnota wzniosła tak nieprzebyte bariery między sanktuarium a światem zewnętrznym, że nawet najzręczniejszy z negocjatorów rezygnował. Dlatego rozmowa z przywódcą duchowym stojącej poza prawem świątyni wydawała się zadziwiająca.

— Czy przyniosłeś ze sobą jakiś... cenny przedmiot?

— Chodź ze mną.

— Gdzie?

— Na File.

— Muszę uprzedzić moich pomocników...

— Sam.

— Moje bezpieczeństwo...

— Gwarantuję za nie.

— Sam wobec całego bractwa, na terytorium zakazanym

i zaludnionym przez demony...

— Czekają tam na ciebie dziesiątki bezcennych przedmiotów.

Libańczyk nie wahał się długo. Jeśli Sabni nie kłamał, przed nim najbardziej pasjonujące godziny w całej karierze.

— Kiedy?

— Zaraz.

— Niestety, nikt nie ma prawa postawić stopy na wyspie!

Gdyby biskup...

— Jesteś źle poinformowany. Dlaczego zwykle

gospodarstwo rolne miałoby być odcięte od

provincji?

Handlarz przez całą drogę był bardzo spięty. Strach ścisnął

mu trzewia podczas przeprawy łodzią; czy nie czyhają na

niego żołnierze, by wtrącić go do więzienia?

Nic się nie wydarzyło. Oczarowany, z bijącym sercem

dotknął kamieni nabrzeża: to, co zobaczył, przeszło jego

najśmielsze oczekiwania. Na matach z włókien palmowych

leżało mnóstwo starych przedmiotów, pochodzących bez

wątpienia ze skarbca świątyni.

Przełożona, której urodę powszechnie sławiono, zrobiła

wielkie wrażenie na Libańczyku. Żadna kobieta Wschodu

nie mogła z nią rywalizować. Do delikatności oblicza i wspa-

niałości jej kształtów dochodziła błyskotliwa inteligencja,

widoczna nawet w jej spojrzeniach. Handlarz musiał się

opanować, by zachować przytomność umysłu, nie upaść

przed Izis na kolana i nie zacząć jej wielbić jak bogini.

Handlowy zmysł pozwolił mu się wyrwać z zaklętego kręgu

i skupić spojrzenie na lśniących kosztownościach.

— Chcecie... chcecie je sprzedać?

— Temu, kto da najwięcej — odpowiedział Sabni. — Jeśli

cena, którą zaproponujesz, wyda nam się za niska, poszukamy innego nabywcy.

— To nie będzie potrzebne! Uczciwi ludzie potrafią się dogadać.

Handlarz doskonale wiedział z doświadczenia, że przy tak wielkich transakcjach zawsze przegrywa ten, kto pierwszy wymieni jakąś liczbę. Ale okazja była tak wyjątkowa, że odrzucił zwykłą ostrożność: namiętni kolekcjonerzy rzucą się na te nadzwyczajne przedmioty i będą się licytować.

Dlatego podał sumę odpowiadającą połowie handlowej wartości przedmiotów. Isis podniosła ją o ćwierć. Handlarz oceniał każdy z przedmiotów, krytykował jakość drewna, wykończenie rysunków i archaiczny styl, który z pewnością nie znajdzie uznania na dworze w Bizancjum. Ale przełożona znała gusta kolekcjonerów. Czyż nie przebiegali całego Cesarstwa w poszukiwaniu starożytnych przedmiotów, by je gromadzić w piwnicach lub willach na prowincji?

Po długim dniu targów osiągnięto kompromis. Libijczyk zdobył fortunę, a świątynia niespodziewaną sumę, która gwarantowała jej niezależność ekonomiczną przynajmniej przez rok.

Sabni odwiózł kupca do Elefantyny. Musiał położyć tamę potokowi gratulacji, którymi antykwariusz go zasypywał.

Trudne zadanie przełożonego nie skończyło się jeszcze: teraz,

pogrążony w myślach, skierował się do biura podatkowego, w którym królował despota Filamon, drugi diakon, mianowany głównym poborcą po długiej urzędniczej karierze, w trakcie której wykazał się nadzwyczajną gorliwością. Od niedawna sięgnął szczytu w hierarchii, usuwając wszystkich rywali za pomocą afer korupcyjnych. Ten suchy, mały, niemal łysy człowieczek, bardzo nerwowy, był z przekonania wierzący. Kochał Boga i swoje cyfry, a nienawidził reszty świata. Bóg wyrażał się poprzez kodeks podatkowy, a cyfry wyrażały najdoskonalszą sprawiedliwość — kto nie chciał się jej poddać, zasługiwał na więzienie, galery lub śmierć. Bogaci mieli tylko jedno zadanie: płacić. Kiedy biskup na polecenie prefekta przekazał mu tuzin tabliczek i tyleż zwojów papirusu dotyczących nowej podstawy opodatkowania File jako gospodarstwa rolnego, jego serce aż podskoczyło z radości. Nie potrafiłby odpowiedzieć, czy bardziej cieszy się jako chrześcijanin, czy jako poborca. Na kawałku wapienia wyrysował trzy kolumny: w pierwszej znalazły się nazwiska siostry i brata tak starych, że najśroźszą karą dla nich mogło być tylko wygnanie; w drugiej niemal wszystkich adeptów, którzy podlegali karze przymusowych robót; w trzeciej umieścił imię Sabniego. Przełożony nie mógł uniknąć kary i musiał być sądzony za okradanie cesarza, odmowę płacenia, nieposłuszeństwo i oszustwo.

Izis nie było na liście. Jako przyszła nawrócona podlegała osobistej ochronie Maksymiana.

Filamonowi zależało na procedurze. Każdemu adeptowi miały zostać przedstawione porządnie sformułowane zarzuty, na których podstawie kapitan Mersis dokona aresztowań.

Poborca zajadał figi ofiarowane mu przez przyjaciela Apollona. Jakżeby mógł odmówić przyjmowania prezentów od uprzejmych obywateli, wyrażających wdzięczność za właściwe zajmowanie się ich sprawami? Pieniądze nie interesowały Filamona. Posiadał jedynie skromny dom i pole obsiewane zbożem; liczyła się tylko służba państwu. Bóg mógł przebaczyć grzesznikowi, ale on nie miał prawa oszczędzać oszusta.

Kiedy żołnierz stojący na warcie przed biurem, smrodliwym pomieszczeniem położonym w samym sercu starego miasta, powiadomił go o wizycie Sabniego, poborca kazał sobie powtórzyć jego imię. Pewnie chodziło o kogoś, kto się tak samo nazywał i chciał zaprotestować przeciwko wysokości podatków. Zostanie odesłany z dodatkową karą. Mężczyzna wszedł do środka. Jego postawa zrobiła wrażenie na Filamonie: wysoki, dobrze zbudowany podatnik wcale nie wydawał się niespokojny. Zwykle ci, którzy przekraczali te progi, z trudem skrywali bojaźń.

— Kim jesteś?

— Mam na imię Sabni.

— Zawód?

— Jestem właścicielem ziemskim.

— Lokalizacja gospodarstwa?

— File i jej przyległości.

Więc to jednak był on! Poganin odważył się nachodzić administrację w jej własnym lokalu. Napad szaleństwa czy ostateczna prowokacja? Sankcja będzie taka sama. Skoro przełożony sam przyszedł do niego, Filamon dla dodatkowej satysfakcji ustnie przekazał mu wysokość olbrzymiej sumy, którą miał wpłacić, i dodał, że ma na to miesiąc bez możliwości przedłużenia terminu.

— To nie będzie konieczne — Sabni położył na stole worek ze srebrnymi monetami. — Oto suma, którą jestem winien Cesarstwu: podatek roczny, opłaty, domiar i grzywny. Czy jestem w porządku?

Poborca podatkowy na kolanach, z niedowierzaniem, liczył jedną po drugiej monety.

Podczas cotygodniowego przeglądu wojska generał Narses wyraźnie się nudził. Dyscyplina, której poświęcił całe swoje życie, przypominała zwiędłą kochankę. W lutym, kiedy rozpoczynały się przygotowania do żniw, Elefantyna po-
grążyła się w kojącej sennej drętwoce. Blemiowie nie poka-
zali się więcej. Słabe słońce ledwie ogrzewało dom prefekta. Maksymian, ofiara własnych zarządzeń, był zmuszony wy-
słać raport o sytuacji finansowej prowincji i wyjaśnić cesa-
rzowi, iż wobec prośby Narsesa o przeniesienie nie ma mowy
o jakiegokolwiek próbie ekspedycji do Nubii, chociaż prze-
prawa przez kataraktę wydawała się teraz możliwa. Od wielu
już dni biskup przyjmował go chłodno: czyż strategiczny
błąd, który popełnił, nie spowodował, że File z powrotem
zaczęła legalnie istnieć? Izis pozostawała w świątyni, Sabni
zaś doglądał swoich ziem i płacił chłopom, którzy z radością
pracowali dla świętej wyspy.

Maksymian zrujnował lata wysiłków. Poganie wychodzili
z cienia; nawet chrześcijan poruszyła silna osobowość Sab-
niego, który chociaż nikogo nie próbował przekonywać ani
nawracać, potrafił wzbudzić wiele sympatii. Kilku młodych
ludzi zapragnęło poznać Regułę świątyni. To, czego tak
bardzo Teodor się obawiał, jawiło się z koszmarną oczywis-
tością: Sabni, przeciwnik Boga, stał się jego najgorszym

wrogiem. Pogaństwo odrastało jak zielsko, z tym większą zaciekłością, że wydawało się umarłe. Para rządząca wyspą posiadała wystarczającą moc przekonywania i autorytet, by stopniowo obrócić sytuację na swoją korzyść. Z prześladowanej File stała się zwyciężczynią.

Prefekt marzył o lzis. Biskup przygotowywał kontratak.

Narses nieuważnym okiem przeglądał swych żołnierzy, myśląc jedynie o szczęśliwych chwilach, jakie spędzi w samotności na swojej skale. Coś go jednak zastanowiło i wezwał kapitana Mersisa.

— Czy nie brakuje ludzi?

— Dwudziestu.

— Z jakiego powodu?

— Gorączka i bóle jelit.

— Epidemia?

— Jeszcze nie wiadomo. Lekarze obserwują chorych.

Informacja zaniepokoiła generała. Do tej pory miał w pamięci afrykańskie kampanie, podczas których dyzenteria dziesiątkowała całe regimenty. Ludzie umierali w okropnych męczarniach, straciwszy cały płyn zawarty w ciele.

— Twoja opinia, kapitanie?

— Jestem zaniepokojony.

— Jeśli pojawią się nowe przypadki, masz mnie natych-

miast zawiadomić.

Narses powrócił na stanowisko dowodzenia. Dzisiaj wieczorem nie będzie oglądać katarakty.

Sabni i Izis wstali pierwsi. Jak zwykle przemierzali sale świątyni po odprawieniu obrządku świtu. Z każdym dniem święta wyspa stawała się piękniejsza i bardziej promienna.

Ich szczęście i siła ich związku powstały z roześmianej duszy tych kamieni. Głosy przodków uwięzły w korytarzach, gdzie młodzi ludzie zatrzymywali się często, wsłuchując się w ciszę ukształtowaną wiekami składanych ofiar. Miłość, która wiązała ich z niebem i ziemią, rosła z siłą poranków i czułością wieczorów.

Na dziedzińcu rozciągającym się między dwoma pylonami stolarz zebrał dwudziestkę braci i sióstr. Ścisnęli się w zwartą i wrogą grupę. Ahure ustaliła z prowodyrem, że sama się nie pokaże. Gdzieś na uboczu kopiowała jakiś opis rytuału — w razie niepowodzenia nie straci zaufania przełożonej. Izis i Sabni znieruchomieli u szczytu schodów prowadzących do sali kolumnowej.

— Czego chcecie? — zapytał przełożony.

— Nie zgadzamy się z tobą. To nikczemność sprzedawać nasze dobra! Chcemy pozostać w cieniu. Walczyć z biskupem i prefektem to zbyt niebezpieczne przedsięwzięcie.

— Nie mieliśmy wyboru — przypomniała Izis. — Świątynia wychodzi z izolacji.

— Właśnie tego należało uniknąć — odpowiedziała siostra zajmująca się wonnościami. — Chcieliśmy w spokoju doczekać starości, z dala od nienawistnego tłumu chrześcijan. Ty i Sabni zmuszacie nas, byśmy powstali przeciwko nim i stoczyli z góry przegraną bitwę.

— To nieprawda — sprzeciwił się Sabni. — Próbując zdławić świątynię, prefekt daje jej szansę przeżycia. Kulić się, zwinąć się w kłębek... to właśnie byłoby tchórzostwem.

— Co ty wiesz o odwadze? — zaczęła się złościć muzykantka z rękami zdeformowanymi przez reumatyzm.

— Jesteś za młodym przełożonym! My wycierpieliśmy już zbyt wiele.

Izis usiadła na schodkach. Nic w jej postawie nie zdradzało nawet śladu irytacji. Sabni poszedł za jej przykładem.

Gestem skłonił braci i siostry, by usiedli przy nich. Niektórzy woleli stać.

— Co proponujecie?

— Powróćmy do dawnego statusu — zażądał stolarz. — Niech oddadzą nam nasze dobra i zapomną o nas.

— Dobrze wiesz, że to utopia.

— Nie, jeśli naprawdę tego zechcesz.

— Po co te daremne żale? — zapytała Izis. — Ukrywanie się przed rzeczywistością jest wykroczeniem przeciw naszej Regule. Korzystajmy świadomie z losu, jaki bogowie nam zsyłają.

— Nie chodzi tu o bogów, lecz o prefekta! Nie zaciągajcie nas na drogę bez wyjścia. Wspólnota ma milczeć.

— Żyliśmy tak przez wiele lat — przyznał przełożony — ale ten okres się skończył. Kto nic chce odrodzenia

File?

— My — odrzekli.

— Jeśli będziecie się upierać przy złowrogich intencjach

— zagroził brat stolarz — opuścimy wspólnotę.

Kiedy zostali sami, Sabni i Izis połączyli dłonie. Atak, który nastąpił od wewnątrz, głęboko ich zranił. Jak potępić kobiety i mężczyzn, z którymi tyle razem przeszli? Jak ich osądzać? Mieli wolny wybór, mogli więc powrócić w każdej chwili do świata zewnętrznego.

— Żaden z nich nie dostąpił wielkich tajemnic — stwierdził Sabni. — Czy brat stolarz nie sieje zarzewia buntu, by dostąpić formuły mocy?

— To z góry skazane na niepowodzenie. Boję się czegoś gorszego: nasz brat zapomniał, że nie jesteśmy jedynie zgromadzeniem ludzi zatroskanych o swoją

przyszłość, lecz wspólną na bożej służbie. Ustupując awanturnikom, skazujemy się na śmierć.

— Stolarz wie o tym. To przecież jeden z mądrzejszych braci.

— W takim razie trucizna zdrady wsączyła się w jego duszę.

Sabni zbladł. Izis rzuciła oskarżenie, którego bał się usłyszeć.

— Masz rację — przyznał. — Nie słucha już świątyni, lecz prefekta i biskupa.

— Czy masz jakiś dowód?

— Żadnego. Dlatego proponuję jeszcze raz zebrać Izbę Reguły.

— Kogo chcesz na asesora?

— Bibliotekarkę. Pozostawmy rytualistkę na uboczu.

Mogłaby okazać się bezlitosna, zważywszy na to, jak bezczelny potrafi być stolarz. Musimy dowiedzieć się prawdy, ale jeśli zbłądził, winniśmy odzyskać go dla wspólnoty.

— Nie będę wzywać Ahure. Jeśli to tylko przelotny bunt lub przyływ złego humoru, braterska miłość potrafi ukoić naszego brata.

Przed swymi sędziami — Izis, Sabnim i ciężarną bibliotekarką — stolarz stawiał się w stroju profana, nie ogolony i

aroganki. Izis poprosiła Maat, uniwersalną Regułę, by swym wiernym ukazała prawą drogę, drogę serca. Oskarżony nie odczuł najmniejszego wzruszenia, słuchając słów, które niegdyś poruszały jego duszę. Jego zachowaniem kierowała niezdolna pozycja, w jakiej się znalazł: chciał być wstrętny, żeby go odrzucono. W ten sposób uwiarygodni powstanie buntu i usprawiedliwi w oczach prefekta porzucenie wyspy. Maksymian nie będzie mógł mu niczego zarzucić i znajdzie sobie kolejnego szpiega.

— Jesteś winny czy niewinny? — zapytał Sabni. — Czy jesteś świadomy, że pogwałciłeś Regułę?

— Drwię z tego. Ty i twoja towarzyszka prowadzicie wspólnotę do katastrofy.

— A jednak nie sprzeciwiałeś się naszej nominacji.

— To było wczoraj. Władza przewróciła wam w głowach.

Wierzycie w zmartwychwstanie File. To szaleństwo!

Nie akceptuję waszych rządów. Jestem zdecydowany opuścić wyspę i nie uczynię tego sam. Wielu jest tego samego zdania i wolą rozum od waszego opętania.

Oburzona bibliotekarka chciała zaprotestować. Izis nakazała jej milczenie.

— Powodem tego buntu jest moja nominacja na przełożonego — oświadczył Sabni. — Pod mądrymi rządami Izis nie było żadnych protestów. Jest proste rozwiązanie,

mój bracie: rezygnuję z mojej funkcji, a ty się jej podejmujesz.

Stolarz cofnął się o krok.

— Nigdy nie wyrażałem takiego życzenia.

— Krytykując mój sposób postępowania, wypełniasz swój obowiązek. Teraz musisz naprawić moje błędy i sprawić, by wspólnota stała się bardziej harmonijna.

— Odmawiam pełnienia tej funkcji.

— Jestem gotowa ci ją powierzyć — stwierdziła Izis. —

Buduj dzieło, o które nam wszystkim chodzi, a będziemy cię słuchać.

— Zostawcie mnie w spokoju!

— Sam siebie okłamujesz, bracie. Którego z demonów jesteś niewolnikiem?

— Depczę waszą Regułę... Przegnajcie mnie!

— Czy do tego stopnia zapomniałeś o swoim powołaniu, że znieawidziłeś braci?

Stolarz z własnej woli opuścił komnatę. W podłodze tego niewielkiego pomieszczenia lśnił złoty łokieć Maat, z której pochodziły wszelkie miary świątyni.

Izis i Sabni odbyli rozmowy z każdym z adeptów, których przekonały argumenty stolarza. Choć wahali się i czuli niezręcznie, byli uparci. Rozczarowanie przełożonego było olbrzymie. W jaki sposób istoty, które poświęciły życie świątyni, mogły w tak brutalny sposób zdradzać same siebie i swoje powołanie? Wszyscy usprawiedliwiali się podobnie: obawa przed walką ze zbyt potężnym wrogiem, chęć pozostawania w cieniu, pragnienie spokojnej starości z dala od zgiełku. Dla nich File już nie istniała; marzyli o powrocie do Elefantyny, o tym, by odnaleźć rodzinę i anonimowość. Ani słodycz Izis, ani zdecydowanie Sabniego nie skłoniły buntowników do zmiany decyzji. Oszałały stolarz wpadł do biblioteki, w której pracowała Ahure.

— Sprawy przybrały zły obrót. Rytualistka ze złości połamiała trzcিনowe pióro.

— A więc Sabni nie chce ustąpić!

Mężczyzna spuścił oczy.

— Zaproponował mi swoją funkcję.

— Odmawiasz?

— To zbyt ryzykowne.

— Nie czujesz się do tego zdolny, prawda?

— A jeśli nawet! Same kłopoty, katorżnicza praca, oto co niesie ze sobą ta pozycja nie do obrony. Ahure, musimy

uciekać z tej wyspy... Nasz spiszek powiódł się aż za dobrze:

wielu adeptów chce pójść z nami i powrócić do normalnego życia.

— Ty także?

Stolarz zawahał się.

— Kocham File, pewnie bardziej niż Izis i Sabni, ale nadszedł dzień, kiedy trzeba zrezygnować z umierającej tradycji. Żyjemy zamknięci w świecie snów. Pogódźmy się z rzeczywistością naszej epoki i zapomnijmy o tej świątyni.

Przestań się wahać.

Wbiła oczy w papirus.

— Nie mogę.

— Nie bądź uparta. Jedni po drugich bracia i siostry porzucą stadło, które nimi rządzi. Niedługo Izis i Sabni będą się wzajemnie szarpać. Czy naprawdę chcesz oglądać ten smutny spektakl?

— Wyjdź stąd.

— Ahure...

— Jesteś nieudacznikiem i tchórzem. Pomyliłam się, wybierając cię na sprzymierzeńca. Chwała ci. Dwa razy nie popełnię tego samego błędu.

Zawstydzony stolarz dołączył do swych towarzyszy.

Kiedy łodzie oddaliły się, unosząc tych, którzy cofnęli dane niegdyś słowo, Chrestos wyciągnął pięść.

— Krzywoprzysięzcy, bądźcie przeklęci!

— Zrozum ich — polecił mu przełożony.

— To najnędniesze z kreatur! Wielka bogini przyjęła ich i obdarzała miłością. Mogę przebaczyć chrześcijanom lub wrogom, ale nie tym zdrajcom.

— Niewiele istot podąży drogą wiodącą aż do wrót wielkich tajemnic — powiedziała Isis. — Nie czcij przeszłości w naiwny sposób. Nawet za czasów chwały droga do mądrości była równie wąska jak obecnie.

— Teraz jest wojna. Dezerter zasługuje jedynie na śmierć.

— Naszym zadaniem jest dawanie życia, Chrestosie. W ten sposób przedłużamy dzieło bóstwa.

— Niechaj i tak pozostaną przeklęci — wymamrotał pod nosem młodzieniec.

Adepci rzucili się w ramiona żołnierzy, którzy obserwowali ich przeprawę. Niektórzy od razu zapowiedzieli swoje nawrócenie, inni, niezdolni do sprofanowania swojej przysięgi, stwierdzili jedynie, że powrócą do swych rodzin i że nigdy już o nich nikt nie usłyszy. Stolarz, by nie ujawniać się jako przywódca, skrył się w szeregu.

Policjanci, początkowo zaskoczeni tą demonstracją przyjaźni, zareagowali gwałtownie. Włóczniami zaczęli odpychać adeptów. Jedna z sióstr, raniona w brzuch, upadła na ziemię.

Kilku braci miało pokłute ręce i nogi. Stolarz próbował interweniować, ale któryś z adeptów uderzył żołnierza. Ten przejaw agresji został surowo stłumiony; zakutych w łańcuchy buntowników zaprowadzono do twierdzy. Trzech zmarło po drodze. Ich trupy ciśnięto do porzuconych kanałów irygacyjnych, wypełnionych śmierdzącym mułem, w którym rozkładały się trupy osłów i bydła.

Kiedy kapitan Mersis zobaczył smutny orszak na posypanym piaskiem dziedzińcu twierdzy, natychmiast zorientował się w rozmiarach katastrofy. Połowa wspólnoty wystawiła się dobrowolnie na ciosy przeciwnika, którego brutalności nawet nie podejrzewała. Żołnierze zapewnili, że zaatakowała ich zorganizowana banda. Mersis zastosował się do rozkazów i kazał wrzucić sprawców do podziemnych lochów, skąd po dwutygodniowym pobycie mieli wyruszyć z konwojem skazańców do obozu pracy w Azji. Jeśli niektórym uda się przeżyć drogę, przyjdzie im umrzeć w kopalniach. Płaczącego, niezdolnego do najmniejszego ruchu stolarza, ciągnęło po ziemi dwóch starych adeptów.

Teodor modlił się. Błagał Chrystusa, by wskazał mu drogę. Jak uratować Sabniego po tym, co się wydarzyło? Biskup zdawał sobie sprawę, że jego przyjaciel nosi w sobie prawdę, która zasługuje na przetrwanie. Oddzielona od złudzeń

i błędów mogła zamienić się w zwycięską wiarę. Bóg powierzył mu zadanie sprowadzenia pogańskiego kapłana na drogę prawdziwego światła wiary: czy istniało szlachetniejsze, bardziej wzniosłe zadanie? Sabni miał postawę wielkiego purpurata i posiadał dar wydawania rozkazów. Gdyby stanęli ramię w ramię, obaj uzupełnialiby się jak Bliźnięta zodiaku. Nie obawialiby się żadnych zadań. Należy jednak wyrwać Sabniego z więzienia, w którym sam się zamknął, należy złamać ostatnią wspólnotę, która trzymała go jeszcze przy przeklętym kulcie. Szaleństwo prefekta mogło stać się decydującą bronią w służbie Pana.

Maksymian pisał dziesiąty list do Izis, błagając ją o przebaczenie. Podarł go, tak jak i poprzednie, nie bacząc, że niszczy drogocenny papirus. Jak wytłumaczyć przełożonej, że głupota stolarza spowodowała falę nieszczęść? Sięgając po usługi informatora, prefekt nie chciał narażać wspólnoty, którą jednak pragnął zniszczyć, by wyzwolić Izis od magicznych więzów.

Maksymian gubił się we własnych myślach. Nie mógł już znieść własnego biura; poprosił biskupa o widzenie. Teodor przyjął go chłodno.

— Nienawidzisz mnie.

— Jesteś zadowolony ze swych poczynań?

— Jak można było przypuścić, że ten stolarz stanie na

czele grupy?

— Zbrojny bunt starców i kalek... Kto uwierzy w taką bajkę? Twój szpieg przestraszył się i próbował czmychnąć w towarzystwie słabeuszy, których potrafił przekonać.

— Uważasz, że ponoszę odpowiedzialność za kilka trupów bez znaczenia?

— Jestem gotów wysłuchać twojej spowiedzi.

Maksymian, poruszony spojrzeniem biskupa, zrozumiał, dlaczego ten człowiek rządził prowincją, a jutro rządzić będzie całym Egiptem. Nie podnosił głosu, by wydać rozkaz i wymusić posłuszeństwo. Prefekt uklęknął. W tej chwili uwierzył w Boga. Jego obecność promieniowała z jego sługi. Wargi prefekta zdrżały. Począł wyznawać swe grzechy.

Izis i Sabni przekroczyli próg portyku Hadriana i zeszli aż do Nilu. Przemijały zimowe chłody. Przyszła wiosna, rozkwitały pierwsze kwiaty, które świętą wyspę przystroją niebawem w czerwone, niebieskie i żółte barwy. Młodzi ludzie spacerowali na brzegu pokrytym rosą. Krok po kroku upewniali się o realności tej świętej ziemi porzuconej przez połowę wspólnoty.

Poprzedniego dnia Izis brakło odwagi, by podjąć na nowo redakcję rytuału sprzyjającego powrotowi dalekiej bogini.

Sabni rozdzielił zadania, choć do niektórych prac brakowało wykonawców. Świątynia nie posiadała już wykwalifikowanych rzemieślników. Jak doglądać obrzędowego sprzętu bez stolarza, jak bez niego naprawiać łóżka i skrzynie na ubrania? Sabni postanowił doskonalić swe umiejętności w tych dziedzinach, o których miał jakieś takie pojęcie, oraz przekazać je Chrestosowi, który potrafi pomnożyć owoce otrzymanych nauk.

— Przyznaję, że nie przestaję myśleć o wyjeździe naszych braci i sióstr. Ciągłe widzę ich twarze, przypominają mi się ich radości, smutki, przeżyte wspólnie chwile, powracają wspomnienia o tym, jak stopniowo odkrywali wiedzę. Jeszcze pamiętam szczerą siłę, z jaką się wywiązywali ze swych zobowiązań. Zrobili to w chwili zagubienia. Wróć.

— Nie łudź się nadzieją.

— Dlaczego?

— Mersis przysłał mi wiadomość. Wolałbym oszczędzić ci...

— Mów.

— Chcesz jeszcze bardziej cierpieć?

— Nienawidzę cierpienia; nasz lud żył dla szczęścia. Ale nie będę chować głowy w piasek.

— Ci, którzy nas opuścili, pomarli lub siedzą w więzieniu.

Oficjalny powód: bunt przeciwko wojsku. Nawet

Mersis nie może polepszyć ich losu.

Izis płakała cicho, wtulona w Sabniego. Słońce rozgrzało młodą parę siedzącą pod tamaryszkiem. Podniósł się wiatr pustyni, mistrz tańca akacji, których gałęzie pochylały się rytmicznie. Na File zapanował głęboki spokój, spadkobierca Złotego Wieku, kiedy to każda istota składała pokłon powstającemu światłu, zanim pomyślała o sobie.

— Musisz odejść, Sabni.

— Odpychasz mnie?

— Będzie cię ścigać nienawiść prefekta, a biskup będzie chciał, byś mu się poddał. Tutaj nie jesteś bezpieczny.

Udaj się na północ, zbierz rozproszonych wiernych, przywróć im nadzieję. Tylko przełożony File może tego dokonać.

— Moje miejsce jest przy tobie, na czele wspólnoty. To ona nas wybrała, byśmy nią kierowali. Ciało zależy od serca. Dzisiaj sercem Egiptu, sercem naszej tradycji jest File.

— Skoro tak ma być, stanę się najsolidniejszym z murów obronnych i nieprzebytą tamą. Ostatni adepci zdziesięcio-krotnią swą energię i zamienią się w drapieźniki, których nikt nie poskromi.

Wykorzystajmy to, że jest nas tak niewiele, by

zespolic się jeszcze bardziej, oddychać jednym

oddechem i żywić się tą samą mocą.

— Ta świątynia jest siedzibą bogini, której nosisz imię.

Jestem jej posłuszny i napełnia mnie to radością.

Radość ta nie do mnie należy i tylko ty znasz jej

tajemnice.

Izis położyła głowę na ramieniu Sabniego.

— Któż umiałby wyśpiewać moją miłość do ciebie? Jest

bardziej rozległa niż niebo, bardziej żyzna niż czarnoziem,

jaśniej świeci niż gwiazdy.

Ich usta odszukały się, a ciała połączyły miłośnie w różo-

wym cieniu tamaryszka.

Na skraju świątynnego dziedzińca stały kosze wypełnione rybami, zielonym groszkiem, melonami, figami i daktylami.

Na matach odpoczywało z dziesięć dzbanów czerwonego wina. Pośród zapasów krzątał się młody Chrestos, trzymając w ręku tacę z terakoty pełną okrągłych chlebów.

— Co się dzieje? — zapytał Sabni.

— To żywność z naszych ziem! Przynieśli ją dwaj wieśniacy i rybak. Kiedy tylko dasz sygnał, zaczniemy świętować.

— Co chcesz uczcić?

— Odejdźcie zdrajców! Nigdy nie powinni byli przychodzić do świątyni. Wypędzając ich, bogini oczyszcza wspólnotę i otwiera przed nią nową drogę. Nieważne, że jest nas tak mało... Teraz jesteśmy jedną istotą.

Nasza słuszna sprawa wymagała takiej ceny.

Ani Sabni, ani Izis nie odpowiedzieli. Chrestos, z porywcznością neofity, unicestwiał przeszłość. Nieugięty, niszczący, mając w pogardzie wszelkie subtelności, przywoływał najbardziej okrutną rzeczywistość, nie żałując niczego.

— A zatem wypełnimy nasze puchary światłem na cześć narodzin nowej wspólnoty.

Raport generała Narsesa kończył się pesymistycznym wnioskiem: epidemia rozszerzała się. Ani lekarze wojskowi,

ani ci, którzy praktykowali w Elefantynie, nie mogli jej powstrzymać. Zmarło już przeszło dwudziestu żołnierzy w głównych koszarach. Codziennie zdarzały się nowe przypadki; choroba mogła niebawem dotknąć także ludność. Jeśli się temu nie zapobiegnie, wojska Narsesa i biskupa zostaną zdziesiątkowane. Kto będzie bronił miasta? To prawda, że Blemiowie nie pokazali się ponownie, ale czy za kamiennymi blokami katarakty nie czyha niebezpieczeństwo?

— Odprawię mszę i publicznie będę błagał o pomoc naszego Pana — obiecał biskup.

— Odradzam ci to — sprzeciwił się Maksymian. — Nie narażaj na szwank swojego autorytetu. Niech każdy chrześcijanin modli się do litościwego Chrystusa. Nie mieszajmy w to państwa, co by miało miejsce, gdybyś to ty pośredniczył. Bóg mógłby pozostać głuchy...

— Ulica podszeptuje inne rozwiązanie — rzucił Narses.

— Trzeba zwrócić się do znachorki.

Prefekt oburzył się.

— Nie wracajmy do praktyk czarnej magii!

— Lud twierdzi, że przełożona File posiada moc, którą powierzyła jej bogini. Podobno udało jej się zwyciężyć podobną chorobę kilka lat temu. Czy to prawda, Wasza Wielbność?

Wbrew sobie Teodor musiał uznać fakty. Sprzeciwił się

jednak gwałtownie szukaniu pomocy na File. Groziło to

powrotem do zabobonów, a tego lud się domagał. Prefekt

zgadzał się z biskupem, ale jak nie skorzystać z okazji

ujrzenia Izis? Wydał Narsesowi rozkaz, by udał się po

przełożoną, lecz nie stosował przymusu. Jeśli odmówi, niech

Narses jedynie przywiezie odmowną odpowiedź.

Biskup był spokojny: Izis nie zgodzi się opuścić wyspy i

przyjść z pomocą nieprzyjaciołom.

— Twoja łódź jest gotowa, generale. Wystarczy czterech

wioślarzy.

— Niech pozostaną na lądzie.

— Ale sam, jak...

— Umiem posługiwać się wiosłem.

Ku zdziwieniu oficera i żołnierzy Narses płynął chyżo po

rzece w kierunku File. Miał ochotę błąkać się po tych

świętych wodach, nad którymi unosiły się białe czaple i ibisy

o olbrzymich skrzydłach. Powoli i leniwie zbliżał się do

świątyni, boskiej fortecy, zbudowanej na skale wystającej z

oceanu energii, ojca i matki wszechświata. Z każdą chwilą

był coraz bardziej zauroczony. Jaki natchniony architekt

odważył się wymyślić ten przepych zarazem surowy i

pociągający, te świetliste kamienie potężne, a jednocześnie

zawieszane w przestrzeni, to sanktuarium zbudowane na

kształt statku, jakby gotowego wznieść się do nieba? Czy

można było żyć gdzie indziej, niż w tym miejscu

uświęconymi promieniami słońca i podmuchem wiatru?

Strażnik nabrzeża pobiegł uprzedzić Sabniego, że zbliża

się łódź, w której siedzi tylko jeden człowiek. Z pewnością

nie mogło być mowy o inwazji, toteż przełożony nie postawił

w stan pogotowia całej wspólnoty. Wioślarz zatrzymał się

jakieś dwadzieścia łokci od brzegu i stanął w łodzi.

— Jestem generał Narses — powiedział mocnym głosem.

— A ja jestem przełożonym File. Czego pragniesz?

— Chcę prosić przełożoną, by udała się do Elefantyny

walczyć z epidemią, która nawiedziła garnizon.

Sabni natychmiast pomyślał o kapitanie Mersisie, który

poświęcał się dla File, narażając własne życie. Już sama jego

osoba stanowiła usprawiedliwienie dla interwencji Izis.

Zachowanie Narsesa zaintrygowało Sabniego; wyraz jego

twarzy był nadzwyczaj poważny i wyraźnie przebijało z niej

znużenie. Czy ktoś potrafiłby rozpoznać w tym spokojnym

żeglarzu żołnierza odpowiedzialnego za niejedną masakrę?

Nie śmiał stanąć na terytorium bogini i nieruchomo wpa-

trywał się w esplanadę wieńczącą fasadę pierwszego pylonu,

tak jak gdyby wzrok ciągnął go tam, gdzie nie chciały nieść

nogi.

— Przełożona sama podejmie decyzję — oświadczył

Sabni.

— Obyś ją przekonał. Sytuacja jest beznadziejna.

Czekam na jej odpowiedź.

Izis właśnie dyktowała Ahure zdanie o oku słońca porównywanym z kobrą, ureuszem, którego ogień rozpraszał siły ciemności.

Sabni przerwał jej.

— Wybacz mi to najście, generał Narses błaga cię, byś użyła naszej wiedzy i uratowała jego wojsko, które jest w wielkim niebezpieczeństwie. Pewnie dyzenteria.

Ta-któ-ra-przeraża opuściła swe milczące mury i razi naszych wrogów zadżumionym oddechem.

— Pomoc z niebios... Ale nie możemy porzucić Mersisa!

Czy wyjątkowa istota nie wymaga poświęceń?

Izis udała się na północną stronę pylonu i pogrążyła w medytacji przed zachodnim murem. Tutaj został zapisany obrządek; z jego pomocą można było ułagodzić Sechmet.

Wspólnota kosmicznych bóstw powierzyła tej przerażającej bogini rozsiewanie chorób, by karać ludzkość za profanację świata przez zaniedbywanie rytuałów. Przełożona odczytała teksty półgłosem i przypomniała sobie uzdrawiające formuły.

Narses nie poruszył się. Izis zwróciła się do niego ze szczytu nabrzeża.

— Czy mówisz prawdę, generale?

— Nie wiem, co to kłamstwo, i osobiście gwarantuję ci

bezpieczeństwo na terytorium Elefantyny.

— Jesteś moim przeciwnikiem i przeciwnikiem świątyni.

— Tak myślałem, zanim odkryłem kataraktę.

— Czyżbyś zmienił zdanie?

— Zmieniłem spojrzenie.

— To Izyda oświeciła cię swą łaską.

— Jestem samotnikiem, moja droga jest drogą milczenia,

a nie religii czy wspólnoty. Moja ręka nie chce już

niszczyć. Moi ludzie cierpią. Tylko twoja wiedza może

zmniejszyć ich cierpienie i przeciwstawić się

demonom o ostrych zębach.

— Jeśli ich wyleczę, staną się znów żołnierzami.

— Pod moim dowództwem.

— Gdybyś otrzymał rozkaz uderzenia na świętą wyspę,

posłuchałbyś?

— Czy mógłbym złamać oficerską przysięgę?

Izis powróciła do pierwszego pylonu. Usiadła obok Sab-

niego, który odradzał jej wyprawę. Czyż pomagając wrogo-

wi, nie stanie się zdrajczynią w oczach adeptów?

Przełożona odrzuciła ten argument. Jeśli jej się powiedzie,

owoce zwycięstwa zostaną przypisane wielkiej bogini.

Nienawiść i zazdrość zostaną pokonane, a bractwo znów

cieszyć się będzie szacunkiem ludności, jak w szczęśliwych

czasach, kiedy każdy wiedział, że lekarz ze świątyni

odwiedza najbardziej potrzebujących, nie żądając od nich żadnej zapłaty.

Sabni przyniósł z laboratorium statuę z czarnego granitu.

Przedstawiała kapłana, który trzymał w rękach węże i deptał skorpiony. Jego ciało pokrywały hieroglify. Z pomocą najsilniejszego z braci przełożony zaniósł tę dziwną postać do łodzi. Potem wsiedli do niej oboje.

Na brzegu żołnierze nie chcieli dotykać kamiennego diabła. Narses musiał osobiście pomóc Sabniemu umieścić go na wózku. Orszak ruszył w stronę głównych koszar, w których królował niecodzienny spokój. Nad ranem zmarło czterech piechurów. Trupy pospiesznie pochowano poza obozem.

Posąg umieszczono pośrodku dziedzińca. To tutaj miała się odbyć parada, ale musiano ją odwołać. Przełożony nie oddalał się od posągu, a Izis udała się z Narsesem do budynku zarezerwowanego dla oficerów. Cofnęła się, tak przeraźliwy owionął ją smród. Pełne bólu spojrzenie generała dodało jej odwagi. Chorzy leżeli na słomianych legowiskach, w większości zanieczyszczonych. Sanitariusze próbowali ich napoić. Izis obejrzała chorych, jednego po drugim: kładła prawą rękę na ich czole, a lewą na brzuchu.

Dwukrotnie postawiła okrutną diagnozę: „to zło, które znam, ale nie potrafię go pokonać”. We wszystkich innych przypadkach podjęła się leczenia, nie mogła jednak

wypowiedzieć słów najbardziej kojących „to zło, które znam i które pokonam”.

— Wynieście ich na dziedziniec, w pobliże posągu.

— Słońce ich zabije.

— Przeciwnie. Posłuchaj mnie, generale, albo wróć na

File. Niech każdy z tych ludzi zostanie umyty, a ich ubrania spalone. Pokaż mi obozową aptekę.

Izis znalazła w niej niezbędne składniki, by móc przygotować lekarstwo przeciwko gorączce czwartaczki * i infekcji jelit: był tam wyciąg z omarlicy, mirra, lulek, cykuta, ciemier-
nik i opium. Zmieszała wszystkie substancje we flakonie i otrzymała płyn, którym polala posąg. Płyn nasączył się magicznymi tekstami głoszącymi zwycięstwo światła nad demonami niosącymi cierpienie. Sabni zebrał cenny napój do pucharu. Kiedy podawał go pacjentom, Izis wypowiedziała wersety bardzo starej inkantacji:

— Niechaj utożsamiają się z Horusem, synem bożym, bezpiecznym od wszelkiej choroby; niechaj wielka bogini uchroni ich od męskiej śmierci, która atakuje z prawej strony,
i żeńskiej, która atakuje z lewej; niechaj naczynia połączone z sercem rozprzestrzenia energię w każdym z członków i przegnają szkodliwe wycieki.

Przełożona zażądała, by przyprowadzono szeregowców,

którym zaaplikowała identyczną kurację. Potem kazała przenieść wszystkich chorych do budynków z kamienia, w których przesłonięto okna, by powietrze mogło krążyć w mroku przynoszącym ulgę.

— Żadnego hałasu. Ci ludzie mają spać.

Narses wydał odpowiednie rozkazy; koszary ucichły. Izis magnetyzowała wszystkich po kolei chorych, aż zapadli w głęboki sen; dotykała ich karków i rąk, aby przegnać złe siły, które zawładnęły ich ciałami. Niektóre umknęły jak cienie, inne broniły się.

Kiedy zaszło słońce, przełożona była wyczerpana. Generał Narses zaproponował jej swój pokój. Sabni spędził noc oparty plecami o posąg, który żołnierze obserwowali z niepokojem. Czy ich wybawienie zależało od tej niepokojącej figury, od tego kamiennego lekarza, który pojawił się z innego świata, cały pokryty niezrozumiałymi znakami?

O świcie Izis przygotowała nowe lekarstwo. Przez cały dzień doglądała chorych. Dwóch z nich umarło, trzech stanęło na nogi. U innych gorączka spadła. Izis musiała

* Zimnica tropikalna z gorączką powracającą co 72 godziny (przyp. tłum.).

zająć się nowymi przypadkami. Zdrowi wypili lekarstwo zapobiegające chorobie.

Pod wieczór żaden z żołnierzy nie miał już ostrych ob-

jawów. Po Elefantynie rozeszła się wieść, która miała niebawem rozprzestrzenić się po całej prowincji: bogini z File pokonała epidemię.

Przelotny uśmiech kapitana Mersisa, troskliwie zachowującego niemal obojętny dystans, był najmiłą nagrodą dla Izis. Generał Narses przekonał Sabniego, by przyjął w podziękę setkę glinianych dzbanów z winem. Żołnierze odprowadzili uzdrawiający posąg, którego po drodze dotykały tłumy gapiów. Wielu z nich wychwalało przełożoną, wykrzykując jej imię.

Na nabrzeżu stali prefekt z biskupem. Maksymian podszedł do Izis. Przygotował całą przemowę, ale ani słowo nie przeszło mu przez gardło.

— Dlaczego uratowałaś swoich nieprzyjaciół? — zapytał Teodor.

— Żołnierze zapewniają bezpieczeństwo właścicielom ziemskim. Jesteśmy im za to wdzięczni.

— Użyłaś pogańskich formuł, których prawo formalnie zakazuje.

— Moje lekarstwa są skuteczne; co zaś się tyczy tego posągu, pomaga tylko mojej pamięci. Dlaczego wszędzie chcesz widzieć diabła? Natura jest dziełem Boga. Dzięki roślinom możemy wyleczyć najstraszliwsze choroby. Kiedy magia hieroglifów

zmiesza się z ich zaletami, lekarstwa stają się jeszcze skuteczniejsze.

Teodor, oburzony, odwrócił się, gdyż dostrzegł w oczach Izis blask, który wydał mu się ironiczny. Jeszcze jeden taki sukces i zacznie wyśmiewać się z Chrystusa.

Wiosna triumfowała. Ledwie pojawiało się słońce, poranny chłód ustępował przed łagodną słodyczą, która przenikała skórę niczym balsam. Codziennie rano Isis spacerowała w towarzystwie bibliotekarki. Jej ciąża dobiegała końca. File przeżywała chwile niespodziewanego szczęścia. Sabni zajmował się ziemią należącą do świątyni. Chłopi obrabiali rolę z coraz większym entuzjazmem; widmo głodu i biedy oddalało się. Wprawdzie przełożony cierpiał, że musi poświęcać zbyt wiele czasu i wysiłku na sprawy materialne, które nie sprzyjały medytacji, ale też i cieszył się ze spokoju, który wypełnił z powrotem serca adeptów. Po tylu latach niepokoju i niepewności świątynia, wpisana z powrotem w legalne ramy, pełniła funkcję zamku dusz, którego nikt nie chciał oblegać.

Prefekt przechodził od stanu emocji do neurastenii. Nie nawidził siebie, postanawiał porzucić wszystko i udać się na wyspę, wahał się i znowu wpadał w otępienie. Pozostawił biskupowi zarządzanie sprawami publicznymi. Bez Isis codzienne życie było pozbawione smaku. Wiedzieć, że jest tak blisko, i nie umieć się z nią połączyć... czy mogły istnieć bardziej piekielne męki?

Cesarz milczał. Ani jedna wiadomość nie dotarła z Bizancjum od czasu przybycia armii do Elefantyny. Albo bardziej

zajmowały go dworskie intrygi, albo Maksymian popadł w niełaszkę, co zaowocowałoby przyjazdem administratora wyposażonego we wszelkie uprawnienia. Nubijskie złoto... Prefekt całkiem o nim zapomniał. Z miłości do niedostępnej kobiety zmarnował błyskotliwą karierę; czyż nie zachowywał się jak ogłupiały młodzieniec, ofiara złudzenia?

Maksymian wezwał Narsesa.

— Przygotuj oddział zwiadowczy.

— Ilu ludzi?

— Trzydziestu i zwiadowcę. Sprowadzi ci go biskup.

— Zadanie?

— Przeprowadzić się przez pierwszą kataraktę i podążać drogą karawan na południe. Zasięgnąć informacji u tubylców, zlokalizować kopalnie złota. Kiedy oddział wróci, staniemy na czele armii.

— A więc ruszasz...

— Wątpiłeś o tym? Będę przy tobie i przywieziemy góry złota.

Trzy dni po wyjściu oddziału wrócił sam zwiadowca. Był ciężko ranny w ramię, a grot włóczni jeszcze tkwił w jego ciele. Zmarł w godzinę po złożeniu Narsesowi raportu o zagładzie przedniej straży.

Dzięki doświadczonym przewoźnikom żołnierze przeprawili się przez kataraktę bez żadnych strat. Cały ranek podą-

żali szlakiem na południe, nie spotkawszy żywej duszy.

Podczas pierwszego postoju u stóp wzgórza natknęli się na dziesiątki czarnych wojowników uzbrojonych we włócznie i pałki. Odwaga nie na wiele się zdała; żołnierze nie opierali się zbyt długo. Wprawdzie każdy położył trupem wielu nieprzyjaciół, ale horda rosła z chwili na chwilę. Na rozkaz dowódcy zwiadowca uciekł, by powiadomić główną kwaterę.

Już myślał, że jest uratowany, widząc fortyfikacje. Strzały puszczane z murów rozproszyły nieprzyjaciół, lecz jeden z nich, rewanżując się potężnym i dokładnym uderzeniem, także nie chybił celu.

— Blemiowie — wyszeptał zwiadowca, umierając. —

Setki Blemiów.

Maksymian był zdruzgotany. Nubijskie złoto... ono także stało się nieosiągalne. Jego armia nie potrafi uporać się z przeciwnikiem, który jest bardzo liczny, szybki i okrutny.

— Wzmocnijmy naszą obronę — zaproponował biskup.

— Niech twoi ludzie wespół z moimi jeszcze bardziej uszczelnią granicę. Jestem przekonany, iż Blemiowie zaatakują prędzej czy później.

— To nie takie pewne — odrzekł Narses. — Są panami u siebie, co zresztą udowodnili w sposób najbardziej barbarzyński. Ale cesarz nie zmobilizuje swych regimentów po to tylko, by zaprowadzić spokój w

provincji na końcu świata. Blemiowie osiągnęli swój cel.

— Niechaj Bóg cię wysłucha.

Teodor poczekał, aż zostanie sam z prefektem, by zaznaczyć, że znacznie bardziej od zwycięstwa Blemiów niepokoi go diabeł, który wkradł się do Elefantyny.

— Interwencja Izis okazała się katastrofalna.

— Uratowała sporo istnień ludzkich.

— Przede wszystkim poruszyła chwiejne umysły. Wielu notabli sugeruje, by powrócić do systemu danin dla świątyni. W zamian przełożona stanęłaby na czele korporacji lekarzy i zaczęłaby ich uczyć dawnej terapii. Kilkanaścioro chłopców i dziewcząt poprosiło o wstąpienie do wspólnoty. Kazałem ich aresztować i deportować na północ, ale z pewnością pojawią się inni chętni.

Oblicze prefekta pojaśniało. Jeśli Izis przyjmie nową funkcję, będzie musiała zamieszkać w Elefantynie. Będzie mógł widywać ją codziennie, wymyśli sobie setki chorób, będzie się skarżyć na nieuleczalne i nieznośne dolegliwości, będzie domagać się ciągłej opieki. Los uśmiechnął się do niego ponownie. Poparł projekt notabli z całą siłą.

— Niewłaściwie oceniasz sytuację — uznał biskup. —

Prawdziwa wiara dla wielu ludzi jest chwiejnym

płomykiem, który wiatr pogaństwa mógłby szybko ugasić. Siły ciemności posługują się tą kobietą, by zniszczyć przesłanie Chrystusa.

— Izis jest miłością; nie ma w niej nic ciemnego.

— Jest szatańskim sługą. Ty także. Powaga

Teodora zachwiała Maksymianem.

— To oznacza...

— To oznacza, że grozę ci ekskomuniką. Cesarz powierzył ci dwa zadania: dostarczyć mu nubijskie złoto i zamknąć ostatnią z pogańskich świątyń. Nie tylko ci się nie powiodło, ale jeszcze powstajesz przeciw Kościołowi i Chrystusowi.

Prefekt nie lekcewał ostrzeżenia biskupa: to mogło pozbawić go tytułów i skazać na wygnanie. Jednak próbował się bronić.

— Izis jest moją racją bytu.

— W takim razie pozwól mi działać.

Biskup, eskortowany przez swych diakonów i żołnierzy, udał się na sam południowy kraniec Elefantyny, gdzie byli skoszarowani żydowscy i aramejscy najemnicy. Celebrowali kult Jahwe, chociaż ich świątynia została zrównana z ziemią podczas dawnych prześladowań. Zwycięskie chrześcijaństwo dało im z powrotem pewne prawa, mimo że biskup zakazał obyczaju, który wywoływał zgorszenie u mieszkańców pro-

wincji.

Wizyta zaskoczyła najemników. Zazwyczaj Teodor gardził nimi; byli dla niego dodatkową siłą i powierzano im najgorsze zadania. Obawiali się, że popełnili jakieś wykroczenie, które stanie się pretekstem do nałożenia na nich nowych obciążeń. Biskup zadowolili się jednak wezwaniem ich szefów i wraz z nimi udał się do zagrody, gdzie drzemały barany.

Sabni wracał do świątyni, kiedy jeden z wieśniaków powiadomił go o okropnych wydarzeniach, które właśnie miały miejsce. Żydzi połamali palisadę zagrody baranów, własność File od czasów założenia świątyni, i porwali zwierzęta, które nadal pozostawały święte w pamięci ludu. W Elefantynie nie zabijano baranów z szacunku dla Chnuma strzegącego tajemnicy źródeł Nilu.

Sabni uznał to za kradzież i niezwłocznie udał się do biskupa. Przez godzinę musiał czekać w przedpokoju.

Teodor przyjął go uprzejmie.

— Nie gorączkuj się, Sabni. Już mnie poinformowano.

— To ty dopomogłeś w popełnieniu świętokradztwa!

— Zabicie barana nie jest obrażą Boga.

— Pozwalając na tę masakrę, ranisz duszę wszystkich Egipcjan.

— Egipcjanie są chrześcijanami. Kolonia żydowska będzie mogła pożywić się mięsem tych zwierząt podczas

paschy. Zostaną zarżnięte na chwałę Jahwe.

— Kiedyś ludność zniszczyła ich świątynie za podobne przestępstwo.

— To było kiedyś, przyjacielu. Dzisiaj File nie zarządza prowincją, a władza Chnuma wygasła. Nie zamieszkuje już ciała swego świętego zwierzęcia: to już tylko mięso i nic więcej.

— Jednak dopuszczono się kradzieży baranów i połamano palisadę. To poważne wykroczenia.

— Gdyby je popełniono, mógłbyś wnieść skargę. Ale właśnie nie otrzymałem raport od wojskowej policji. Dwóch godnych zaufania rolników widziało, jak barany demolowały palisadę.

— A przypadek zrządził, że trafiły do obozu najemników żydowskich...

— Ręka Boga, Sabni. To ona kieruje naszym przeznaczeniem.

— Co chcesz uczynić świątyni?

— File zbłądziła, wychodząc z cienia. Nawróć się i stań u mojego boku. Czekam na ciebie. Czekam z niecierpliwością.

Biskup pomyślał, że przełożony waha się. Wydawało się, że w spojrzeniu Sabniego można wyczytać niepewność. Z zaciśniętymi ustami opuścił biuro prefekta.

— Koło nie chce się obracać. Żelazne części zostały uszkodzone. Trzeba je wymienić, inaczej nie można będzie nawadniać.

Mężczyzna wcale nie przesadzał. Woły, przywykłe do chodzenia w kieracie, ze zdziwieniem zażywały odpoczynku.

Tryby sakije, która ciągnęła długi łańcuch wiader zanurzających się w wodzie i wylewających ją u szczytu swego biegu, przestały zgrzytać.

— Używajmy częściej żurawi studziennych — zalecił Sabni.

Wieśniak potrząsnął głową. Zaprowadził przełożonego na brzeg kanału irygacyjnego, w który były wbite słupki opierające się na widełkach ułatwiających ruch wahadłowy.

Przy jednym końcu znajdował się zbiornik z gliny pozwalający czerpać wodę; przy drugim ciężar stanowiący konieczną przeciwwagę dla napełnionego naczynia.

Widełki były przepiłowane, słupki połamane, zbiorniki porozbijane... Wandale niczego nie oszczędzili.

— Czy wiadomo, kto jest sprawcą?

— To zdarzyło się w nocy. Nikt nic nie widział.

Każdy wieśniak winien pilnować swojego żurawia. Koło należało jednak do państwa. Dlatego Sabni udał się z powrotem do biura Teodora. Pod jego nieobecność przyjął go jeden z sekretarzy, który odnotował skargę i skierował go do

urzędnika zajmującego się rejestrem katastralnym. Ten sprawdził, że takie pole istnieje, i zażądał od właściciela dokładnego opisu. Ponieważ sprawa naprawy koła nie należała do jego kompetencji, przedstawił Sabniego urzędnikowi odpowiedzialnemu za irygację. Ten stawiał niezliczone pytania techniczne i notował odpowiedzi. Urzędnik przyznał, że koło istnieje legalnie. Ale sprawa części zamiennych dotyczyła innego działu, który znajdował się przy północnym końcu miasta. Sabni został tam przyjęty przez wyjątkowo drobiazgowego starego Greka. Po bardzo długiej rozmowie z Grekiem dowiedział się, że zajmuje się on tylko drewnianymi częściami. Po części zapasowe, o które chodziło Sabniemu, należało zwrócić się do oficera stacjonującego w arsenale. Przełożony nie zrezygnował i cierpliwie czekał, chociaż żołnierze nie chcieli go wysłuchać. Wprowadzono go wreszcie do biura wojskowego intendenta, gdzie od razu dowiedział się, że każda dostawa metalu, nawet o przeznaczeniu cywilnym, jest zakazana ze względu na stan przygotowania. Prośba Sabniego nie została nawet zarejestrowana, bo nie można jej było zrealizować.

Wciągając żagiel na maszt łodzi, którą powracał na wyspę, Sabni wpadł we wściekłość. Biskup postanowił zniszczyć File powoli, pozbawiając ją przyznanych jej przez prefekta środków do życia. W ten sposób bez przemocy i bez

gwałtów rozpoczynała się najbardziej bezlitosna z wojen.

Kilka miesięcy wcześniej byłby się, być może, poddał,
jednak miłość Isis przemieniła go. Zaznał szczęścia i nie
chciał go stracić.

Piekarz ubił ziarno w młódcierzu i przesiał je, błagając bogów, by strzegli File. Kiedy dostrzegł Izis, która nieruchomo stała koło pieca, wypuścił z rąk stożkową formę przeznaczoną do pierwszego wypieku chleba.

Jego grube wargi się zacisnęły. Nie był w stanie ukryć zmieszania i cofnął się.

— Dlaczego tak boisz się przełożonej?

— To ze zdumienia. Nigdy tutaj nie przychodzisz.

— Lepiej poszukaj innego wytłumaczenia, bracie. Nie ma tygodnia, żebym tu nie przychodziła napawać się wyśmienitym zapachem twoich chlebów i ciast. Twoje oczy błyszczą podejrzenie: kłamiesz.

Piekarz zadrżał.

— Niepokoję się, jak każdy z adeptów...

— Czy brat stolarz nie był twoim najlepszym przyjacielem?

— Okrutnie mi go brak.

— Nic nie robiliście jeden bez drugiego. Dlaczego nie poszedłeś za nim?

Rzemieślnik opuścił głowę.

— Czy to z obawy przed wrogim światem — zapytała

Izis — czy dlatego, że nie chciałeś zdradzić? Chcę poznać naturę twojej duszy. Czy łączy się ze świątynią, czy też tonie

w mrocznym jeziorze przepelnionym urazą?

Piekarz podniósł formę i zaczął ją czyścić.

— Nienawidziłem Sabniego, gdyż zbyt wiele od nas wymagał. Jest taki młody, a swoich starszych braci traktuje jak dzieci i nigdy nie pyta ich o radę.

— A co ty byś radził?

— Zrezygnować i wrócić do szeregu. W Elefantynie moglibyśmy udać, że się nawracamy. Potem spotykalibyśmy się potajemnie, wielbiąc Izydę.

Wielka bogini z pewnością zadowoliliby się taką formą kultu. Czy jesteśmy w stanie utrzymać tak wielką świątynię, której samo istnienie ściąga na nas gromy ze strony biskupa?

— Byłeś kiedyś bardziej waleczny. Ty i stolarz nie chcieliście w niczym ustąpić Kościołowi i gotowicie byli nawet walczyć.

— Byliśmy młodzi.

— A może chodzi o coś innego? O to, że nie dopuszczono was do wielkich tajemnic?

Piekarz podniósł oczy.

— Okres, jaki tu przepracowaliśmy, był wystarczający, by dać nam do nich prawo.

— To nieprawda. Dobrze o tym wiesz. Tylko perfekcja w pracy i znajomość świętego języka otwierają ostatnią

bramę.

— To prawda... Ale jak tu przyznać, że zatrzymaliśmy się w drodze?

— Tylko ty jesteś panem swego losu. Swoimi czynami określasz swoje miejsce w hierarchii świątyni i wybierasz swoje pokarmy.

Brat jeszcze raz przesiał mąkę, by była odpowiednio sypka.

— Pogodziłem się z własnymi ograniczeniami, moja nie-nawiść wygasła. Pozwól mi pozostać we wspólnocie aż do ostatniego tchnienia i uczestniczyć w dziele podług moich zdolności.

— Jeśli w ten sposób znajdziesz szczęście, nadawaj mu kształt tak jak wtedy, gdy chcesz otrzymać chrupiący i gorący chleb.

Twarz rzemieślnika zmieniła się. Pod pozorną miękkością

nzi

można było rozpoznać, jak odżywa w nim wewnętrzne przekonanie.

— Muszę ci o czymś powiedzieć, siostrze przełożona.

Izid przestraszyła się nowej zdrady.

— Ani Sabni, ani ty nie jesteście świadomi, że wspólnota kocha was i szanuje całym sercem. Przeżyte doświadczenia pozwoliły jej wzmocnić się i dojrzeć. Uwierzcie w nią tak, jak ona wierzy w was.

Biskup spojrział na listę osób zaginionych: z tuzin rolników, którzy uciekli, bo nie byli w stanie zapłacić podatków, i trzech przewoźników pobitych przez ojca pijaka.

Odnaleziono ich i zamknięto w więzieniu; prefekt ich osądzi, kiedy uzna za stosowne. Obojętny na sprawy publiczne Maksymian zamykał się w swoim domu, marzył, medytował i pisał poematy sławiące piękno Izid. Wieczorem upijał się do nieprzytomności.

Biskup nie wątpił już, że prefekt popadł w szaleństwo.

Jak miłość do kobiety mogła tak zniszczyć mężczyznę? Lud, karmiący się wyobraźnią tyleż płodną co naiwną, mówił o czarach. Teodor dziękował Bogu: za pośrednictwem Izid Bóg sprzyjał jego zamierzeniom. Gdy zostanie absolutnym panem prowincji, potrafi zrujnować File, zmusi przełożoną, by udała się na wygnanie, i uratuje Sabniego.

Biskup miał w zwyczaju czytać wszystkie adresowane do niego dokumenty. Czytał nawet nie kończące się listy podatników, wielkich i małych, sprawozdania z zebrań osób kierujących stowarzyszeniami handlowymi, sprawozdania bankowe, krótkie doniesienia szpiegów mieszających się w uliczne dyskusje. Nie pozostawiał niczego przypadkowi, pamiętał każdy drobiazg i dzień po dniu odkrywał sekrety swoich poddanych. Czyż to nie Pan dyktował mu, jak ma postępować, On, który najlepiej potrafił zgłębić serca swoich stworzeń?

Zaintrygował go opis uroczystości u Apollona. Diakon, który pisał raport, odnotował nieobecność jednego z synów handlarza figami, który, dumny z rosnącej fortuny, zaprosił licznych przyjaciół wraz z rodzinami. Wielu kolegów Chrestosa wyraziło zdziwienie. Apollon odpowiedział, że syn udał się do Lykopolis, gdzie mieszkał jego dziadek. Teodor postanowił sprawdzić to ostatnie doniesienie. Wystarczyło się upewnić, czy niejaki Chrestos meldował się w urzędach, które wydawały pozwolenia na podróżowanie, a rozmieszczone były na drodze między Elefantyną a Lykopolis.

W pierwszym tygodniu marca dwudziestu adeptów zamieszkujących świętą wyspę przygotowywało obrzędy magiczne zniw. Po odprawieniu rytuału wznoszenia się kosmosu, dzięki któremu podmuch życia krążył pomiędzy niebem

a ziemią, wznosili modły do mocy ziemi kryjących się w ciele węży. Te ostatnie, prześlizgując się po polach i wijąc się między uprawnymi poletkami, zapładniały kłosa. Bogini kobra, Ta-która-kocha-ciszę, wysłuchiwała sekretnych modłów żniwiarzy. Dzięki większej liczbie studziennych żurawi, które naprawiono czym się dało, nie zabrakło wody.

Wszędzie słyhać było pieśni. Stare melodie i refreny pełne były odwołań do bóstw, które znikły, i do dobrych duchów ukrytych w dojrzałym zbożu. Ten czas nadziei był także czasem obaw: strachu przed lichymi zbiorami, przed kradzieżami, których dopuszczali się sezonowi robotnicy przybywający z północy. W nocy chłopci strzegli swoich dóbr uzbrojeni w widły. Sabni czuwał razem z nimi. Po historii z wielkim kołem obawiał się kolejnych aktów złej woli.

File żyła w euforii. Za kilka dni miało przyjść na świat dziecko bibliotekarki. Chrestos czynił szybkie postępy w badaniu świętego języka. Izis obserwowała cudowną żarliwość, z jaką adepci teraz pracowali, tworząc coraz silniejszą wspólnotę, w której nie było miejsca na lenistwo i opieszałość.

Podążali drogą jedyne Boga, którego czczono od początków Egiptu.

Sabni tak chciałby przebywać z nimi, w bezpiecznym cieniu kolumn świątyni! Ale jego pragnienia musiały ustąpić obowiązkom wynikającym ze stanowiska. Chroniąc

pola, zapewniał świątyni istnienie. Z radością marzył o

dniu,

1 <n s

w którym Chrestos będzie umiał go zastąpić, a on sam, jak niegdyś, zajmie się składaniem ofiar i zapewnianiem czystości rytuałom.

Zebrano całe mnóstwo złotych snopków, które na oślich grzbietach trafiły na plac wioski. Państwo miało tam zabrać swoją część i obliczyć podatek od ilości zbiorów przyznanych File. Sabni, zanim stanął na czele pochodu, zalecił starannie zebrać słomę. Zimową porą stanowiła doskonały opał, który pozwalał ogrzewać sieć rurociągów i utrzymywać przyjemną temperaturę w łaźniach.

Hałaśliwy tłum właścicieli i rolników zebrał się wokół placu. Poborca Filamon rozkazał wznieść małe drewniane budki, gdzie urzędnicy, osłonięci od słońca, mieli spisywać snopki i obliczać podatki. Trzeba było dziewięć razy obrócić tam i z powrotem, by przetransportować całość zbiorów. File nie tylko będzie mogła się wykarmić, ale także sprzeda część zboża. Wielu rolników padło ofiarą niewystarczającego wylewu, ale Sabni mógł się radować, tak żyzne, były jego ziemie.

Jak co roku, inspektorzy podatkowi wykazali się niesamowitą powolnością: ani jedno ziarno nie mogło umknąć

ich uwagi. Snopki, uwolnione z ich rąk, jedne po drugich powracały na grzbiety osłów, które przenosiły je do spichlerzy albo do prywatnych stodół. Pogryzając podpłomyk i cebulę, Sabni czekał w towarzystwie innych właścicieli. Słońce już zachodziło, a plon jego pól nadal pozostawał na placu. Skrybowie musieli się spieszyć, jeśli chcieli zakończyć pracę przed zapadnięciem nocy. Niebawem koło prowizorycznych pomieszczeń biurowych pozostał tylko Sabni i rolnik posiadający niewiele ziemi. Przełożony z zaniepokojeniem zwrócił się do poborcy, który zaczynał się pakować.

— Chciałbym poznać wysokość podatków, które mam uiścić, i odzyskać to, co ma być moje.

— Kto jest właścicielem?

— Dobrze wiesz: File.

— Sprawdzę.

Filamon naradzał się przez kilka sekund ze skrybą, który sposobił się do odejścia.

— Nie ma żadnych podatków. Masz tylko zapłacić za wynajęcie osłów.

— To nieprawdopodobne... Moje zbiory są ogromne!

— Owszem, ale w całości przeznaczone dla wojska.

— Mylicie się.

— Przez dwadzieścia lat mojej kariery nie popełniłem ani jednej pomyłki.

— File jest własnością prywatną. Zapytajcie prefekta.

— Jeśli chcesz złożyć skargę, zgłoś się jutro do mojego biura.

Lokal urzędu podatkowego otwierano o świcie. Już wcześniej przed drzwiami uformowała się kolejka: mnóstwo sprzeciwów, choć wiadomo, że niewiele z nich odniesie skutek. Kiedy przysła kolej na Sabniego, inspektor zgodził się porozmawiać z urzędnikiem, który kazał wysłać do koszar zbiory świątyni. Zachowywał się nieuprzejmie, ale przeczytał jeszcze raz pismo i wydawał się zażenowany. Nie udzieliwszy żadnych wyjaśnień, zniknął i powrócił kilka minut później w towarzystwie Filamona.

— Mój podwładny popełnił omyłkę — przyznał poborca.

Sabni odetchnął.

— Czy chcesz wnieść skargę przeciw urzędowi?

— Kiedy otrzymam zboże?

Człowieczek zaczął obgryzać wskazujący palec.

— Ten szczegół umknął mojej uwagi... To będzie bardzo trudne.

— Dlaczego?

— Wasze zbiory leżą już w wojskowym spichlerzu. Należą zatem do wojska. Trzeba będzie zarządzenia biskupa, sygnowanego również przez prefekta, by dokonać transferu.

— Podpiszesz to zarządzenie, Teodorze. Ty, człowiek boży, nie możesz pozwolić na taką niesprawiedliwość.

— Nie unosź się, Sabni. Czy to nieprawda, że wyznawca Izidy zachowuje spokój w każdych okolicznościach?

— Chcesz zagłodzić świątynię i zmusić nas do jej opuszczenia, nawet za cenę bezprawia, które tak zwalczałeś.

Biskup wytrzymał wzrok przyjaciela.

— Bóg jest ponad ludzkim prawem.

— W czasach faraonów był u jego podstaw. Twój Bóg zbyt łatwo usprawiedliwia malwersacje swoich sług.

— Masz krótki wzrok: ograniczają go mury świątyni.

Przyszedł czas, by je zburzyć dla twojego własnego zbawienia. Jednak podpisałem zarządzenie, na mocy którego z powrotem otrzymasz swoje dobro. Jeśli nie masz już do mnie zaufania, sam zanieś je

Maksymianowi.

— Przepędzi mnie jak psa.

— Jesteś porządnym obywatelem, skoro płacisz podatki.

Ale być może masz rację, obawiając się Maksymiana:

trudno przewidzieć, co zrobi. Wróc wieczorem.

Przez całe popołudnie Sabni błądził po uliczkach Elefantyny. Zaspokoił pragnienie w tawernie, chodził po nabrzeżu, mieszał się do rozmów, w których często powtarzało się imię uzdrowicielki Izis, jedynej, której wiedza mogła spię-

trzyć wody następnego przypływu. Mówiono również o masakrze oddziału wysłanego na południe w celu lokalizacji złóż złota; o tym, że został rozszarpany przez tysiące Blemiów, efektem czego był stan pogotowia i umacnianie fortyfikacji.

Dzień już się miał ku końcowi, kiedy Teodor wprowadził Sabniego do swego biura. Na stole leżało zarządzenie z pieczęcią biskupa.

— Maksymian nie chce podpisać. Zboże File pozostaje własnością wojska. Dostaniesz odszkodowanie.

— Kiedy?

— Jak tylko ustalimy budżet prowincji.

— To znaczy?

— Może na początku przyszłego roku, może później.

Praca służb obrachunkowych jest powolna i delikatna; pod groźbą kary nie mogą popełnić żadnego błędu. W dodatku tylko prefekt może przyznawać odszkodowania i procenty. To delikatna procedura, Sabni, obowiązująca w okresie, kiedy finansowanie armii jest sprawą priorytetową.

Przybity, zawiedziony Sabni z trudem posuwał po srebrzystych wodach. Zając Ozyrysa, ukryty w tarczy księżyca w pełni, sprzyjał narodzinom i odnawiał energię; Sabni poprosił go o siły do wiosłowania i utrzymania tempa aż do świętej wyspy.

Teodor, potężniejszy i jeszcze bardziej zdeterminowany niż kiedykolwiek, nie będzie już chciał wypuścić swojej ofiary. Ograbiwszy świątynię, skazywał ją na głód. Prefekt był tylko zabawką w rękach biskupa świadomego, że kult Izydy pomimo niewielkiej liczby wyznawców zyskuje na znaczeniu. Powoli oczarowywał najbardziej odporne umysły i sprawił, że File stała się groźna.

Wreszcie nabrzeże. Znużony i połamany Sabni przywiązał barkę i legł na kamiennym brzegu. Isis pomogła mu wstać:

— Chodź szybko, nasza siostra zaczyna rodzić.

Przeszli przez bramę pierwszego pylonu i weszli w korytarz prowadzący do domu narodzin. Siedem sióstr symbolizujących siedem Hathor pochylonych nad kołyską niemowlęcia, by zapewnić mu swoje łaski, utworzyło krąg wokół rodzącej.

Wybijały rytm na bębenu i monotonicznie recytowały hymn ku chwale nowo narodzonego syna Isis i Ozyrysa, z którym utożsamiano nowego adepta.

— Niechaj przełożony przyniesie koło garniarza.

Sabni przyniósł cenny przedmiot ze skarbcza. To nim właśnie Chnum kształtował codziennie świat i stwarzał istoty ludzkie. Zapomniawszy o zmęczeniu, poszedł za Izis, która poruszając blokiem przesuwającym się na łożysku zaczepionym w gnieździe, otworzyła wejście do małego pomieszczenia. Siostry wprowadziły bibliotekarkę. Przełożona za pomocą poziomego przycisku przemieściła blok do zagłębienia w ścianie i zasłoniła wejście.

Dwie siostry utrzymywały przyszłą matkę w pozycji pionowej nad łóżem z ciepłych kamieni, z których unosił się wonny dym. Izis polała je aromatyzowaną wodą zmieszaną z substancjami o właściwościach uspokajających. Do zamkniętej izby, w której u zarania wieków ukazała się wielka bogini pod postacią czarno-różowej kobiety, docierało łagodne światło.

Poród był trudny i bolesny. Izis straciła przytomność, kiedy się okazało, że dziecko urodziło się nieżywe.

Bibliotekarka umarła w tydzień później z rozpacz.

Ojciec postradał rozum. Sabni siedział przy łóżu swojej żony, która długo nie chciała się pogodzić z rzeczywistością.

Los okazał się zbyt okrutny: przecież wieść o tych narodzinach wzbudziłaby entuzjazm w Elefantynie, w prowincji,

nawet w całym Egipcie.

Czułość Sabniego okazała się najlepszym lekarstwem na rozpacz przełożonej. Nie chciał się ugiąć pod ciężarem nie-szczęścia i przekazał jej siłę swojej determinacji. Gdyby się poddała, rozpadłaby się cała wspólnota. Izis zwyciężyła ból.

Znów zebrała siostry i udało jej się na nowo napełnić ich serca radością. File straciła dziecko, lecz zachowała Chrestosa. Młodość nie opuściła świątyni.

Słońce wprawdzie schowało się w królestwie cieni, ale pozostał jego żar. W ogrodach otaczających świątynię adepci spędzali czarowne wieczory na czytaniu opowiadań i poezji.

Izis i Sabni kładli się, gdy wszyscy udali się już na spoczynek, by po raz ostatni spojrzeć jeszcze na księżyc i gwiazdy.

— Niedługo zabraknie nam ziarna. Dlaczego nasz spichlerz świeci pustkami po tak dobrych zbiorach?

— Biskup i prefekt zarekwirowali nasz zbiór. Nie został ani jeden kłos. Powinniśmy otrzymać odszkodowanie, ale nasza skarga zginie w administracyjnym labiryncie.

— Zabraknie nam pożywienia?

— Jutro wracam na nasze pola. Dobre nawadnianie zapewni nam drugi zbiór przed nadejściem wylewu; żaden urzędnik nam go nie zabierze.

Dostępu do pola pilnowali żołnierze. Nie pracował na nim

żaden wieśniak, chociaż wymagało zaorania i zdrenowania.

— Rekwizycja? — zapytał Sabni strażnika.

— Dostęp do twojej ziemi jest wolny.

— Gdzie są rolnicy?

— Nie wiem.

— Skąd ta demonstracja siły?

— Także nie wiem. Otrzymaliśmy rozkaz pilnowania.

Reszta nas nie dotyczy.

— A wasz oficer?

— Powrócił do koszar.

Sabni otrzymał odpowiedź w biurze prefekta w Elefantynie. W oczekiwaniu na wylew Teodor zajął się odmulaniem głównych kanałów i naprawą tam, by wody bez przeszkód mogły dotrzeć do zbiorników retencyjnych. Dlatego zmusił dużą liczbę ludzi do prac, które miały potrwać co najmniej dwa miesiące. Zatkanie dziur i wyczyszczenie kanałów aż po główny kanał doprowadzający wymagało intensywnej pracy.

Wśród rolników zarekwirowanych do tej pracy znajdowali się wszyscy ci, którzy zależeli od File.

— Biskup zgadza się z tobą spotkać — powiedział strażnik.

Zaprowadził Sabniego do małego wewnętrznego ogródka, w którym biskup uprawiał rośliny lecznicze.

Właśnie na klęczkach podlewał szalwią.

— Zabrałeś mi wszystkich robotników.

— Konieczność jest prawem.

— Czy innych właścicieli spotkało to samo?

— Jakie to ma znaczenie?

— Czy mój protest może coś zmienić?

— Nic. Rekwizycja jest działaniem legalnym, a służba państwu naglącym obowiązkiem.

— Pozbawiasz mnie w ten sposób drugiego zbioru.

— Ulepszając system irygacyjny prowincji, troszczę się o interes ogółu. Chcesz mi z tego czynić zarzut?

— Służysz swojemu Bogu, Teodorze.

Biskup wyrwał chwast.

— Pragnę szczęścia Elefantyny. Jej mieszkańcy muszą ze mną współpracować. Wyznawcy Izydy tak jak i wszyscy inni.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Potrzebuję wielu ludzi, aby wznieść tamy właściwej wysokości. Bezrobotni przestaną próżnować.

Zacniemy od mieszkańców File.

— Ty, kapłan, masz odwagę mówić takie rzeczy? Żaden duchowny nie opuści wyspy. Czyżbyś nie wiedział, że pracujemy nad rozpowszechnianiem boskiej energii i sprawiamy, że jest odczuwalna na ziemi?

— Na File nie ma już kapłanów. Są ludzie bezrobotni.

Jeśli chcą jeść, muszą wziąć udział w pracach przymusowych.

— Jesteś bezlitosny.

— Nie mam wyboru, Sabni. Zakończ swoją cierniową drogę i wyrzeknij się błędów, by pójść za Chrystusem.

Czeka cię największe szczęście.

— Tchórz i krzywoprzysięzca... Chciałbyś go mieć za przyjaciela?

— Nieskończone jest boskie miłosierdzie. Twoja przeszłość nie będzie się liczyć.

Teodor powstał i chwycił Sabniego za ramiona.

— Nie zmuszaj mnie do sięgania po jeszcze surowsze środki.

— Ja także nie mam wyboru.

Sabni niczego nie krył przed członkami wspólnoty, których zebrał na dziedzińcu między dwoma pylonami. File zostały tylko winnice i odrobina jałowej ziemi, na której rosło trochę orkiszu. Dzięki sprzedaży dawnych skarbów świątynia dysponowała srebrnymi monetami, które pozwalały na zakup zboża, suszonych ryb i owoców. Przełożony postanowił udać się do miasta na zakupy.

— Twoja twarz jest za bardzo znana — wtrącił specjalista od maści, stary mruk, którego głosu nikt

nigdy nie słyszał poza liturgią. — Kapusie odmówią ci sprzedaży pożywienia. Biskup musiał zagrozić im najgorszymi karami za handel ze świątynią. Ja pójdę. Od czterdziestu lat nie opuściłem tej wyspy, moi dawni przyjaciele są szanowani i bogaci. Posiadają ziemię i stada. Uzyskam najlepsze ceny i wynajmę osły i statki.

— Żołnierze cię zatrzymają.

— Zorientują się za późno. Wsiądę od strony pustyni i dopłynę do File od północy. Nikt tamtędy nie płynie.

Izis zaproponowała.

— Ryzyko jest zbyt duże.

— A jeśli nawet? Mam zwyczaj słuchać i milczeć. Tym razem narzucę swoją wolę, gdyż jest zgodna z Regułą.

— Czy tobie o tym sądzić?

— Obowiązkiem przełożonego jest chronić wspólnotę od środka i od zewnątrz. Niech powierzy mi swoją funkcję, bym mógł przeciwstawić się światu profanów. Wrócę za trzy dni z pożywieniem.

Izis spytała wzrokiem Sabniego. Skłonił głowę. Specjalista od maści pokłonił się mu i zdecydowanym krokiem ruszył na nabrzeże.

Bardzo chuda siostra, z twarzą jak ostrze noża, wyszła przed wszystkich.

— Jadę z nim.

— Lepiej, by nasz brat działał sam. Poza tym masz słabe zdrowie.

— Nie rozumiesz, Izis. Korzystam z przeprawy, by opuścić wspólnotę. Życie za tymi murami stało się za trudne. Biskup, prefekt i chrześcijanie nienawidzą nas. Zmuszą nas do głodowej śmierci i porzucenia wyspy.

— Przysięgałaś, że oddajesz życie wielkiej bogini.

— Już nas nie chroni przed zemstą nieprzyjaciół.

— Czy pamiętasz, jaki los spotkał tych, którzy uciekli?

— Ja nie uciekam. Chcę przeżyć. Niepotrzebnie ruszyli całą grupą. Jednej nikt nie zauważy.

Sabni chwycił za rękę wzburzonego Chrestosa. Siostra obróciła się w stronę pylonu, na którym faraon, przedstawiony jako olbrzym, deptał przeciwnika.

— To wszystko to już tylko legenda. Niebawem nawet ruina. Za niecałe sto lat ludzkość zapomni, że tutaj istniała świątynia. Nasz heroizm jest niepotrzebny i śmieszny; powinniście pójść za mną.

Pobiegła w stronę łodzi, w której zasiadł specjalista od maści. Izis zamknęła oczy i przytuliła się do Sabniego.

Kiedy je otworzyła, rozczarowanie ustąpiło miejsca radości: nikt nie poszedł za siostrą o wydłużonej twarzy.

Z dziedzińca przed pierwszym pylonem Sabni podziwiał zachodni portyk, którego kapitele głosiły chwałę uświęconej natury. Kiedy oślepiło go słońce, skrył się w cieniu kolumn i stanął przy oknie — jednym z wielu okien tej twierdzy pokoju — by pogрузić się w kontemplacji wód o barwie ostrego błękitu. Adeptom, tym, którzy ją wybrali na resztę swego życia, świątynia wydawała się coraz większa. Wielka esplanada, dziedzińce, świątynia narodzin, kiosk Trajana, sanktuarium Hathor, portyk Hadriana, sala kolumnowa, czcigodny Przybytek, biblioteka, laboratorium, skarbiec, krypty i domy kapłanów — wszystko to było przeznaczone dla o wiele liczniejszej wspólnoty.

Ręka Isis spoczęła na piersi Sabniego.

— To, że sam siebie zamęczasz, niczemu nie służy. Nasz los spoczywa w rękach bogini. Jesteśmy tylko słomą i gliną, z której ona buduje dzieło swojego serca.

— Jak tu nie myśleć o przeszłości? Jest w nas tyle siły, taka ochota, by ożywiać umysł... Dlaczego ten upadek? Dlaczego ten świat zmierza ku katastrofie?

— Może to tylko złudzenie.

— Czyżbyś zapomniała o przepowiedni z *Księgi wyjścia na dzień*: „Zniszczę to, co zbudowałam, mówi Zasada.

Kraj ten powróci do stanu pierwszego, stanu

pierwotnego oceanu. Zamieni się w wodę. Jestem tym,

co się ostatecznie w towarzy-

stwie Ozyrysa, kiedy na powrót zamienię się w węża, którego

ludzie nie mogą poznać, a bogowie nie mogą zobaczyć".

— Rozwijasz tylko najbardziej ciemną stronę przepo-

wiedni. Przed tym, który ożywa w Ozyrysie, otwiera

się życie wieczne. To nasza rola, Sabni: za życia

przygotować zmartwychwstanie. Dopóki będziemy

przekazywać mądrość wielkich tajemnic, dopóty duch

będzie promieniował. Nasza tradycja jest przyszłością

ludzkości.

— Teodor nas głodzi.

— Zmusza nas do szukania w sobie najgłębiej ukrytych

sił.

Objął ją.

— Czyżbyś była niezniszczalna, Isis?

Ich ciała cudownie harmonizowały ze sobą. Połączeni

tworzyli jedną istotę. Słoneczny promień oświetlił scenę

ofiarowania i skąpał ich w swoim cieple.

Z ekstazy wyrwało ich wołanie o pomoc. Przechylając się

przez jeden z otworów strzelniczych, Sabni dostrzegł szar-

piącego się w wodzie pływaka, który próbował uchwycić się

szczątków tratwy. Przełożony pobiegł na nabrzeże i skoczył

do wody. Błyskawicznie dotarł do rozbitka i dociągnął go

do brzegu. Wspólnota szybko zebrała się wokół przybysza.

Bez tchu w płucach próbował złapać oddech.

— Kim jesteś?

— Nazywam się Chonsu i pracowałem na jednej z farm biskupa. Uciekłem, ponieważ nie jestem już w stanie płacić podatków. Jeśli żołnierze mnie złapią, pošlą mnie na ciężkie roboty. Nie odmawiajcie mi gościny, ukryjcie mnie!

— Śledzili cię?

Głos trąbki wystarczył za odpowiedź. Dwie barki wypełnione uzbrojonymi ludźmi zmierzały w kierunku świętej wyspy; wioślarze zaczęli przyspieszać.

— Kto cię wydał?

— Mój bratanek. Niepotrzebnie mu się zwierzyłem; biskup da mu sporą premię.

Teodor nie tolerował ucieczek, ponieważ przez nie opuszczona ziemia leżała odłogiem; zbyt wielu zarządzających prowincjami wykazywało w tym względzie obojętność.

— Ochronicie mnie — błagał Chonsu.

— Przeszukają wyspę.

— Ale nie świątynię! Armia boi się Izydy.

— Obowiązuje nas Reguła — przypomniał Sabni. —

Jeśli chcesz, byśmy umierali za ciebie, daj nam swoje życie. Stań się adeptem, a oddamy ostatnią kroplę

krwi, by cię bronić.

Oszalały ze strachu wieśniak patrzył, jak barki dobijają do brzegu. Z jednej z nich wysiadł kapitan Mersis: oficer rozkazał żołnierzom, by pozostali na miejscu.

Sabni wyszedł na jego spotkanie. Rozmawiali pośrodku wielkiej esplanady.

— Jestem szczęśliwy, że mogę zobaczyć File.

— Mersisie, cieszę się, że cię widzę. Nie wolno nam się pocałować.

— Sprawa jest poważna. Znasz prawo. Muszę powrócić z uciekinierem.

— Muszę uchronić życie brata.

Mersis zaczął się drapać po bliźnie na prawym policzku.

— Bałem się, że usłyszę te słowa. Będę zmuszony zatrzymać was wszystkich i ogłosić zajęcie wyspy.

— Nie pójdziemy za tobą.

— Nie wyciągnę miecza przeciwko tobie.

— Będziesz musiał.

— Wolę go obrócić przeciwko sobie.

— Bóg zakazuje ci tego. Tylko on może odebrać nam życie.

Stary żołnierz powstrzymał łyzy. Zabije uciekiniera i przywiezie jego zwłoki.

— Chcę pomówić z tym Chonsu.

Przełożony, jakby czytając w myślach kapitana, stanął przed chłopem. U jego boku stała Isis. Mersis nie mógł niczego spróbować, nie ryzykując zranienia którejś z bliskich sobie osób.

— Czy jesteś adeptem?

Chonsu zadrżał.

— Nie...

— Czy zobowiązałeś się nim zostać i ofiarować swoje życie wielkiej bogini?

Wieśniak spojrział kolejno w twarz przełożonej, Sabniego i kapitana Mersisa.

— Nie! Jestem chrześcijaninem i wierzę w prawdziwego Boga.

Mersis złapał go gwałtownie za ramię i pociągnął ku sobie.

— W takim razie, mój zuchu, pójdiesz ze mną. Będziesz musiał długo się spowiadać z tego, że odważyłeś się deptać po ziemi pogańskiej świątyni. Nie wiesz, że tutaj jest piekło?

Żelazną ręką zaciągnął uciekiniera do łodzi, na której natychmiast zakuto go w łańcuchy, i z czołem zroszonym potem wrócił do Sabniego:

— Izyda chroni nas. Ten kryminalista zostanie oddany w ręce sprawiedliwości.

— Gdyby się był zgodził...

— W Memfis wybuchł bunt. Gdyby powstańcy dowie-

dzieli się, że File nadal odprawia swoje rytuały, ich zapach wzrósłby jeszcze bardziej. Trzeba, jak niegdyś, połączyć siły Północy i Południa. Wyślij wiadomość, Sabni. Stań się duchowym przywódcą, na którego czeka Egipt.

Teodor odsunął na bok raporty strażników pomiędzy Elefantyną a Lykopolis. Żaden z nich nie wspominał o przejściu młodego człowieka o imieniu Chrestos. Jego ojciec, Apollon, musiał kłamać.

Biskup postanowił zająć się później tą sprawą, ponieważ poważniejsze wydarzenie wymagało jego interwencji: w Memfis, pradawnej i szacownej stolicy budowniczych piramid, klan fanatyków zapowiadał nadejście apokalipsy. Z powodu bezbożności i grzechów chrześcijan miał zbliżyć się koniec świata. Bizantyjskiej policji trudno było kontrolować buntowników, którzy, na szczęście, działali w sposób chaotyczny. Pośród innych absurdalnych żądań domagali się swobody kultów. Jeśli tylko się dowiedzą, że świątynia File nie została definitywnie zamknięta, ruch może nabrać siły. Dlaczego Bóg poddaje swoje sługi takim próbom? Pogaństwo odradzało się nieustannie, nieustannie pojawiały się demony, o których myślano, że już nie istnieją.

Człowiek o letnim sercu zarzuciłby Najwyższemu niezdecydowanie, biskup jednak widział w tych nieszczęsnych

wydarzeniach okrężny sposób na umocnienie wiary, która rozlała się już po całej ziemi.

Teraz Teodor musi tak postępować, by diabeł nie schwycił duszy Sabniego.

Chrestos upajał się nocą świątyni. Kiedy adepci, łącznie ze starym strażnikiem wspartym na swoim kiju, pogrążali się we śnie, chłopiec zasiadał na brzegu naprzeciw wysepki Biga, domeny wiecznej ciszy Ozyrysa. W Elefantynie starsi mieszkańcy mówili jeszcze z pełnym szacunku lękiem o tajemnicach dotyczących złączenia się boga i bogini. Od początków Egiptu i wstąpienia na tron pierwszego faraona wargi wtajemniczonych pozostawały zamknięte. Nikt nie odsłonił tajemnicy rytuału, którego poszczególne fazy znały zmartwychwstanie Ozyrysa: on był sędzią istot ludzkich i dla nich wzorcem przeżycia. Teraz Chrestos znał największy z sekretów: nieskończoną miłość Izydy, zdolnej wprowadzić życie w samo serce śmierci. Aby dotrzeć do boga, trzeba było przejść przez boginię.

Światelko po lewej stronie zaintrygowało młodego adepta. Spadająca gwiazda, odbicie na wodzie? Kiedy błysnęło ponownie na wysokości kiosku Nektanebo, nie wątpił już, że ktoś posługuje się lampką.

Poruszając się bezszelestnie, wkrótce zidentyfikował siostrę oddającą się tej dziwnej czynności. To była Ahure,

rytualistka. Posyłała sygnały i ponawiała je w równomy-
ernych odstępach czasu. Chrestos uważnie przyjrzał się dru-
giemu brzegowi. Nie było żadnej odpowiedzi, toteż zainter-
weniował.

— Z kim to próbujesz się porozumieć?

Zaskoczona Ahure upuściła lampkę, która pogrążyła się
w ciemnych wodach.

— Szpiegowałeś mnie, nicponiu! Pewnie na rozkaz Sab-
niego!

— Nie obrażaj mnie, siostrze, i odpowiedz.

— Nie muszę.

Chrestos przysunął się bliżej i Ahure przestraszyła się.

— Ważysz się podnieść na mnie rękę?

— Mam bezgraniczną awersję do zdrajców. Mów
natychmiast.

Młody człowiek nie ukrywał wściekłości.

— Nie... nie mogłam zasnąć.

— A lampka?

— Bez niej złamałabym sobie kark.

— Znasz te skały lepiej ode mnie.

Ahure zaszlochała.

— Nie potrafisz zrozumieć.

— Pomóż mi w tym: twoja szczerść otworzy mi duszę.

— Co noc próbuję skontaktować się z tymi, którzy od-

jechali. Ich nieobecność jest dla mnie nieznośna.

— Czyżbyś nie wiedziała, że zostali deportowani lub gniją w więzieniu?

— Nie chcę w to uwierzyć. A jeśli jednemu z nich udało się uciec? Jeśli tak, będzie próbował nas zawiadomić, a ja zobaczę jego sygnał.

— Czy nie żyjesz złudzeniami?

Ahure wydawała się bardzo wzruszona.

— Siostry, które odeszły, były moimi najlepszym przyjaciółkami. Bez nich świątynia wydaje mi się pusta.

Reguła wymaga, bym poskromiła ból, lecz nie udaje mi się to. Czy twojej młodości wystarczy takie wyjaśnienie?

— Sama określiłaś swoją powinność.

Bizantyjska poczta funkcjonowała coraz gorzej. Mnóstwo listów zaginęło, pełno było opóźnień i omyłek. Urzędnicy, którzy rozprowadzali przesyłki, często odmawiali pracy; niektórzy opłacali żebraków, by roznosili je za nich. Ci, źle wynagradzani, gubili listy po drodze.

Brat pracz, który zgłosił się na ochotnika, by dostarczyć do Memfis posłanie Sabniego, miał zamiar wykorzystać tę sytuację. Przełożony, ogłaszając duchowe przywództwo File, potrafi rozpalić ogień starej wiary; przyciągnie do siebie Memfis, miasta Delty i obudzi wolę niezależności, którą nosi w sercu każdy Egipcjanin. Sabni zgromadził wspólnotę i odczytał jej orędzie adresowane do buntowników Dolnego Egiptu:

Nie jesteście osamotnieni, a wielka bogini dostarczy wam natchnienia. Na świętej wyspie trwa wspólnota, która swe życie poświęciła poszanowaniu Reguły przodków i żywi się niezniszczalną tradycją.

Sabni proponował dowódcy powstańców spotkanie w jednej z małych wiosek Fajum.

Brat pracz przycisnął do piersi cenny papirus zalakowany pieczęcią świątyni, na której widniała między słońcem a księżycem twarz Izydy. Ogarnął go niepokój, kiedy przy północnym wyjściu z Elefantyny zobaczył niezwykle liczną

grupę żołnierzy zgromadzonych na rogatkach. Każdy z podróżnych był dokładnie przeszukiwany i musiał odpowiadać na liczne pytania. Brat zwrócił się do poganiacza osłów.

— Co się dzieje?

— Biskup zabronił wymiany poczty pomiędzy prowincją a resztą kraju. Wojsko przechwytuje listy i aresztuje tych, którzy pisali coś wywrotowego.

Brat pracz wymknął się z kolejki oczekujących i zawrócił. Ze zdenerwowania potracił zarządcę spichlerzy, a ten skrzyczał go ze złością. Incydent przyciągnął uwagę żołnierzy.

— Ty, tam! Podejdz no tutaj!

Oszalały ze strachu brat jął uciekać. Zachwyceni, że wykryli podejrzanego, dwaj żołnierze rzucili się za nim w pogoń. Niebawem zaczęli się do niego niebezpiecznie zbliżać. Ledwo dysząc, podarł papirus i podeptał pieczęcie. Właśnie kończył niszczyć list, kiedy gwałtowne uderzenie w głowę pozbawiło go przytomności.

Z cierpliwością człowieka przywykłego do posługiwania się niezliczoną ilością dokumentów Teodor zebrał porozrzucone kawałki papirusu. Bez trudu rozpoznał pieczęć świątyni i piękne pismo Sabniego, przypominające pismo najlepszych skrybów Starego Państwa. Jego kursywa, owoc wytrwałych ćwiczeń, respektowała pierwotną formę hiero-

glifów. Biskup był szczęśliwy, że znów może czytać w języku
zmysłów i abstraktu, języku, w którym symbole zamieniały
się w słowa. Czyż nie nazywano go „językiem bogów”?

„Fantasmagorie” — mrucał wściekły na siebie hierarcha.

Brat pracz zginął z rozłupaną czaszką. Nikt nie mógł zarzucić
żołnierzowi, że źle wykonał rozkaz, tym bardziej że zdusił
w zarodku spisek przeciw bezpieczeństwu państwa. Sądząc
z fragmentów listu, przełożony File wzywał do prawdziwej
rewolty. Teodor był w posiadaniu dowodów, dzięki którym
Sabni mógł zostać skazany na haniebny koniec. Czyż czuj-
ność biskupa nie pozwoliła uniknąć poważnych zamieszek,
a może nawet wojny domowej? Zostanie nagrodzony i
otrzy-

ma awans, cesarz mu powierzy zarząd Górnego Egiptu,
zanim powoła go na jeszcze wyższe funkcje. Bizancjum,
które wyniosło na najwyższy poziom i doprowadziło do
najwyższego stopnia wyrafinowania sztukę spisku, potrafiło
docenić strategów zdolnych się przed nim bronić.

Teodor walczył z samym sobą przez całą noc: raz zwycię-
żał sługa boży, a raz przyjaciel. Namawiając do buntu, Sabni
podeptał jego zaufanie; ogłaszając swe duchowe przywódz-
two, działał z taką samą determinacją, z jaką postępuje
męczennik. Zrozumieć? Zbuntować się? Wybaczyć? Podpisać
nakaz aresztowania? Teodor wahał się, podejmował decyzję,

zmieniał zdanie. Niebiosy nie chciały mu przyjść z pomocą.

Rankiem wezwał swoich sekretarzy.

— Przeglądałem te kawałki: nie ma w nich nic interesującego. Całość jest całkowicie niezrozumiała. To prywatne rachunki, jak się wydaje. Zanotujcie, że śmierć tego osobnika była przypadkowa. Nie warto prowadzić dochodzenia.

Osobiście spalił resztki papirusu. Sabni nie musiał się już obawiać niczego. Bóg go chronił.

Specjalista od maści pił świeże piwo w głębi tawerny położonej przy wejściu na targ. Nie czuł się zmęczony, chociaż nie spał od dwóch dni. Wszędzie przyjmowano go z otwartymi rękami. To, że był kapłanem Izydy, wcale nie przeszkadzało jego dawnym przyjaciołom. Budził w nich raczej życzliwe zainteresowanie. Skoro adept dobrze płacił, dlaczego nie mieli mu sprzedawać tego, co chciał kupić?

Nie oceniali faktu, że pogańskiej świątyni dobrze się powodziło, to wykraczało poza granice handlu. Dlatego udało mu się zebrać towary, zwierzęta pociągowe i lekkie łodzie. Jeden wieśniak i dwóch sówicie opłacanych przewoźników miało mu pomóc dotrzeć w okolice wyspy.

Kiedy wtargnęli do szynku, przewracając po drodze stół, poczuł skurcz w gardle. Kierowali się ku niemu. Do tej pory nigdy się nie bał. Nie spuścił oczu, gdy policjant zwrócił się

do niego.

— Jesteś kapłanem Izydy?

— Mówisz prawdę.

— Twoją funkcją jest wytwarzanie maści?

— Mam ten zaszczyt.

— Przebywasz w Elefantynie od dwóch dni?

— Po co miałbym zaprzeczać?

— W takim razie pójdziesz ze mną.

— O co jestem oskarżony?

Uśmiech policjanta wyrażał prostacką satysfakcję.

— O to, że uwiodłeś chrześcijankę i zgwałciłeś ją.

— W moim wieku... To absurd!

— Dla rozkoszy nie ma granicy wieku. Wstań i nie próbuj uciekać.

Brat posłuchał go.

— Kim jest ta kobieta?

— Kpisz ze mnie?

— Jej imię?

— Ze względu na jej cześć nie wolno go wymawiać.

— Widziałeś ją?

— Złożyła skargę u biskupa i opisała cię szczegółowo...

Nie jest już młoda, ale jej chuda i wydłużona twarz może być pociągająca.

Święta wyspa została odcięta od reszty Egiptu. Sabni

dowiedział się z listu Mersisa o tragicznej śmierci brata
pracza i zakazie wysyłania poczty. Buntownicy z Memfis
nie dowiedzą się o wspólnocie z File, a ich rewolta rozlezie
się z braku wewnętrznego porozumienia. Tak upadł sen o
wielkim egipskim powstaniu.

Niebawem kolejna tragiczna nowina pogrążyła w smutku
adeptów. Specjalista od maści został aresztowany za zgwał-
cenie chrześcijanki i skazany na ukamienowanie. Ponieważ
rzecz dotyczyła poganina, który nie chciał się nawrócić,
miano zastosować dawną kaźń.

— Zobaczę się z biskupem i uzyskam darowanie kary —
stwierdziła Izis.

— Poniży cię — zaprotestował Sabni.

— Jeżeli będzie trzeba, gotowa jestem całować go po
rękach. Chodzi o życie brata.

Teodor przyjął Izis, okazując jej wszelkie względy. Prze-
łożona włożyła lnianą jasnozieloną tunikę. Nie była wyma-
lowana, a na bosych stopach miała sandały ozdobione
perłami. Była dumna dumą swego wspaniałego rodu: żyły w
niej królowe i wielkie kapłanki.

— Byłem pewien, że podejmiesz się tego kroku.

— Rozumiesz zatem jego znaczenie.

— Skarga została przyjęta przez biuro prefekta. Waszego
brata skazał specjalny trybunał. W tej dziedzinie nie

mam żadnej władzy. Prawo jest prawem. Faraonowie

nie mieli, jak mi się zdaje, żadnej litości dla

gwałcicieli?

— Któż by uwierzył, że stary kapłan tak zbłądził?

— Długie lata spędzone na wyspie zmały mu umysł.

Ludzie zamknięci często folgują zmysłom

wyostrzonym przez nieznośny post.

— Jesteś panem tej prowincji. Nasze dawne prawa zaka-

zywały bożej istocie podnosić rękę na inną bożą istotę.

— Poganin jest istotą szatańską. Ta niegodziwość to

najlepszy dowód.

Izis zrozumiała, że nie ma żadnej drogi do serca sędziego.

Udała więc, że mu się poddaje.

— Co chcesz uzyskać?

— Żebyś opuściła wyspę i Sabniego.

— Czy wtedy oszczędzisz życie naszego brata?

Biskup nie odpowiedział. Troskę o interpretację swego

milczenia pozostawił Izis.

— Czy mogę się z nim zobaczyć?

— Jego cela nie należy do najwygodniejszych. Obawiam

się, że kobieta twojej pozycji...

— To niezbędne.

Specjalista od maści wcisnął się w kąt wilgotnej jamy,

gdzie go zamknięto, i nucił pieśń poganiaczy bydła, którzy

przeprawiając się przez bród, zmuszali do pozostania w bezruchu krokodyla i złe duchy ukryte pod powierzchnią wody. Kiedy zobaczył Izis, podniósł się i ukląkł przed nią.

— Idź stąd. Powinnaś zachować lepsze wspomnienie o swym bracie.

— Pozwól mi cię uratować.

— Jaka jest cena za moje życie?

Przełożona wyjawiała mu ją.

— Zbyt wysoka. Jestem starym człowiekiem, który pragnie wiecznego odpoczynku. Oczywiście, wolałbym umierać na wyspie. Ale czy największy nawet mędrzec jest panem swojego losu? Nie pozbawiaj mnie honoru, ustępując żądaniom biskupa.

— Czy wiesz...?

— Ukamienowanie? Boję się cierpienia, ale będzie krótkie: moja głowa nie oprze się kamieniom. Triumf Teodora byłby dla mnie znacznie boleśniesz niż śmierć. Od kiedy zostałem przyjęty do wspólnoty, niczego się od niej nie domagałem. Niestety roztrwoiłem jej skarby, nie doprowadzając mej misji do końca! Kaźń nie jest ważna; ciebie proszę o uratowanie File.

— Życie brata...

— ...jest mniej cenne niż istnienie świątyni. Tak powiada

nasza Reguła. Przez całe życie służyłem jej wiernie;

dlaczegoż bym miał ją zdradzić w godzinie śmierci?

Zobaczymy się w zaświatach.

Izis ucałowała pokrytą kurzem twarz brata.

Ahure bez wątpienia kłamała; próbowała wejść w kontakt z wrogiem i informować żołnierzy biskupa o sytuacji we wspólnocie. Ale dlaczego na drugim brzegu było ciemno?

Nikt nie odpowiadał zdrajczynie, jak gdyby adresowała swoje przesłanie w pustą przestrzeń. Nagle zrozumiał: światło z drugiej strony miało pojawić się dopiero w przeddzień ataku na wyspę!

Chrestos powinien był pójść do Sabniego i powiadomić go o całej sprawie, ale zatrzymały go wyrzuty sumienia. Nie miał ochoty donosić; jeśli się myli, obrzuci błotem siostrę.

Wprawdzie od pierwszego spotkania Ahure wydawała mu się antypatyczna i od tego czasu często się spierali, powinien jednak wystrzegać się nieprzyjaźni, kazać zamilknąć od- ruchom profana i starać się o przychylność rytualistki.

Ta zmiana frontu sprawiła, że wybuchnął nagle gromkim śmiechem: ileż w nim próżności! Wszak myślał, że wykrył spisek, podczas gdy Sabni nie był przecież tak naiwny, by nie wiedzieć, co robi siostra. Jeśli toleruje jej zachowanie, to dlatego, że jest nieszkodliwa. Oszalała z rozpacz, zagubiona Ahure poszukuje jedynie obrazów nie istniejącej przeszłości.

Rytualistka była nieufna. Przekonana, że ten przeklęty

Chrestos ją szpieguje, nie oświetlała już sobie drogi i zapalała lampkę nad samym brzegiem rzeki. Chłopiec mógł się ukry-

wać za granitową skałą lub kolumną: dlatego z największą ostrożnością sygnalizowała swoją obecność siostrze o twarzy jak ostrze noża, która prędzej czy później miała się pojawić na umówionym miejscu i dać jej znak, że droga wolna.

Ahure już nikogo w Elefantynie nie знаła; jej współpracowniczka miała dla niej znaleźć pracę i mieszkanie. Miała także wskazać najszybszy sposób nawrócenia, taki by nie ściągnąć na siebie szyderstw i wrogości mieszkańców.

Rytualistka, tak krzepka i silna fizycznie, umierała ze strachu. Była przerażona perspektywą opuszczenia File. Na wyspie rozpoznawała najsłabsze tętno, każde drgnienie życia. Poza światem wyspy czyhały na nią różne niebezpieczeństwa; sama nie byłaby zdolna stawić im czoła. Miotły ją sprzeczne uczucia. Z jednej strony chciała się dostać na ziemię profanów, z drugiej kurczowo trzymała się świątyni. Nieobecność przyjaciółki wzbudzała w niej obawy; jednak bała się także jej pojawienia się. W obliczu bliskiego wygnania przypominała sobie cudowne chwile spędzane w towarzystwie młodej Isis, jeszcze nieświadomej swojego przeznaczenia. U boku przyszłej przełożonej dni były lekkie i jasne. Gdyby nie jej ślub z Sabnim, święte zgromadzenie żyłoby bezpiecznie w cieniu, z dala od namiętności i wojen.

Pozostawanie na wyspie było pozbawione sensu. Dlatego Ahure co noc wymachiwała lampką, dając znaki przebywa-

jącej na wolności siostrze.

Siostra o pociągłej twarzy wyskoczyła z łóżka Apollona.

Handlarz figami wolał kobiety młodsze; ale ta uczepiła się go jak pijawka, posługując się całym uwodzicielskim arsenalem, począwszy od mrugania oczami aż po prowokacyjne ruchy. Dobry kupiec nie przepuści nadarzającej się okazji — jednak Apollon wyrzucał sobie, że nie ustalił ceny z góry.

Czasem gubił go impulsywny charakter.

— Ile chcesz?

— Nie chcę pieniędzy.

Apollon ściągnął brwi. Kobieta nie była już młoda.

— Nie... nie mam ochoty więcej cię oglądać, moja piękna.

— Pomóż mi opuścić miasto.

— To nie takie łatwe. Żołnierze pilnują traktów i sprawdzają tożsamość podróżnych.

— Nazwij mnie, jak chcesz, i wyślij gdzieś z konwojem, jak będziesz przysyłał towary. Niczego więcej nie chcę.

— Kim jesteś?

— Osobą bez znaczenia. Ty zaś jesteś bogatym kupcem o wielkim sercu.

— Mogłabyś na mnie ściągnąć kłopoty...

— Obiecuję milczenie. Nigdy już o mnie nie usłyszysz.

Przysięgam.

— Na Chrystusa?

Siostra zawahała

się.

— Na Chrystusa.

Fakt, że dzielił z nią łożę, nie mógł zrujnować handlowej kariery Apollona. W Elefantynie każdy znał jego temperament i wiedział, że handlarz figami nie gardzi przygodnie spotkanymi kobietami, a nawet Nubijkami. Ale maniery i dystynkcja tej źle go usposabiały. Nie potrafiła odczuwać rozkoszy i odgrywała komedię równie marną, co niezręczną. Apollon uznał, że lepiej zadenuncjować ją Mersisowi.

Przysłuży się kapitanowi, a któregoś dnia nieugięty żołnierz awansuje i będzie pamiętał o oddanych mu przysługach.

Kiedy następnym razem przywiezie do koszar owoce, zaproponuje kapitanowi, by skosztował jeszcze jednego owocu: rozkoszy tajemnej, uroczej i profesjonalnej.

Mersis aresztował siostrę tego samego wieczoru. Ze strachu wspięła się na krawędź tarasu i próbowała rzucić w przepaść. Jeden z żołnierzy złapał ją za nogi i zmusił, by uklęknęła drżąc przed kapitanem.

— Nazwisko.

Ukryła twarz w dłoniach. Mersis odkrył jej twarz.

— Siostra z File — szepnął rozczarowany. — Co robisz w tym burdelu?

— Szukałam... bogatego człowieka.

— Po co?

— By pomógł mi opuścić miasto.

— Sama?

— Oczywiście.

— Nie wierzę ci.

Siostra podniosła głowę, a jej twarz stała się jeszcze bardziej ostra.

— Wyobrażasz sobie, że organizowałam drogę ucieczki?

Kpię sobie ze wspólnoty! Ukradła mi moją młodość. Nikt nie poznał się na moich talentach. Mogłam zostać lekarzem, rytualistką, przełożoną... Zamiast tego Izis kazała mi wykonywać podrzędne zadania. A ta idiotka Ahure liczy na moją pomoc! Uciekam sama, słyszysz? Sama!

Kapitan, wstrząśnięty, oddał ją swoim ludziom. Wyciągnęła do niego ramiona.

— Nie zostawiaj mnie! Jestem piękna i czuła... Naciesz się moim ciałem i uwolnij mnie!

Mersis zatkał sobie uszy.

W dwa dni później siostra o pociągłej twarzy przekraczała granicę prowincji przykuta do wozu oficera udającego się do Azji. Tuż przed pierwszym postojem rzuciła się pod koła, które połamały jej kości.

W tym samym czasie kiedy umierała, Ahure wymachiwała

lampką, wypatrując oczy w ciemności.

Mersis sprawdził wiosła i stan kadłuba. Dziwna to była misja! Mogli ją wykonać niżsi rangą oficerowie, lecz rozkazy Narsesa nie podlegały dyskusji.

Kapitan zmieszał się, kiedy generał popatrzył mu w oczy.

Oskarżycielskie spojrzenie wielkiego żołnierza, którego siły nie zmąciło kalectwo, wróżyło katastrofę.

Ktoś go musiał zadenuncjować.

— Bądź spokojny, kapitanie. Nikt nic nie wie. Prócz mnie.

— Generale...

— Nie kłam, sprawiłbyś mi przykrość. A zatem jesteś sprzymierzeńcem File i ryzykujesz życie, by ratować świątynię skazaną przez wszystkich. Nadal jesteś poganinem?

— Nie. Jestem chrześcijaninem. Wierzę w jednego wszechmogącego Boga, w ciał zmartwychwstanie i w raj; ale mój Bóg jest miłością, tolerancji} i dobrocią.

Dlaczegoż by miał domagać się zniszczenia wspólnoty oddanej świętości, świątyni, w której czci się zasadę stworzenia, i rytuał, który utrzymuje naszą tradycję?

— Naszą tradycję... Dziwnym jesteś chrześcijaninem. Ale rozumiem cię, Mersisie. Ja także ją widziałem. To nie jest kobieta, lecz przełożona File. To przez nią

przemawia Egipt i jego tajemnice. Ona oczarowuje,
ale nie jak diablica, lecz jak gorące światło końca lata;
wypełnia duszę pokojem, budzi nieznane zmysły,
pożądanie uniwersalności, pragnienie nieba i słońca.

Ty, uczeń Chrystusa, jesteś zakochany w wielkiej
bogini.

Narses wsiadł do łodzi.

— Zazdroszczę ci, Mersisie. Każda drobinka twojego
ciała odczuwa wielkość ziemi, na której się urodziłeś.

Ja dopiero zaczynam ją odkrywać. Dlatego wpatruję
się w jej narodziny: kataraktę. Za kilka wieków
będziemy mogli nawiązać dialog.

— Generale, w jaki sposób...

— ...odkryłem twoją tajemnicę? Nie popełniłeś żadnego
błędu. To doświadczenie w dowodzeniu ludźmi.

Obserwuję, chcąc nie chcąc, każdego z moich
żołnierzy. Dziwna postawa, zaskakujące zachowanie...

oto co mnie uderza i zdradza mi złe samopoczucie, z

którym muszę walczyć, by utrzymać morale wojska,

co kiedyś było moją jedyną troską. Na ciebie

zwróciłem uwagę, kiedy wyleczyła chorych. Nie

patrzyłeś na nią jak żołnierz, lecz z uległością adepta.

Uważaj, Mersisie. Niech bogowie będą ci przychylni.

Generał zanurzył wiosła w wodzie i oddalił się od brzegu.

Serce kapitana jeszcze długo bilo przyspieszonym rytmem.

W sanktuarium Sabni podziwiał płaskorzeźbę przedstawiającą Izydę, która swymi olbrzymimi skrzydłami przykrywała ciało Ozyrysa wyrwanego śmierci. Bóg podnosił się, choć jeszcze skrępowany całunem. Spod śmiertelnej osłony wystawały ręce trzymające berło. Zakończenie berła stanowiła głowa boga-zwierzęcia, Seta, jego brata i zabójcy. Dzięki oddechowi niebiańskiej kobiety i jej magicznej potędze światłość zwyciężyła ciemności.

Rzeźbiarz nadał żonie Ozyrysa delikatne rysy i spokojną twarz, podobną do oblicza Izis. Czyż przełożona, symboliczne wcielenie bogini, której imię nosiła, nie wskrzeszała wspólnoty?

Miłość małżonka potęgował podziw przełożonego. Skąd Izis brała odwagę, by walczyć z przeciwnościami losu, jeśli nie ze znajomości tego, co boskie? Zapominała o sobie, by chronić wspólnotę przed beznadzieją. Miała w sobie radość — w jej obecności świat się uśmiechał. Bracia i siostry oddawali się swym zajęciom, tak jak gdyby zewnętrzne wydarzenia rozbijały się u stóp duchowej fortecy, jak gdyby żadne nieszczęście nie mogło przekroczyć murów świątyni. Chrestos dwoił się i troił, piekł chleb, prał rytualne suknie, wytwarzał maści. Pracował zbyt szybko, zdarzało mu się coś przypalić czy podrzeć, ale ceremonie kultowe zachowywały

swą godność, a bogom nie brakowało codziennych ofiar.

Sabni wszedł na schody, które prowadziły na szczyt pierwszego pylonu. Izis ze skrzyżowanymi ramionami i włosami, które rozwiewał północny wiatr, wpatrywała się w skalistą wysepkę Biga, święte terytorium, na którym spoczywał

Ozyrys.

Objął swą małżonkę. Dotyk wyperiumowanej skóry sprawił mu niewypowiedzianą przyjemność. Jego pożądanie łączyło się z szacunkiem dla promiennej istoty w tym kobiecym ciele, które bóstwa ukształtowały w sposób doskonały.

Światło południa przytłaczało z wielką siłą wodę i brzegi, izolowało świątynię i czyniło ją niedostępną. To dzięki temu światłu przez całe wieki żadne wojsko nie odważyło się zburzyć murów, których nie bronił żaden wojownik. Wieczny twórca Imhotep otoczył wyspę magicznym kręgiem. Miał swoje sanktuarium na południe od bramy Euergety. To on stworzył pierwsze monumentalne dzieło cywilizacji egipskiej, piramidę schodkową w Sakkarze, a także ostatnie — świątynię File. Przez cztery tysiące lat ten sam architekt, reinkarnowany z pokolenia na pokolenia, budował wieczne siedziby.

U stóp młodych ludzi rozpościerała się domena Izydy. Za wielkim dziedzińcem, otwartym na promienie słoneczne, znajdowała się sala kolumnowa, do której wpadało niewiele światła przez lukarny, jeszcze dalej czcigodny Przybytek

rozświetlał się blaskiem płynącym od wewnątrz. Mówiące kamienie nawoływały umysł do ostatecznego poznania i pozwalały mu przekroczyć drzwi oddzielające pozór od rzeczywistości.

Czyż Sabni nie miał niesłychanego szczęścia? Był kochany przez wyjątkową kobietę, wyniesiony do najwyższej funkcji religijnej blisko wielkiej bogini, w cichym cieniu mądrości. Z dala od czasu wojny i nienawiści celebrował obrzędy w chronionej przestrzeni, powtarzając gesty swoich poprzedników z serca płynącym przekonaniem, jakie daje wykończona praca, zwiastun nadchodzącego jutra.

Przytuliwszy swój policzek do policzka Isis, czuł jej siłę. Największe cierpienie nie było w stanie zniszczyć jej woli przekazywania, wczepionej w nią jak najczystszy ze szmaragdów.

— Co nam pozostało, Sabni?

— Trochę kiepskiej ziemi na wzniesieniu. Do tej pory nie dbałem o nią. Pracuje tam stary wieśniak. Wezmę kogoś innego.

— Biskup zarekwiruje wszystkich.

— Sam zajmę się zniwami.

— Twoja funkcja przełożonego...

— Czy przełożona pozwoli mi żywić wspólnotę?

— Wybacz mi. Czasem zapominam o sytuacji.

— Mamy także winnicę. Wszyscy wiedzą, że winogrona mają w sobie krew Ozyrysa i nikt nie odważy się ich dotknąć.

— Walczmy, Sabni. Teodor jest bezlitosnym przeciwnikiem i posiada wielką władzę; chce nas rozdzielić, gdyż to jest cena jego triumfu.

— W takim razie nie uda mu się.

Apollon opychał się przetartym bobem i ciepłym piwem.

Kiedy interesy zapowiadały się dobrze, cieszył się doskonałym apetytem. Zatrudnił mnóstwo sezonowych robotników za niską płacę. Pod koniec tego pięknego sezonu będzie mógł kupić nową fermę, a za pięć czy sześć lat będzie zaliczany do notabli w Elefantynie. Wspaniała kariera, doprawdy, jak na kogoś, kto ma syna nicponia. Apollon świetnie posługiwał się kluczami, które otwierały drzwi do sukcesu: kłamał, podrabiał i kradł, nie dając się złapać. Czyż Bóg nie darowywał grzechów tym, którzy je wyznawali? Codziennie wieczorem Apollon wyrzucał sobie swoje winy i błagał Chrystusa o przebaczenie. Raz do roku spowiadał się pewnemu diakonowi i ofiarowywał mu kilogramy fig. Żył w zgodzie ze swym sumieniem, przeświadczony, że jest doskonałym obywatelem i wzorowym chrześcijaninem.

Intendent odważył się przerwać mu posiłek.

— Kiedy jem, nie chcę, by mi przeszkadzano.

— Biskup...

— Co biskup?

— Jest tutaj.

— Gdzie?

— Ogląda jeden z szafasów przy końcu sadu.

Apollon odsunął talerz.

— Mylisz się.

— To na pewno on.

Nie dowierzając, kupiec ruszył się z miejsca. Kiedy zobaczył Teodora, który w towarzystwie kilku żołnierzy przeszukiwał jego rudere, wstrzymał oddech.

— Wasza Wielebność tutaj... w moim skromnym domu...

— Szukam twojego syna.

— Mojego syna... którego?

— Chrestosa.

— Wyjechał do Lykopolis.

— Kłamiesz, Apollonie. Chrestos nie opuścił prowincji.

— Przysięgam...

— Nie bluźnij. Gdzie się ukrywa?

— Nie wiem. Odszedł. Chciałem zrobić z niego żołnierza, ale odmówił i zbuntował się. Nie jestem temu winien.

— Czy Chrestos nie schronił się na File?

Apollon sposepniał.

— Namawiałeś go do przyjęcia wiary pogan?

— Wręcz przeciwnie! Ja jestem dobrym

chrześcijaninem!

Czy opuściłem kiedykolwiek niedzielną mszę?

Biskup wziął Apollona za ramię i pociągnął go na środek
sadu, z dala od niedyskretnych uszu.

— Twój syn zapomniał o rodzinie i wstąpił do szatań-
skiego bractwa. Popełniłeś ciężkie wykroczenie, nie
donosząc o tym.

— Ależ doniosłem!

— Komu?

— Kapitanowi Mersisowi... Ale padłem ofiarą szantażu.

Teodor nie pokazał po sobie cienia emocji. A informacja
była co najmniej zaskakująca: oto najuczciwszy ze starych
żołnierzy okazał się sprzymierzeńcem File. Kazać go aresz-
tować? Lepiej uniknąć pośpiechu i zastanowić się nad spo-
sobem wykorzystania nowej broni, którą obdarzyło go prze-
znaczenie.

— Musisz wyjechać, Apollonie.

— Wyjechać? Ja? Dlaczego?

— Ponieważ jesteś współnikiem zbrodni: milczałeś na
temat uciekiniera. To może być przyczyną utraty
dóbr...

— Przecież to Mersis...

— Zapomnij o tym nazwisku. Już nigdy go nie wymawiaj.

Z listem polecającym, podpisanym przeze mnie,
pojedziesz się osiedlić gdzieś w Fajum. Ja zajmę się
sprzedażą twoich ziem i wyślę ci pieniądze.

— Urodziłem się tutaj i...

— Jeśli nie przystaniesz na moją propozycję, będę
musiał cię oskarżyć.

Pokonany Apollon spuścił głowę.

— Miej do mnie zaufanie. Jeśli potrafisz utrzymać język
za zębami, doczekasz się szczęśliwej starości.

— A Chrestos?

— O nim także zapomnij. Od dzisiaj już nie istnieje.

W tym samym czasie, kiedy Apollon ze łzami w oczach
opuszczał Elefantynę, prefekt zwrócił się do biskupa z błą-
ganiem. Na wpół pijany Maksymian poprosił Teodora, by
ogłosił *urbi et orbi*, że Izis nawróciła się na chrześcijaństwo.

W ten sposób młoda kobieta mogłaby uniknąć — cokolwiek
się wydarzy — gromów ze strony Kościoła. Kiedy straci
reputację, pogańska wspólnota runie.

Teodor cierpliwie wysłuchał przemowy prefekta, lecz oka-
zał się nieugięty. Maksymian nadal bronił swojej sprawy:
Izis nie jest zwyczajną kobietą, Kościół winien jej okazać
łaskę. Kiedy biskup znów się sprzeciwił, zaproponował mu
część swojej fortuny. Teodor nie ustąpił.

Prefekt wrócił do siebie, napił się wina i położył na łożu;

na suficie zobaczył twarz Izis. Jej usta ożyły, coś mówiła do niego, choć jej nie słyszał. Prefekt wstał, wyciągnął ręce i próbował dotknąć ukochanej kobiety. W chwili kiedy jej dosięgał, zniknęła.

— Izis — krzyknął — nie odtrącaj mojej miłości!

Chudy, brudny, ubrany w śmierdzącą baranią skórę eremita wychynął z pogańskiego grobowca, który obrał na swoją pustelnię. Z wysokości zachodniego brzegu patrzył na wyspę Elefantynę, na bieg Nilu i leżącą w oddali przekłętą File. Już od trzydziestu lat Paweł narzucał sobie pokuty i umartwienia, walczył z diabłem, który tak łatwo wchodził w sny albo w kobiece ciało. Dlatego spał niewiele i z wściekłym uporem niszczył bezwstydną figurki bogiń licznie zaludniające mury bezbożnych grobowców.

Paweł nie ustawał w protestach przeciw istnieniu ostatniej demonicznej świątyni, ale biskup Teodor, nadmiernie tolerancyjny, zawsze w końcu odmawiał mu spotkania. Od wczoraj Teodor utracił część swojej wszechwładzy. Eremita został mianowany rzecznikiem wszystkich swoich współwyznawców i mnichów z prowincji; stał się osobą urzędową, której gorąca wiara i wola wyrwania korzeni zła była przedmiotem ciągłych pochwał.

Paweł z rozgorączkowanymi oczami wsparł się o sękaty kij, służący mu do rozgniatania głów węzów. Ten wspinały, tak sprzyjający skupieniu krajobraz powróci niebawem na łono Pana. Teodor nie walczył, jeno osłaniał. Prawdziwi wierzący każą wrogom Najwyższego płacić gardłem.

Ziemia była sucha i spękana, ale żniwa mogły dostarczyć

świętyni trochę jadła. Jakże spodziewać się czegoś więcej po źle położonym i skromnym polu orkiszu? Sabni ciężko pracował w towarzystwie dwóch wieśniaków, którym udało się uniknąć przymusowych robót. Przed nim roztaczał się wspaniały widok, i ten widok wynagradzał mu trud. Święta wyspa, widziana ze wzgórza, przypominała statek, którego dziób stanowił olbrzymi blok kryjący czcigodny Przybytek, gdzie boska potęga pozostawała na zawsze niedostępna ludzkiemu pojowaniu. Po lewej stronie wejściowa kolumnada poprzedzona obeliskiem, po prawej kiosk Trajana za zasłoną palm.

Izis pojawiała się w południe na szczycie pierwszego pylonu. Jej biała sylwetka górowała nad zielonymi koronami drzew. Oddawała pokłon Re, ukrytemu światłu, które objawiało się w słonecznej tarczy dobiegającej szczytu swej drogi.

Cała wspólnota powtarzała słowa przełożonej, słane w kosmos od czterech tysiącleci. W dali góry koloru ochry zamykały horyzont.

Przełożony pracował zaciekle. Jęczmień był tak kiepski, że nikt nie miał ochoty go sobie przywłaszczyć. Adep ci muszą się nim zadowolić. Pozostały mu już tylko trzy czy cztery dni pracy. Kiedy zetnie wszystkie kłosa, powiąże je w snopki i przewiezie na File.

Sabni szedł spokojnie po stoku, w łagodnym słońcu.

Wczoraj dwaj wieśniacy dali mu do zrozumienia, że nie będą z nim więcej pracować. Grożono im denuncjacją i bali się aresztowania. Przełożony nie był poruszony tą odmową — do końca przedpołudnia robota będzie skończona.

Znieruchomiał kilka metrów od pola. Kozy i barany połamały barierki i podeptały zbiory. Ostatnie zwierzęta jeszcze skubały kępki zboża.

Sabni rozplakał się ze wściekłości. Tym razem zostanie mu przyznane odszkodowanie.

— Twoja sprawa jest uzasadniona — przyznał Teodor. —

Możesz złożyć skargę przeciwko sąsiednim rolnikom; jeśli dobrze przygotujesz się do procesu, właściciele zwierząt zapłacą ci podwójną cenę za twoje zbiory.

— Czy prefekt będzie przewodniczył Irybunałowi?

— To zbyt mała sprawa. Podlega jurysdykcji kościelnej.

Ta ostatnia była dobrze znana mieszkańcom

Elefantyny.

Biskup zwoływał posiedzenia, kiedy uznał za stosowne. W jeden dzień rozstrzygał ponad setkę sporów. Na długo przed wschodem słońca ustawiała się nie kończąca się kolejka skarżących, z których większość nie mogła nawet przedstawić swoich skarg. Teodor, tak jak i inni biskupi, większą wagę przywiązywał do postępowania cywilnego: nominacji

urzędników lokalnych czy szefów wiosek, awansowaniu funkcjonariuszy, uwalnianiu więźniów, regulowaniu opłat.

Dopiero resztę czasu poświęcał na spory.

— Kiedy otworzysz drzwi swojego trybunału?

— Kiedy wystarczająca liczba spraw będzie wymagała mojej interwencji.

— Spiesz mi się, Teodorze.

— Daj obola na Kościół. Przyspieszy moją decyzję.

— Prawa nie są takie same dla wszystkich. Kiedy bogacz popełni wykroczenie, unika twojej kary; kiedy biedny, karzesz go surowo, chyba że zejdzie z tego świata przed wyrokiem. To potworne, że trzeba płacić za orzekanie sprawiedliwości.

— W Bizancjum mówi się, że proces przekracza bez trudu granicę ludzkiego życia i że jest niemal nieśmiertelny.

Zgadzam się ze zdaniem, że na tym padole nie panuje boska sprawiedliwość, ale jeśli chcesz poprawić nasz los, nawróć się i pracuj u mojego boku. Będziesz doskonałym sędzią.

— Kiedy otworzysz posiedzenie trybunału, Teodorze?

— Być może na jesieni, zaraz po wylewie.

Generał Narses, siedząc na swojej skale, pogрузił się w myślach. Chociaż nikt nie mógł zarzucić mu zaniedbywania wojska, czuł się coraz bardziej obcy armii i jej obowiązkom.

Coraz częściej myślał o File. W innej epoce, w innym życiu starałby się, być może, o przyjęcie do wspólnoty, którą cesarz rozkazał mu przegnać. Cesarz tak odległy i tak milczący, że tracił jakikolwiek rzeczywisty wymiar.

Egipt nie był łatwy do podbicia. Kolejni najeźdźcy — Azjaci, Asyryjczycy, Persowie, Grecy i Rzymianie — musieli poddać się jego prawom. Ten, kto chciał nim rządzić, musiał dostąpić wprowadzenia w tajemnice królewskie, zanim włożył na głowę podwójną koronę faraona. Tradycja, choć umierająca, żyła jeszcze w rytuałach i obyczajach.

Bizancjum i chrześcijaństwo narzucały inne reguły; myliły się i będą musiały drogo zapłacić za swoją pomyłkę.

Narses nie będzie musiał wykonywać rozkazu: File była zrujnowana. Srebrne monety trafiły do skarbcza biskupa po aresztowaniu specjalisty od maści, wieśniaków zarekwirovano, zboże przywłaszczyło sobie wojsko, ziemia stała się nieużytkiem... Głód pukał do bram świątyni. Jak się wyżywi, kiedy wyczerpią się zapasy?

Ta powolna śmierć odpowiadała jego planom. Nie miał najmniejszej ochoty interweniować przeciw świętej wyspie, gdzie owiał go prawdziwy spokój. Zadowolony się spoglądaniem na nią z daleka, rozmyślając o mądrości, która zniknęła, i powierzając swe myśli południowym wiatrom; niechaj podmuch zaniesie je w nieznane krainy.

Maksymian radował się. Od kiedy zrezygnował z prób zastąpienia biskupa, odzyskał nadzieję. Teodor sięgnął po wszystkie środki, by poddać świątynię swej woli; złamana File była już w agonii. Niebawem Izis przestanie ulegać wpływom Sabniego. Dlatego prefekt odwiedzał różne urzędy w Elefantynie, głosząc wszem wobec, że przełożona rezygnuje z pogaństwa i zostanie jego żoną.

Teodor nie interweniował. Narażając się na śmieszność, prefekt tracił resztki szacunku. Nie wypowiadając słowa krytyki pod jego adresem, biskup przyglądał się jego upadkowi w przepaść. Maksymian już się z niego nie podniesie. Wysłannik cesarza popełnił błąd, uznając, że prowincja Elefantyny jest krajem zdobytym i można gardzić jej czarami. Ten, kto nie pozwalał błądzić własnym myślom zgodnie z nurtem rzeki i nie potrafił oswoić stromych brzegów i bloków skalnych katarakty, sam siebie skazywał na szaleństwo.

Kapitan Mersis był zdenerwowany. Z wysokości wieży zbudowanej z surowej cegły patrzył w kierunku wielkiego Południa. Nie wierzył już w atak Blemiów — ich demonstracja siły pozwoli trzymać na odległość bizantyjskie wojska. Murzyńskie plemiona widziały ich bezsilność. Lud Blemiów, od dawna zagrożony eksterminacją, zyskał pewność, że będzie mógł żyć w spokoju i bezpieczeństwie na

swoim terytorium jeszcze przez długie lata. Dlaczego miałyby podejmować szaleńczą walkę, w której zginęłyby tysiące ludzi?

Podczas wieczornego posiłku oficer, którego kuzyn pracował w biurze podatków pośrednich, powtórzył uporczywie powracającą plotkę: Teodor przewidywał wprowadzenie opłat od łodzi i statków średnich rozmiarów i dlatego będzie wymagać ich szczegółowych wykazów zarówno od prywatnych właścicieli, jak od instytucji. Mersis natychmiast pomyślał o File. Tego podatku wyspa już nie wytrzyma. Sabni powinien jak najszybciej pozbyć się mniej przydatnych łodzi. Mersis napisał list i o zachodzie słońca udał się do gołębnika. Ptak poleciał w stronę świątyni. Żołnierz poczuł się dużo lepiej: Izis i Sabni potrafią przygotować się do napaści przeciwnika, jeśli będą z góry informowani o jego zamiarach. Z tarasu swojego domu biskup patrzył, jak gołąb wznosi się w powietrze. Jego łucznicy mieli zestrzelić go nad wzgórzami. Fałszywa plotka, rozsiewana przez samego biskupa, rozeszła się szybko, wzburzyła zdrajcę i wywołała jego szybką reakcję. Tak więc Mersis był adeptem Izydy. Zanim Teodor wymierzy mu zasłużoną karę, wykorzysta go, tak by o tym nie wiedział.

Izis nie miała już żadnego sprzymierzeńca. Sama będzie musiała walczyć z przedstawicielem Chrystusa. To do niego

musi Teodor przywieść pogańskie bractwo, jeśli chce, aby spełniła się wola boża. Jeśli przełożona ma się stać niewolnicą prefekta, należy za wszelką cenę zburzyć magiczny mur, który wznosi między Sabnim a Bogiem.

Teodor, niczym narzędzie w rękach architekta świata, w spokoju kroczył drogą bez meandrów. Wraz z ostatecznym zniknięciem religii faraonów narodzi się nowy świat, którego rozwoju nie powinna wstrzymywać File. Jedna spójna wspólnota bardziej zagrażała chrześcijaństwu niż tysiące rozproszonych pogan. Wystarczała jedna wielka figura, taka jaką razem tworzyli Izis i Sabni, by dawne kulty odzyskały siłę i żywotność i udowodniły konieczność swojego istnienia. Od zarania wieków Egipt potwierdzał swoje powołanie — był matką cywilizacji. Zameczona, poniżona, zniewolona nadal rodziła idee, które mogły wyrzeć wpływ na przyszłość. Na tym polegała nieskończenie wielka potęga świętej wyspy. Samą tylko modlitwą i odprawianiem rytuałów potrafiła wskazać drogę sercom. Teodor był świadom niebezpieczeństwa; im bardziej wspólnota podupadała materialnie, tym bardziej wzmacniała się duchowo.

Biskup prowadził z przełożoną walkę o niewidoczne. Izis, chociaż obłożona, dysponowała skuteczną bronią: miłością Sabniego. To ją należało zniszczyć, jeśli myślało się o zwycięstwie.

Palma wznosiła swój gładki pień ku niebu. Przełożona schroniła się w jej cieniu i czytała hymn do Hathor, napisany przez pierwszą przełożoną File. Dzikość przyrody gasła na skraju ogrodu, gdzie podczas narodzin wiosny przyjemnie było smakować słońce przebijające przez palmowe liście. Sabni przyniósł Izis świeżej wody, trochę fig i chleba. Była odprężona, niemal beztroska.

— Teodor sądzi, że jesteśmy pokonani i nie mamy żadnych zapasów.

— Jest zbyt przenikliwy, by popełnić błąd tego rodzaju

— odrzekł Sabni. — W dodatku obawia się ciebie.

Dopóki jesteśmy razem, będzie z nami walczyć.

— Egipt musiał znosić różne jarzma, ale jego wiara przetrwała. Chrześcijanie chcą ją wyrwać z naszej ziemi i z pa-

mięci ludzi. Teodor nie zachowuje się jak zwykły sługa swojego boga; domaga się prawdy całkowitej i definitywnej, tej prawdy, którą objawia mu Chrystus i dla której buduje nowy świat. Aby on się wyłonił, File musi zniknąć.

Sabni zadrżał. Czyżby Izis zapowiadała koniec wspólnoty?

— Bądź spokojny, mój kochany. Kimkolwiek byłby na jeźdźca Egiptu, zostanie przegnany lub zgnije na miejscu. Wieki się nie liczą. Nasze przesłanie jest nieśmiertelne, ponieważ nie zrodziło się w ludzkim

mózgu. Wyraża sekret wszechświata; biskup się tutaj

nie myli.

— Kiedyś był szczerym i lojalnym przyjacielem.

— Jest nim nadal i czeka na ciebie, Sabni. Rozdzierasz

mu duszę. Jeśli do tej pory pozwolił przetrwać

wspólnocie, to ze względu na ciebie.

— Nigdy nie będę wierzył w to, co on. Teodor wie o tym.

— Czyż jego bóg nie dokonuje cudów?

Usiadł koło niej i pogłaskał jej stopy.

— W jaki sposób wyżywimy wspólnotę?

— Kiedy nie będziemy już mieli chleba, zejdziemy do

krypt. Wejście do nich zostało zamurowane przeszło

dwa wieki temu; ojciec dał mi plan.

— Co się tam znajduje?

— Później; teraz mam przed sobą zadanie nie cierpiące

zwłoki: złożyć hołd Ozyrysowi.

Izis dobiła do wysepki Biga, uświęconego terytorium

Ozyrysa. Tylko przełożona File miała prawo tam przebywać.

Tutaj, pod nieśmiertelną akacją, znajdował się grób boga.

Aż do wygaśnięcia rodzaju ludzkiego będzie on

wyczekiwać nadejścia małżonki, która jest w posiadaniu
formuł wskrzeszenia.

Izis weszła po kamiennych schodach, przeszła przez bra-

mę — na jej skrzydłach znajdowały się teksty powitalne — i

obok szeregu posągów faraonów Nowego Państwa, których

ka * spoczywało blisko wielkiego boga. Dalej rozciągało się

zakazane królestwo, do którego żaden człowiek, uczony czy

prostak, bogaty czy biedny, nie miał prawa wkroczyć.

Rozsunęła krzewy, odnalazła ścieżkę i zagłębiła się w las

tamaryszków. Znajdował się tutaj wizerunek boga Ble-

miów: w lewej ręce trzymał gazelę, a w prawej bukiet. Był

panem tajemnego terytorium wespół z Ozyrysem, nosił

przezwiśko „dobrego podróżnika”, towarzysza córki boga

Re, władczyni słonecznego biegu otwartego dla odradza-

jących się dusz.

Szła bardzo powoli, starając się nie wywołać najmniejszego

hałasu. Ozyrys żądał ciszy. Nie tolerował żadnego śpiewu,

* *Ka* — twórcza, nieśmiertelna siła życiowa człowieka (przyp. tłum.).

dźwięku fletu, harfy czy bębna. Wokół grobowca

wzniesiono trzysta sześćdziesiąt pięć ołtarzy; na wszystkie po kolei przełożona wylała trochę wody. Dzięki libacji każdy dzień roku przemieniał się w sanktuarium Ozyrysa i był zwiastunem odnowy, którą głosiło słońce wychodzące z mroku. Później Izis podeszła do kamiennego sarkofagu w połowie ukrytego w pagórku w kształcie kopuły.

Rozmawiała sam na sam z duchem poruszającym się nad mogiłą. Podczas świąt nowiu księżyca przybierał kształt samicy kani z ludzką głową. Trzepot jej skrzydeł budził ze snu Ozyrysa. Izis nie błagała go o pomoc, nie zasypywała go prośbami; żal, brak nadziei i osobista modlitwa mogły wynaturzyć kult. Odnowiła słowa potęgi, którymi karmiła się dusza Ozyrysa; to one objawiały sekretną naturę boga, słońca nocy, zasady nie kończących się mutacji. W głosie przełożonej przebijał głos pokoleń adeptów połączonych w akcie ofiary.

Siedząc na rufie łodzi, którą płynęli do Elefantyny, Izis i Sabni jeszcze raz przeczytali dziwne wezwanie do stawienia się przed trybunałem biskupa. Teodor otwierał swój sąd o wiele wcześniej, niż było to przewidziane, stosował nie-normalną procedurę. Hierarcha nie miał zwyczaju wzywać stron — należało to do obowiązków herolda.

Ku ich zaskoczeniu przed podłużnym, wybielonym wapnem budynkiem nie uformowała się kolejka. Wejścia pil-

nowało dwóch żołnierzy. Na końcu pustej sali zasiedli biskup i prefekt. Po lewej stronie tego ostatniego siedział, pochylając się nad swym pulpitem, pisarz, gotów protokołować posiedzenie. Drzwi zamknęły się za młodą parą.

— Czyżbyśmy mieli otrzymać odszkodowanie? — zapytał Sabni nie bez ironii.

— Trapi nas znacznie ważniejsza sprawa — odpowiedział biskup. — Właśnie dlatego poprosiłem prefekta Maksymiana, by zechciał tu przyjść.

— Czy istnieje większa troska niż oddawać sprawiedliwość?

— Właśnie taka przyświeca mi intencja. Płacicie podatek jako właściciele ziemi File. Czy naprawdę jesteście jej właścicielami?

Sabni bał się zrozumieć.

— Wszelka własność ziemska opiera się na akcie prawnym. Mój sekretariat przeglądał cały kataster: nigdzie nie ma mowy o File. A zatem nie należy do nikogo. Ponieważ nikt jej nie dziedziczy, staje się własnością Kościoła.

Ten atak zaskoczył Sabniego. Został starannie przygotowany przez człowieka gotowego przywłaszczyć sobie wyspę bez podejmowania walki. Prawnik stosował prawo. Nikt nie będzie mógł mu zarzucić, że jest okrutny czy niehumaniczny.

— Mylisz się — poprawiła go łagodnym głosem Izis.

— A dowód?

— Chcesz go obejrzyć?

— To niezbędne.

— Będziesz zmuszony poczekać kilka dni.

Maksymian nie spuszczał jej z oczu; liczył na długą przemowę, na słowa pełne oburzenia. Isis była nadzwyczaj spokojna i tym bardziej pociągająca.

— Zgadzą się — zakończył.

Pisarz odnotował, że sprawa została przesunięta do następnego posiedzenia.

W trzy dni później liczny orszak stawiał się przed trybunałem. Chrestos pozostał z siostrami w świątyni; wszyscy bracia pomagali Sabniemu nieść dokument obiecany biskupowi.

Była to ciężka wapienna stela wyciągnięta z mroków krypty.

Przedstawiała boginię Maat, wcielenie Reguły życia, zwrócona twarzą do boga Tota z głową ibisa. Tot zapisywał tekst hieroglifami pod dyktando niebiańskiej kobiety.

— Oto dowód, że File przynależy do bogów, a nie do ludzi — powiedziała Isis.

Pisarz odłożył kalamus. Nie tylko płacono mu od linijki, ale całą swoją młodość spędził przecież na nauce greki i aramejskiego, by pisać zawiadomienia, kontrakty i testamenty. Czytanie hieroglifów nie było jego obowiązkiem.

Prefekt wstał i podszedł, by obejrzyć przedziwny akt

własności. Teraz mógł z bliska wdychać zapach perfum Izis.

— Nikt nie zna tego języka. Jak możemy osądzić, czy to świadectwo jest prawdziwe?

Sabni obserwował Teodora. Czy biskup przyzna się, że umie czytać święte pismo dawnych Egipcjan?

— Tłumacz — rozkazał biskup. — Ty zaś, pisarzu, zano tuj oświadczenie.

Sabni przeczytał tekst, oddzielając poszczególne zdania.

— „Ta świątynia jest jak niebo w każdej ze swoich części.

Została wybudowana przez faraona na rozkaz twórczej i nieustannie odnawianej Zasady, by wiecznie błyszczyć na horyzoncie. Kiedy budowę zakończono, wykonawca oddał siedzibę w ręce swego pana. To miejsce zajmuje wielka bogini Izyda”.

Pisarz sięgnął po swoje tabliczki. Jako notariusz ściśle stosował się do litery prawa. To dlatego biskup go wezwał

— wszyscy mieli się dowiedzieć, że wyrok jest prawomocny.

— Zajmowanie oznacza własność. Czy osoba o imieniu Izyda zajmuje to miejsce?

Przełożona wysunęła się z uśmiechem do przodu.

— Czy jesteś spadkobierczynią i potwierdzasz autentyczność tego dokumentu?

Izis skinęła głową. Prefektem targały zmienne uczucia.

Chciał ją porwać i udusić Sabniego; nienawidził tego Egipcjanina, który stanął na jego drodze do szczęścia.

— Doskonale — orzekł notariusz. — Ta stela trafi do archiwum katastru. Następnym razem przynieście jakąś bardziej poręczną kopię.

Żniwa kończono w pośpiechu; młóćkarze pracowali bez chwili wytchnienia, by się uporać z robotą przed nastaniem pory wylewu. Czerwcowe słońce rozpalało wzgórza Elefantyny. Sabni narzucił racje żywnościowe wszystkim mieszkańcom świątyni. Nie wywołał tym sprzeciwu adeptów, prócz Chrestosa, obdarzonego solidnym apetytem. Pożywienia miało im starczyć na dwa miesiące.

Przed obrzędem południowym Izis i Sabni pływali nago u stóp małej świątyni Hathor, naprzeciw wschodniego brzegu.

Kąpiel usuwała zmęczenie, pomagała zachować ciało młodość. Nie oddalali się daleko od brzegu, nurkowali w wodzie, ocierali się o ryby i pod opiekuńczym spojrzeniem bogini miłości oddawali się czułym i namiętym igraszkom.

Skóra Izis, cała w migotliwych perłach wody, upodobniła ją do błyszczącej gwiazdy noworocznej. Sabni całował pączki kwiatów jej piersi, głaskał jej łono i upijał się jej ustami.

Jakże słodko było trzymać w ramionach ukochaną kobietę, żywić się jej spojrzeniem, widzieć ją skąpaną w słońcu i łączyć się z nią pod ochroną akacji! Czyż miłość nie rozrzucała po

niebie szmaragdów i turkusów, tworząc nowe konstelacje?

Leżąc na ziemi, jedno koło drugiego, z na wpół zamkniętymi oczami, rozkoszowali się chwilami szczęścia, które zamieniały się w radość istnienia.

Chrestos dosłownie pożerał papiirusy biblioteki. Medycyna, astrologia, geometria, mitologia... Żaden temat nie zaspokajał jego ciekawości. Hieroglify czytał z nieprawdopodobną łatwością, tak jakby uświęcony język był dla niego całkowicie naturalny. Starał się panować nad swoimi myślami czy to pod kierunkiem Sabniego, czy też Izis, umiejętnie rozdzielając wiedzę od poznania. „Niebezpieczeństwo — powiadał Sabni — polega na gromadzeniu pojęć oderwanych od życia. Zapominaj, eksperymentuj, formułuj według serca, nigdy według fantazji". Młody adept spał niewiele i nie chciał odpoczywać. Nie przeszkadzał mu upał, nie męczyły go prace fizyczne. Czyż nie miał przed sobą studiów nad wiekami mądrości, tysiącami lat wtajemniczeń? Im więcej się uczył, tym goręcej pragnął wiedzy. Gdy siedzieli nocą na dachu świątyni, stawiał tysiące pytań Izis i Sabniemu; liczyli się dla niego bardziej niż ojciec i matka. Tworzyli prawdziwą rodzinę, ale każde z nich należało do niej z wyboru.

W połowie czerwca Chrestos przekroczył próg sali kolumnowej. Wszyscy adepci uznali jego zdolność do poznawania nowych tajemnic. Przed oczarowanymi oczami chłopca rozciągała się fantastyczna droga. W zależności od pory roku i godziny dnia promienie światła przedostające się przez lukarny rozświetlały taki czy inny szczegół którejś z kolumn,

odkrywały przed nim to czy inne bóstwo, podkreślały taką, a nie inną partię tekstu. On miał widzieć i postrzegać; łącząc poszczególne elementy, zastanawiając się, dlaczego niektóre z nich pozostają w cieniu, oswajał się z prawami świata bogów, co mu pozwoli zrozumieć sposób jego funkcjonowania. Teraz dane mu było wszystko; pozostało błądzić po tym labiryncie symboli z nadzieją, że przeniknie do środka. Wkroczył na tę drogę z zapalem.

Wyglądało na to, że od czasu porażki Teodor nic nie robi. W rzeczywistości, w obliczu zbliżającego się wylewu, ugiął się pod ciężarem prac administracyjnych. Musiał starannie przeczytać każdy raport dotyczący czyszczenia kanałów. W wielu miejscach zmuszeni do pracy wieśniacy wykonali swoje obowiązki niestaranie. Jeśli wylew nie będzie dość duży, nawodnienie może okazać się niewystarczające, a zapasy były już na ukończeniu. Nawet wojskowe spichlerze będą niebawem puste. Biskup wychodził w teren, przeprowadzał inspekcję tam, sprawdzał położenie słupów granicznych, wzywał strażników do lepszego nadzorowania wieśniaków. Dyscyplina wszędzie coraz bardziej się rozluźniała. File, Chrestos, kapitan Mersis... Biskup nie zapominał o nich, choć zeszli na drugi plan wobec konieczności ratowania prowincji. Wśród rozlicznych ofiar głównego kultu była także ofiara wina. Podobnie jak w całym Egipcie, w Elefantynie

winorośl była święta. Chrześcijanie uznawali symboliczny charakter soku ukrytego w winnych gronach i nie niszczyli świątynnych winnic. Podczas mszy kapłan utożsamiał go z krwią Chrystusa, tak jak adept z krwią Ozyrysa.

Dlatego właśnie Sabni ze zdumieniem stwierdził, że niewielkie uprawy należące do File zostały zniszczone przez wandali: krzewy podcięte tuż nad ziemią, grunt przekopany i zasypany solą, balansjer maszyny do nawadniania w kawałkach... Kiedy ostatnie trzy dzbany zostaną opróżnione, przełożony nie będzie mógł już napęlić naczyń, które w niosie wznosił przed obliczem posągu.

Pośrodku winnicy wbito krzyż z imieniem Jezusa. Kształtem przypominał krzyż anch, który w świętym języku oznaczał „życie”. Na jednym z jego ramion wisiał kawałek skóry szakala, oznaczający występki. Całość była dziełem mniarów zamieszkujących grobowce szlachetnie urodzonych i rzemieślników. Niszczyli twarze kobiet, wcieleń szatana, pozbawiali posągi głów, palili ściany lub smarowali je gipsem. Biskup nie miał nad nimi kontroli. Ze strachu nie pokazywali się w mieście, gdzie zaczepiali ich żołnierze. Już od dawna marzyli o zniszczeniu File.

Woda zmieniła kolor, stała się mniej przejrzysta i o ciężała. Izis znów szła na brzeg. Kiedy Sabni dołączył do niej, wystawiała na słońce miodowe ciało wypachnione jaśminem.

— Nasza ostatnia kąpiel przed wylewem. Sabni

zgniółł palcami grudkę mokrej ziemi.

— Wylew się opóźni.

— Jeszcze za wcześnie o tym mówić. Chociaż woda po winna być, prawdę mówiąc, bardziej błotnista.

Wzajemnie próbowali się uspokoić, choć oznaki były wyraźne. Czy Egipt doświadczy roku hien, kiedy to zgłodniałe dzikie zwierzęta napadają na domostwa? Czy ma nadejść siedem katastrofalnych lat, które spowodują wyginięcie połowy ludności? Jeśli wieśniacy będą skazani na głód, nie będą mogli, nawet potajemnie, dostarczać ani odrobiny zboża wspólnocie. Armia przywłaszczy sobie całość zbiorów.

— Czy Teodor nie oskarży cię o czarną magię?

— Lud go nie posłucha. Nie boję się o siebie, lecz o naszych starców; długi okres postu może ich zabić.

— Znajdę pożywienie w wioskach na północy.

— Bądź cierpliwy. Poczekajmy na początek wylewu.

Armia Narsesa przywykła do rozkoszy Elefantyny. Ze względu na przymusowy postój — nie można było udać się na nubijską wyprawę — generał w porozumieniu z prefektem podwoił racje wina, powiększył żołd i liczbę przepustek.

Zapomniawszy o Blemiach, bizantyjscy żołnierze przesiadywali w tawernach i na targach, zawzięcie targując się o kość słoniową, wonności, skóry panter i inne egzotyczne towary.

Miejski dom publiczny pękał w szwach, a nieszczęśnikom, którzy nie mieli dość pieniędzy, pomagały przygodne dziewczynki. Narses przymykał na wszystko oczy; jedynym jego zmartwieniem był obfity wylew, który zalałby jego skałę i przeszkodziłby mu oddawać się medytacjom z widokiem na kataraktę.

Prefekt ciągle miał przed oczami twarz Izis: wielokrotnie chciał zwrócić się do biskupa z prośbą o egzorcyzmy, lecz wolał cierpienia od utraty ukochanych, choć nieosiągalnych oczu, warg i policzków. Przystawał na cierpienie w nadziei, że w końcu ją zdobędzie.

Wynalazł u antykwariusza zbiór wierszy adaptowanych z języka staroegipskiego; wiersze opowiadały o spotkaniu kochanków w cienistym ogrodzie, z dala od ciekawskich oczu, w pobliżu basenu ze świeżą wodą, w którym kąpali się po ognistych wyznaniach. Jakże tu nie myśleć o nagiej Izis przemykającej w błękitnej toni?

Maksymian podziwiał w tych tekstach szacunek dla ukochanej kobiety. To rzadkie uczucie zamieniało namiętność w najczystsze i najbardziej błyszczące złoto. On, pogromca serc niewieścich, poddając się przełożonej File, słuchał głosu serca, a zatem uwznioślał swego ducha. Nawet jeśli Izis odrzucała go, nie powinien zdobywać jej siłą, lecz torować stopniowo drogę do zdobycia jej zaufania. Maksymian

obiecował sobie cierpliwość granitu. Było mu zupełnie obojętne, że uważano go za szaleńca.

Izis skierowała barkę na wyspę Biga, gdzie zamierzała złożyć Ozyrysowi ofiarę z mleka. W nocy pewien rybak dostarczył mleko do świątyni. Kilku kupców, zwiedziawszy się o ubóstwie wspólnoty, odważyło się okazać jej trochę serca. To prawda, Teodor nie wydał żadnego formalnego zakazu handlowania ze wspólnotą File, ale każdy wiedział, co ryzykuje: czekało go bezdyskusyjnie aresztowanie i deportacja. Na szczęście straże nie przechodziły często, gdyż wielu żołnierzy nadzorowało prace przy czyszczeniu basenów irygacyjnych i pilnowało wieśniaków zmuszanych do tej pracy. Kiedy przełożona cumowała łódź u brzegu, z wody wysunęła się czarna głowa. Atletycznie zbudowany mężczyzna o kędzierzawych włosach wolno poruszał rękami, utrzymując się na wodzie w pełnym szacunku oddaleniu.

— Jestem blemijskim kapłanem. Przyjmij wyrazy mojej czci i czci całego mojego narodu. Wiem, że tylko tobie wolno chodzić po ziemi wyspy Ozyrysa. Dlatego będę trzymał się w oddaleniu.

— Czego pragniesz?

— Chcę wiedzieć, czy chrześcijanie pogwałcili to terytorium wybrane spośród wszystkich.

— Uszanowali je.

— Chcę wiedzieć, czy kaplica i posąg naszego boga pozostały nienaruszone.

— Bądź o to spokojny.

— Chcę wiedzieć, czy twojej osobie nie grozi żadna napaść.

— Niczego nie ryzykuję.

— Takie nowiny zaniosę memu królowi.

— Zaatakujecie Elefantynę?

— Czczymy przełożoną File. Ona żyje ponad wojnami i sprawami ludzkimi.

Wysłannik Blemiów zniknął, płynąc pod wodą. Isis w zamysleniu skierowała kroki przed ołtarze, by złożyć na nich ofiarę z mleka.

Sabni zatrzymał się przed jedną z zagadkowych figur w małej kaplicy położonej nieopodal bramy Hadriana, naprzeciw Biga. Chrestos rozpoznał słońce i księżyc, pomiędzy którymi krążyły gwiazdy, oraz pilaster z okiem zmarłego Ozyrysa. Zaczął zastanawiać się nad znaczeniem postaci siedzącej w kucki wewnątrz groty, którą oplatał wąż.

— To geniusz Nilu — odpowiedział przełożony. — Jego moc kryje się w trzewiach ziemi, które same są skąpane w oceanie energii. Postać trzyma w rękach dwie wazy zawierające fluidy nieba i ziemi. Tylko ich połączenie zapewnia dobry wylew. W gwiazdach możemy wyczytać los, który nam niesie: wywoła go księżyc, a słońce utrwali.

— Jak mam opisać ci moją radość, Sabni? W tej gęstwinie symboli czuję się jak u siebie. To raj: język bogów, tajemnice świątyni i żar kolumn. Czasem boję się, czy nie utracę tego skarbu, jeśli nie potrafię przekroczyć nowych bram.

— Idź przez całe życie za swym pragnieniem; żadne bogactwo nie wyda owoców, jeśli je zaniedbasz. Ten, kto za nim idzie, nie może się zgubić.

— Chcę, by te kamienne obrazy przemówiły. W jaki

sposób poddam moje słowa próbie na wadze prawdy?

— Kiedy dobrze słuchasz, słowa także będą dobre. Słyszec to najlepsze ze wszystkiego, co istnieje: z tego wynika

doskonała miłość. Kiedy uczeń przyjmuje słowa mistrza, osiągnie doskonałość. Bóg kocha tego, kto słucha, a nienawidzi tego, kto pozostaje głuchy. Będziesz panem swojego serca, jeśli będziesz go słuchał; od niego usłyszysz słowa prawdy.

Chrestos nie uрониł ani jednego słowa. Otrzymana nauka zamieniała się w jego ciało i krew.

Spokój Teodora był jedynie pozorem. Miał ukryć przed podwładnymi narastającą nerwowość. Wylew zapowiadał się jeszcze gorzej niż poprzedni: nad prowincją zawisło widmo katastrofy.

Będzie musiał błagać o pomoc cesarza, jeśli chce z Bizancjum otrzymać żywność. Dumna stolica, niepomna kaprysów Nilu, będzie wytykać zarządzającemu jego niegospodarność.

Nie dość, że wylew jest opóźniony, to jeszcze ledwie, ledwie podniesie poziom rzeki i nie zdoła nanieść mułu na spragnione ziemie. Zła nowina, pomimo zaleceń biskupa, szybko rozniosła się po ulicach Elefantyny i pobliskich wsiach.

Niepokój narastał. Dlatego Teodor zdziwił się, widząc radosną minę prefekta.

— Lud zgodnie domaga się interwencji Izis. Tylko ona, odprawiając wielki obrządek wylewu, może sprawić, żeby podniósł się poziom wody — oświadczył Maksymian, dla którego otwierało to możliwość przebywania przy niej przez wiele dni z rzędu.

— Odmawiam.

— Nie upieraj się, biskupie! Podsuwam ci najlepsze rozwiązanie. Jeśli na próżno odprawisz mszę w intencji pomyślnego wylewu, ilu chrześcijan straci wiarę? Nie możesz podjąć takiego ryzyka. Jeśli przełożonej się nie powiedzie, tłuszcza rzuci się na świątynię. Ją samą zatrzymam tutaj.

— A jeśli jej się powiedzie?

— Lud będzie ją wielbić przez jakiś czas, ale potem zapomni. Przejdziesz przez burzę, ale na pewno znajdziesz jakiś sposób, by ten cud przypisać Chrystusowi; egipskie bóstwa nie dokonują cudów już od dłuższego czasu.

Biskup poddał się. Musiał teraz przekonać Izis. Nie chciała przyjąć prefekta i z pewnością nie wysłucha byle jakiego posłańca. Czuł się upokorzony, udając się na File, ale na ulicach bez przerwy skandowano imię Izis. Czy uzdrowicielka nie była także magiem i nie posiadała nieograniczonej mocy? Wróżbici przepowiadali, iż przyływ będzie tak słaby,

że nie urosnie ani jedno źdźbło zboża, głodni zaatakują słabszych, biedni ogołocą bogatych, a Nil spłynie krwią.

Łódź biskupa dobiła do przystani. Na nabrzeżu czekała Izis, uprzedzona przez strażnika. Jej długa biała suknia lśniła w słońcu.

— Witam przełożoną File.

— Niechaj wielka bogini chroni swych wiernych i uczyni ich ziemię bogatą. Czy chcesz wejść do świątyni?

— Muszę zwrócić się do ciebie z prośbą o pomoc.

— Wierzysz w naszą magię?

— W najmniejszym stopniu.

— A jednak okazała się skuteczna tysiące razy.

— Nie daj się zwieść własnym legendom. Lud po prostu potrzebuje cudów.

— Jesteś przekonany, że wylew będzie niewystarczający, i chcesz posłużyć się metodami, których nie akceptujesz. Skąd taka decyzja?

— Zły los narzuca mi takie rozwiązanie. Pragnę jedynie uniknąć klęski głodu.

— Czy obecność mojej osoby nie ubliża Chrystusowi?

— Moje rozmowy z Bogiem ciebie nie dotyczą.

Zgadzasz się mi pomóc?

— Mnie także zależy na pomyślności tej ziemi.

Zeszła do łodzi i zajęła miejsce na dziobie. Teodor usiadł na rufie. Wioślarze rytmicznie uderzyli w wiosła.

— Zwykła ofiara nie wystarczy. Muszę zapoznać się z archiwum świątyni Chnuma.

— Zapomniałaś, że została zniszczona?

— To prawda, że fanatycy zrobili z niej kupkę gruzu, jednak plotka głosi, że uratowałeś papirusy z Domu Życia przylegającego do sanktuarium.

— Śmiałe twierdzenie.

Otulony w długą czerwoną szatę z kołnierzem obramowanym złotem Teodor toczył właśnie jedną z trudniejszych walk w swojej karierze. Chociaż bronił się przed tym, ta kobieta wprawiała go w zakłopotanie. Nie potrafił jej zmusić do uległości, jak gdyby wola boża napotykała mur nie do przebycia.

— Czytasz hieroglify i tak jak ja karmisz się mądrością Egiptu. Nasza tradycja opiera się na poznaniu, a nie na wiedzy; wyrażona jest w tekstach, które szanujesz. Nie jesteś, panie, niszczycielem.

— Czy te papirusy są ci koniecznie potrzebne?

— I tobie, i mnie zależy na dobroczynnym wylewie. Jeśli nie będę znała formuł, mój głos pozostanie bez odpowiedzi.

Archiwa Domu Życia były starannie przechowywane w

piwnicach siedziby biskupa, do których nikt nie miał dostępu. Teodor uratował większość podczas pożaru ze względu na często powtarzaną w księgach Starego Państwa naukę: „Kochaj księgi tak jak kochasz swoją matkę”. Biskup marzył o wielkiej bibliotece gromadzącej wszystko, co zostało napisane na egipskiej ziemi od zarania cywilizacji. Czy chcąc propagować nową religię, nie należało poznać błędów przeszłości?

Izis, wzruszona, dotykała szacownych papirusów zapisanych kolumnami hieroglifów przez kapłanów Chnuma w czasach, kiedy sanktuarium władało wyspą Elefantyny.

Wśród nich znajdował się tekst podpisany przez samego Imhotepa. Zawierał słowa, które miały zmusić Chnuma do podniesienia sandałów i uwolnienia wodnego nurtu.

— Powinieneś nam zwrócić te dokumenty.

— Nie licz na to.

— Czyżbyś obawiał się, że użyjemy ich przeciwko tobie?

— Przeceniacie się. Nie obawiam się waszej małej wspólnoty. Cóż mogłaby działać przeciwko milionom chrześcijan?

— Dać świadectwo wierze i dowieść, że liczby są sprawą drugorzędną.

Uroczystość poświęcenia Nilu zgromadziła ludność Elefantyny i tłum wieśniaków przybyłych z okolicznych wiosek.

Tysiące oczu śledziły gesty przełożonej, kiedy wrzuciła do rzeki dwa dzbany słodkiego wina, mleko, oliwę, przyprawy, szesnaście girland, szesnaście ciast i szesnaście gałązek palmowych. Potem weszła do rzeki po kolana, by nabrać trochę świeżej wody do złotej wazy poświęconej Izydzie. Usłyszano jej głos śpiewający chwałę bogini — rosy niebiańskiej i oka słońca. W samym sercu chrześcijańskiego miasta rozbrzmiewały słowa modlitwy pogańskiej, poświęcone narodzinom wylewu.

W siedem dni po interwencji Izis poziom wody podniósł się gwałtownie. Wody wezbrały, zalewając krzewy i piaszczyste łachy i przypuściły szturm na brzegi. Wielki nurt, radosny i nieposkromiony, ułagodził ziemię i rozlał się po polach. Dolina zamieniła się w jezioro. Nad jego powierzchnię wystawały jedynie tamy i wzniesienia, na których zbudowano domy. W fascynującym i wzniosłym spektaklu kraj zmienił się w pierwotny ocean, gdzie barki ocierały się o motyki, wiosła o pługi, rolnik zamieniał się w marynarza, a ławice ryb pływały między nogami krów. Wylew, złoto biedaków, przyniósł radość wszystkim żywym istotom. Wszędzie rozlegały się śpiewy, tańczono i świętowano. Kiedy rzeka zalała Egipt, wioski otoczone zagajnikami, palmami i drzewami owocowymi wyglądały niczym zielone wysepki pośrodku olbrzymiego morza. Mnóstwo łodzi pły-

wało po tej dostępnej wszystkim drodze. Każdy chciał odwiedzić rodzinę i przyjaciół. Okres zabaw i odpoczynku miał potrwać aż do chwili wycofania się wód.

Przewoźnicy śpiewali pieśni ku chwale czarodziejki Isis, która potrafiła zamienić nędzę w dobrobyt. Rzeka słuchała jej tak, jak słuchała faraonów. Chociaż diakoni próbowali tłumaczyć, że oznaki przypływu zostały niewłaściwie zinterpretowane, a przełożona czerpała korzyści z całkiem naturalnego zjawiska, nikt nie chciał ich słuchać. Dlaczego pozabawiać się nadal mocy kapłanki, której działania przynosiły szczęście? Nawet najzagorzalsi chrześcijanie przebąkiwali, że biskup nie powinien być taki nieprzejednany. Czy dawna religia nie kazała czcić jedyne Boga, który objawiał się pod różnymi postaciami i nie dostarczyła chrześcijaństwu modelu Trójcy Świętej? Niektórzy odkopali posągi ukrywane dotąd w piwnicach lub w pobliżu cmentarzy, umieścili je ponownie na domowych ołtarzach i zaczęli do nich wznosić modły. Znowu pojawiła się podobizna bogini węża, Tej-która--kocha-ciszę, protektorki żniw.

Na zachodnim brzegu mnisi, rozwścieczeni rosnącym prestiżem przełożonej, próbowali podpalić nienaruszone jeszcze grobowce zdobywców wielkiego Południa.

Przeszkadzili im w tym rybacy, grożąc, że wezmą wiosła i połamią im żebra.

Przebieg wypadków nie dziwił biskupa. Był szczęśliwy, widząc, że jego prowincji nie grozi głód, zadowolony, że może odbudować zapasy żywności. Wyciągał wnioski ze swojej porażki. Uczucie przyjaźni dla Sabniego gubiło go i oddalało od świętej misji — rola sługi bożego nie polegała na poddawaniu się uczuciom, lecz na szerzeniu prawdziwej wiary. Przez długie lata, na wschodzie i na zachodzie, kult Izydy i Ozyrysa był groźnym rywalem religii chrześcijańskiej. Kiedy Kościół uwierzył, że wyrwał zło z korzeniami, groził pojawieniem się w miejscu, które wielka bogini obrała na swą cieszącą się największym poszanowaniem i czcią siedzibę.

File była już zrujnowana, wycieńczona, u kresu sił. Teraz triumfowała za sprawą dwóch osób, których cierpienia przydały jej wielkości. Sabni nie nawróci się. Jutro stanie na czele jakiegoś religijnego ruchu, a ten zmieni się niebawem w bunt przeciwko cesarzowi. Egipt nie będzie chciał się wyrzec swego geniuszu i swojej niepodległości. Zawsze będzie wierzyć, że czas jest tylko ułudą, chrześcijaństwo chwilowym zagubieniem, a wieczność jego tradycji prawdziwym poznaniem.

Ten, którego Teodor kochał najbardziej na świecie, stał się najbardziej niebezpiecznym wrogiem. Biskup nie miał prawa skrywać prawdy przed samym sobą: będzie musiał

dokonać tego, czego Bóg od niego wymagał — bez po-
błazania.

Winobranie rozpoczęło się w połowie sierpnia, kiedy wody osiągnęły punkt kulminacyjny. Szesnaście łokci. Idealna wysokość wylewu sprawiła, że wszędzie z uniesieniem wychwalano Izis. Notable, ci sami, którzy zwykle przyklaszywali decyzjom biskupa, zaczęli domagać się podjęcia kroków korzystnych dla wspólnoty: zadośćuczynienia za utracone zbiory, przyznania uprawnych ziem i winnicy, dostarczenia bloków piaskowca i granitu na odbudowę budynków. Ktoś nawet domagał się bezczelnie rozpoczęcia śledztwa w sprawie kaźni, zbyt pospiesznie wymierzonej specjalście od maści.

Teodor twardo odrzucił wszystkie te żądania. Jego rozmówcy, nie chcąc uznać się za pokonanych, poprosili o audiencję prefekta. Maksymian większość czasu spędzał, pływając wokół wyspy: pragnął przynajmniej ujrzeć Izis wchodzącą na szczyt pierwszego pylonu. Podczas krótkiego spotkania słuchał notabli z uwagą, nie wiedział jednak, na co się zdecydować. Faworyzowanie File pociągało za sobą wzmocnienie władzy Sabniego. Walka z nią mogła wywołać niezadowolenie Izis i doprowadzić do tego, że na zawsze ją utraci. Prefekt odesłał zatem notabli do pana prowincji.

Lud burzył się. Sabni, którego nie powstrzymywało ani wojsko, ani policja, umiał do niego przemówić. Bez skarg,

bez inwektyw wspominał tylko o trudnościach materialnych świątyni. Ani razu nie wymienił imienia Teodora. Domagał się jedynie odrobiny sprawiedliwości. Jakieś kobiety uciszyły diakona, który próbował głośno przypomnieć, że poganie stoją poza prawem. Przewróciły go na ziemię i poturbowały. Uratował skórę, salwując się ucieczką. Nazajutrz łodzie zawiozły na wyspę chleb, owoce, warzywa i wino; Izis osobiście podziękowała każdemu z przewoźników. Po powrocie do Elefantyny wszyscy wychwalali jej urodę.

Szpiegów biskupa okładano kijami, sekretarzy wyrzucano z zebrań publicznych. Kilku kupców zaczęło protestować przeciw podatkom narzuconym przez Teodora.

Notable namówili Sabniego do spotkania z biskupem, by głośniejsze zabrzmiało echo tych wszystkich żądań, które dotarły już do armii i administracji. Narses nie chciał podjąć jakiegokolwiek inicjatywy i czekał na rozkazy. Maksymian zamknął się w swoim domu. Mersis z trudem łagodził złość swych ludzi, zazdrosnych o żołnierzy Narsesa i ich przywileje. Jeśli władca prowincji szybko nie zareaguje, może zostać przegnany ze swojego tronu.

Jednak Sabniego przyjął człowiek nad wyraz spokojny. Teodor sprawiał wrażenie kogoś oderwanego od rzeczywistości, niemal obojętnego, tak, jakby już zrezygnował z władzy. Ale na jego biurku nie było śladu nieporządku.

— Cóż przychodzisz mi powiedzieć, Sabni?

— Zdajesz sobie sprawę z tego, że straciłeś twarz?

— Nie lękam się poniżenia.

— Zgodziłbyś się zostać zwykłym księdzem?

— Jeśli Bóg będzie tego chciał, dlaczego nie?

— A ty tego chcesz?

— Kocham tę prowincję i pragnę szczęścia jej mieszkań-
ców. Dopóki cesarz mnie nie przegna, będę tutaj
rządził. Czyżbyś chciał zająć moje miejsce?

Sabni wybuchnął śmiechem.

— A jednak takie zadanie czeka na ciebie, jeśli pogaństwo
się rozszerzy; Elefantyna będzie chciała Isis jako
swojej kuglarki, a jej męża za przewodnika.

— Nie bądź cyniczny, Teodorze. Nie mam żadnych kom-
petencji w dziedzinie administracji.

— Nie wierzę w twoją naiwność. Czyż nie organizujesz
rebelii?

— Domagam się sprawiedliwości dla File. Wiedz, że
ciebie nigdy nie atakowałem.

— Wiem o tym, lecz rezultat jest taki sam. Ty i wspól-
nota rujnujecie moje dzieło i skazujecie biednych
ludzi na represje. Do jakiego stopnia będą brutalne,
nawet nie potrafią sobie wyobrazić. Cesarz nigdy nie
zgodzi się na pogańskie powstanie. Chciałem, żeby

zapomniano o istnieniu File, próbowałem chronić ją w

ten sposób. W podzięcie namawia ona do rebelii i

spycha nieszczęsnych ludzi w przepaść.

— Pomarlibyśmy z wycieńczenia. Twoja życzliwość była

tylko zręcznym sposobem, by nas zdławić.

— Jesteś podejrzliwy.

— Jesteś chrześcijaninem i chcesz nawrócić całą ziemię.

— Chrystus tego wymaga.

— Podtrzymujesz mierną religię, odbije się to w sposób

przerazający. Za dwa wieki lub dziesięć wieków

tysiące ludzi będą mordować się wzajemnie w imię

absolutnej prawdy, a każdy będzie myśleć, że ją

posiadł.

— To szydercza Apokalipsa. Świadectwo Chrystusa zro-

dzi braterstwo.

— Będzie prowadzi do wojen i ciemnoty.

— Tajemnice inicjacji odsłania się tylko wybranym: oto

największa z niesprawiedliwości i powód, dla którego

dawne kulty znikną. Dlaczego to, co boskie, miałyby

być domeną nielicznych?

— Istoty ludzkie nie są sobie równe. Ten, kto pragnie

inicjacji, musi umieć oderwać się od tego świata, nie

negując go i zachowując jego piękno. Każdy z

adeptów przekracza kolejne bramy, kierując się w

stronę nieosiągalnej obecności, która objawia się w
naosie. Nikt nigdy nie wytłumaczy życia. Dlatego kult
nie gada; rytuał nie roztrząsa tajemnicy, lecz przenosi
ją w serce otrzymującego inicjację.

— Proste duszyczki nie mogą zrozumieć twoich słów, a
jednak one także mają prawo do Boga. Chrystus
urodził się, by dać powszechną wiarę całemu światu.

Nie będzie
zarezerwowana dla kilku adeptów. Twoje tajemnice runą w
obliczu historii.

— Religia, która powstała w historii, umrze w niej. Chrze-
ścijaństwo zdaje się triumfować, ale nosi w sobie
zarodek swojego końca.

— Człowiek ochrzczony zaznaje życia wiecznego, gdyż
bierze udział w zmartwychwstaniu Chrystusa.

— Zanim zmartwychwstanie w postaci Ozyrysa, każdy
adept staje przed sądem; umierają tylko ci, którzy nie
połączyli się z Zasadą.

— Czy nie znasz odkupienia win i litości?

— Nie wiara jest najważniejsza, lecz poznanie.

Teodor wyciągnął do Sabniego puchar z winem.

— Dziwna to sytuacja, zaiste. Dzisiaj zdajesz się mówić
z pozycji siły. Lud kocha File, a mnie nienawidzi.

Gdybyś umiał posłużyć się jego złością, mógłbyś

mnie obalić.

— Nie mam takiego zamiaru.

— To fatalny błąd: czas działa przeciwko tobie, a opinia

ludzka jest zmienna. Kiedy lud zda sobie sprawę z

tego, że nic się nie zmieniło, nabierze ponownie

zaufania do mnie, a tobie będzie wyrzucać słabość;

twoi przyjaciele staną się twoimi przeciwnikami.

— Daj File środki pozwalające żyć w pokoju i pozwól jej

przyjmować nowych adeptów.

Przez zimną twarz biskupa przemknął cień uśmiechu.

— Czy już nie naruszyłeś prawa?

Sabni nie odpowiedział.

— Uważaj, przyjacielu: to moje ostatnie ostrzeżenie. Nie

wolno mi już oszczędzać File. Przekonaj Izis, by

zamknęła świątynię. Wspólnota ma się rozproszyć.

— Skąd tyle zawziętości?

— Dobrze o tym wiesz. Na moim miejscu zrobiłbyś to

samo. Po sukcesach Izis File nigdy już nie skryje się

w zbawiennej anonimowości. Wyspa zagraża

chrześcijaństwu.

Sabni zamyślił się. Biskup w ostatnim odruchu nadziei

wpił w niego wzrok. Czy przełożony, poruszony tym, że

przyjaciel jest tak nieprzejednany, uświadomi sobie wreszcie

ryzyko i zrezygnuje ze swego powołania, powołania, które

jest tak niedzisiejsze?

— To tylko słowa — osądził Sabni. — Podziwiasz File.

Ona przynależy do twojej istoty. Bez niej prowincja wydałaby ci się biedna i pusta.

Biskup nie zaprotestował.

— Wracam na wyspę. Chroń ją, Teodorze. Świat jej potrzebuje.

Z wody wystawał tylko wierzchołek skały. Narses dobił do niej płynnie, zręcznie wykorzystując prąd. Wolał żeglować sam, pomimo że ostrzegano go wielokrotnie. Z każdym dniem sprawniej posługiwał się wiosłami i oswajał się z nurtem, którego niebezpieczeństwa pociągały go.

Katarakta ginęła pod wodą; zatopiona granica Egiptu stała się niewidoczna.

Generał nie żałował niczego: ani zaciekłych walk, ani zabitych, ani miecza skąpanego we krwi. Spalone słońcem skały, ziemia w kolorze ochry i ocean, który spłynął z dalekiego Południa, zadały mu klęskę, której tak się obawiał.

Minęła chęć zwyciężania, teraz uczył się patrzeć. Aż po kres czasu zadowoli go napełnianie oczu światłem, wodą i skałami. Chociaż pokonany, triumfował.

„Dlaczego mamy zdychać w kurzu?” — pytali młodzi rekruci wyrwani ze swych rodzin i wiosek. Narses nie był ani ich spowiednikiem, ani ich przewodnikiem duchowym.

A jednak to na nim spoczywało ostatnie spojrzenie pełne wyrzutu, jego dosięgało głuche wołanie, skierowane przeciwko cesarzowi, przeciw niemu samemu, przeciw ludzkości zakochanej w zbrodni i przemocy.

Narses przestał wydawać rozkazy swej bezrobotnej armii. Jego oficerowie utrzymywali coś w rodzaju dyscypliny.

Nikt nie troszczył się o broń rzuconą byle jak w

przypadkowo

utworzonym arsenale. Kapitan Mersis wściekał się:

epidemia dotarła do garnizonu. Jeśli elitarne wojska

oddawały się rozlicznym przyjemnościom, gorzej płatni

najemnicy pójdą w końcu za ich przykładem.

Dawnymi czasy generał przywróciłby porządek i ducha

armii w ciągu kilku dni. Ale skoro świat był zły, współudział

w utrzymywaniu takiego porządku rzeczy zakrawałby na

zdradę samego siebie. Niech katarakta zadecyduje o jego losie.

Narses nie interesował się wcale biskupem, chociaż ten

był bliski porażki. Od tygodnia lud znieważał jego imię.

Przełożony, zamiast stanąć na czele ruchu, wycofał się na

wyspę, by odprawić obrzędy zapewniające żyzność ziemi po

wylewie. Najgorętsi zwolennicy krytykowali jego brak zde-

cydowania i porzucili zamiar ataku na siedzibę biskupa.

Na niedzielnej mszy nie zabrakło żadnego z wiernych.

Wszyscy widzieli spokój duchownego. Czy nie był to dowód,

że panuje nad sytuacją i że armia na jego rozkaz gotowa jest

zduścić wszelką próbę buntu? Tylko Teodor, Narses i Mersis

byli świadomi, że część ich ludzi nie wykona rozkazów.

Bizantyjczycy nie będą chcieli wziąć udziału w wojnie domo-

wej, a Egipcjanie nie będą chcieli wybijać się nawzajem.

Odprawiając mszę, biskup oddychał z trudem, lecz nie

pokazał nic po sobie. Jak każdy z jego wiernych, czekał na pojawienie się Sabniego. Oto stanie w drzwiach kościoła, powie, kim jest, zażąda uznania powrotu dawnych kultów i tytułu gubernatora prowincji. Chrześcijanie mu przyklasną, Elefantyna wybuchnie radością, żołnierze przysięgną mu wierność. Pełna entuzjazmu armia ruszy na północ i forsownym marszem dotrze do Memfis. Nawet sama Aleksandria nie będzie się długo opierać.

Sabni nie przyszedł.

Podnosząc ku niebu ciało i krew Chrystusa, Teodor rozumiał, że Bóg ratuje go od upadku i przypomina mu o jego najświętszym obowiązku: unicestwieniu pogaństwa.

Sabni oczyścił płaskorzeźbę mokrą szmatką. Faraon, którego strzegł cały szereg kobr, otrzymywał namaszczenie Tota i Horusa. Trzymali oni nad jego głową dwie wazy, z których wystawały dwa krzyże anch, symbol niezmaconego życia. Poświęcali go i tym samym uznawali jego prawowitość: przyznawali mu jedyne prawo twórczej potęgi.

Tego wymagał duch Egiptu, obojętny na kłótnie ludzi i historii. Jutro, kiedy faraon powróci, wystarczy, że przeczyta teksty i ożywi sceny ukazane na murach świątyń, by ożył ogień pierwszych wieków, przekazywany z monarchy na monarchę.

— Jesteś zatroskany — zauważyła Isis.

— Błądzą, nie działając w sposób bardziej bezpośredni.

— Czyżbyś chciał obalić Teodora?

— Sięgnięcie po władzę wydaje mi się koniecznością. Jeśli nie zaczniemy rządzić, będziemy wciąż wygnańcami na swej własnej ziemi.

— Masz rację na dłuższą metę, ale jeszcze na to za wcześnie. Twoi zwolennicy wciągnęliby cię w wojnę, w przegraną z góry wojnę. Przez ciebie zginęliby niewinni ludzie. W tym przedsięwzięciu zatraciłbyś naszą duszę. Naszą jedyną armią jest armia adeptów, a naszą siłą siła naszych myśli; tymczasem nie jesteśmy gotowi, gdyż brak nam decydującej broni, jaką jest jedność.

— Obawiasz się nowej zdrady?

— Sprawmy, by wspólnota stała się podobna do najczystsze-
szego złota. Sprawmy, by jej promieniowanie
przemieniło ludzką naturę w kamień świątyni. Kiedy
uda nam się to osiągnąć, pokierujesz łodzią państwa.

— Czy nie będzie za późno?

— Twórzmy czas, Sabni, i zajmujmy się przekazywaniem
Reguły; to w niej znajdują się odpowiedzi.

Elegancki biały statek ślizgał się z łatwością po mętnej
wodzie wylewu. Marynarz poruszający kwadratowym żag-
lem był najlepszym żeglarzem Elefantyny. Łagodny północ-

ny wiatr ożywił ostatnie dni sierpnia, nie umniejszając upału. Żeglarzowi przypadł zaszczyt przewożenia biskupa i prefekta, którzy skryli się w cieniu baldachimu.

Maksymian nerwowo popijał świeże wino. Gdyby umiał pływać, najchętniej wskoczyłby do tego morza łączącego się z horyzontem. Biskup, niewrażliwy na upał, skubał winogrona.

— Czy wytłumaczysz mi w końcu powody tej nie kończącej się przejażdżki?

— Cierpliwości, Maksymianie. Nie podoba ci się ta wspa-
niała okolica? Jeśli chcesz połączyć się z duszą mojego kraju, tutaj odczujesz ją najlepiej.

— Wasza Wielebność! Nie jesteś poetą. Za każdym z two-
ich działań kryje się jakaś intencja. Żądam, byś
zapoznał mnie z tym, co mnie dotyczy.

— Sytuacja jest tak delikatna... Nie pogarszaj jej.

— Obawiasz się buntu?

— Ledwo udało się nam go uniknąć.

— Sabni?

— Właśnie dowiódł, że nie jest wojskowym dowódcą: to niewybaczalny błąd w oczach ludności.

— Gdzie mnie wiesziesz?

— Do katarakty. To jedyne miejsce, gdzie będziemy mogli porozmawiać z Narsesem.

Łódź generała była przycumowana do skalistego brzegu.

Narses podniósł się, widząc nadpływający statek. Któż
ośmielał się mącić jego spokój?

Kiedy biskup zwrócił się do niego, nie zareagował, chociaż
obecność prefekta mocno go intrygowała — powody tej
wyprawy musiały być nadzwyczaj poważne.

Teodor i Maksymian postawili stopy na wąskiej platfor-
mie; trzech mężczyzn, dziwaczne dwunożne istoty, które
zdawały się brodzić po wodzie, gubili się w nurcie przyływu.

— To miejsce jest fascynujące — przyznał Teodor.

— Wymaga samotności i ciszy.

— Przykro mi, że muszę ją zmącić, ale wczoraj dotarł
oficjalny dokument z Bizancjum.

Prefekt aż podskoczył.

— Powinieneś był natychmiast mnie powiadomić

— Nie ma tam nic ważnego, co by ciebie dotyczyło; cesarz
przyjmuje twoje wytłumaczenie w sprawie nubijskiego
złota.

— Żadnych wyrzutów?

— Żadnych.

— A... File?

— Przypuszcza, że sprawa została uregulowana i czeka
na twój powrót.

— Ten poufny dokument był adresowany do mnie, a ty

miałeś czelność go przeczytać!

— Cesarz napisał do mnie, prosząc mnie o podjęcie stosownych kroków. Z dekretem zapoznasz się w moim biurze.

— Z dekretem! To oznacza...

— Że moje decyzje są prawem i że masz wykonywać moje rozkazy bez dyskusji.

Tak więc Maksymian był już tylko wysokim urzędnikiem pozbawionym władzy. Cesarz nie pozbawił go stanowiska, lecz władzę powierzył biskupowi. Po powrocie do Bizancjum dawny prefekt dostanie jakieś nudne honorowe stanowisko, z dala od Izis, z dala od nieosiągalnego szczęścia, które jest obecnie jedyną racją jego istnienia.

— Cesarz podjął jeszcze jedną decyzję: spełnia prośbę generała Narsesa. Generał będzie dowódcą stałego garnizonu Elefantyny i przechodzi pod moje dowództwo. Po upływie czasu służby dostanie dom i ziemię.

Generał ucałował biskupa. Niemal oszalał z radości. Zapomniał o utraconej ręce. Podskakiwał jak dziecko. On, weteran, niepokonany żołnierz, najdzielniejszy spośród dzielnych, został odsunięty przez sztab generalny! Uznano, że jest niedołężny i bezsilny. Przystając na jego bezsensowną prośbę, posyłając go na to nędzne stanowisko gdzieś na krańcach imperium, jego rywale pozbywali się go z satys-

fakcją, skazując na definitywne wygnanie. Żaden z nich się nie dowie, że ich pogarda pozwoli mu osiąść najcenniejszy ze wszystkich skarbów.

Mętna woda przyciągała Maksymiana. Czy jakaś legenda nie wspominała o tym, że topielcy trafiają do królestwa Ozyrysa bez sądu? Umrzeć znaczyło jednak pozbawić się spojrzenia Izis. Może ulituje się nad upadłym człowiekiem, nad prefektem, który nie ma już żadnej władzy poza pustym tytułem? Położona na końcu świata Elefantyna zużywała zdobywców, tępiła broń i ścierała pazury. Żaden z nich, ani on, ani Narses nie był wyjątkiem. Wrócić do Bizancjum... ostateczne upokorzenie! Szydercze uśmiechy dworzan, pełne jadu słowa pociechy kolegów, rechot dawnych podwładnych. Tylko jeśli wyjedzie stąd z Izis, potrafi to znieść.

— Czy zrobisz mi pewną łaskę...

Biskup przerwał mu.

— Czas pomyśleć o powrocie; spakuj swój dobytek i powiedz, ile osłów i wielbłądów potrzebujesz. Do Aleksandrii będzie ci towarzyszyć eskorta.

Narses nie słuchał. Katarakta należała do niego. Przystanie wracać do koszar; zbuduje sobie domek na brzegu, niedaleko skał chłostanych przez fale. Nie otworzy ust do nikogo, będzie rozmawiać jedynie z wodą i wiatrem, a umysł powierzy wodnym nurtom. Powiedzą, że oszalał, i zapomną

o jego istnieniu.

— Nasza współpraca rozpocznie się jeszcze dzisiaj, generale.

Narses potrzebował kilku sekund, by zrozumieć, że biskup zwraca się do niego.

— Nie jestem już generałem.

— Pozostał ci rok służby. Musisz się podporządkować.

W przeciwnym razie aresztuję cię i skazę na wygnanie. Wyższy rangą oficer musi znać cenę niesubordynacji.

Narses popatrzył na swoją kataraktę.

Jeden rok... Jeszcze cały rok, zanim będzie mógł radować się nią w każdej chwili, z dala od niegodnej ludzkości.

Słuchać, nie zadawać sobie pytań, działać jak nakręcana zabawka.

— Jestem na twoje rozkazy.

Teodor uściskał generała.

— Dokonamy wielkich rzeczy. Przygotuj setkę ludzi i barki.

— A więc znowu Nubia?

— Na pewno nie. Operacja ma pozostać tajemnicą. Tylko ty za nią odpowiadasz. Nie chcę, by powiadamiano o niej kapitana Mersisa.

Izis pocierała drobnym piaskiem najpiękniejszą situlę świątyni. Przepiękna waza z brązu miała kształt piersi.

Zdobiła ją postać bogini nieba ukrytej w pniu drzewa; w głębi cennego przedmiotu słońce rodziło się z kwiatu lotosu.

Przełożona chciała napełnić wazę wodą z Nilu. Właśnie schodziła po schodkach nilometru, kiedy usłyszała krzyki dobiegające od strony wyspy Biga. Izis przyspieszyła kroku i już stojąc na brzegu, była świadkiem napaści żołnierzy Narsesa na świętą ziemię Ozyrysa. Uzbrojeni w piki, zachęcali się nawzajem okrzykami, a radosny dźwięk trąb towarzyszył ich wyczynom.

Sabni zepchnął już łódź na wodę. Izis nie pozwoliła mu wejść na pokład.

— Schowaj tę situlę do skarbca świątyni — poleciła.

— Będę walczył.

— Reguła zabrania ci postawić stopę na Biga.

— Nie możesz sama spotkać się z tą sforą.

— Nie muszę się niczego obawiać.

Izis wiosłowała bez chwili odpoczynku. Zobaczyła, jak najemnicy wchodzą do lasu, gwałcąc tajnię boga czystej wody, spoczywającego na sekretnym pagórku. Tutaj bóg łączył się z boginią, która przywoływała do życia to, co poczuło jego serce — z ich związku powstawał wylew. Nigdy

żaden profan nie odważył się naruszyć spokoju tego miejsca.

Dwaj żołnierze chcieli pomóc jej wydostać się na brzeg.

Mieli ochotę na żarty.

— Hola, moja piękna! Jaka zawzięta!

— Jestem przełożoną File. Odsuńcie się i opuśćcie tę wyspę, inaczej was przeklnę.

Żołnierze słyszeli o czarodziejce. Cofnęli się pod wrażeniem jej zdecydowanego tonu.

— To tylko kobieta! Popatrz, trzymam ją!

Teodor wyskoczył na brzeg i spoliczkował bezwstydnika.

— Obraziła nas — poskarżył się żołnierz.

— Pilnujcie mojego statku i nie ruszajcie się stąd.

Izis, której ciało ledwie kryła lniana biała suknia, stanęła naprzeciw biskupa.

— Odwołaj swoich zbirów! Biga należy do Ozyrysa.

— Ozyrys umarł i już nie zmartwychwstanie. Ta wyspa należy do państwa.

— Błagam cię, uszanuj tę tajemnicę.

Teodor, nie bacząc na nią, skierował się w stronę lasu.

Korpus ekspedycyjny wycinał drzewa i rozbijał ołtarze.

Brodaty olbrzym zaatakował posąg boga Blemiów, Mandulisa. Rozbił gazelę i bukiet z wapienia, po czym rozłupał czaszkę Mandulisa i przewrócił na ziemię jego podobiznę.

„Dobry podróżny” zakończył swój żywot w pyle koloru

ochry, w cieniu tamaryszka, którego niebawem ścięto siekierami.

Kapłanka nie przyglądała się długo smutnemu widowisku; w centrum wyspy rozgrywał się jeszcze straszniejszy dramat. Generał Narses wchodził na wzniesienie, które chroniło sarkofag boga. Z pomocą dwóch osiłków podniósł pokrywę.

— Przestańcie! — błagała Izis.

— Próżne słowa — oświadczył Teodor. — Wykonują moje rozkazy.

Izis nie potrafiła powstrzymać łez. Wandale zrzucili na ziemię pokrywę sarkofagu i strzaskali ją na kawałki maczugami; kamienny całun zamienił się w kupkę umęczonych gruzów.

— Trumna jest pusta — stwierdził biskup. — Wasz fałszywy bóg nigdy nie istniał.

Izis usiadła wewnątrz kiosku Nektanebo I, w maleńkiej świątyni poświęconej budowniczemu i wojownikowi, którego wola niezależności silnie naznaczyła panowanie ostatniej egipskiej dynastii. Hathor uśmiechała się znad kwietnych kapiteli.

— Moja interwencja nie zdała się na nic — wyznała potem Sabniemu. — Biga została sprofanowana i jest już tylko gruzowiskiem.

Żołnierze śmiali się, szczęśliwi, że mogą wyładować zbyt długo powstrzymaną agresję! Elefanlyna rozbrzmiewała ich zwycięskimi okrzykami.

Nawet ci, którzy dawno się nawrócili, posypali sobie głowę kurzem na znak żałoby po Ozyrysie. Tym razem religia przodków przeżywała swoje ostatnie chwile. Czy można jeszcze upierać się przy tym, że jakakolwiek potęga chroni święte miejsca?

— Nic już nie broni File przed poczynaniami biskupa.

— Owszem. Ty jej bronisz — zaproponował Sabni. — Swoją obecnością go powstrzymujesz, bo inaczej posunąłby się dalej.

Izis przypomniała sobie zachowanie Teodora na Biga: bronił jej przed żołnierzami. Skąd taki szacunek dla niej, skoro jej nienawidził?

— Przyjmijmy, że biskup zaatakował opuszczoną wyspę.

— To niemożliwe, Sabni. Każdy zdaje sobie sprawę ze znaczenia świętego terytorium Ozyrysa. Teodor nie pomylił celu; obie wyspy stanowiły całość. Profanując Biga, osłabił File. Kiedy pęknie ostatnia magiczna bariera, dojdzie niechybnie do tego, że świątynia zniknie.

— Nie zgadzam się.

Izis wzięła rękę Sabniego w swoje.

— File pozostaje nienaruszona: to jedyna rzeczywistość, której musi się trzymać wspólnota.

— Przygotujmy się na następne ataki. Teodor chce nas zmusić, byśmy sami zamknęli świątynię i puciekali.

Uśmiech powrócił na oblicze Izis.

— W takim razie zniszczenie Biga nic nie dało.

Główny poborca podatków, Filamon, nie miał duszy marynarza. Już samo przebywanie na łodzi przyprawiało go o mdłości. Musiał jednak udać się na przystań File, by dokonać inwentaryzacji łodzi średniej wielkości, stanowiących własność świątyni. Zdziwionemu Sabniemu, który go obserwował, przypomniał o istnieniu specjalnego podatku od tego rodzaju własności i o obowiązkowym jej zgłaszaniu.

Sabni stwierdził, że to zalecenie nie jest mu znane. Suma roszczeń i kar była wysoka. Należało ją zapłacić przed upływem tygodnia. Filamon nie słuchał protestów, chciał jak najszybciej odpłynąć. Na jego polecenie przewoźnik przyspieszył. Zanim dopłynęli na stały grunt, Filamon zwymiotował.

Sabni zastanawiał się, dlaczego kapitan Mersis nie uprzedził świątyni. Pewnie gołębnik nie nadawał się do użytku.

Jeśli nie zapłacą, nie będą mieli czym się poruszać. Izis zaproponowała, by porzucić większą część flotylli i zachować

jedynie barkę do transportu towarów i małą łódź. Opłata zostanie w ten sposób ograniczona do minimum.

— Zejdźmy do krypt — zaproponowała.

Obrotowy kamień pozwalał wejść do długich i bardzo niskich pomieszczeń. Sabni wszedł do nich z trudem; jego łuczywo oświetliło cały szereg rytualnych przedmiotów ze srebra i złota, używanych podczas dawnych wspaniałych ceremonii. Wazy, kadzielnice i posążki odpoczywały w ciemności.

— Nie mamy prawa ich sprzedawać. Stanowią założycielski skarb świątyni, bez nich popadnie w ruinę. Wspólnoty przyszłości mogą ich potrzebować.

Izis zamknęła pierwszą kryptę. W drugiej spoczywały szczątki barki; odbudowana pozwoli wspólnocie podróżować w zaświatach.

Trzecia była prawie pusta. Były w niej tylko ozdoby przełożonej: złote naszyjniki, siatka na włosy z pereł, pierścionki i bransolety.

— Ten skarb możemy sprzedać.

Kolia, którą przełożona przeznaczyła na spłatę podatku, wprowadziła w zakłopotanie głównego poborcę. Nie bardzo wiedział, jak obliczyć jej wartość, zwłaszcza że wspólnota zrezygnowała niemal w całości ze swojej floty. Na jakiej podstawie ją wycenić? Po wielu operacjach, które nie przy-

nosiły krzywdy administracji, zaproponował pewną sumę.

Przełożona nie protestowała. Filamon zważył kolię na wadze, jednej z nielicznych w Elefantynie, które nie zostały sfalszowane. Przyznał, że wspólnota wypełniła swoje zobowiązania finansowe, i dodał, że używanie łodzi, nawet najskromniejszej, podlega opodatkowaniu. Niewywiązywanie się z tego obowiązku grozi więzieniem. W końcu wystawił kwit, na którym dokładnie opisał ostatnie dwie łodzie świątyni.

Izis przemierzała ulice Elefantyny. Zapadł zmierzch. Szła szybkim krokiem, nie bacząc na to, co działo się wokół.

Jakimś przechodniom wydało się, że ją rozpoznają, nikt jej jednak nie zatrzymywał. Przełożona zacumowała barkę na południowym krańcu wyspy, niedaleko od nędznej wioski, w której tłoczyły się nubijskie rodziny nawrócone na chrześcijaństwo. Powódź często podmywała ich zbudowane z ziemi lepianki.

Ogarnęła ją nostalgia, kiedy spojrzała na miasto, zagnębiony na oceanie statek rozświetlany ostatnimi promieniami słońca. Kiedy odradzała Sabniemu podjęcie wojennych działań, nie zapomniała o tym, że faraonowie nigdy nie oderwali się od ziemskiej rzeczywistości. Świątynia, nawet położona na uboczu, tak jak File, zawsze stanowiła centrum miasta. Wysokie mury były dla profanów przeszkodą na

drodze do inicjacji, lecz tylko po to, by wyznaczyć granicę między ciekawością a chęcią poznania. Z wnętrza sanktuarium płynęła radość dla serca. Jeśli świątynia nie da sygnału do odzyskania ziemi ukochanej przez bogów, którą w tym zastąpi?

Izid odsunęła gałąź tamaryszka. Tuż przed łodzią stał prefekt Maksymian.

— Nie lękaj się. Chcę z tobą pomówić... Od tak dawna czekam na tę chwilę! Błagam cię, nie odmawiaj mi.

W jego postawie nie było widać śladu pychy ni wyzwania.

Wychudła twarz człowieka stojącego u wrót starości. Maksymian odnalazł w sobie błagalny żar zakochanego młodzieńca.

— W niczym nie potrafię ci pomóc — odrzekła łagodnie.

— Ależ tak. Zrozum mnie, nadaj sens mojemu cierpieniu, rozświetl mroki nocy!

Mówił przez kilka minut bez wytchnienia, tłumacząc, że jest malowanym prefektem, a biskup dysponuje pełnią absolutnej władzy. Jego ostatnim przywilejem będzie prześmiewcza eskorta, niezdolna nawet go osłonić przed bandytami. Teodor posyłał go na samotną i haniebną śmierć w pyle wiejskiej drogi.

Izis usiadła na skalnym, wpółzasypanym ziemią bloku, szczątku podupadłej kapliczki. Noc przyszła szybko; na olbrzymim jeziorze srebro księżycy zastępowało słoneczne złoto. Pomarańczowy dysk zagłębiał się w horyzoncie, gdzie miał zetknąć się z demonami ciemności, zanim wzejdzie na piaszczystą drogę prowadzącą go do zmartwychwstania o poranku. Kiedy pokonane słońce zrezygnuje z walki z olbrzymim wężem, ludzkość pograży się w głębokim śnie.

— To, co do ciebie czuję, Izis...

— Zamilcz.

Prefekt zbuntował się.

— Nie chcę już milczeć! Moje milczenie pogrążyło mnie w oczach wszystkich. Jestem bogatym człowiekiem, posiadam w Bizancjum liczne włości.

— Niech ci wyjdą na zdrowie.

— Nie chcesz mnie słuchać... Teodor zrówna File z ziemią i deportuje członków wspólnoty. Nie będzie mnie już tutaj, by cię bronić. Cesarz mnie wzywa, muszę jechać.

— Oby ta podróż była dla ciebie przyjemna.

Ostatnie promienie światła zmieszane z poświatą księżyca zmieniły Izis na kobietę biało-różową; zamazały kontury jej lekkiej sukni i zarysowały doskonale kształty ciała, kuszącego wezwania do najdzikszej miłości.

Maksymian poczuł ogień na wargach i na palcach.

— Sama się skazujesz, pozostając na File. Chodź ze mną; nauczę cię mnie kochać i zbuduję ci kaplicę, w której będziesz mogła czcić Izydę. Cesarz nie dowie się o tym.

— Zapomniałeś o Sabnim?

— On myśli tylko o sobie i posługuje się tobą, by zdobyć władzę nad wspólnotą. To intrygant i tchórz, który

nawet nie potrafi obalić biskupa.

— Czy nie opisujesz w ten sposób siebie samego?

Maksymian spuścił głowę.

— Myślałem tylko o tobie i zapomniałem o swojej funkcji...

Niech tak będzie. Polityka i władza już mnie nie cieszą.

Marzę o wielkim ogrodzie pełnym kwitnących drzew,
po którym będziesz spacerować u mojego boku.

Marzę o wspaniałym domu, w którym będziesz
podejmować gości, ubrana jak królowa. Sabni może
ofiarować ci tylko rozpacz i ubóstwo.

— Kocham go całą swoją istotą, miłością, którą przeży-
wamy w sercu świątyni.

— Nie zostanie z niej ani jeden kamień.

— Jestem przekonana o czymś przeciwnym. File rzuci
wyzwanie wiekom i pokona czas. Dopóki wiać będzie
północny wiatr, dopóki słońce będzie się wyłaniać z
brzucha swej niebiańskiej matki, dopóty świątynia
będzie promieniować, a nieruchoma wyspa będzie
żeglować po falach.

— Mylisz się. Czy nie dotarło do ciebie ostrzeżenie Teo-
dora? Biga to ostatni etap przed File.

— Biskup myśli, że zabił boga i pogwałcił świętą ziemię,
której zniknięcie pogrąży nas w rozpacz; dalej
będzie nas nękać, ale uszanuje nasze istnienie.

— Zmienił się. Sabni stał się jego największym

wrogiem. A ty...

— Jestem taka groźna?

— Ucieleśniasz miłość bogini. A na ziemi ma królować wyłącznie miłość Chrystusa.

— Miłości nie można zadekretować, nawet z pomocą dogmatu. Im bardziej będzie się jej urągać, tym głębiej Izyda ukryje się w duszach istot żywych. We właściwej chwili jej chwała znów dojrzeje jak kwiat o upojnym zapachu, a pielgrzymi powrócą na File.

— To mrzonki.

— Nie znasz Egiptu. Od swych narodzin wywołuje tylko zazdrość i chęć podboju. Wiele narodów chciało zająć nasze ziemie, przejrzeć tajemnice naszych świątyń i siedzib wieczności. Niektórzy z nich myśleli, że im się powiodło. Runęli w otchłań swoich koszmarnych snów. Dzisiaj światem rządzą wojska chrześcijańskie; ich religia próbuje wymazać nasze tradycje. Zagrażają im liczni przeciwnicy, którzy pożądamy naszej zielonej delty i świętej doliny Nilu. Być może jutro będziemy musieli znosić jarzmo wierzeń Beduinów lub Arabów; ktoś ogłosi, że nasza cywilizacja zginęła, będzie zapewniać, że nasi bogowie umarli. A oni będą tylko więźniami bardzo długiej zimy.

— Ani ty, ani ja nie możemy czekać na iluzoryczną wiosnę. Szczęście leży w zasięgu ręki. Wyjedź ze mną!

Ibis o olbrzymich skrzydłach wzniósł się nad wodami i zniknął na zachodzie. To właśnie on ucieleśniał ducha faraona, który powracał do swej niebiańskiej siedziby, by świętować w towarzystwie braci bogów. Isis wstała i skierowała się ku łodzi.

— Twoja szczerość wzrusza mnie. Jednak myślisz o kobiecie, do której wcale nie jestem podobna.

— Jesteś tutaj, przy mnie...

— Moją ojczyzną jest świątynia, z dala od niej usycham.

Wracaj do Bizancjum. Jutro znowu się zakochasz, a ja pozostanę jedynie wspomnieniem.

— Nie ma takiej drobiny mojego ciała, która nie byłaby przesiąknięta twoją obecnością. Nie masz prawa mnie porzucać.

— Żegnaj, Maksymianie.

— Chodź ze mną. — Chwycił ją za rękę.

— To niemożliwe.

— Zaspokoję wszystkie twoje życzenia.

— Mam tylko jedno. Chcę służyć wielkiej bogini.

— Twój świat pogrzeże się w ciemności. Nie zostawaj na tonącym statku. W Bizancjum będziesz wolna.

— Prawdziwa wolność nie musi wybierać. Reguła świętyńi dała mi taką wolność.

— Nikt nie kocha cię tak jak ja; zgotuję ci wspaniały los.

— Wystarczy mi los File.

— Nie odpychaj mnie.

— Na co liczyłeś?

— Izis, jeśli mnie nie pokochasz, będę musiał cię zabić.

— Bredzisz.

— Potem zabiję siebie. Przynajmniej połączymy się po śmierci.

Z szybkością i gwałtownością, która ją zaskoczyła, rzucił się na nią i zaczął dusić. Próbowwała się bronić, lecz Maksymian z obłędem w oku wzmacniał uścisk, mamrocząc niezrozumiałe słowa. Izis przestała się bronić. Jej oczy zakryła purpura, ostatnią myśl poświęciła Sabniemu.

Poczuła na piersiach gorący oddech; ręce prefekta nie ścisnęły już jej krtani. Ktoś pomógł jej wstać; zaczerpnęła świeżego nocnego powietrza i dostrzegła wybawcę. Był to kapłan blemijski spotkany na Biga.

— Wiedziałem, że twoje życie jest zagrożone. Dlatego nie traciłem cię z oczu.

— Niech Izyda da ci zdrowie i siłę.

— Co to za nędznik?

— Prefekt Maksymian.

Kapłan plunął na nieruchome ciało.

— Czy on...

— Kto waży się podnosić rękę na przełożoną File, nie zasługuje na to, by żyć. Czy to prawda, że żołnierze biskupa pogwałcili świętą ziemię Ozyrysa?

— Moje protesty nie zdały się na nic.

— Sprofanowali grób?

— Biga została zrujnowana.

— Czy posąg naszego boga został zniszczony?

— Wandale nie oszczędzili niczego.

Czarny kapłan zadrżał tak, jakby jego ciało ogarnęła gorączka. Z wyciągniętymi ramionami, z twarzą zwróconą ku niebu, wydał z siebie krzyk, który był wołaniem z głębi trzewi jego ludu, i wskoczył do Nilu.

Izis podeszła do trupa. Maksymian leżał na wznak z otwartymi oczami. Wskazującym palcem nakreśliła na jego czole, wargach i sercu krzyż życia.

Nosiwoda w osłupieniu odłożył swój ciężar na ziemię. To co zobaczył, przeraziło go. Jakaż zbrodnię musiał popełnić ten człowiek, że został wydany na tak straszną mękę! Wzburzenie odebrało głos nosiwodzie, ledwie był w stanie zastukać do drzwi sklepiku położonego najbliżej koszar. Właściciel, widząc zamęczone ciało powieszona głową na dół u szczytu obronnych murów, obudził żonę i dzieci. Kiedy słońce zwyciężyło szarość świtu, setki mieszkańców Elefantyny zgromadziły się przed główną bramą koszar. Spektakl cierpienia przyciągał i fascynował. Nie milkły rozmowy; każdy dorzuczał swoje wytłumaczenie: gwałt, morderstwo, bluźnierstwo, spisek... Ale po co wystawiać nieszczęśnika na widok publiczny? Jakaś kobieta rozpoznała go, powiedziała o tym mężowi, strażnikowi cmentarza. Ten przekazał nowinę kuzynowi, rybakowi, który z kolei powiadomił adepta zarzucającego sieci przy przystani.

W godzinę później Sabni przedarł się przez tłum do pierwszego rzędu.

— Mersis... Nie, tylko nie ty!

Ciało kapitana, rozorane uderzeniami bicia, dawało jeszcze oznaki życia.

— Mersis — krzyknął Sabni — jestem tutaj!

Męczennik z największym wysiłkiem otworzył oczy. Z jego

ust popłynęła strużka krwi.

— To zachowanie nie jest godne ciebie, Teodorze.

— Mersis dopuścił się zdrady stanu. Został osądzony i ukarany przez równych sobie.

— Nie będę z tobą dyskutował na ten temat.

— To zwykłe środki bezpieczeństwa. Kiedy przedstawiłem mu zarzuty, niczego się nie wyparł. Wiedział, co ryzykuje. Gdyby sam zatrzymał takiego przestępcę jak on, nie okazałby litości.

— Od jak dawna wiedziałeś, że kapitan przynależy do naszego bractwa?

— To bez znaczenia. Zapłacił za swoją zbrodnię. Nie masz już sprzymierzeńca.

— Mersis nie zasługuje na tak haniebny koniec; służył z poświęceniem swojemu krajowi.

— Nie krajowi, lecz File.

— Na miłość twojego boga, Teodorze! Każ go rozwiązać i pozwól mu umrzeć w spokoju. To ty mówiłeś o litości i współczuciu. Egipt nie kocha okrucieństwa.

— Miłosierdzie? Zgoda! Bądź przy świątyni Chnuma przed zachodem słońca.

W obecności Narsesa biskup zwrócił się do żołnierzy zebranych na dziedzińcu koszar. Przypomniał im, że ich głównym zadaniem jest obrona chrześcijaństwa przed jego

wrogami. Powiedział też, że zdrajcy zostaną ukarani i tak jak Mersis wystawieni na widok publiczny.

Ciało odczepiono, przykryto całunem i zawieszono do sanktuarium boga-barana. Kiedy Sabni pochylił się nad nim, Mersis odważył się odetchnąć —jego serce biło jeszcze.

Stracił mowę, wkroczywszy na drogę do królestwa cieni.

Sabni podtrzymywał jego głowę podczas agonii. Biskup był przy tym.

— Poganin nie może zostać pochowany na chrześcijańskim cmentarzu; musisz pochować go na tym rumowisku.

Gołymi rękami Sabni wykopał grób i złożył doń ciało swego brata. Przykrył dół kawałkami granitu. Mersis spoczywał pod kamieniami, które posłużyły niegdyś do zbudowania świątyni Chnuma.

Sabni słuchał zadziwiony, jak biskup wymawia słowa modlitwy Ostatniego Namaszczenia.

— Ten poganin zapłacił za swe winy na tym padole. Bóg może wybaczyć: jego miłosierdzie jest nieskończone.

Teodor rzeczywiście nie był odpowiedzialny za męki zadane Mersisowi. Powiadomieni o jego zdradzie bizantyjscy oficerowie głosowali za pokazową karą, przeciw której biskup nie mógł protestować. Ale czyż to nie on rzucił im kapitana na pożarcie? Czyż nie on posłużył się plotką i de-

nuncjacją?

Sabni obwiniął się za śmierć przyjaciela. Powinien był go namówić, by zostawił świątynię i uciekł na północ.

— Dobrze wiesz, że Mersis nie posłuchałby cię — odrzekła Izis — był równie uparty co odważny. Nie płacz nad sobą samym.

— Teraz jesteśmy sami.

— Jesteśmy wspólnotą.

Sabni wyrył egipskie imię Mersisa, „Syna motyki” na steli pomiędzy dwoma pylonami. Miał żyć tutaj wśród swych braci i sióstr mieszkających teraz pośród światła, z którego kiedyś powstali. Każdego ranka słońce rozświetlało hieroglify, nieśmiertelne elementy ich bytu. Chrestos oczyścił narzędzia i zamiótł odpryski wapienia.

— Będziemy się bili z wojskiem Narsesa?

— Nie, Chrestosie. Z fanatyzmem i niesprawiedliwością.

To jeszcze gorsi wrogowie.

— Nie boję się ich.

— Nie bądź zarozumiała, potrafiły zmiękczyć najtwardsze charaktery.

— Powiedzie mi się z twoją pomocą.

— Z pomocą całej wspólnoty. Nie gardź słabszymi i mniej inteligentnymi; posiadają cnoty, których ty nie posiadasz. Dopatrz się w każdym z nich zalet, które

pozwalają na zbudowanie niewidzialnej świątyni.

— Czyż nie wpajałeś mi poczucia nieosiągalnego?

— Poprowadzi cię na drodze do sanktuarium.

— I do wielkich tajemnic?

— Kluczem do nich jest braterstwo. To nie zwykłe uczucie

łącznie adeptów między sobą, lecz związek całego

bractwa z potęgami niebios. Nie powinieneś

zaniedbywać nawet drobnych prac. Kiedy wywiązesz

się z nich poprawnie, będziesz żyć jak człowiek

prawy. Staniesz się naczyniem, do którego spływa

boska miłość.

— Czyżbym o czymś zapomniał?

— A czy ja zapomniałbym ci o tym powiedzieć?

Młody adept przyklęknął przed stelą. Sabni miał wspa-

niałą rękę. Jako rytownik dorównywał najlepszym rzeź-

biarzom.

— Kto nauczył cię pisać?

— Ojciec Izis. Popsułem setki kawałków wapienia, zanim

udał mi się pierwszy piękny hieroglif. Później

zagłębiałem się w kamieniu w poszukiwaniu formy. Z

dziesięć razy myślałem, że kapłan-senior połamie mi

plecy: nie tolerował mojej niezręczności. Kiedy

widziałem, jak podnosi kij, chciałem schować się pod

ziemię. Ale zawsze trafiał! Zacząłem jeszcze bardziej

się przykładać; kiedy zrozumiałem, że służę Regule, nieśmiertelnej istocie wykraczającej daleko poza mnie samego, miłości życia, która wykraczała poza moje własne życie, unosząc mnie w sobie, moje ręce stały się zręczne.

Chrestos wziął w dłonie młotek i dłuto.

— A gdybym tak spróbował? Za kioskiem Trajana są niepotrzebne kamienie.

Sabni zawahał się.

— Nie masz do mnie zaufania?

— Brakuje nam jeszcze jednego narzędzia.

— Znajdę je!

— Przynieś mi kij.

Młodzieniec cofnął się, wybuchnął śmiechem i pobiegł w kierunku budowli, do której podążał jego mistrz; mniejsza o kije, skoro może przystąpić do pracy.

Trupa prefekta odnaleziono dopiero w trzy dni po jego śmierci. Policja przesłuchała mieszkańców nubijskiej wioski, ale nie udało jej się zebrać żadnych wskazówek dotyczących okoliczności wypadku. Dzięki Bogu, donos pozwolił zidentyfikować winnego: okazał się nim Żyd, oskarżony kiedyś o kradzież. Przestępca nie potrafił długo wytrzymać tortur. Wykroczenie było tak poważne, że został wciągnięty na pal na placu publicznym. Teodor napisał

szczególony raport dla cesarza, wyrażając swój głęboki żal z powodu tragicznego odejścia prefekta. Wspomnił o zorganizowaniu oficjalnego pogrzebu, ubolewając nad tym, że upały nie pozwalają na transport zwłok do Aleksandrii; dlatego Maksymian spoczął na honorowym miejscu na tutejszym cmentarzu.

Narses wybudował swoją chatkę. Kiedy spędził tam pierwszą noc, patrząc w gwiazdy, obiecywał sobie, że więcej nie zaśnie, by móc rozkoszować się bez przerwy rozgrywającym się przed jego oczami spektaklem. Po zdobyciu wyspy Biga biskup nie miał zamiaru podejmować wojskowych operacji; dlatego generał pozostawił intendenturę w rękach czterech oficerów, dwóch Bizantyjczyków i dwóch Egipcjan, którzy mieli zastąpić Mersisa. Już w trakcie pierwszej rozmowy zapanowała niezgoda. Żołnierze przestali wykonywać rozkazy, otrzymując sprzeczne instrukcje.

Sierpniowe słońce było tak mocne, że w ciągu dnia straż nie patrolowała murów. Opuszczone blanki drzemały w upale. Dwa metry niżej lśniła woda wylewu.

Na skałach katarakty generał nucił piosenkę zasłyszaną na ulicach Elefantyny: dobry północny wiatr niósł podmuch życia i świeżości, sprawiał, że nurt stawał się bardziej płodny; wiatr południa otwierał drogę powodzi wypływającej z jaskini pierwotnego oceanu — żywiła cały kraj i zносиła poży-

wienie na ołtarze; wiatr wschodni wznosił duszę do gwiazd;
zachodni pomagał wytworzyć na niebie wodę, dzięki której
rosły kwiaty i lśniły owoce.

Z upływem godzin, pór roku, lat towarzystwo wiatrów
będzie coraz miłsze Narsesowi.

Piekarz nadgryzł długi chleb, przed chwilą wyjęty z pieca.

Adepci będą z niego zadowoleni; tak dobre pożywienie
pozwoli napełnić brzuchy i uwolni energię niezbędną myśli.

Ka chleba i jej subtelna władza składają się na długi łańcuch
sił, które łączą gwiazdę z kamieniem. Dlatego, zgodnie z
Regułą, funkcja piekarza nie była niższa od funkcji rytua-
listki.

Rytualistki, która niegdyś była tak dumna, że nie chciała
wchodzić do piekarni świątyni, aby nie narażać się na nie-
znośne gorąco! Teraz, spięta, stała w progu.

— Skończyłeś? — zapytała.

— Jeszcze jeden bochen.

— Może poczekać, w przeciwieństwie do mnie.

— Nie ukończona praca jest porażką dla ducha.

— Czy masz zaufanie do Sabniego?

Zwykle rytualistka nie była tak bezpośrednia. Piekarz
spojrzał na nią. Jego bystre oczy przeczyły głupkowatemu
wyrazowi twarzy.

— Wiedzie nas na pewną klęskę — stwierdziła. — Gdyby

przejął władzę, zaznalibyśmy lepszego żywota; to, że tak
zwleka, będzie przyczyną naszego upadku.

Piekarz odwrócił się do pieca.

— Ambicja, pycha, potrzeba spiskowania... istoty ludzkie
nie zmieniają się. Jeśli bogowie postanowią zniszczyć
ludzką rasę, świat nie będzie płakał.

— Pomóż mi przegnać Sabniego i zostać przełożoną —
domagała się Ahure. — Ja potrafię negocjować. I
dokonam tego, że uda nam się przeżyć.

Zapach świeżego chleba wypełnił nos piekarza.

— Potrzebowałem czterdziestu lat, siostrze, by odkryć
jedną cnotę i oddać się jej: chodzi o posłuszeństwo praw
dziwemu mistrzowi. Dzięki niemu niszczycielskie ognie wy
gasły, a ja osiągnąłem spokój, którego tak szukałem. Izis
i Sabni są o wiele więksi od nas, albowiem niebo predestynuje
ich do ich zadania; pogódź się z tą prawdą i przestań rzucać
się na próżno. Największe szczęście to zadowalać się włas
nym zadaniem.

Jaskrawe niebo, ochra piaszczystych wydm, żywa zielen palm, czarne skały i jasne światło tworzyły — wraz ze spokojną wodą — obraz raju złotych wieków, którego nie bezczęściła najmniejsza ludzka obecność. Z tamtej strony chaosu pustynie Wielkiego Południa i pustkowia afrykańskie czuwały nad kataraktą tak samo nieruchomym spojrzeniem, jak to, którym spoglądał generał Narses.

Rozkoszował się każdą chwilą, od świtu aż po zachód słońca; każda następna godzina była jeszcze słodsza niż poprzednia. Postanowił swego domku nie przykrywać dachem, aby móc napawać się i nocą.

Teraz już wiedział. Wrogiem był ruch. Jedynie kamień w swym biernym trwaniu sięgał po najwyższy ideał mądrości. Był niewrażliwy na nadzieję i rozpacz żywych istot, nic nie wiedział o zmiennym i pustym pożądaniu. Prawda była ukryta w sercu skały.

Generał od pierwszej bitwy, jaką stoczył, wątpił, czy droga ma jakiś kres, a istnienie jakiś sens. A jednak każdy krok wiódł go na to samotne pustkowie z wody i granitu. Od pola bitwy do pobojuwiska, od natarcia do wielkiego czynu wojennego, od podboju do rzezi. Żadnego przypadku. Jakże słodko było niczego nie chcieć i ze wszystkiego rezygnować. Żaden kłamca — czy zwał się rozkoszą czy

cierpieniem — nie posunął się tak daleko. Oderwany od przeszłości, pozbawiony przyszłości Narses zamienił się w skałę.

Nie był przygotowany na napaść. Mężczyźni podpłynęli pod wodą. Byli uzbrojeni w noże. Natarli na Narsesa, który prawą ręką schwycił jednego za gardło. Gdyby miał drugą, wygrałby tę walkę gołymi rękami. Zobaczył ostrze skierowane w swój lewy bok, którego nie mógł osłonić. Wbiło się między dwa żebra i sięgnęło serca. Narses umarł, stojąc, z oczami utkwionymi w katarakcie.

Blemio wie wrzucili do wody ciało swojej pierwszej ofiary.

Czarni wojownicy czekali na koniec wylewu obfitującego w prądy i wiry, by wykorzystać naturalne tory wodne, których bieg opanowali do perfekcji. Posługiwali się łódkami z papirusu — w każdej mieściło się dwóch ludzi.

Jeden wiosłował, drugi wylewał wodę, którą łódka się napełniała w ruchu. Nie obawiali się wirów, przyływów i odpływów, prześlizgiwali się między skałami, o które rozbiły się liczne statki. Płynąc z największą prędkością, dotarli w południe do pierwszego fortu. Słońce oślepiło jedyne go strażnika, więc przestał obserwować rzekę.

Blemio wie przeszli go strzałami, zanim uderzył na alarm, i zlikwidowali niewielki oddział śpiący pod daszkiem.

Posuwali się dalej. Łódki zanurzały się w rzece tak gwałtow-

nie, że zdawały się tonąć. Ale dziób pojawiał się znowu, kierując się na cel wyprawy, fort Elefantyny. Setki łodzi zakończyły w ciszy swój bieg przy drewnianych palach. Pomagając sobie wzajemnie, napastnicy przeskoczyli bez trudu przez górne partie fortyfikacji, dostępne dzięki wysokim wodom.

Wrzaski napastników obudziły wreszcie garnizon. Żołnierze rzucili się bezładnie po łuki i strzały, próbując zasłaniać się tarczami przed gradem kamieni i strzał. Czarni wojownicy wpadli w szal, który napełnił przerażeniem nawet najodważniejszych. Mury już płonęły. Blemiowie, wymachując z nieprawdopodobną zręcznością toporami i nabijanymi żelazem pałkami, skakali ze szczytu wału obronnego na dziedziniec koszar. Na ziemi leżały zakrwawione głowy i członki. Jeden z bizantyjskich oficerów próbował zorganizować opór, lecz padł na ziemię, obrzucony kamieniami.

Ci, którzy ocaleli, porzucili fort i cofnęli się w kierunku stajni, gdzie stawiali opór, dopóki nie nadszedł ekspedycyjny korpus bizantyjski, którego natarcie zatrzymało Blemiów.

Wściekła szarża uzbrojonych w długie piki żołnierzy zmusiła Afrykanów do odwrotu. Przedarli się przez płomienie, które trawiły koszary, i walcząc, wycofali się do swych łodzi.

Druga fala zaatakowała rynek i biedne dzielnice. Czarni wojownicy zmasakrowali kupców, zrabowali trochę żywności i podpalili publiczne budynki, których nie bronił żaden

żołnierz.

Najazd nie trwał nawet godziny. Tylko File pozostała nietknięta.

Kobiety z dziećmi ukryły się w piwnicach. Zdolni do walki mężczyźni zajęli się gaszeniem pożarów i zbieraniem rannych. Jedno było pewne: Blemiowie powrócą.

Po zniknięciu Narsesa dowodzenie przejął Teodor. Została mu już tylko setka żołnierzy: za mało, by uchronić miasto przed kolejnym atakiem. Z fortu pozostały jedynie spalone szczątki. Odbudowanie go zajęłoby zbyt wiele czasu, rozkazał więc wbić pale w nadbrzeże, z ostrzami skierowanymi w stronę Nilu. Stojące za nimi szeregi łuczników mogły opóźnić wyjście na brzeg. Żołnierze w pośpiechu uczyli ochotników posługiwania się bronią.

Czy biskup będzie musiał bezsilnie przyglądać się zniszczeniu swego dzieła? Teodor po raz pierwszy w życiu zbuntował się przeciwko Bogu. Przyszła mu ochota zwrócić się do zakazanej wyroczeni, garncarza Chnuma, tak chętnie słuchającego ludzkich błagań. Zgubił się w labiryncie ruin i poczuł, jak osaczają go demony, namawiając, by porzucił służbę Chrystusowi i powrócił do religii przodków. Za gigantycznym naosem z różowego granitu leżały szczątki drewnianego posągu, który kapłani wnosili ongiś na dziedziniec, gdzie zbierali się oczekujący na odpowiedź. Na

zadane pytanie bóg odpowiadał „tak” lub „nie”, skłaniając głowę. Może trzeba zebrać rozrzucone członki, odbudować hieratyczną postać i zadać jej pytanie? Biskup nienawidził siebie. Wściekłymi kopnięciami połamał ręce garncarza wyrzeźbione w drewnie sykomory.

Tylko on był odpowiedzialny za masakrę. To jego poślizgnięcie spowodowało klęskę.

File przyciągała Blemiów niczym niszczyielskie owady.

To File zabiła prefekta Maksymiana i generała Narsesa.

Biskup stał teraz sam naprzeciw Sabniego i Izis; nie dzieliła ich żadna przeszkoda. Wojna będzie coraz okrutniejsza. Już nic nie oszczędzi Sabniego, który znalazł się w samym środku wydarzeń. Teodor go uprzedzał: kiedy wreszcie zrozumie, że musi uciec od tego przeklętego bractwa?

Po niedzielnej mszy biskup zwrócił się do zgromadzonej przed kościołem ludności. Poprosił wszechmocnego Boga o pomoc w walce z najeźdźcą. Od chrześcijan zażądał odwagi i dyscypliny. Przecież w Elefantynie nie brakowało ani ludzi, ani broni. Jeśli tylko zechce przewyciężyć przeciwności losu, będzie umiała się bronić.

Nie spodziewał się wiele po liście, który wysłał do Aleksandrii, by poinformować o sytuacji i prosić o pomoc. Wysłanie na południową granicę wojska musiało zabrać wiele czasu.

Za wiele. Lepiej było liczyć na siebie samych. Jeśli Blemiom

nie uda się drugi atak, nie wrócą tak szybko.

Teodor wyciągnął rękę, w której dzierzył miecz generała Narsesa. Poprzysiągł nań, w imię Chrystusa, że uratuje prowincję.

Tłum przecięła gromadka długowłosych mnichów. Na ich czele kroczył człowiek tak chudy, że kości zdawały się przebijać mu skórę. Z rozgorączkowanymi oczami zwrócił się do biskupa podniesionym głosem:

— Dlaczego nie powiesz prawdy?

— Oskarżasz mnie o kłamstwo?

— Noszę imię Pawła Apostoła i mieszkam w pogańskim grobowcu, który oczyściłem przez ogień. Eremici uznali mnie za swojego rzecznika. My umiemy się bić.

Walczyliśmy na

pustyni z dzikimi zwierzętami. Nie obawiamy się czarnych wojowników. Jeśli dostaniemy broń, wybijemy wszystkich pogan!

Lud wyraził głośno swoją aprobatę. W tych okolicznościach Teodor nie miał prawa odrzucać żadnego sojusznika.

Zgodził się. Jako grupa eremici tworzyli groźny zastęp.

— Nie mówisz prawdy — ciągnął Paweł — gdyż nie chcesz wskazać prawdziwego winnego. To File! Blemiowie zaatakowali nas, chcąc pomścić pogwałcenie wyspy Biga i zadośćuczynić poganom. Świątynia stoi po stronie naszego

najgorszego wroga. Izis i jej klika to zabójcy. Trzeba zniszczyć File!

Pozostali eremici głośno żądali tego samego. Jakaś kobieta krzyknęła. Jej mąż i dzieci zaczęli krzyczeć wraz z nią, a za nimi dziesięć, sto, tysiąc rodzin. Teodor uciszył ponury koncert.

— Jeśli zaatakujemy File, reakcja Blemiów będzie okrutna — zapowiedział. — Na wyspie jest kaplica ich boga, który znajduje się pod opieką przełożonej. Jeśli na nią napadniemy, jeśli ucierpi sanktuarium, zniszczą Elefantynę ogniem i mieczem. Zadbajmy najprzód o własny ratunek. File zajmiemy się później.

Tłum, choć podniecony, zdał sobie sprawę z oczywistości.

Paweł, czując, że lud go nie poprze, spróbował z innej beczki:

— Przestańmy wydawać tym poganom przepustki! Niech zginą z głodu na diabelskiej wyspie. Blemiowie nie będą niczego mogli nam zarzucić.

— Zapominasz o prawie. To obywatele ziemscy, którzy płacą podatki. Mają prawo kupować i sprzedawać.

Argumenty Teodora zrobiły na wielu wrażenie. Kto płacił podatki, nie mógł być traktowany jak parias czy niewolnik.

— File bluźni przeciw Bogu i jego sługom.

— Masz rację — przyznał biskup — podejmę konieczne kroki. Tymczasem jednak zabezpieczmy miasto i

przygotujmy je do odparcia kolejnego ataku. Kiedy

pokonamy Murzynów, zajmiemy się pogańską

świątynią.

Eremita uśmiechnął się. Biskup przyjął zobowiązanie w obecności całej chrześcijańskiej wspólnoty. Przyjdzie chwila, że nie będzie mógł go odrzucić. A taka chwila nadejdzie, ponieważ Bóg walczy po ich stronie.

Chrestos wysprzątał pracownię.

— Oto nasza broń — rzekł do Sabniego, wręczając mu narzędzia. — Będziemy walczyć.

— Teodor nie zaatakuj File. Chroni ją kaplica afrykańskiego boga.

— Do kiedy?

— Dopóki siły Blemiów przewyższają siły chrześcijan.

Biskup wysłał do Aleksandrii posłańca z prośbą o pomoc.

— Kiedy nadejdzie?

— Pod koniec wylewu, na początku zimy, może nigdy...

Czy cesarz interesuje się losem tak odległej prowincji?

Jeśli nie, to jesteśmy uratowani. Obecność Blemiów powstrzymuje Teodora; nie może nas unicestwić.

— Gdybyś tak wziął do ręki kij? Mam ochotę rzeźbić, a moje plecy są solidne.

Przełożony udał się z młodym bratem na południowy

kraniec wyspy. Chrestos w pocie czoła, raniąc sobie ręce, uczył się ciąć kamienie. Tymczasem Izis wraz z siostrami zajęły się niewielką świątynią Hathor, gdzie miał zostać odprawiony obrządek powrotu dalekiej bogini. Odświeżały kolory kapiteli, czyściły kolumny i płaskorzeźby z pyłu naniesionego przez pustynny wiatr. Przełożona była pogodna, niemal wesola. Przeczytała przygotowywany tekst. Od jego mocy zależała przyszłość wspólnoty. Jeśli bogini usłyszy jej wołanie, powróci ze spalonych ziem i przyniesie do świątyni górskie złoto, z którego powstaje ciało bogów. Adepti mieli żywić się tym, co niezniszczalne. To podstawowy wymóg, bez którego nie dokona się żadne dzieło. Na zewnątrz wojna. Znowu ludzie zabijali się w imię swoich wierzeń. Na świętej wyspie nikt nie podnosił głosu. O świcie figura faraona wykuta na ścianie nabierała życia i wypowiadała słowa, które sprawiały, że obecność boska stawała się rzeczywistością. Izis podniosła ręce w geście modlitwy. Świątynia zadrżała.

W dziesiątym dniu września obchody nowego roku ograniczyły się do rozdania winogron. Nikt nie miał ochoty radować się świętem, któremu zazwyczaj towarzyszyły liczne libacje. Każdy żył w niepokoju. Biskup nie otrzymał z Aleksandrii żadnej odpowiedzi, wysłał więc kolejnego posłańca. Zamiast płynąć rzeką, miał posuwać się wzdłuż Nilu, albowiem na wysokości Lykopolis w Środkowym Egipcie piraci atakowali statki, a bandy grabiły podróżnych. Jednemu człowiekowi prędzej uda się dotrzeć do celu niż oddziałowi żołnierzy, na których broń czyhali bandyci.

Nil cofał się leniwie. Na ziemiach pozostawił cenny muł.

Chłopi ćwiczyli się w posługiwaniu bronią pod okiem bizantyjskich instruktorów. Eremici, porzuciwszy pustynię i groby, biegali po mieście, namawiając mieszkańców do walki. Dzięki nim Elefantyna była moralnie przygotowana do zwycięstwa; strach wprawdzie ścisnął trzewia, lecz ochota pokrajania pogan na kawałki wzrastała z każdą godziną.

W pobliżu katarakty tropiciele wypatrywali Blemiów. Do końca września nie zauważono nawet jednego zwiadowcy. Strach zaczął ustępować. Teodor nadal wzmacniał system obronny. Szeregi pali wbitych gęsto niemal całkowicie strzegły brzegu. Blemiowie musieliby poświęcić setki ludzi,

nie mając w dodatku wielkich nadziei na odniesienie sukcesu.

Jeremiady eremitów zmęczyły już kupców, toteż zaproponowali, by znów otworzyć targ. Biskup zgodził się. Na stołach pojawiły się suszone ryby, sery, cebula, gołąbki, drób, mąka, knoty do lamp, wyroby garncarskie, przyprawy i inne towary, których ceny znacznie poszły w górę.

Pojawiła się też inflacja, którą biskupowi udało się zatrzymać w okresie pokoju: o trzydzieści procent skoczyły ceny pszenicy, o pięćdziesiąt drzewa budowlanego i oliwy, o sto procent ceny mięsa. Stan wojenny usprawiedliwiał tę sytuację. Elefantyna mogła jutro zniknąć z powierzchni ziemi.

Kto chciał korzystać z życia, nie mógł liczyć się z każdym groszem.

Kiedy Sabni pojawił się przy wejściu na targ i ofiarował obola dla biednych, rozmowy ucichły. Przełożony sprzedał hodowcy baranów siatkę z pereł i chciał kupić suszone jarzyny, czosnek i letnie figi. Klienci odsunęli się, kiedy podchodził, a kiedy zapytał kupców o cenę, nie odpowiedzieli, dając w ten sposób do zrozumienia, że nie będą rozmawiać z obcym. Sabni nalegał. Wtedy podbiegł do niego chudy osobnik o brudnej twarzy; w ręce trzymał sękaty kij.

— Odejdz, synu szatana! Nikt ci nie sprzeda jedzenia!

Sabni nie spojrział nawet na fanatyka i jeszcze raz zwrócił

się do kupców.

— O nic was nie proszę; miłosierdzie pozostawcie chrześcijanom. Mam pieniądze.

— Ten, kto je przyjmie, będzie przeklęty! — zawyrokował Paweł.

Przełożony odwrócił się do eremity.

— Człowiek boży nie podnosi głosu. Musisz być gorszy od zwierzęcia, by tak krzyżeć. Gdybyś był moim uczniem, szybko straciłbyś ochotę do robienia hałasu.

Sabni schwycił kij, którym groził mu Paweł, i złamał go w rękach.

— Czy twoja religia nie wyklucza przemocy wobec bliźniego? „Nie będziesz zabijał”, powiedział Bóg Mojżeszowi. Czy szanujesz przykazania?

— Poganin nie będzie mnie uczył prawdziwej wiary!

— Nie jest ważne, kto cię jej uczy. Liczy się jedynie nauka, którą otrzymujesz. Twoi przodkowie są także moimi przodkami. To Egipcjanie, którzy szanowali człowieka, gdyż wielbili Boga. Takie istoty jak ty powinny nosić ciężary, stąpając obok osłów.

Eremita cofnął się. Widział narastający gniew przełożonego i bał się jego siły.

— Nie dotykaj mnie, poganinie! Lud będzie mnie bronił.

— Nie zbrukam się.

Sabniego otoczył tłum kupców i gapiów. Handlarz serami wskazał na niego palcem.

— Jesteś sojusznikiem Blemiów. To przez ciebie doszło do masakry i pożarów.

— Oszczerstwa.

— Eremita widział, jak Izis zawiązuje pakt z jakimś Murzynem. Czy to nieprawda?

— Nieprawda.

— Gdyby nasze żony i dzieci chciały znaleźć schronienie na wyspie, otworzyłbyś drzwi świątyni?

— Profani nie mają do niej wstępu. Tak mówi Reguła.

— Blemiowie mają tam kaplicę. Ich z radością byście przyjęli. To jeszcze jeden dowód zmywy.

Krąg zacieśnił się. Pokazały się noże i kamienie.

— File jest gwarancją waszego przeżycia. Bizancjum was głodzi. Sprzeda Egipt temu, kto zapłaci najwięcej. Tylko świątynia stanowi o jedności i niepodległości naszego kraju.

Te słowa zachwiały tłumem. Wielu było podobnego zdania.

— Blemiowie nas zabiją — powiedział rzeźnik.

— Co proponujesz? — zapytał hodowca. — Kto posiada klucz do bogactwa?

W jego oczach błysnął promyk nadziei, którego Sabni nie miał prawa rozdmuchiwać. Nie wolno było mu wywołać

zamieszek i stanąć na czele buntu.

— Kiedy powróci pokój, odbudujemy Egipt. File będzie jego sercem.

— Podżegasz do buntu — oskarżył go eremita. — Ci, którzy cię posłuchają, zostaną ukarani, tak jak zdrajca Mersis.

Wspomnienie kaźni zmroziło ostatnich zwolenników przełożonego. Przedarł się przez tłum i ruszył przed siebie.

Mała świątynia Hathor niemal zmartwychwstała; żywe kolory radowały oczy. Siostry sięgnęły po flety i bębenki, ćwiczyły melodie i rytmy. Chrestos czyścił drewniane maski, które mieli nałożyć na twarze adepci podczas odprawiania obrządku. Będą błagać upojną panią tańca i śpiewu, złoto nieba, panią uniesień, by objawiła im miłość łączącą światy między sobą.

Sabni ze smutkiem wracał z pustymi rękami. Żeby nie mącić radości tych, którzy przygotowywali święto, poczekał, aż się rozejdą, zanim powiedział o wszystkim Izis.

— Jeśli niczego nie wolno nam kupować, ktoś to musi zrobić za nas.

— Kto?

— Jakiś bankier.

Pieniężmi mieszkańców Elefantyny zarządzały trzy banki. Największy z nich należał do Kościoła, drugi do bizan-

tyjskiego finansisty, a trzeci do Greka. Ten ostatni, podobnie jak jego koledzy, zajmował się pobieraniem podatków przynależnych państwu, dokonywał wymiany dewiz, pożyczał na procent, dokonywał przekazów i zajmował się prywatnymi sprawami klientów. Zbił fortunę, zanim otworzył bank. Później był wierny zasadom profesji: stać się bogatym, by jako bankier wzbogacić się jeszcze bardziej. Nie traktował wszystkiego tak rygorystycznie jak biskup, a chytrą przewyższał Bizantyjczyka. Nie wahał się też dokonywać transakcji w czyimś imieniu, kiedy dostał godziwą zapłatę. Twarz miał naznaczoną trądzikiem, a brzuch ukrywał pod białą tuniką. Wolny czas poświęcał rozkoszom stołu. Obejrzał naszyjniki, pierścionki i bransolety, które oferował mu Sabni.

— Piękne przedmioty. Czy pragniesz pożyczki?

— Chcę je sprzedać.

— Dostałbyś więcej u antykwariusza.

— To nie ma znaczenia.

— Jak chcesz zainwestować pieniądze?

— Ty się tym zajmiesz.

— Możesz być pewien, że przyniosą owoce. Będiesz zachwycony moimi usługami.

— Dokonuj za mnie zakupów pożywienia.

— To delikatna sprawa... może pociągnąć za sobą koszty.

— Obliczysz je.

— Mogę także zająć się bardzo dyskretnie dostawą, ale...

— Dodaj i te koszty.

Grek skłonił się. Świątynia będzie dobrym klientem.

Natychmiast po odejściu Sabniego powierzył bank swemu

wspólnikowi i udał się na targ. Pomnoży zyski, uzyskując duże zniżki u rolników, których pieniędzmi zarządza. Właś-

nie gdy zaprzętał swój umysł obliczaniem wysokości zysków, zderzył się z Pawłem.

— Odejdź, eremito. Śmierdzisz.

— Chwileczkę, Greku. Czyżbyś zamierzał pomagać File?

— Tajemnica bankowa.

— Kto przychodzi z pomocą poganom, jest w moich oczach zdrajcą i krzywoprzysięzcą. Pamiętaj o

Mersisie. Nie prowokuj mnie i szanuj wolę Naszego Pana.

Z początkiem października Nil się wycofał. Rozpoczął się zbiór oliwek i daktyli. Ponieważ do świątyni nie dotarły żadne dostawy, Sabni udał się do bankiera. Elefantyna odrodziła się z popiołów pod osłoną codziennie wzmocnianych fortyfikacji. Spalone domy odbudowywano, a murarze naprawili mury obronne koszar. Blemijska groźba oddaliła się.

— Źle to oceniłem — tłumaczył Grek. — Twoje ozdoby

nie przedstawiały żadnej wartości.

— Nie chcesz za mnie kupować?

— Oczywiście, że chcę... ale tu trzeba prawdziwych skarbów. Mówią, że świątynia Izis pełna jest złota.

Wszyscy wychwalają piękno jej posągów.

Przypuszczam, że krypty

zawierają mnóstwo cennych przedmiotów. Jeśli

przyniesiesz mi te cuda, dostaniesz żywność.

— Postradałeś rozum?

— Bankier musi żyć w zgodzie z duchem swoich czasów.

— Jesteś niewolnikiem chrześcijan.

— To konieczność dyktuje ceny. Dzisiaj poganin musi sporo zapłacić, aby przeżyć. Mój zawód jest o wiele bardziej niebezpieczny, niż można by sądzić.

— Oddaj mi moje ozdoby.

— Jakie ozdoby? Gdybyś mi je powierzył, otrzymałbyś pokwitowanie. Jeśli podajesz to w wątpliwość, możemy iść do sędziego. Nie próbuj przemocy, jestem pod ochroną policji.

Sabni przypomniał sobie o stołach uginających się pod ciężarem wiktuałów: najpierw poświęcał je faraon, następnie trafiały na ołtarz wielkiej bogini. Świątynia, bogata i szczęśliwa, nie troszczyła się o nic, prócz życia w Regule i przekazywania jej ducha.

— Ozyrys skazuje złodzieja. Może Chrystus okaże więcej
miłosierdzia.

Stojący po pas w wodzie Chrestos wreszcie złapał okonia.

W chwili kiedy w geście zwycięstwa uniósł go nad głową,

spadła na niego kania, wyrywając rybę. Drapieżnik,

obojętny na protesty rybaka, zniknął na niebieskim niebie z

łupem w dziobie.

Młodzieniec z wściekłością uderzył pięścią w wodę, roz-

chlapując naokoło srebrzyste bryzgi.

— Czy adept powinien się tak unosić? Chłopiec

poczerwieniał ze wstydu przed Izis.

— Nic nie złapałem od dwóch godzin!

— To jeszcze nie powód.

Chrestos ze wstydem powrócił na brzeg. Dziwiła go po-

waga przełożonej.

— Takie rozrywki nie bardzo mi odpowiadają. Wolę

naukę.

— Czy rozszyfrowałeś napisy na kolumnach?

— Są trudne, ale nie brak mi nadziei. Gdyby Sabni więcej

mi pomógł, szybciej czyniłbym postępy.

— Może istnieje inny sposób.

Chrestos szedł za Izis, która w środku dnia wybrała

niecodzienną drogę. Weszła po stromych schodach prowa-

dzących na dach świątyni; zwykle młody człowiek wchodził

tam w nocy, by studiować ruch planet i rozmieszczenie

gwiazd. Przełożona poleciała, by podszedł do narożnika, gdzie wznosiła się niewielka kapliczka o zamkniętych drzwiach.

Chrestos zauważył wcześniej to dziwne sanktuarium, do którego nikt się nie zbliżał prócz Sabniego. Nie śmiał o nic pytać. Bezwiednie czuł, że te mury kryją jedną z ważniejszych tajemnic świątyni.

Izis odsunęła zasuwę wykonaną z brązu. Młody człowiek zadrżał, przekonany, że to miejsce zadecyduje o jego losie.

— Wejdz, patrz i medytuj.

Kiedy jego oczy przywykły do półmroku, zaczął oglądać płaskorzeźby ozdabiające ściany; całość ilustrowała kolejne fazy zmartwychwstania Ozyrysa, którego miłość Izydy wyciągnęła z grobu i uczyniła na zawsze żywym. Dał jej syna, Horsa, którego zadaniem było przewyciężyć zło i połączyć Dwie Ziemie.

Przełożona zamknęła drzwi do kaplicy. Chrestos usiadł pośrodku posadzki i wsłuchał się z uwagą w głos hieroglifów, słowa boże. Ze znaków wrytych w kamieniu emanowało łagodne i uspokajające światło. Adept widział z zamkniętymi oczami.

Małe pomieszczenie nieustannie rosło. Przybrało kształt olbrzymiej barki podróżującej po ognistych jeziorach, wokół których z błękitu wyrastały zboża obmywane niematerialną wodą Nilu. Nagle podróżny zobaczył tron raj, o którym

mówiły święte księgi; z jego podstawy wyrastały litery Początku. Pod wpływem promieni słonecznych pozornie nieruchomiały na murach świątyni. Umysł Chrestosa nauczył się czytać świat w samym sercu źródła znaków.

Kiedy uśmiechnięta przełożona wypuściła go na zewnątrz, życie młodzieńca zupełnie się odmieniło — nie należało już do niego, lecz utożsa miło się z życiem Ozyrysa.

W jego krwi krążyła obecnie wiedza Złotego Wieku.

— Izis, ty...

— Taki jest pierwszy krok na drodze poznania wielkich tajemnic. Prowadzi ona również do pozostałych.

Pozwól, by ten obraz rósł w milczeniu, i działaj bez chwili wytchnienia: zapisuj wszystko, co postrzegasz.

Teodor miał do dyspozycji broń, która mogła powalić mury File. To, że Chreslos przebywał na wyspie, było tak poważnym wykroczeniem, iż mogło pociągnąć za sobą ukaranie całej wspólnoty.

Świątynia pogwałciła prawo, przyjmując nowego adepta, osobę umykającą przed płaceniem podatków. Biskup nawet nie musiał szukać religijnych powodów, by przegnać adeptów i doprowadzić do zakończenia kultu Izydy.

Ale powstrzymywali go Blemiowic. Do rozruchów, które musiało pociągnąć za sobą zamknięcie świątyni, należało jeszcze dodać murzyński atak. Obawa la jednak nie tłum-

czyła do końca powolności Teodora. Wierzył, że Elefantyna potrafi się obronić.

Jakaś tajemnicza siła wstrzymywała go przed zadaniem ostatecznego ciosu, który by na zawsze położył kres nadziejom pogan. Tak jakby ostatni przedstawiciele prebrzmiałej epoki byli świadectwem boskiej wyrozumiałości. Jego związek z Sabnim miał głębsze niż ludzkie źródło. Od najwcześniejszej młodości obaj żywili to same upodobanie do tego, co święte. Czy Przeznaczenie, przeciwstawiając ich sobie do tego stopnia, nie chciało nauczyć biskupa, że ten drobny błąd w samym środku prawdy pozwala lepiej za-
błysnąć Chrystusowemu światłu?

Teodor był zmęczony. Zbyt wiele konfliktów, śmierci, barbarzyństwa... Jak dobrze było rozmyślać w towarzystwie Sabniego, spędzać z nim czas na teologicznych dysputach, które smakowały jak świeże figi!

Z jednej strony przyjaźń, z drugiej dogmat. Musiał przyznać się do porażki, nie mogąc połączyć obu dróg i obu brzegów. Dawniej zwierzyłby się Sabniemu i poprosił go o pomoc; dzisiaj stanowił o jego losie, a sam pogrążał się w bagnie niepewności. Odejść od Boga... Pokusa przeszła tuż obok niego, łagodna i drażniąca niczym liść akacji.

Eremita pobłądzili, narzucając światu wybór między nawróceniem a unicestwieniem. Tymczasem droga, którą pro-

ponował Pan, pełna była miłości, a nie nienawiści. Teodor nie chciał tej egzaltowanej wiary; bliższa mu była mądrość świątyni i promieniujące piękno Izydy.

Nie życzył też sobie nadejścia armii z Aleksandrii. Zachwiałaby kruchą równowagą, którą udało mu się osiągnąć.

Gdyby Teodorowi dane było wstrzymać czas, zatrzymałby go nad świątynią File.

Paweł popychał przed sobą młodą i piękną kobietę. Szła niechętnie, z zawołowaną głową. Kilku mieszkańców rozpoznało ją. Dlatego w zdumienie wprawiało ich widowisko, które proponował im pustelnik. Jakże on, propagator najsurowszej wiary, mógł dotykać tej kreatury? Paweł zażądał widzenia z biskupem. Przed jego siedzibą zebrał się tłum gapiów, pokazywano palcami nieprawdopodobną parę. Eremita narobił tyle hałasu, że biskup musiał wyjść ze swego biura.

— Czego chcesz, Pawle?

— Znasz ją?

— Niech zdejmie zasłonę.

Kobieta wykonała polecenie.

— Kto to?

— prostytutka. Ta diablica sprzedaje swoje ciało.

— Nie tylko ona. Jej usługi są legalne. Nie zawracaj mi głowy drobiazgami.

— Ta grzesznica swoje usługi proponuje osobom możliwym i hojnym. Czy chcesz poznać ich nazwiska?

— Nie popełniają żadnego wykroczenia.

— A jednak jeden z nich gwałci Regułę swojej świątyni i zdradza swoją żonę.

— Czyżbyś insynuował...

Paweł potrzęsnał prostytutką.

— Spowiadaj się, szmato. Tylko tak możesz uratować swoją duszę. Powiedz, że Sabni dzieli z tobą łóżko i maltretuje cię.

Kobieta tylko skinęła głową.

— Przełożony File... istota na wskroś zepsuta i upadła... oto jest prawda. Jutro pozna go cała prowincja, a ty, biskupie, skążesz go osobiście.

Izis widziała, jak jej mąż idzie skrajem pustyni w kierunku pustej wioski. Z nędznego domostwa wyszła prowokująco piękna kobieta. Wołała do Sabniego, który po chwili wahania podszedł do niej. Kiedy wzięła go w objęcia, jej ramiona zamieniły się w skorpiony i pogryzły szyję niewiernego małżonka.

Obudziła się nagle z rozpalonym czołem; ten okropny koszmar nie pozwalał jej zasnąć. Popatrzyła na Sabniego, który leżał na wąskim łóżku. Jego głowa spoczywała na wezgłowie, na poduszce.

Przełożona z niepokojem weszła do biblioteki i sięgnęła po sennik, który adepci cierpliwie wzbogacali na przestrzeni wieków. Scena, którą zobaczyła we śnie, została opisana w najdrobniejszych szczegółach. Nie mogło więc chodzić o zwykły koszmar— było to widzenie. Według sennika ponury los czekał opisywanego mężczyznę. Dlatego Isis odcięła kosmyk włosów Sabniego i położyła go na złotej plakietce pokrytej hieroglifami; wzmacniały modlitwę skierowaną do wybawiciela, dobroczynnego geniusza, który odwracał złe losy. Isis wsunęła tabliczkę pod poduszkę śpiącego, mając nadzieję, iż magia starodawnych słów unieszkodliwi diabolicę. Podczas gdy eremita rozlewał swój jad po ulicach Elefantyny, Teodor rozmawiał z prostytutką. Nie chciała podać mu swego nazwiska, ale uzyskał je bez trudu od jednego ze swych sekretarzy. Sięgnął po swoje notatki i one dostarczyły mu więcej informacji. Młoda osoba miała na imię Mirta; była córką Leonidesa, aramejskiego kupca, który zbankrutował, bowiem niewłaściwie ulokował pieniądze. Sprzedawała się od ponad roku, by zapewnić byt rodzinie. Kochanków przyjmowała albo w swoim pokoju, albo na północnych rogatkach Elefantyny, gdzie na złaknionych rozkoszy i bogatych podróżnych czekał burdel. Zgodnie z prawem płaciła podatki, skrupulatnie podając liczbę spotkań z kochankami. Ojciec prowadził jej

księgowość.

Według niepisanej prawa, przełożony świątyni winien był wierność swej małżonce. Jeśli ta w dodatku była przełożoną, stanowili symboliczną parę, ziemskie odbicie Ozyrysa i Izydy. Dyskredytując Sabniego, pustelnik atakował duchowe podstawy wspólnoty. Próbując udowodnić przywódcy nieprzyzwoitość, okrywał hańbą wszystkich wiernych i brukał duszę świątyni.

— Czy Sabni kupował twoje ciało?

— Tak — odpowiedziała.

— Ile razy?

— Tylko raz. Ale bił mnie.

— Kiedy?

— Tydzień temu. Mam jeszcze ślady.

Pokazała pokryte siniakami plecy.

— Czym cię bił?

— Skórzanym rzemieniem. Wnoszę skargę. Nie zapłacił mi, a jeszcze jest mi winien odszkodowanie.

Jeśli prostytutka mówiła prawdę, miała wygraną sprawę.

— Podaj dokładny dzień i godzinę waszego spotkania.

Mirta podała datę i zaczęła się rozwodzić nad tym, co musiała znieść od przełożonego. Biskup sprawdził informacje. Sabni był rzeczywiście wówczas w Elefantynie.

— Wnoszę skargę — powtórzyła z uporem.

Biskup nie wątpił, że sprawa została ukartowana. Dlatego starał się opóźnić rozpoczęcie procesu, którego wynik mógł tylko zbrukać i zranić jego przyjaciela. Jednak śledztwo, które przeprowadzili sekretarze, dostarczyło kolejnych dowodów przeciw Sabniemu. Zidentyfikował go właściciel burdelu, a dwaj eremici trudniący się żebractwem przy północnych rogatkach przysięgali, że widzieli, jak jakiś mężczyzna wrzucał do Nilu rzemień poplamiony krwią. Nikt nie chciał świadczyć na korzyść Sabniego.

Eremici pospołu z prostytutkami domagali się sprawiedliwości. Te ostatnie zagroziły nawet strajkiem, jeśli biskup nie spełni ich żądań. Teodor zaczął sobie stawiać pytania: może jednak Sabni dał upust pożądaniu, a później, zdegustowany swoim postępkiem, zemścił się, bijąc dziewczynę, która była świadkiem jego słabości? Właściwie proces mógł być doskonałym posunięciem. Sabni posiedzi jakiś czas w więzieniu, z dala od możliwej tragedii i poza zasięgiem fanatyków. Wspólnota będzie musiała sprzedać ostatnie dobra, by zapłacić wysoką grzywnę nałożoną przez biskupa, będzie też musiała się rozproszyć. Izis natomiast z żalu nie potrafi stawić czoła przeciwnościom losu. Gdyby wybuchły jakieś zamieszki, Sabni będzie bezpieczny.

Sabni stawiał się sam przed trybunałem, któremu przewodniczył biskup. Ze spokojem wysłuchał skargi pokrzywdzo-

nej, pełnej zresztą szczegółów, które oburzyły zebranych.

Mirta, nie proszona, obnażyła plecy na dowód prawdziwości swoich słów.

Kiedy przełożony chciał zabrać głos, przeszkodziły mu krzyki zebranych. Policja musiała wyprowadzić kilka prostytutek, które popadły w histerię.

— Jak nazywają się rodzice tej kobiety?

— Matka nie żyje. Ojciec nazywa się Leonides.

— Czy to Aramejczyk, który handluje oliwą?

— Znasz go?

— To on powinien stać na moim miejscu. Czyż nie napadł na siostrę, która odepchnęła jego zaloty?

Rozległy się szepty.

— Czy złożyła skargę?

— Nie pozwolono jej złożyć skargi.

System przyjęty przez obronę legł w gruzach.

— Moje serce — rzekł przełożony — skłania mnie do spełnienia obowiązku; ono jest moim świadkiem.

Nigdy nie sprzeciwiam się jego zaleceniom, boję się nie wypełniać jego przykazań. Tę funkcję powierzono mi, ponieważ kierowałem się sercem. Słuchając jego głosu, postępowałem w sposób prawy. Dzisiaj kłamstwo często wychodzi na drogi, jednak gubi się i nie trafia do celu. Kto wzbogaci się dzięki kłamstwu,

zostanie bez owoców; kto podróżuje w jego towarzy-
stwie, nigdy nie dopłyne do portu.

— To piękne zalecenia — przyznał Teodor. — Ale jesteś-
my w sądzie i oceniamy fakty. Czy przyznajesz się?

— Czy ta dziewczyna mnie rozpoznaje?

— To ty! Zgwałciłeś mnie i poraniłeś mi plecy!

— W takim razie opisz moją nagość.

Zdumiona Mirta spojrzała na biskupa.

— Bądź posłuszna — rozkazał.

— To... to mężczyzna.

Rozległy się

śmiechy.

— Mów dokładniej. Jeżeli jestem twoim prześladowcą,
na pewno zauważyłaś pewien szczegół, którego nie zapomni
żadna kobieta.

Prostytutka wpadła w przerażenie. Eremita nie dał jej w
tym względzie żadnych wskazówek.

— Mów albo zaprzecz — zażądał Teodor.

Mirta z przerażeniem w oczach cofnęła się aż do ściany
trybunału.

— Jesteś... obrzezany!

— To prawda — przyznał Sabni. — Wymaga tego nasza
Reguła. Każdy o tym wie.

Prostytutka usiłowała zbiec. Zatrzymali ją strażnicy.

— Ta kobieta kłamie; widzimy się tutaj po raz pierwszy.

Gdyby doszło między nami do zbliżenia, wiedziałaby, że pewien znak odróżnia mnie od wszystkich mężczyzn. Wryto go na moim ciele podczas ceremonii intronizacyjnej.

Sabni rozwiązał biodrową przepaskę przed biskupem.

Nad udem, w zagłębieniu pachwiny widniał krzyż życia.

Na targu pojawiły się stosy daktyli, oliwek i winogron.

Nil cofał się. Długie wyprawy łodzią, dni wypełnione odpoczynkiem i pogawędkami odeszły w zapomnienie. Wieśniacy znów zajęli się swoją ziemią, którą zapłodnił obficie osad pozostawiony przez boską rzekę.

Izis była niespokojna. Świątyni niedługo zabraknie świętego pożywienia. Sabni został wprawdzie uniewinniony, ale jego reputacja ucierpiała podczas procesu. Rozeszła się plotka, że przełożony oddaje się rozpuście i zdradza święte powołanie. File przestała szanować Regułę; czyż wielu adeptów nie opuściło wyspy na skutek takiego upadku? Szeptano, że mimo podeszłego wieku niektóre siostry też oddają się rozpuście. Religia Izydy pozwala kobietom na zbyt wiele swobody; powinny, stosując się do zaleceń Augustyna, okrywać głowy zasłoną, zamiast prowokować mężczyzn, odsłaniając wdzięki. Należy zabronić im pojawiać się publicznie, by zlikwidować pokusy, na jakie najbardziej cnotliwi obywatele bywają narażeni przez te diabelskie kreatury. Powtarzane setki razy słowa eremitów zafrapowały umysły. Obraz pięknej i promiennej Izis legł w gruzach, niczym płaskorzeźba nadgryziona zębem czasu. Ci, którzy po kryjomu przywozili na wyspę świeże owoce i warzywa, odwrócili się od świątyni. Bali się Pawła, biskupa, więzienia i kary boskiej.

Pomimo wysiłków Chrestosa wspólnota popadała w letarg. Po gorącym lecie większość adeptów była wyczerpana. Starzy ludzie źle znosili słoneczny żar Elefantyny, a przede wszystkim niepewność jutra. Chorzy i kalecy nie troszczyli się o siebie, to przyszłość File leżała im na sercu. Czy w miejscu, w którym oni czczą swoich bogów i zbierają owoce mądrości, będą żyli ich następcy?

Młodzieniec także czasami przekraczał granice swoich możliwości. Nie upadał na duchu, gdyż Izis i Sabni przez cały czas wyzwalały w nim energię. Nie słabł jego głód wiedzy.

Uczył się nowych hieroglifów, badał treść papirusów zarzuconych gdzieś w archiwach, rozprawiał z przełożonym o boskiej naturze Tota, skryby światła, który posiadał moc zapisaną w każdym słowie świętego języka. Kiedy rano asystował przy oczyszczaniu darów, młody adept dziękował bogom za swoje ogromne szczęście. Wypowiadał z Izis wersety hymnu do odradzającego się słońca, wykonywał z Sabnim święte gesty, które otwierały usta i oczy świątyni.

— Będziesz pomagał przełożonej — rozkazał Sabni. —

Będziesz nosił berło i szedł za nią, kiedy będzie kierowała się do naosu.

— Ja mam zająć twoje miejsce?

— To za dużo powiedziane — sprostował rozbawiony przełożony. — Zastąpisz mnie na jakiś czas, to

wszystko.

— Podróż?

— Na północ. Kiedy brzuch głoduje, umysł się zapada.

— To niebezpieczne?

— Nie ma gorszego niebezpieczeństwa niż rezygnacja.

— Chciałbym...

— Zostaniesz tutaj, Chrestosie. Po mnie jesteś najsilniejszym mężczyzną wspólnoty.

Izis i Sabni pocałowali się na pożegnanie na najwyższym stopniu nabrzeża. Oboje obawiali się tej wyprawy na nieznaną ziemię, skąd przełożony mógł już nie powrócić.

Na północnych rogatek podróżny przedstawił się, uiścił opłatę i otrzymał kawałek papirusu kiepskiej jakości, który miał pokazywać dowódcom patroli kontrolujących drogi w poszukiwaniu złodziei i zbiegłych chłopów. Wbrew obawom, nie poddano go żadnemu przesłuchaniu. Za pierwszą mijaną wioską wynajął wielbłąda. Gdyby udało mu się dotrzeć do Teb, miasta otoczonego przez żyzne rolnicze tereny, mógłby liczyć na kupno dużych zapasów. Nikt nie rozpozna go z dala od Elefantyny.

Przełożony opuścił prowincję z niespodziewaną łatwością.

Nie jechał za nim żaden biskupi skryba; przy każdej bramie płacił myto i przejeżdżał. Nikt go nie zatrzymywał. Za

niewielką sumę wynajął towarową barkę. Żeglarz doradził

mu małą wioskę na południu Teb, na czele której stał jego znajomy wójt. Ten okazał się zarówno gościnniej jak skuteczniej. W niecały dzień załadowano worki ze zbożem, warzywami i owocami na grzbiet dwudziestu wynajętych za rozsądną cenę osłów. Spokojna karawana, raz drogą lądową, a raz posługując się transportowymi barkami, które zapewniały regularną łączność między znaczniejszymi miejscowościami, pokonała w cztery dni odległość dzielącą Teby od Elefantyny.

Skrupulatni celnicy sprawdzili zawartość worków. Sabni obawiał się, że zatrzymają część ładunku, lecz zadowolili się dokonaniem spisu. Przełożony wręczył dowódcy celników przepustkę, którą należało oddać w biurze urzędu.

Mały, niemal łysy człowieczek przyglądał się jednemu z osłów na czele karawany. Sabni rozpoznał głównego poborcę podatkowego.

— To zwierzę nie pochodzi z naszej prowincji. Gdzie jest certyfikat najmu?

— Nie mam.

— Nazwisko właściciela?

— Naczelnik wioski z okolic Teb.

— To poważne wykroczenie — uznał Filamon. — Prawo

cechu właścicieli osłów zabrania ci, jako

zamieszkałemu w Elefantynie, wynajmować zwierzęta

od konkurentów. Będziesz musiał zapłacić grzywnę,

uiścić roczną składkę i koszty ich żywienia na jesieni.

— Mogę jechać?

— Nie. Osły z prowincji o tej porze roku przewożą tylko narzędzia, gnój i dzbany. Obowiązujący regulamin każe

przewozić żywność na wielbłądach. Pod względem prawnym twoja sytuacja jest zatem niedobra, a ja muszę zarekwirować ten nielegalny transport.

— Chcę go natychmiast odzyskać.

— O tym zadecyduje administracja.

— Kto konkretnie?

— Ta sprawa wydaje mi się bardzo złożona. Wykracza poza moje kompetencje i zależy z pewnością od wielu służb.

Będę musiał zwrócić się do specjalistów i zabrać sporo czasu sądowi. Pewne jest, że zostaniesz ukarany; kwestia tylko, przez kogo.

Sabni wycofał się. Zbiry Teodora spokojnie czekały na jego powrót, przygotowując zupełnie legalną pułapkę. Próbując uwierzyć w rzecz niemożliwą, przełożony udał się z wizytą do czterech głównych członków cechu właścicieli osłów. Pierwszy nie chciał go przyjąć, drugi i trzeci nie mieli odpowiednich zwierząt, a czwarty zaproponował mu chore, niezdolne do przenoszenia ciężkich towarów.

Sabni zrezygnował. Cech był posłuszny biskupowi. Zroz-

paczony, bliski załamania, skierował się ku File. Miejsce, gdzie zwykle wsiadał do łodzi, nie było puste.

Na brzegu, wewnątrz skleconej naprędce chatki, siedział urzędnik, którego zadaniem było pobieranie niesamowicie wysokiej opłaty za przejazd między wyspą a lądem. Urzędnik wystawił mu kwitek w zamian za opłatę. Skrupulatnie wykonywał polecenia biskupa.

Kobierce ze lnu, maty ze słomy i włókien palmowych wystawiono na zewnątrz świątyni, by oczyściło je słońce; tuniki, płaszcze i fartuchy miały zostać poddane tym samym zabiegom. Chrestos naprawiał bukłaki, w których woda zachowywała świeżość. Pozostali adepci czyścili codzienne i rytualne stroje, recytując miękko monotonne melodie, które sławiły czar bryzy i łagodność dnia.

Kiedy pojawił się Sabni, Izis od razu zrozumiała, że mu się nie powiodło. Milczenie przełożonego było wymowne.

Przerwali pracę.

Ahure wysunęła się do przodu. Przeszkodził jej piekarz.

— Niech nam zda sprawę — domagała się.

— Pierwsze słowa są zarezerwowane dla przełożonej.

Czyżbyś zapomniała o posłuszeństwie?

Rytualistka wycofała się. Tymczasem Izis i Sabni usiedli w cieniu tamaryszka.

— Byłam przy tobie myślami. Nic było żadnego niebez-

pieczeństwa, ale los ci nie sprzyjał.

— Teodor nas izoluje. Zostały nam dwie barki; jak tylko powieje wiatr, popłynę cięższą w górę Nilu. Z łatwością przedostanę się do jakiejś wioski i kupię zboże.

— Marynarze biskupa nie pozwolą ci na to.

— Trzeba próbować.

— Czy popłyniesz sam?

— Musi mi się udać.

— Wspólnota ma się dobrze.

— Dzięki tobie, Izis.

— Twoja odwaga i wola uspokajają wszystkich. Dopóki będziesz walczył, nie stracą ufności.

— Zdrada?

— Już czyha.

— Kiedy spotkamy ją na swojej drodze?

— Popatrz. Idzie w naszym kierunku.

Ahure wymknęła się piekarzowi i Chrestosowi. Przyszła przepytac przełożonych.

— Żądamy wyjaśnień. Czy przełożony zdobył pożywienie?

— Nie — przyznał Sabni. — Sprawa wygląda źle.

— Jesteśmy skazani na śmierć głodową?

— Jeszcze nie.

Rytualistka uśmiechnęła się krzywo.

— Inaczej mówiąc, jesteśmy odcięci od świata. Biskup pozwala przełożonemu przedostać się na ląd, by mu udowodnić, jak łatwo nim manipuluje. Należy zmienić sposób postępowania.

Bracia i siostry zbliżyli się — Ahure nie brakowało ani hardości, ani wewnętrznego przekonania.

— Co radzisz? — zapytała Izis.

— Spróbujmy pertraktować z Teodorem. Zostawmy mu wyspę pod warunkiem, że pozwoli nam opuścić prowincję.

— Każdy w swoją stronę?

— To oczywiste.

— A więc chcesz rozwiązania wspólnoty?

— Można ją odbudować gdzie indziej, w jakimś wielkim mieście, gdzie nikt na nas nie będzie zwracał uwagi.

— Jeśli się rozstaniemy — stwierdził Sabni —

przestaniemy istnieć. File nie należy do nas. To

własność Izydy, której musimy chronić za wszelką cenę.

— Nie zgadzam się na taką brawurę. Ja, Ahure, rytualist-

ka świątyni, oskarżam przełożonego i przełożoną o to,

że zdradzają Regułę. Żądam więc zmiany

kierownictwa wspólnoty i obrania innego kierunku

działania.

Ani Izis, ani Sabni nie zbuntowali się. Każdemu z adeptów w każdej chwili wolno było postawić taki zarzut.

— Kto ma zostać naszym nowym przywódcą? — zapytała przełożona.

— Odpowiedzialność spada na mnie — odrzekła Ahure.

— Nie kieruje mną ambicja; chcę tylko dobrze służyć interesom wspólnoty.

— Czy któreś z nas w to wątpi?

— Ja — oświadczył Chrestos. — Ahure chce, byśmy przegnili od środka. Narzuca swoją własną regułę, a nie Regułę świątyni.

Rytualistka rzuciła na młodzieńca mordercze spojrzenie.

— To prawda, że moja interwencja może się wydać szokująca — przyznała. — Jednak myślę o moich braciach i siostrach, o tym, czy przeżyją. Upieranie się przy wybranej drodze wydaje mi się zupełnie niepotrzebnym wyzwaniem. Czy mamy zostać haniebnie przegnani, otrzymać razy, patrzeć, jak umierają najsłabsi? Naprawdę tego chcecie? Teodor ostrzega nas raz za razem, a my zamykamy uszy, udając, że jesteśmy silniejsi. To próżność! Pogódźmy się z losem, poddajmy się prawu biskupa i ratujmy to, co możemy uratować.

— To sensowne słowa — ocenił Sabni. — Jednak nasze

poszukiwanie wykracza poza rozum. Z miłości do File
będziemy chronić świątynię. Jeśli któreś z was nie
zgadza się z tym, niechaj opuści wyspę. Jeśli
wspólnota zgadza się
z rytualistką, niech ją wybierze. Ani Izis, ani ja nie
wyjedziemy nigdy i dalej będziemy służyć.

Ahure popatrzyła wkoło. Nie padło ani jedno słowo w jej
obronie.

— Odejdź — zażądał Chreslos. — Twoja dusza jest
równie nieczysta jak łachy eremitów.

Sabni kazał mu zamilknąć.

— Jesteś naszą siostrą — przypomniała Izis. — Czy
kochasz jeszcze Regułę?

— Ona mnie nie chroni. Nie mogę zostać między wami;
jeszcze będziecie żałować, że mnie nie ma!

Piekarz odwiózł ją na brzeg świata profanów. Przez całą
drogę bez przerwy wpatrywała się w świątynię. Dawna
rytualistką zawahała się, zanim postawiła stopę na lądzie,
zamoczyła sobie suknię i pobiegła do budki celnika.

Z powodu rytualnej szaty i braku przepustki została
natychmiast zatrzymana i aresztowana.

W dwa dni później południowa bryza pozwoliła przełożo-
nemu spróbować przeprawy. Z rozpostartym żaglem opłynął
Elefantynę i dotarł do korzystnych prądów. Na granicy

provincji zatrzymały go dwa statki pełne żołnierzy. Sabni nie miał wymaganych dokumentów ani rozkazu podróży, które wydawało tylko biuro biskupa. Ponieważ nie był w stanie uiścić grzywny — czyli trzykrotnej ceny łodzi — zostawił ją urzędnikom i wrócił na File na papirusowej łódeczce.

Jedynie powrót dalekiej bogini dawał teraz szansę przeżycia. Odprawienie rytuału wymagało właściwych słów.

Wszystko musiało być przekazane z najwyższą dokładnością i dlatego przełożona nie spieszyła się.

Wspólnota godnie znosiła przeciwności losu i nie protestowała; każdy z adeptów miał świadomość, jakiej nieprawdopodobnej dyscypliny wymaga dialog między tym, co ludzkie, a tym, co boskie. Walcząc z przeciwnościami losu, Isis sięgnęła po broń tyleż skuteczną, co trudną do przygotowania. Przeszkadzała jej jedynie myśl o Ahure uginającej się pod ciężarem kajdanów i wygnania, daleko od File.

Tej niedzieli obchodzono pamiątkę Zmartwychwstania.

Biskup odprawił sumę w bazylice Elefantyny, której kopuła, zdobiona drobnymi płatkami złota, lśniła w słońcu kończącego się lata. Wielu wiernym nie udało się wejść do świętego miejsca, w którym Teodor w czerwonym ornacie, z pastorałem w dłoni, zwracał się z prośbą do Pana, by otoczył opieką prowincję. Ci, którzy się nie zmieścili w środku, zebrali się u wrót kościoła lub gnieździli na sąsiednich dachach.

Drewniane przepierzenie dzieliło sanktuarium od pozostałej części kościoła. Na samym środku znajdowały się drzwi zakryte zasłoną. Teodor rozsunął ją i uklęknął przed ołtarzem, kamiennym stołem, który pochodził jeszcze ze świętyni Chnuma. Jeden z diakonów położył na nim chleb wypieczony w piecu znajdującym się nieopodal domu bożego i wino tłoczone w należących do niego prasach.

„Wierzę i powiadać będę aż do mojego ostatniego tchu — oświadczył biskup — że jest to ciało Chrystusa. Wierzę, że Bóg ani na chwilę nie rozstał się z człowiekiem". Później nakreślił na chlebie znak krzyża, ucałował chleb, trzykrotnie okrążył ołtarz i okadził go. Silna woń dotarła do wiernych siedzących na matach i dywanach. Notable Elefantyny — przykryte głowy, bose nogi — wysłuchali, jak biskup potęż-

nym głosem czytał List Apostolski i Ewangelię. Po kazaniu klerycy zaśpiewali psalm sławiący miłość bliźniego: chowanie w sercu nienawiści przeszkadza w łączeniu się z Bogiem i ludźmi.

Biskup oczyścił ręce i modlił się za chrześcijan na całej ziemi, za swych wrogów i za niewierzących. Złamał chleb, podniósł kawałek, mówiąc: „Rzeczy święte świętym”. Swoimi gestami przypominał o niewidzialnej, lecz rzeczywistej obecności Pana Niebios. Wierni uczestniczyli w jego posiłku, zapowiedzi wielkiej uczytury dnia ostatecznego, na którą zaproszeni zostaną tylko sprawiedliwi. Wzywając Ducha Świętego, biskup wypił wino, poświęcił je i powiedział: „Pokój Tobie”. Włożywszy kawałek chleba do kielicha, przypomniał słowa apostoła Pawła: „Ilećroć bowiem spożywacie ten chleb albo pijecie kielich, śmierć Pana głosicie, aż przyjdzie. Dlatego też kto spożywa chleb lub pije kielich krwi Pańskiej niegodnie, winny będzie Ciała i Krwi Pańskiej. Niech przeto człowiek baczy na siebie samego, spożywając ten chleb i pijąc z tego kielicha. Kto bowiem spożywa i pije, nie zważając na Ciało Pańskie, wyrok sobie spożywa i pije” *.

Biskup odszedł od ołtarza i rozdał komunię diakonom. Czekali na nią młodsi diakoni, lektorzy, psalmiści, możni, wdowy, dziewice i obyczajne niewiasty. Teodor jednak

musiał przerwać obrządek: w głębi kościoła rozległy się wrzaski paniki. Szeregi wiernych załamały się. Między nimi pojawiła się przerażająca postać o ludzkim ciele, z głową szakala.

— Diabeł! — krzyknęła stara patrycjuszka, rzucając się z krzykiem do ucieczki.

— To Anubis! — wrzeszczała jej sąsiadka. — Anubis wrócił!

Większa część zebranych rzuciła się na ziemię. Inni zamknęli oczy, a jeszcze inni puciekali. Diakoni próbowali ich zatrzymać, ale sami byli pod wrażeniem. Zapanował zupełny rozgardiasz.

* *Pierwszy List do Koryntian* (11,26—11,29) wg Biblii Tysiąclecia,

Wydawnictwo Pallottinum, Poznań—Warszawa 1982.

Anubis patrzył na biskupa przez kilka sekund, po czym zawrócił. Nikt nie ośmielił się powstać przeciw niemu. Teodor zarządził ciszę. Diakoni różgami uspokoili najbardziej podekscytowanych, wyganiając ich ze świętego miejsca, w którym schronił się przerażony tłum.

— To nie był Anubis.

— Widzieliśmy go — protestowali świadkowie.

— Widzieliście tylko człowieka w masce; przełożony wykorzystał waszą naiwność. Jego świątynia nie jest jaskinią demonów, lecz schronieniem zagubionych

dusz. Jutro Chrystus ich nawróci.

Przeciwnicy obrzucili biskupa inwektywami, podając w wątpliwość jego słowa. Teodor przypomniał, iż podczas procesji kapłani odgrywali role bóstw, by wprawić w zachwyt tłumy żądne cudów. Niektórzy, zawstydzeni, żalowali, że tak się ośmieszyli. Jednak wielu było przekonanych, że Anubis znowu się pojawił, by przypomnieć o obecności dawnej wiary. Człowiek z twarzą szakala zakłócił mszę, a przecież nie spadły na niego gromy nieba.

Teodor z goryczą odizolował się w sanktuarium i klęknął u stóp Chrystusa.

Siostra, której zadaniem było zajmowanie się drobiem, nakarmiła ostatnią gęś. Kury i kogut cieszyły się jeszcze wolnością, i na nie jednak wkrótce rozpocznie się nagonka.

Przełożona kazała podać mięso chorym, zachowując drób na święto dalekiej bogini. W głównym magazynie, gdzie trzymano żywność, Chrestos filtrował olej. W tej krainie pełnej gajów oliwnych teraz należało bardzo oszczędnie używać oleju. File nie należała już do cesarskiego Egiptu.

Zakazana wyspa, odcięta od świata, utrzymywała się dzięki poszanowaniu własnych praw, choć były przeciwne prawom chrześcijaństwa. Młody adept czerpał z przeciwności siłę, której nie mogło naruszyć żadne nieszczęście. Bogowie wystawili File na takie próby, żeby adepci rozbudzili w sobie

życiową energię. Choć biskup sądził, że burzy świątynię, umacniał ją.

Sabni schował maskę Anubisa do skarbca.

— Jak zareagowali? — zapyłała Izis.

— Tak jak chciałem: przestraszyli się. Ich dusze opanował strach, a ich wspaniała jedność się ulotniła.

— Czy na tyle boja się Filc, że będą ją szanować?

— Anubis zmartwychwstał. Otwiera drogę do zaświatów i prowadzi dusze do raju.

— Prowadzić walkę... Nie to jest naszym powołaniem.

Nasza rola polega na dostrzeganiu boskiego światła i znajdowaniu dlań siedziby. Potęga rytuału nie ma sobie równych; w nim jest zapisany sam proces tworzenia.

Kiedy go odprawiamy, powstaje harmonia tak jak w pierwszy poranek. Bogini-która-jest-daleko powróci.

Nadchodziła jesień. O zachodzie słońca mury świątyni mieniły się barwami elektrum. Któż mógł przypuszczać, że kamienny statek bogini Izydy płynie po rozszalałym morzu?

Teodor odnalazł w modlitwie pocrzepiającą *moc*. Wznosząc myśl ku Bogu, gardził swą administracyjną i wojskową władzą; nie był powołany do tak śmiesznych funkcji. Po co zajmować się sprawami ziemskimi, skoro każdą chwilę można poświęcić Bogu?

Biskup miał ochotę wszystko rzucić, a prowincje pozost-

stawić Przeznaczeniu. Tchórzostwo... To słowo paliło mu usta. Tak łatwo byłoby zapomnieć o swych owieczkach, otworzyć drzwi przed fanatyzmem i prowadzić z niebem dialog, nie troszcząc się o nędzę i nieszczęścia bliźnich. On, Egipcjanin, łączył stary świat z nowym, ponieważ rozumiał przeszłość i budował przyszłość. Czy się nie łudził, sądząc, że uda mu się pokierować przeznaczeniem? Uratować Sabniego... takiego sukcesu życzył sobie z żarem najczystszej przyjaźni. Jeśli mu się nie powiedzie, będzie to najsurowsza z kar: Bóg zrani jego duszę.

Przyłapał się na tym, że roi o błogosławionym wieczorze, kiedy jako samotny i niedołączony starzec zasiądzie w ciszy ogrodu i nie będzie już mógł wpływać na życie innych. Jałowe marzenie, teraz gdy rozstrzygają się losy Elefantyny i całego

chrześcijaństwa. Przeciwne losy: po przeciwnych stronach świątynia i kościół, przełożony i biskup, Sabni i Teodor.

Władza... Nie szukał jej. Ta podstępna gorączka owładnęła nim, wmieszała się w jego myśli i jego działania. Jego funkcja sama go prowadziła, odbierała mu wolność. Czy nie był podobny do swojego przyjaciela, który także musiał być posłuszny woli niebios?

Troskliwość biskupa zadziwiła wielce Pawła i eremitów:

każdy z nich otrzymał lnianą tunikę, figi i suszone ryby.

Biskup tak długo ich ignorował, a nawet nimi gardził: skąd

teraz ta hojność? Paweł podejrzewał, że Teodor usiłuje

kupić ich milczenie. Eremita, który nie cierpi z powodu

głodu i chłodu, przestaje walczyć za Chrystusa, traci energię

i pogrąża się w grzesznej tolerancji.

Czy biskup miał coś do ukrycia? Paweł chodził po ulicach,

pytał, węszył. Nie dowiedział się niczego poważnego. Tak

jak się tego obawiał, żywota Teodora nie skalał żaden

poważniejszy grzech. To prawda, od dawna powinien był

zażądać przegnania pogan i zniszczenia świątyni. Jednak

jego ostatnie decyzje świadczyły, że przyjął zdecydowanie

twardsze stanowisko, jak przystało na zaangażowanego

duchownego. Oskarżanie biskupa o pobłażliwość nie przy-

sporzy eremicie zwolenników.

Paweł spróbował innej strategii. Modlitwa i praca cał-

kowicie wypełniały dni Teodora, który rzadko opuszczał

swoją posiadłość. Dlatego pustelnik, nie biorąc pod uwagę

oficjalnych wystąpień, zaczął szukać takich działań biskupa,

które odbiegałyby od jego zwykłego trybu życia. Jego cierp-

liwość została nagrodzona: dowiedział się, że Teodor złożył

wizytę handlarzowi fig, Apollonowi. W dwa dni później

kupiec, który posiadał kwitnące przedsiębiorstwo, opuścił miasto jak złodziej ku zaskoczeniu swoich kolegów i pracowników. Eremita nie uzyskał żadnych informacji o tym wyjeździe. Dowiedział się jednak, że syn Apollona, Chrestos, pewnego dnia zniknął. Jego ojciec udał się do koszar, by złożyć skargę. Paweł skłonił do mówienia jednego z żołnierzy, który był zwolennikiem nieprzejednanych bojowników Pana. Opowiedział o spotkaniu Apollona z kapitanem Mersisem. Mersisem, tym poganinem, zdrajcą, współnikiem wielbicieli Izydy. Serce Pawła wypełniło dzikie poczucie radości: znalazł słaby punkt biskupa.

Kościół był w połowie pusty. Pojawienie się Anubisa nadał siało zamęt w umysłach ludzkich. Najmniej przekonani oddalili się od prawdziwej wiary. Szeptem powtarzano, że egipski bóg zaczarował mury chrześcijańskiej świątyni i można zarazić się śmiertelną chorobą. Pełne żaru kazania Teodora nie przynosiły skutku — nie udało mu się odzyskać utraconego terenu.

Po jednej z mszy, na której śpiewano bez cienia zapachu, biskup natknął się na Pawła. Pustelnik zażądał natychmiastowego spotkania. Widząc jego rozgorączkowany wzrok, biskup zrozumiał, że fanatyk dysponuje jakąś bronią przeciw niemu.

Teodor zaproponował Pawłowi spacer po kościelnym ogrodzie. Rosły tam sykomory, zapewniając błogi cień diakonom, którzy przed mszą czytali święte teksty.

— Czego ode mnie oczekujesz, bracie?

— Żebyś bez słabości uszanował wolę bożą.

— To zadanie pochłania mnie bez reszty. Czyżbym gdzieś zblądził?

— Tego się obawiam.

— W jaki sposób?

Paweł mocniej ścisnął swój sękaty kij.

— Ukrywając kryminalną sprawę.

— Poszlaki?

— Czy Mersis nie był zdrajcą?

— Został ukarany.

— Czy nie spotkał się z niejakim Apollonem, którego wygnałeś?

— Handlarz figami wolał pomnażać fortunę gdzie indziej.

— Czy nie zmusiłeś go do opuszczenia prowincji z powodu jego syna Chrestosa?

Biskup nie odpowiedział.

— Wszyscy znają twoje poczucie obowiązku i honoru, jako sługa boży unikasz kłamsłwa. Jestem przekonany, że ten Chrestos, syn Apollona, znalazł schronienie na wyspie pogan. To jawne pogwałcenie świętego prawa: świątyni nie wolno przyjmować nowych adeptów pod groźbą zniszczenia.

— Masz dowody?

— Uzyskam je. Dlaczego nie interweniowałeś?

— Nie muszę się przed tobą tłumaczyć. Racja stanu sięga wyżej niż ty czy ja.

— Kochasz tych pogan.

— Chcę ich nawrócić.

— Kiedy łagodność ponosi klęskę, musi pojawić się siła.

Jeśli odmówisz, poinformuję o twoim grzechu wiernych. Ich sprawiedliwy gniew obróci się przeciwko File!

Teodor wyobraził sobie Pawła na czele prowincji. Zrujnuje ją, zanim minie rok. Chrześcijanie będą się szarpać między sobą. Nad Elefantyną zbiorą się czarne chmury.

— Zająłem się waszymi potrzebami.

— To nie wystarczy. Musi spaść głowa. Potem, Teodorze, dopuścisz mnie do władzy. We dwójkę zwyciężymy demony.

— Ja także stawiam warunki.

— Możesz sobie na to pozwolić?

— Beze mnie będziesz tylko pionkiem.

Paweł gwałtownie uderzył kijem w pień sykomory. Niestety, biskup miał rację! Pustelnik nie cieszył się, tak jak biskup, zaufaniem ludu. Kierowanie pewną frakcją, nawet jeśli była górą, nie wystarczało, żeby zdobyć władzę.

Jeszcze przez pewien czas będzie musiał się układać.

— Jakie są te warunki, Wasza Wielebność?

— Poszanowanie ludzkiego życia.

— Czy poganie są ludźmi? Twój żołnierz uśmiercił kilku z nich, a ty wcale nie ukarałeś ich ekskomuniką.

— To były godne pożałowania incydenty, Pawle. Modlimy się o naszych wrogów i błagamy Boga o ich nawrócenie, a nie o to, by wyginęli.

— Bóg wybacza nawróconemu grzesznikowi i potępia heretyka.

— Twierdziłeś, że spadnie czyjaś głowa.

— W naszej prowincji musi królować sprawiedliwość, uniewinnienie zbrodniarza byłoby obrazą Najwyższego. Ty, jako jego przedstawiciel, nie możesz pozwolić na taką nie-godziwość.

— Wbij sobie do głowy najważniejszy ze stawianych przede mną warunków: ta głowa nie może być głową Sabniego.

Liczni mieszkańcy Elefantyny asystowali przy burzeniu starej budowli położonej nieopodal biura głównego poborcy.

Murarze przegnali jedyne lokatora, żebraka, i rozwalali mury. Podmajster, zwany „Krótkim”, wydawał zwięzłe, suche i precyzyjne rozkazy.

W pewnej chwili z jego gardła wydarł się okrzyk.

Robotnicy odłożyli młoty kamieniarskie. Podmajster od-
słonił srebrną skrzynię. Poleciał, by natychmiast zawiadomić
głównego poborcę. Filamon pojawił się wkrótce i przystąpił
do otwarcia skrzyni. Wypełniona była złotymi monetami i
sztabkami srebra.

— Rozpoznaję skarb — oświadczył. — Skradziono go
z kurii w zeszłym roku; muszę dokonać inwentaryzacji.

Zwykle urzędnik wykonywał swą pracę w ukryciu. Tym
razem działał w obecności świadków. Kradzież dóbr należą-
cych do Kościoła podlegała surowym karom. Teodor będzie
wymagał szczegółowego śledztwa.

— Winny podpisał się pod swoją zbrodnią — stwierdził
Filamon. — Patrzcie!

Wyciągnął bransoletkę z kości słoniowej, na której wid-
niało imię Chrestosa.

Policja biskupa na próżno szukała młodego człowieka, by
podać go przesłuchaniu. Sąsiedzi i przyjaciele zidentyfiko-
wali bransoletkę z kości słoniowej, którą Chrestos pozostawił
w swojej izbie, zanim opuścił dom rodzinny; to była jego
ulubiona ozdoba, niegodny świątyni symbol jego przeszłości.
Imię właściciela nie pozostawiało żadnych wątpliwości.

Wzięto go na języki: od najwcześniejszych lat Chrestos miał
długie ręce, skąpstwo ojca zmuszało go do drobnych kra-
dzieży. Jeden z celników dostarczył nader cennej informacji:

zatrzymał kiedyś chłopca, który niósł do domu grzebień z kości słoniowej wykradziony przemytnikom. Ze względu na wiek złodzieja zadowolili się skonfiskowaniem przedmiotu. Diakon, któremu powierzono śledztwo, zebrał liczne dowody przeciw niebezpiecznemu przestępcy. W wyniku procesu, który odbył się pod nieobecność oskarżonego, Chrestosa skazano na dożywotnie przymusowe roboty na Pustyni Libijskiej. Należało tylko odszukać jego ślad, wtrącić go do więzienia i deportować.

Teodor zażądał od Pawła kilku dni do namysłu, zanim Krótki zacznie rozpowszechniać wieść, jakoby widziano złodzieja na wyspie File. Nic to nie zmieniało, ponieważ biskup nie mógł zerwać paktu zawartego z eremitą. Modlił się do Boga. Nie był w stanie zniszczyć File i w rezultacie sam skazywał ją na cierpienie. Czy potrafi uratować z tej zawieruchy swego jedyne przyjaciela?

Chrestos nie uniknie kąpieli; nie było sposobu, by go uratować. Paweł będzie się domagał ukrzyżowania, by żadnemu z młodych ludzi nie przyszło do głowy pójść w jego ślady. Metoda nie była godna pochwały, lecz służyła szczytnym ideałom wiary.

Teodor wahał się jeszcze, czy wzywać Krótkiego. O świcie Paweł zażąda swojej ofiary. Który z aniołów zejdzie z niebios, by na swych skrzydłach unieść duszę młodzieńca nie-

świadomego, czego żądają od niego obecne czasy?

Strażnik zastukał w drzwi gabinetu, w którym przez całą noc paliło się światło. Pustelnik nie tracił ani chwili.

— To poważna sprawa, Wasza Wielebność. Dwóch zwiadowców doniosło o bardzo poważnej koncentracji wojsk Blemiów na południe od pierwszej katarakty.

Paweł z wściekłością obrzucił wartownika obelgami.

— Czy wiesz, kim jestem?

— To nic nie zmieni. Biskupa nie ma.

— To nieprawda! Wpuść mnie do jego biura.

— Jeżeli spróbujesz przejść, zabiję cię. Takie mam rozkazy.

— Gdzie on jest?

— W koszarach.

— Jeżeli skłamałeś...

Strażnik nadrabiał miną. Tak jak wszyscy, bał się pułstelnika.

Paweł wtargnął do głównej kwatery wojska, gdzie Teodor rozmawiał z oficerami.

— Nie zasiadasz w tej radzie — zauważył biskup. —

Wyjdź.

— Nie wyjdę, póki nie podpiszesz rozkazu aresztowania zbrodniarza.

— Tą sprawą zajmiemy się później. Potrzebuję wszystkich żołnierzy.

Oczy eremity rozbłysły wściekłością.

— Nie licz na to, że przesuniesz wykonanie wyroku, nawet jeśli ogłosisz stan zagrożenia.

— Nie mam takiego zamiaru.

— Możesz być pewien, że bojownicy Pana będą manifes-
tować swoje żądania.

Eremici, pewni swej bezkarności, spalili winnicę świątyni
i pole, na którym pracowali wieśniacy — posądzono ich o
sprzyjanie świątyni. Paweł ze swym oddziałem budził
większe przerażenie niż. Anubis. Ludność, która wahała się
przez chwilę między pogroźkami dawnego boga i anatema
nowego, zdecydowanie opowiedziała się po stronie najbar-
dziej wzburzonych chrześcijan. Skoro armia nie interwenio-
wała, pewnie otrzymali błogosławieństwo biskupa.

Świątynia nie cierpiała głodu. W spokojny październikowy
dzień, kiedy to łagodne słońce zamieniało kamienie w złoto,
adepci zostali zaproszeni na ucztę. Nieopodal małej świątyni
Hathor jedli oliwki, świeże daktyle, rozkoszowali się
pieczonymi pantarkami, popijali czerwone wino i piwo z
jęczmienia. Spokojny już nurt Nilu, omywający wyspę
wielkiej bogini, był dla niej jak ochronna, lecz cenna
oprawa. Plisowane przepaski biodrowe braci i lniane tuniki
siostr lśniły bielą. Sabni miał na sobie skórzany fartuch
haftowany złotem, a Izis białą suknię na szelkach.
Przełożona z promiennym uśmiechem zwróciła się do
najstarszego z kapłanów, by ukrył swoje oblicze pod maską
lwa.

W taki sposób rozpoczął się obrządek, który miał skłonić

daleką boginię do powrotu z pustynnej samotni.

Adepci w procesji przenieśli żywność do wnętrza Przybytku Dobrego Spotkania, w którym przebywająca na wygnaniu bogini miała połączyć się ze wspólnotą, jeśli wypowiedziane słowa wzruszą jej serce. Połowa adeptów pozostała na miejscu. Zasmuceni trwali w pozycji klęczącej, przysiadłszy na piętach. Drudzy, pod przewodnictwem przełożonej, oddalili się od budynku, kierując się w stronę kiosku, gdzie leżały instrumenty muzyczne.

— Jesteśmy pogrążeni w smutku — oświadczył Sabni. — Światło zagubiło się gdzieś na czerwonych ziemiach, na których nic nie rośnie. Oko słońca, wyjęte z jego oblicza, uciekło na pustynię, by masakrować ludzi, którzy się tam ukryli, myśląc, że umkną jego złości.

— Przemawiam w imieniu ludzkości — powiedział Chrestos. — Czym przewiniła?

— Zapomniała o niebie, zdradziła reguły życia, wzgardziła tym, co święte. Istoty zaczęły oskarżać się wzajemnie. Zamiast stanąć naprzeciw bogów, ukryły się. Słońce oddaliło się od Ziemi. Jego żar, zamiast tworzyć, niszczył. Cierpienie zastąpiło radość.

— Kto ułagodzi daleką boginię?

— Wspólnota wyszła jej naprzeciw. Muzyką, śpiewem i tańcem spróbuje uśmierzyć jej gniew i skłonić ją do

powrotu tutaj, do jej świątyni. Jeśli jej się nie

powiedzie, zginiemy. Nie odróżni nas od

zbuntowanych i pożre z pomocą swych lwich kłów.

W pomarańczowym świetle gasnącego dnia rozległy się

dźwięki trójkątnej harfy, pękatego bębena, trąbki w kształ-

cie kielicha lotosu, fletu, cymbałów i grzechotek. Hałaśliwy

orszak zagrał rytmiczną melodię o wyraźnej intonacji. Dwie

siostry, jeszcze całkiem zręczne, wykonywały taneczne ruchy.

Poważne głosy braci rozpoczęły pieśń błagalną do przeraża-

jącej lwicy, prosząc ją o przyjęcie miłości wspólnoty. W daw-

nych czasach oswojona małpka grała na lutni, a przed

muzykami biegła gazela.

Orkiestra zatrzymała się u progu świątyni, przed figurą

boga Besa, potężnego karła o grubiańskim obliczu. W jego

brzydocie adept winien był odkryć piękno. Donośny śmiech

Besa rozpraszał troski i rozjaśniał chmury; kto spotkał go na

swjej drodze, mógł być pewien szczęśliwego losu.

Wspólnota odśpiewała w skupieniu powolny psalm, bła-

gając daleką boginię o powrót w pokoju. Kiedy ucichła

muzyka, Sabni stanął przed adeptami.

— Czy wśród was świeci oko słońca?

— Szukaliśmy go i znaleźliśmy je — odpowiedziała har-
fistka.

— Czy skończyła się masakra ludzkości?

— Będzie trwała, dopóki oko nie spocznie w świętym miejscu.

— To miejsce zbudowaliśmy własnymi rękami.

— Wskaż mi jego imię.

— To wyspa wielkiej bogini. Słońce jest obecne w jej sanktuarium w dzień i w nocy.

— Kto uspokoi złość oka?

— Ja, przełożony świątyni.

— Jak chcesz tego dokonać?

— Przez znajomość boskiej natury.

— Jakie jest imię oka?

— To-które-tworzy. Wzrok światła tworzy istoty i rzeczy.

— Jak zowie się bogini?

— Przerazająca-która-stanie-się-uśmiechem, Daleka-na-szemu-sercu, Błysk-pierwszej-gwiazdy.

— Co chcesz jej ofiarować?

— Przygotowaliśmy dla niej ucztę. Adepti złączą się z nią, szczęśliwi, iż została odnaleziona.

— Czy potrafisz ją rozpoznać, jeśli stanie przed tobą?

— Niechaj ukaże się wspólnocie, która chyli czoła przed jej urodą.

Członkowie orkiestry rozstąpili się. Okrutna maska lwa wysunęła się przed wszystkich. Zwiastowała gorączkę, dyzenterię, ślepotę i głód; gdyby zwyciężyła, cuchnący

wiatr pełen miazmatów zmiótłby świątynię z powierzchni ziemi.

— Nie boję się ciebie — oświadczył Sabni. — Jesteś postrachem przerażonych. Odsuń się z drogi bogini.

Maska zniknęła. Pojawiła się Izis, potrząsając sistrum, którego metaliczny dźwięk odpędzał demony opóźniające jej marsz. Powieki pomalowała zieloną szminką, a jej biodra oplatał szeroki czerwony pas. Korona z dwoma wysokimi piórami okalającymi słońce, którą miała na głowie, rozświetlała drogę wiodącą ją z głębi pustyni do świątyni.

— Ty, złoto bogów i uśmiech stworzenia, połącz się z tym kamiennym ciałem. Rozświetl je twą miłością bez granic, daj mu życie, siłę i spójność.

W chwili gdy Izis wchodziła do przybytku, zawahała się. Czy rytuał został odprawiony z wiarą pierwszych wieków? Czy wspólnota wydobyła z siebie energię budowniczych, których pobudzały czekające ich najtrudniejsze zadania? Kapłan w masce lwa zagrał na flecie poważną melodię; ogień zachodu słońca wypełnił przybytek wezwaniem światła z zaświatów. Przerażająca zamieniła się w Dobroczynną.

Izis zbliżyła się do siedziby Hathor w chwili, gdy Sabni rozpałał pochodnię — ogień wracał do ognia.

— Powróciłaś do swoich. Świątynia zmartwychwstała.

— Możemy zapłacić — stwierdził Sabni. — Przełożona odda ci napierśniki, naszyjniki, kolie i pierścienie.

— To nie wystarczy — odrzekł Teodor.

— Czy nie twierdziłeś, że wszystko można kupić?

— Nie sprawiedliwość.

— Jak śmiesz nazywać „sprawiedliwością” ten szaleńczy wyrok?

— Istnieją dowody. Chrestosa uznało za winnego zgromadzenie obywateli. Nawet mnie tam nie było.

— W ten sposób nikt nie będzie kojarzyć twojego imienia ze zbrodnią.

— Chrestos ukradł i uciekł. Jeśli nie oddasz go kościelnej jurysdykcji, eremici staną na czele rozwścieczonego tłumu i zaatakują File.

— Chcesz, abym porzucił brata i posłał go na okrutną śmierć.

— Popęłił niewybaczalne zbrodnie. W moim więzieniu będzie bezpieczny. Gniew ludu uspokoi się.

— Razem z innymi zostanie deportowany, poniżony, poddany przymusowej pracy i zginie w kopalni, jak giną tam dzieci i starcy.

— Czy jestem przyczyną jego upadku? Kiedy wybierał File, wiedział, co ryzykuje. Albo zginie on, albo cała

wspólnota.

— Czy to ty mówisz, Teodorze? Na pewno ty?

— Nie, Sabni. To jest wola Boga.

Sabni długo ścisnął Izis w ramionach. Wyrok przeciw Chrestosowi miał się uprawomocnić przed upływem dwóch dni. Sabni miał wydać zbrodniarza policjantom.

— Odwołajmy się do patriarchy Aleksandrii.

— Jeśli nawet zdobędziemy szybkiego posłańca, to tydzień drogi... i pewność, że wyrok sądu Elefantyny zostanie potwierdzony.

— Nie ma zatem żadnego trybunału, który mógłby odwołać ten wyrok?

— Żadnego.

— Nie poddamy się — powiedziała Izis.

— Przyjdą tu i zgarną nas wszystkich.

— A gdyby ochroniła nas wielka bogini? Gdyby przeszkodziła im przebyć ten przesmyk, który dzieli nas od zepsutego świata? Brońmy się, Sabni. Nasza wolność jest bardziej gorąca niż ogień, bardziej nieuchwytna niż wiatr. Jeśli zrezygnujemy, zgotujemy sobie los gorszy od śmierci: utracimy życie.

Chrestos wyrył na brzuchu skarabeusza ważny tekst; pozwalał on sprawiedliwemu przejść przez pierwszą bramę zaświatów. Na pytanie nieugiętego strażnika należało od-

powiedzieć: „Moje serce jest sercem boskiej światłości. Nie przestajesz być żywy wiecznie i na zawsze; będziesz stawał się młodszy poza czasem". Od kiedy pracował w świątyni, młodzieniec pozbył się uczucia niepokoju, który zatruwał jego chłopiące dni. Nawet kiedy uciekał w pola poprzegradzane groblami, kiedy chował się w gęstwinie tamaryszków, w sykomorowym lesie czy na bagnach porośniętych ciborą, nie potrafił znaleźć spokoju. Na świętej wyspie nie miał już ochoty uciekać. Z pomocą umysłu, prawdziwego pana tego miejsca, uchwycił świt. Ta poświata początków stała się jego własnością.

Zazwyczaj Sabni odrywał go od pracy wołaniem na kolację. Tego wieczoru pracę rzeźbiarzowi przerwał zapadający mrok. Zaintrygowany oczyścił narzędzia, odłożył skarabeusza na granitową skałę i pobiegł w kierunku jadalni, która znajdowała się w pobliżu świątyni Hathor.

Bracia i siostry jedli w milczeniu. Groch w ustach przełożonego miał smak gliny, piwo zaś podobne było do skisłej wody. Chrestos usiadł obok niego.

— Skąd ten smutek?

Adepci wstali jeden po drugim i wolnym krokiem oddalili się do swoich domów. Tylko Izis i Sabni pozostali na miejscu.

— Czy zasłużyłem sobie na wasz gniew?

— Jesteś nadzieją naszej wspólnoty.

— Dlaczego ode mnie uciekacie?

— Kto odważy się powiedzieć ci prawdę?

Chrestos rozglądnął się wokół siebie. Błękitna woda drżała w podmuchach wieczornej bryzy, a mury zdawały się spokojne i nie do pokonania.

— Ty się odważysz.

— Nienawidzę swojej funkcji. Sabni

poczuł na sobie spojrzenie Izis.

— Co mi zarzucają?

— Kradzież dóbr kościelnych. Istnienie niezbitych dowodów przyspieszyło wydanie wyroku: biskup domaga się, abyśmy cię wydali.

— Jaki los mnie spotka?

— W najlepszym wypadku dożywotnie więzienie. W najgorszym deportacja i przymusowe roboty.

— A jeśli ukryję się na wyspie?

— Przybędą tu eremici ze swoimi sprzymierzeńcami.

— Czy uwierzyłeś w te oskarżenia?

— Sam bym cię przegnał.

— Jaką podjąłeś decyzję?

— Jak możesz się nad tym zastanawiać? Będziemy cię bronić aż do ostatniego tchnienia.

— Kiedy przyjdą?

— Jutro, kiedy słońce osiągnie szczyt swej drogi.

Chrestos wyciągnął przed siebie miskę.

— Jestem głodny.

Izis podała mu jedzenie. Młody adept jadł z apetytem.

— Wasza determinacja nie wystarczy, by ich oddalić.

— Jeśli staniesz w moim cieniu, nie będziesz się musiał niczego obawiać. Gdyby podnieśli rękę na przełożoną File, skazaliby swe dusze na wieczne błędzenie.

Nigdy, w całej historii Egiptu, nie doszło do takiej zniewagi.

Młody adept z szacunkiem popatrzył na Izis.

— Jutro pozostanę w świątyni. Pojutrze i na wieki także.

Uśmiech Izis zgasł w mroku nocy. Chrestos napił się świętecznego piwa.

Ziarno umierało w ziemi w ciszy żyznego namułu; człowiek nie odgrywał żadnej roli w tym misterium o niezmiennych słowach. Na granicy upojenia Chrestos pomyślał o hymnie zakrytej świątyni, poświęconym Izydzie mieszkającej wśród gwiazd, skąd dusza czerpała nadzieję, wygrywając ze śmiercią.

Wdrapał się na szczyt pierwszego pylonu i dotknął wskazującym palcem każdego ze znaków wyrytych na ścianach schodów. Ptaki, drzewa, kosze ożyły w ciepłe jego ręki i przeszły razem z czytającym na szczyt świątyni.

Chrestos chciał nacieszyć się świtem niczym koziołek ska-

czący z radości, gdy widzi pierwsze promienie zmartwych-
wstającego słońca. Miał przed sobą długą drogę, liczne bramy
do przebycia, ciężką pracę do wykonania. To prawda, jego
umysł uwolnił się; jednak próżność, jeśli nie będzie się strzegł,
zwycięży te pierwsze porywy. Wymagać całkowitej perfekcji
dzieła, nie wierząc w doskonałość człowieka — nigdy nie
zapomni nauki, którą otrzymał od wspólnoty wypełniającej
jego istnienie. Tylko całkowity dar z siebie samego, poza
powodzeniem czy klęską, obudzi wrażliwość godną nieśmier-
telnego bractwa obecnego w sercu każdego kamienia.

Nie, nie był jedyną nadzieją File. Jakże świątynia
mogłaby ucieleśnić się w jednym człowieku? Przeciwnie —
to on zagrażał życiu adeptów, wywołując wściekłość
chrześcijan. To, że padł ofiarą najoliydniejszej
niesprawiedliwości, nie
miało wielkiego znaczenia. Jego zachowaniem rządziła mi-
łość do świętej wyspy.

Chrestos nappełnił wzrok sanktuarium, nad którym światło
zwyciężało cienie konającej nocy. Niebawem Sabni i Izis
wejdą do naosu i spokojnie obudzą boską moc. W tym
jesiennym dniu, cztery tysiące lat po narodzinach Egiptu
faraonów, File stała spokojna i niezmienna. Jego braterskim
obowiązkiem było chronić ją i usunąć tego, kto jej zagrażał.
Chrestos skoczył w przepaść ze szczytu pierwszego pylonu.

Tłum gapiów powiększał się na każdym skrzyżowaniu i podążał za idącym spokojnie mężczyzną, który niósł w ramionach dziwny ciężar. Przełożony zatrzymał się przed siedzibą biskupa i położył przed strażnikami na kamiennym progu zwłoki Chrestosa owinięte w biały całun. Widać było tylko jego piękną, spokojną twarz.

Zwabiony hałasem biskup wyszedł z biura. Tłum umilkł, kiedy się pojawił. Teodor podszedł do zwłok i przyklęknął na jedno kolano.

Podniósł oczy na Sabniego.

— Nie pragnąłem tej śmierci.

— Ofiarował swoje życie, by uratować File. Czy ta ofiara jest wystarczająca?

W oczach przełożonego nie było nienawiści, lecz tak straszny bunt, że nie sposób go wyrazić słowem.

— Nie chciałem tego, Sabni.

— Pozwól mi go pogrzebać według naszych rytuałów.

— Nie! — krzyknął pustelnik Paweł, podnosząc do góry kij. — Poganin musi zostać spalony. Niechaj jego ciało rzucą mieszkańcom pustyni.

„Zjadacze trupów”, bo tak nazywał ich lud, mieszkali na pustyni, z dala od ludzkich siedzib. Chowali biednych i zajmowali się trupami zbrodniarzy i złodziei. Sabni miał na-

dzieję uniknąć tego ostatniego upokorzenia.

— Ten poganin został osądzony i skazany — oświadczył

Paweł. — Nie należą mu się żadne przywileje.

Tłum poparł go.

— Czy sprzeciwisz się temu barbarzyństwu, Teodorze?

— Musisz poddać się prawu bożemu, Sabni. Do mnie

należy dbać, by je szanowano.

— Nie mieszaj Boga do tej niegodziwości.

— Fala nienawiści jest zbyt silna. Uprzedzałem cię: mury

zaczęły się kruszyć. Wyjedź, przyjacielu; zmień wrogi

los.

Przełożony nie powrócił na File. Zmuszony do pozostawienia

zwłok Chrestosa ludzkim drapieżnikom, udał się

do porzuconych kamieniołomów na wschodnim brzegu. W

tym smutnym, pustym od dziesięcioleci miejscu panowała

strasзлиwa spiekota. Północny wiatr rozbijał się o granitowe

grzbiety, z których mistrzowie faraona czerpali wspaniałe

kamień przeznaczony na budowę świątyń. Budowniczo

piramid nie wahali się pokonywać wielkich odległości dzie-

lących Memfis od Elefantyny, by wycinać gigantyczne bloki,

które barki przewoziły na północ.

Sabni zatrzymał się przy nie ukończonym obelisku. Naj-

większy monolityczny blok kamienny, jaki kiedykolwiek

wycięto ze skały, pozostał jednak jej więźniem z powodu

szczeliny, która nie pozwoliła mu opuścić kamieniołomu.

Grecy zmierzili go: miał 42 metry długości i ważył 1200 ton.

Setki ludzi gięły karki, by zdjąć zeń zewnętrzną warstwę pokrywającą wyjątkowo piękny różowy granit, sjenit, dioryt i kwarc.

Ten krajobraz, pełen rozrzuconych skał i nie dokończonych monumentów, uświadomił Sabniemu, jak niepełna, nie dokończona była jego własna historia. Zapomniane kamieniołomy, skazana wspólnota budująca chwałę Zasad... Na pełen jasności świat faraonów spadła ciemna zasłona. Kilka metrów od pielgrzyma kolosalny posąg na próżno próbował oderwać się od swego kamiennego całunu.

Ramzes II, w białej koronie na głowie, z berłami w rękach skrzyżowanych na piersi, wyczekiwał na rzeźbiarza, który potrafiłby uwolnić go od zbędnego materiału. Sabni zapragnął chwycić za młot i dłuto, pomóc zmarłemu królowi, udowodnić, że jego oczy mogą widzieć, a usta mówić. Odrzucił tę myśl, uświadomiwszy sobie ogrom zadania.

Przeczytał inskrypcję wygrawerowaną na rozbitej steli:

Kimkolwiek jesteś, staraj się zasłużyć na pochwałę swojego boga; będziesz mógł w pełni cieszyć się swoją funkcją i przekazać ją następcy, chroniąc spokój swojego serca.

Te ponadczasowe słowa były skierowane do niego. Tkwił

w więzieniu, z którego już nie wyjdzie — tak jak kolos.

Napis pokazywał drogę — jedyną, jaka mu pozostała.

Przekazać. Nigdy przełożony wspólnoty nie będzie swoim własnym panem; liczyły się tylko jego funkcja i służba współbraciom. Zadawanie sobie osobistych pytań zakrawało na zdradę. Tymczasem w pozbawionym sprawiedliwego słowa świecie, który zapomniał o Regule, serce człowieka troszczyło się wyłącznie o siebie.

Zapowiadała się zimna noc. Kolos zdawał się kurczyć: ze wszystkich stron opadły go ciemności. W chaosie minerałów zginął zarys dróg. Niebawem nawet najbardziej doświadczony podróżny zgubi drogę i nie potrafi wyjść z kamieniołomów. Sabni usłyszał wołanie kamiennej pustyni, naprzeciw której wznosiła się ozdobiona jedynie kilkoma zielonymi akcentami katarakta, zapowiedź Afryki. Czy ktoś mógł się spodziewać w tym jałowym labiryncie zielonych dolin i złocistych pól?

Samotność, bardziej chropawa od granitowej skały, przylgnęła do jego ciała jak mokre ubranie. Tylko miłość do Izis nie pozwalała mu uciec i przekonać siebie samego, że uratuje wspólnotę, gdy ją opuści. Nikt inny, tylko on był przyczyną prześladowań Teodora i nienawiści Pawła. Jeśli Sabni zniknie, nikt nie będzie myślał o atakowaniu File; prawdziwa odwaga polegała na wycofaniu się. Uznając, że sama jego

obecność działa na ich szkodę, udowodni braterską więź
współwyznawcom.

Odwróciwszy się plecami do Nilu, Sabni wszedł w labirynt.

Jeszcze kilka kroków i stanie się nomadą. Wyzwoli się ze
wszystkich więzów, dojdzie do granic wielkiego Południa,
trafi do miejsca, gdzie rzeki wpadają do przepaści i gdzie nie
żyje żaden człowiek.

Pochylając się, odkrył u swych stóp martwego sokoła ze
złożonymi skrzydłami. Sabni wykopał w ziemi grób za
pomocą skalnego odłamka i złożył doń Horusowego ptaka,
syna Izydy, który przybył z nieba i chciał tam powrócić.

Według nauk świątyni, oczy drapieżnika siedzącego na
skałach przestworzy widziały szczyt na zawsze ukryty. Stał
na straży sanktuarium bogów, zbudowanego ze światła i
miłości, modelu dla ludzkich budowli.

Przełożony natknął się na swojego własnego trupa. To
były zwłoki istoty, która odeszła w przeszłość. Ale w wiecznie
żywych oczach sokoła widać było właściwą drogę.

Izis stała na przystani w świetle księżyca. Łódź

bezglóśnie dobiła do brzegu; Sabni zacumował ją i podszedł
do małżonki.

— W świecie bogów nic się nie dzieje — powiedziała. —

Nic nie wiedzą o wydarzeniach, które musimy
przeżywać. Nie wiedzą o chwilach szczęścia i

nieszczęścia, które miotają nami jak dziecinną
zabawką.

— Isis, gdybyś wiedziała...

— Próba porzuconych kamieni... każdy z przełożonych
musiał ją przejść. Wróciłeś, Sabni, a ja cię kocham.

Izis nie wstała: silna gorączka nie pozwalała jej podjąć rytualnych obowiązków. Kiedy tylko Sabni wyszedł z naosu, w którym co ranka budziła się wielka bogini, wrócił do łóżka swojej żony. Tylko ona znała sekrety sztuki leczenia. Nie miała jednak dość sił, by zająć się sobą. Jej nagłe znużenie zaniepokoiło Sabniego.

— Znasz lekarstwo?

— Mój duch jest równie słaby jak ciało, energia rozprasza się niczym letnia mgła nad Nilem... Po drugiej stronie, na Zachodnim Brzegu, bogini będzie gościnnie. Nie boję się jej; tyle razy rozmawialiśmy ze sobą i rozumialiśmy się.

— Nie! Nie masz prawa się poddawać.

Sabni wziął Izis w ramiona i zaniósł ją do małej świątyni Imhotepa uzdrowiciela. Kiedy ludzka medycyna okazywała się nieskuteczna, należało zwrócić się do mędrca, który za życia wszedł pomiędzy nieśmiertelnych. Z niewidzialnego świata czuwał nad pięknem świątyni i zdrowiem swoich następców.

Przełożony położył chorą na posadzce kaplicy, którą Rzymianie nazwali „sanatorium” — jeden z senatorów, sparaliżowany, tutaj chciał odzyskać zdrowie. Przysiągł, iż zachowa milczenie na temat tego, co zobaczy i usłyszy.

Wyjechał uleczony.

— Ujmij moją prawą rękę — poprosiła Izis.

Zawsze wiedziała, że śmierć przyjdzie do niej z tej właśnie strony; obecność Sabniego mogła ją przepędzić. Z otwartą lewą dłonią, z zamkniętymi oczami, ledwo wyczuwalnie oddychając, przełożona wsłuchała się w śpiew kamieni.

Niektóre pochodziły z Gizy, inne z kamieniołomów w Tura, Dżebel Silsile czy Elefantyny; na północy i na południu tworzyły istotę świątyń i tych miejsc, w których duch nie przestanie nigdy promieniować, nawet wtedy kiedy barbarzyństwo spróbuje spuścić nań zasłonę ignorancji i ciemności.

Kiedy Izis zobaczyła hieratyczną twarz Imhotepa rozświetloną od środka, podniosła się, by okazać mu szacunek. Sabni podtrzymał ją — jej spojrzenie znowu wyrażało chęć życia.

Sabni zebrał członków wspólnoty i zapowiedział, że chce podjąć prace w sanktuarium Imhotepa. Piekarz przypomniał, że na File nie trafiły od dawna żadne materiały budowlane i że na wyspie nie odważy się pracować żaden ociosywacz kamieni. Przełożony rozwiązał lęki i wątpliwości: zdolni do posługiwania się narzędziami adepci niech na miejscu uczą się zawodu. Chrestos wskazał drogę — niech okażą się go godni. Kamienne ciosy miały pochodzić z przeszłości. Do

wzniesienia nowej budowli posłuży stara rozebrana kaplica.

Powinni postępować tak, jak postępowali ich przodkowie.

Projekt dodał sił tym, którzy rozpaczali nad śmiercią najmłodszego z nich. Zapominając o wieku i chorobach, wzięli się do dzieła pod kierunkiem wymagającego przełożonego, który traktował ich tak, jak traktuje się uczniów.

Jego surowość, zamiast zniechęcić, zapaliła ich do pracy.

Izis organizowała dni swoich sióstr z taką samą surowością: od świtu do zachodu słońca odbywały się rytualne praktyki, badanie świętych tekstów, produkcja lin i małych miedzianych nożyc, przygotowywanie posiłków,

obserwowanie nieba. Sokół, w którego wcieliła się dusza

Chrestosa, latał wokół pierwszego pylonu, jakby chciał chronić plac budowy. Zataczał olbrzymie koła, które wyznaczały rytm pracy.

Krzyk przerażenia położnej postawił na nogi całą dzielnicę. Sprzedawczyni ciastek umarła w potwornych konwulsjach. W dodatku urodziła dziecko z głową węża. Ojciec oszalał, ściął dziecku głowę, a sam roztrzaskał sobie czaszkę o ściany domu. Od chwili zgonu Chrestosa, którego zwłoki rzucono nekrofagom, Elefantyna żyła w strachu. Na miasto spadła cała plaga złych znaków. Ktoś zatrzał wodę w dwóch najczystszych źródłach. W bogatej dzielnicy pojawiły się szakale i rozszarpały małego chłopca. W kościół uderzył

piorun i zniszczył większą część dachu.

Teodor z ambony próbował uspokoić ludność. Paweł i jego eremici oskarżali File o wywoływanie gniewu Bożego i diabelskiej złości; dopóki przeklęta wyspa będzie odprawiać bezbożne ceremonie, bluźniąc przeciw Panu, dopóty diabeł będzie krążyć.

Biskup przestał panować nad wojskiem; wprawdzie nikt się nie buntował, ale też i nikt nie wykonywał rozkazów.

Paweł zasiał ziarna przemocy, której lud potrzebował: jak długo jednak obejdzie się ona bez ofiar?

Im bardziej staczała się Elefantyna, tym pełniej rozkwitała File w spokoju zrodzonym z rozpoczętego dzieła.

Nawet powolność postępów pozwalała je lepiej docenić. Cała wspólnota była informowana o każdym indywidualnym osiągnięciu. Adeptci, znajdując siłę we wspólnym trudzie, wyzwoleni od najmniejszej nawet chęci dominacji, obojętni na upływający czas, hojni aż do wyczerpania, odkrywali w sobie dzień po dniu nieznane możliwości. Obtarte ręce i obolałe plecy pozwalały siostronom wypróbować ich uzdrowicielskie moce. Jedno serce i jedna jedyna wola: bractwo odżywało.

Teodor liczył na jego powolny upadek po samobójstwie Chrestosa. Czyż nie było skazane na wymarcie, skoro nie wolno było mu przyjąć żadnego neofity? Każda rozsądna

istota musiała przyznać, że partia była przegrana. Pokładać ufność w wielkiej bogini, która pozwoliła gasnąć wspólnocie

swoich wiernych, granaczyło z szaleństwem. Gdyby Sabni wyzwolił się od wpływu Izis, wróciłby na drogę rozumu.

Jednak przełożona zaczarowała go i prowadziła na pewną zgubę. Schwytany w sieć diablidy o anielskiej twarzy, wcale nie chciał z niej uciec.

Tak rozumując, biskup próbował przekonać sam siebie o szaleństwie przyjaciela. Jednakże jakiś wewnętrzny głos sprzeciwiał się temu rozumowaniu. Przypominał rzecz nie do wybaczenia: że przecież odczuwa podziw dla Izis, a nawet szacunek dla kobiety, która tak jak on, poświęciła się temu, co boskie. Musiał bronić się przed piekielną pokusą: przyznaniem, że pogańską wiarę można było uchronić i przekazać innym. Poprzez objawienie jedyne Boga ludzkość przekształciła się, porzuciła pogańskie mroki, kierując się ku niebiańskiemu Jeruzalem, do rajy sprawiedliwych. Egzaltowany Paweł nie mylił się, gdy twierdził, iż uwodzicielski urok kobiety jest bronią szatana. Podziwiając Izis, upajając się jej urokiem, patrząc, jak się porusza, żaden chrześcijanin nie będzie długo bronił się przed pocałunkiem wielkiej bogini.

Oślonić File i odrzucić fanatyzm Pawła: biskup, między

młotem a kowadłem, źle znosił ukochaną do tej pory samotność. Sabni miał szczęście żyć u boku kobiety, która dzieliła jego najskrytsze namiętności, rozpraszała troski i ofiarowywała mu słodkie porozumienie miłosnych nocy. Ataki biskupa rozbijały się o mury tej fortecy.

Dawna kaplica odżywała w nowym sanktuarium, które wznoszono na chwałę przodka Imhotepa. Adeptci instynktownie odnajdywali zapomnianą wiedzę. Cięli kamienne bloki, przygotowywali je i podnosili z żarliwością, która zastępowała brak doświadczenia. W salach świątyni znowu unosił się duch wieczności; wrogi świat oddalił się z biegiem Nilu, a odgłosy z Elefantyny rozpraszały się z nastaniem świtu.

— Czego pragniesz, Sabni?

— Żeby jutrzejszy dzień nie nadszedł.

— Popatrz na naszych braci i siostry: nowe dzieło ich odmładza.

— Gdybyśmy mogli zatrzymać światło nad pierwszym pylonem, a przyszłość utopić w katarakcie...

— Nie trać nadziei, moja miłości. Niech twoja nadzieja ma moc ognia i cierpliwość wody. Zniszcz czas, skrusz go jak kamień niegodny wznoszonej budowli.

W rozgrzanym powietrzu całe chmary komarów atakowały śpiących ludzi, roznosząc gorączkę. Dziwiąc się tej

niezwykłej spiekocie, która przeszkadzała poruszać się, a nawet oddychać, nikt nie zapomniał o złowróżbnych przepowiedniach. Tylko biskup cieszył się, widząc, jak topnieje zapal eremitów. Na próżno wzywali ludność do unicestwienia przeklętej wyspy. Rozczarowani schronili się przed żarem w grobowcach na Zachodnim Brzegu.

Nikt, nawet Paweł, nie sprzeciwiał się władzy biskupa.

Jednak Teodor wahał się: nie mógł wybrać pomiędzy brakiem litości a miłosierdziem. Zupełnie stracił zapal młodego kapłana, który nie idzie na żadne ustępstwo. Sabni był jego klęską. Gdyby go nawrócił, zmieniłby swój i jego los; jakieś drzwi otwarłyby się w zaświatach, a Bóg skierowałby ku nim swoje oblicze. Za wiele istot, za wiele myśli, za wiele rytuałów stanęło między przełożonym File a biskupem Elefantyny.

Czy Bóg nie wprowadzał w błąd świata przyszłości, każąc wyrzec się przeszłości i burzyć świątynie? Kraj faraonów, matka całego świata, poddawał się prawom pozbawionym geniuszu, mdłej sztuce, mówił językiem bękartów. Przyjmując chrześcijaństwo, utracił potężny dech młodości i świeżość wieku dojrzałego. Jeśli Chrystus zostanie wygnany z ziemi, na której znalazł schronienie, jaki najeźdźca zagarnie jego miejsce? Barbarzyńcy szykowali się do rozczłonkowania Zachodniego Cesarstwa niemal pod okiem Bizancjum. U granic Egiptu stały plemiona z Półwyspu Arabskiego,

spoglądając z pożądaniem na żyzne ziemie. Biskup, będąc świadkiem Objawienia, nie miał prawa wątpić o swojej misji.

Nie mógł brać pod uwagę własnej słabości i niepokojów.

Patrzył ze swojego tarasu na miasto. Kochał je jak ojciec: wille z kolorowymi ogrodami, niewielkie białe domki rzemieślników, lepianki biednych współistniały obok siebie w łagodnym świetle jesieni, pod okiem Chrystusa. Ruchliwe uliczki tętniły gwarem. Stoły kupców na targu uginały się pod ciężarem żywności.

Do uszu biskupa dotarły echa sprzeczki. Nie zdziwiły go: zanim dzień się skończy, kupujący i sprzedający jeszcze nieraz się gwałtownie pokłócą. Ale kiedy wchodził do biura, dobiegły jego uszu niezwykłe krzyki. Jakaś kobieta z rozwianym włosom biegła, krzycząc, w kierunku biskupiego pałacu.

— Blemiowie! Blemiowie atakują!

Blemiowie zaatakowali Elefantynę w samym środku dnia, rzucając od razu do decydującego ataku tysiące ludzi. Oszołomieni palmowym winem nubijscy wojownicy natarli na fortyfikacje. Murzyni, w przepaskach ze skóry na biodrach, z odsłoniętą piersią, sądzili, że z łatwością wdrapią się na palisady i obejdą skierowane przeciw nim ostrza. Szybko musieli uznać swą porażkę i rzucili się do bezładnej ucieczki.

Biskup rozkazał kawalerii zaatakować napastnika z lewej flanki, lecz konni siekli przed sobą pustkę: Blemiowie rzucali się na ziemię, wieszali na końskiej uprzęży, rozcinali końskie brzuchy i zrzucali jeźdźców z siodeł. Nawet najzręczniejszym nie udawało się stratować nieuchwytnych wojowników, przyzwyczajonych do atakowania gołymi rękami drapieżników. Ciężkie zbroje nie pozwalały na stawianie oporu napastnikom.

Biskup nie stracił nadziei pomimo porażki; obrona trzymała się nieźle. Nieprzyjaciel znieruchomiał, a po bitewnej wrzawie nastąpiła cisza. Potem wrogie szeregi załamały się i wydoستاła się zza nich dziwaczna armia: stado słoni, które prowadzili do boju siedzący na ich grzbietach łucznicy. Zwierzęta, których ryki wprawiły ludność w przerażenie, zmusiły ostatnich kawalerzystów do ucieczki, po czym zaczęły miażdżyć palisady i ostre pale. Tych, którzy usiłowali zatrzymać je

w marszu, przebiły strzały albo zdeптаły nogi olbrzymów.

Ocalali usiłowali znaleźć schronienie za ostatnią linią umocnień zbudowanych z ruin fortecy i skalnych bloków pozyskanych z rozebranych świątyń. Biskup, który stał na czele rozbitej armii, gotów był walczyć aż do śmierci.

Zza słoni wyłoniły się setki Blemiów odzianych w zbroje z powiązanych ze sobą płytek brązu i żelaza. Poruszali się z łatwością dzięki zcszyciom, które pozwalały zachować giętkość przegubów. Innych chroniły tuniki wykonane z łusek: zasłaniały ich od głów po kolana. Ich twarze były jak twarze demonów, które wydostawały się z ziemi, kiedy umierał stary rok.

Mijały nie kończące się minuty.

Chrześcijanie drżeli. Gdyby nie obecność biskupa, rzuciliby się do ucieczki. Blemijska armia wciąż rosła. Przybyli zewsząd czarni wojownicy przygotowywali się do ostatecznego szturm. Młody żołnierz uległ załamaniu nerwowemu i chwycił Teodora za rękę.

— Nie chcę umierać.

— Zaufaj Bogu.

— Za bardzo się boję!

— Ja także się boję. Nasze ciało boi się ofiary; nasza dusza się jej nie obawia.

Nubijskie wojsko, w końcu zebrane w całość, zatrzymało

się o sto metrów od swych przyszłych ofiar. Słonie przestały trąbić. Przed szeregi wysunął się wielki kapłan Blemiów, odziany w skórę pantery. Miał ogoloną głowę, a czoło namaszczone siedmioma świętymi olejami; w ręku trzymał długi pozłacany kij.

— Niech biskup Teodor wyjdzie mi na spotkanie.

— Nie idź! — krzyknął trzymający się kurczowo biskupa żołnierz. — Mogą cię zmasakrować!

Teodor uwolnił się i wspiał na stos kamieni, szaniec ostatnich obrońców Elefantyny. Czerwona szata obszyta złotymi nićmi zaśniła w słońcu. Podeszedł do wielkiego kapłana Blemiów i stanął metr od niego.

— Chrześcijanie! Zniszczyłeś sanktuarium Biga, po gwałciłeś sekret Ozyrysa i rozbiłeś na kawałki posąg naszego boga. Wzgardziłeś tajemnicą zmartwychwstania i skalałeś naszą wiarę. Dlatego dokonamy masakry bezbożnego i tchórzliwego ludu, którym rządysz. Sekta Chrystusa nie zasługuje na życie, skoro wywołuje tylko nienawiść.

— Poddaj się woli cesarza i prawu bożemu. Inaczej i ty zostaniesz zmasakrowany.

— Mówią, że jesteś odważny. A jesteś tylko ślepy.

— Po co te przemowy, skoro podjąłeś już decyzję?

— Nie jestem najemnikiem żądnym krwi, lecz wielkim kapłanem, którego Bóg znajduje się na File. Tylko

przełożona świętej wyspy może pobłogosławić moje
zwycięstwo nad złem.

Izis przyjęła delegację. Podczas gdy wzruszeni Blemiowie
podziwiali świętą wyspę, Teodor przemówił:

— Masz w swoich rękach los tysięcy ludzi. Na twój rozkaz
moi wrogowie zniszczą Elefantynę. Prowincja
zamieni się w spaloną ziemię, a szczęście opuści ją na
zawsze.

— Ale File będzie uratowana.

— File będzie uratowana... — powtórzył biskup.

Wreszcie zobaczył piekło, do którego prowadziły go
przyjaźń i własna słabość. Magia Izis nie działała w próżni
— jej wspólnota przyciągała niebezpieczne moce i trzymała
się z dala od prawdziwej wiary. Ta kobieta toczyła zacieklą
walkę przeciw prawdzie. Teraz triumfowała, doprowadziw-
szy do napaści wojowników o czarnych twarzach.

— Wielka bogini, matko boga, źródło życia, pani ducho-
wych ziem, których nikt nie przebiega, dobroczynna

czarodziejko, której słowa odganiają demony,

wysłuchaj mojego błagania — prosił wielki kapłan. —

Miejsce każdej z gwiazd zależy tylko od twej woli;

napełniasz nią nasze serca, koronujesz królów i

uświęcasz podboje. Błogosław nasze ramiona i miecze

moich wojowników.

— Ten, kto kroczy drogą mędrców — odpowiedziała przełożona — pędzi życie w radości i pokoju. Może żyć na starość w swoim mieście. Cieszy się szacunkiem w swojej prowincji, jego następcy przekazują jego naukę z pokolenia na pokolenie.

— Wszystko naznaczone jest berłem Izydy; nie ma takiej rzeczy, ani w niebie, ani na ziemi, w której nie miałyby swego udziału.

— Pójdź do świątyni.

Wielki kapłan zostawił Teodora pod opieką swych żołnierzy i ruszył za przełożoną.

Adepci, ubrani w białe szaty, powitali swego gościa.

Wielki kapłan ucałował każdego z nich, po czym wszedł do świątyni swego boga. Izis zaprosiła go do medytacji. Łaska, której dostąpił, wprowadziła go w stan egzaltacji: włączając się w tajemnicę na czystej ziemi File, nawiązywał do najbardziej szanowanej tradycji swojego narodu. Jakże wielką miał rację, że wierzył w Izydę i oczekiwał od niej zbawienia swojego ludu!

Wielki kapłan zapomniał o upływie czasu. Medytował aż do zachodu słońca i chłonał energię, która wypełniała mury kaplicy, gdzie żyła tradycja jego religii. Kiedy wyszedł ze świątyni, czekał na niego poczęstunek złożony z chleba i wina.

— File pozostanie nietknięta — stwierdził. — Jutro w prowincji nie będzie ani jednego chrześcijanina.

Żadna masakra nie będzie bardziej radosna.

— Nie będzie masakry.

Zdumieni adepci powstrzymali protesty. Dlaczego Izis odrzucała pomoc potężnych sprzymierzeńców i unicestwienie wroga?

— Cesarz nigdy nie pogodzi się z taką klęską — powie dział Sabni. — Elefantyna jest jedną z jego granic; przyśle tu wojsko, by zmyć zniewagę, pomścić śmierć biskupa i ogłosić supremację Chrystusa. Armia podąży za Blemiami do ich najdalszych kryjówek, a File zostanie zrównana z ziemią.

Oblicze wielkiego kapłana pokryło się smutkiem.

— Jestem ci winien posłuszeństwo. Czego żądasz?

— Podpisz pakt z prefektem — odpowiedziała Izis.

— Nie uszanuje go i dalej będzie zagrażać File.

— Oddalimy to niebezpieczeństwo, powierzając ci posągi, które czcimy. W twoim kraju nikt nie będzie mógł ich sprofanować. Chrześcijanie uznają, że bóstwa opuściły naszą wspólnotę i wyspę. Nie będziemy już ich prowokować.

Opuszczona świątynia przestanie drażnić umysły. My także zaznamy spokoju, a obojętność lepiej nas będzie chronić od najliczniejszej armii. Kto zamieszka na File, prócz kilku

starców tęskniących za przeszłością?

Ta wizja napełniła Sabniego entuzjazmem. Rezygnacja z kultowych posągów to bolesna ofiara, ale za sto lub tysiąc lat powrócą — jak bogini — z odległej Nubii. Milcząca File, z dala od dróg i zazdrości innych, po cichu zacznie przyjmować nowych adeptów i będzie rosła w cieniu triumfującego Teodora.

Przełożona zbliżyła się do biskupa, który stał pod tamaryszkiem pilnowany przez czarnych wojowników. Obrócił się do niej, nie kryjąc niepokoju.

— Co postanowiliście?

— Przecież wiesz, że wielka bogini jest panią życia, a nie śmierci. File pozostanie w sercu Elefantyny i nie będzie jej katem. Jedna i druga będą uratowane.

— Jaką magią się posługujesz?

— Magią daru.

Dwa wielkie statki pełne Blemiów popłynęły w stronę świętej wyspy. Nubijskie wojska cały czas stały naprzeciw oblężonych. Kultowe posągi przewieziono na pole bitwy i załadowano na grzbiety słoni. Patrzyli na to osłupiali chrześcijanie.

— File oddała ducha — skomentował jakiś oficer.

— Bez posągów — dodał jeden z sekretarzy biskupa — świątynia jest tylko pustą skorupą. Izyda umarła.

Teodor milczał. Patrzył na oddalające się słonie i szeregi Nubijczyków przekształcające się w długą kolumnę, która kierowała się na południe.

Wielki kapłan, w eskorcie stu żołnierzy, podszedł do biskupa.

— Będę na ciebie czekał jutro o świcie przy katarakcie.

Podpiszemy traktat pokojowy.

Mieszkańcy Elefantyny zaczęli wznosić głośne okrzyki na cześć Teodora. Obojętny na radosne śpiewy i organizowane na ulicach zabawy powrócił do biura. Czyż Izis i Sabni nie zrezygnowali z materialnego aspektu kultu, by chronić najcenniejsze dobro: ducha świątyni?

W miesiąc po odejściu Blemiów i podpisaniu stuletniego pokoju biskup wezwał Sabniego. Przyjął go w swoim ogrodzie, skąpanym w spokojnym blasku dobiegającej końca jesieni.

— Ty i ja wierzymy w zasadę przewyższającą człowieka.

Jesteśmy przechodniami, podróżnymi, pragnącymi odkryć krajobrazy, w których wiecznie złąkniona dusza poszukuje swoich źródeł.

— Twój Bóg nie śmieje się, Teodorze, lecz wykrzywia z

bólu na krzyżu, żałując, że został zamknięty w

ludzkim ciele. Nie chciałeś kroczyć śladami swoich

przodków, twoja religia zaś stała się współniczką

wulgarnego społeczeństwa, które czołga się po ziemi,

ogranicza świadomość, głosi chwałę jednostki i

niszczy wspólny zapał. To nie postęp, lecz choroba.

Sięgnij na nowo po mądrość świątyni, która kieruje

się ku niebu. Jest córką bogów, rozpowszechnia na tej

ziemi ich dobre uczynki i kieruje nas ku tajemnicy, z

której się wywodzimy.

Biskup podniósł wzrok na wysokie palmy, które zsyłały

cień na obu przyjaciół.

— Czy gardzisz mną do tego stopnia, by myśleć, że tobie

i Izis udało się mnie oszukać?

— W świątyni nie ma już żadnego posągu. Nawet posąg

wielkiej bogini, znajdujący się dawniej w czcigodnym

Przybytku, przebywa u Blemiów na wygnaniu.

— Byłem przy tym obecny, tak jak tysiące świadków.

Wprawdzie nie posiadacie już emblematów swoich

przodków, ale nigdy nie będziecie społecznością

profanów.

— Jak bez posągów odprawiać obrządki?

— Nawet jeśli naosy są puste, wasze serce wypełnia

nadal to samo pragnienie. Nie zrezygnowałeś, Sabni.

Twoja wiara pozostała nienaruszona. A jednak File

nikogo już nie przekona.

— Czego obawiasz się ze strony konającej wspólnoty?

— Że będzie jak alchemik i feniks; że odżyje po swojej

śmierci i zamieni się w nowe złoto.

— Pragniemy tylko spokoju i skupienia.

— Twój wzrok przeczy słowom. Zachowujesz się jak

zdobywca, a nie jak człowiek zrezygnowany. Oblicze

ukryłeś pod maską. Jakie są naprawdę twoje projekty?

— Znasz je, jeśli potrafiłeś rozszyfrować moją duszę.

— Zapomnij o tym, co stoi między nami, zapomnij o sza-

cie, którą mam na sobie. Bądź mi jak brat, jak jedyna

istota, w której pokładam całkowite zaufanie.

— Nic nas nie dzieli, Teodorze, lecz wszystko oddala nas

od siebie. Nie kroczy my tą samą drogą. Jeśli bogowie

będą nam przychylni, spotkamy się w tym samym

porcie.

Paweł oblegał siedzibę biskupa po każdej mszy. Teodor dopuszczał go przed swoje oblicze, ale eremita musiał na to długo czekać, co zawsze doprowadzało go do wściekłości.

W towarzystwie uczniów, którzy opuścili groby i grotty, domagał się nieustannie zniszczenia świątyni i wygnania wspólnoty, sojuszniczki Blemiów. Tej listopadowej niedzieli zachowanie Pawła stało się obelżywe.

— Wzywam cię do wyrwania ostatnich pogańskich korzeni.

— W przeciwnym razie?

— Odpowiesz za swą opieszałość przed patriarchą Aleksandrii.

— Fanatyzm niektórych jego wiernych wcale mu nie odpowiada.

— My, eremici, nie należymy do tych letnich, których Chrystus odtrąca.

— Bycie eremitą pociąga za sobą pewne obowiązki. Tymczasem twoja świta nie zawsze należy do armii Zbawiciela. Rozpoznaję dawnych skazańców, upadłych kupców, najemników wyrzuconych z wojska... Oto twoi wątpliwi sojusznicy.

— Wierzą w Boga i nienawidzą pogan. Nie interesuje

mnie ich przeszłość.

— Nie będę tolerował żadnych burd. Pamiętaj, że odpowiadam także za spokój wewnętrzny.

— Nie ma innego pokoju, niż pokój naszego Pana. Jak może on być zadowolony z istnienia świątyni, w której mieszkają dawne demony?

— Jest tam tylko maleńka wspólnota, która starzeje się, nie wywołując żadnych niepokojów.

— Nawet gdyby był tam jeden poganin, należałoby go zlikwidować.

Teodor wstał i okrążył pustelnika. Paweł był brudny, a jego zakurzone włosy sięgały połowy pleców. Miał na sobie baranią skórę cuchnącą zjełczałą oliwą.

— Chciałbym cię zrozumieć, mój bracie w Chrystusie.

Jego wierni pragną miłości i obawiają się nienawiści.

Jeśli masz w sercu nienawiść, twoje modlitwy to zwykłe inwektywy.

— Czyżbyś modlił się za pogan?

— Gdyby Bóg nie zmienił naszego spojrzenia, pozostalibyśmy poganami. Dlaczego nie prosić go o nawrócenie tych, którzy ciągle żyją w ułudzie?

— File to zażarty wróg.

— Izis uratowała nam życie. Gdyby nie ona, ludność Elefantyny zostałaby wymordowana, a miasto spalone.

— Szatański podstęp! Przełożona chciała tylko uratować posągi swoich bożków. Powinieneś był przeszkodzić w ich odjeździe. Z głębi Nubii będą nadal rozsiewać swoje miazmaty. Armia cesarza będzie musiała zgładzić Murzynów i rozbić te przeklęte wizerunki.

— Co wiesz o armii cesarza?

Paweł uderzył kijem w ziemię.

— Nadejdzie! Czy myślisz, że chrześcijanie nic nie robią?

Nasze męczeństwo nauczyło nas walki. Tworzymy łańcuch wiernych sięgający Aleksandrii i przebiegamy piaski, by informować Kościół o tym, co się tutaj dzieje. Jutro cesarz dowie się o wszystkim i zacznie działać. Będziesz musiał wytłumaczyć się ze swojego postępowania. Niepotrzebnie przystałeś na pakt z Sabnim; nie jest twoim przyjacielem, lecz wysłannikiem ciemności!

— A jeśli się mylisz?

— Odrzuciłby fałszywych bogów i poprosił o chrzest.

— Nie wiesz, co to miłosierdzie?

— Zostawiam je wierzącym, którzy, tak jak Chrystus, upadli na drodze i podnieśli się. Nasza wiara jest uniwersalna, Teodorze. Godząc się z istnieniem jednego choćby poganina, zdradzamy Boga. Jeśli nie chcesz uderzyć na swojego współnika, ramię Pana

zastąpi twoje ramię.

Odbudowa świątyni Imhotepa niemal dobiegła końca. Izis i Sabni zastanawiali się nad rysunkami, które miały ożywić mury i uwiecznić tradycję. Z braku posągów zdecydowali się na obrazy bóstw wyryte w kamieniu. Hieroglify, ożywione słowem i spojrzeniem, miały zagwarantować ciągłość rytuału.

Adeptów rozpierało poczucie dumy. Pomimo kiepskich narzędzi i braku doświadczenia udało im się kontynuować dzieło. Zgodnie z wymogami Reguły pozostawią ślad swojego pobytu na ziemi i namacalne świadectwo, z którego będą mogli czerpać ich następcy; łańcuch objawienia nie został przerwany.

Sabni z każdym dniem coraz bardziej podziwiał swoją żonę; namiętność otwierała ognisty horyzont, a królowała tam przełożona, odziana w światło, w żarze serca i zmysłów. Ich związek miał posmak wieczności, którą Izis ucieleśniała w codziennym życiu. W godzinach kiedy głos z zaświatów tańczył na wietrze, na twarzy kobiety rysowała się twarz bogini. Każda świątynia, jak mówiły dawne pisma, była niebem na Ziemi. Sabni w to nie wątpił. Tylko tutaj, nigdzie indziej, pielgrzym mógł doznać uczucia pełni, o którym zaświadczy przed sądem Ozyrysa, nie bojąc się Pożerającej i geniuszy gotowych ścinać głowy kłamcom i tchórzom. Izis

ofiarowała mu klucze do nie kończącego się szczęścia i nie
wygasającej radości. Czyż nie przypominała bogini ukrytej
w drzewie na Zachodnim Brzegu, skorej do podawania
świeżej wody, wody niewyczerpanej, którą z rozkoszą pił
podróżny w drodze do krainy zaświatów?

File chwyciła czas w sidła, Izis uświęcała go. Dusza się nie
starzała, a najprostsze nawet uczynki promieniowały jak
letnie gwiazdy. W przeddzień święta, w którym Izyda od-
twarzała ciało Ozyrysa, by je ożywić, wspólnota ponownie
mogła płynąć prądem budowniczych zdolnych przetwarzać
materię.

Na dwa dni przed Bożym Narodzeniem do przystani
dobiła łódź biskupa. Izis wyszła mu na spotkanie. W oczach
gościa widać było zatroskanie.

— Uratowaliście Elefantynę. Teraz ja chcę was uratować.

Tej nocy otrzymałem cesarski dekret: wspólnota File
musi zostać rozproszona.

— Eremici?

— Może już o tym wiedzą. Cesarski list, podpisany także
przez patriarchę Aleksandrii, donosi o rychłym
nadejściu korpusu ekspedycyjnego, którym dowodzi
bizantyjski generał.

— Popatrz na tę siedzibę ozdobioną złotem, z pułapem z
lapis-lazuli, na jej srebrne mury, podłogę z

akacyjowego drewna, drzwi z miedzi: musisz uznać, że

przynależy do twórczej zasady.

Teodor zaczął błagać przełożoną.

— Moje myśli nie mają znaczenia. Nie mogę przesunąć terminu. Opuśćcie wyspę natychmiast, błagam.

Sabni podszedł do nich, z rzeźbiarskim dłutem w dłoni.

Na fartuchu miał wapienne odpryski.

— Słyszałem, Teodorze.

— Przekonaj ją, jeśli ją kochasz.

— Gdzie mielibyśmy się udać?

— Mój statek jest do waszej dyspozycji. Płynicie na południe.

— Mamy schronić się u Blemiów? Cesarskie wojsko pójdzie za nami. Urodziłam się na File i nie mam zamiaru uciekać. Tę świątynię powierzono przełożonemu i mnie; będziemy chronić ją od bólu, niepokoju i niebezpieczeństwa.

— Wszyscy adepci będą mogli opuścić wyspę — dodał

Sabni — ale my nie opuścimy świętej ziemi.

— Jak mam was przekonać?

— Chodź ze mną, Teodorze.

Biskup posłuchał w milczeniu. Sabni otworzył przed nim

drzwi świątyni, opowiedział o płaskorzeźbach, opisał szcze-

gółowo kultowe obrządku i rytuały wtajemniczenia. Nie krył niczego z całej swej wiedzy.

— Teraznosisz w sobie ten umierający świat.

— To niepotrzebny skarb, bo sprzeciwia się mojej wierze.

— Przekazując ci tę mądrość, uwolniłem siły drzemiące

w kryptach świątyni. Zamienią się w twoje myśli, w

ptaki z wielkimi skrzydłami, które wzleczą w

przestworza. Ty, mój wróg nie do pokonania, staniesz

się moją nadzieją.

Izisa powiadomiła biskupa, że żaden z adeptów nie opuści

wyspy. Wspólnota podporządkowywała się decyzji swych

przełożonych.

Teodor wiedział, że słowa są już niepotrzebne; mógł jeszcze

spróbować przekonać bizantyjskiego generała, by oszczędził

życie istot, które wcale nie zagrażały wielkości Cesarstwa.

— Czy pamiętasz, Teodorze, wyryte na zachodnim

grobie

słowa księcia Saremputo, kiedy zmartwychwstał wśród bo

gów? „Dotykam nieba, moja głowa przebija firmament,

ocieram się o brzuch gwiazd, błyszczę jak one, doznaję

niebiańskiej radości, tańczę jak konstelacje”? Za jego czasów

świętowało całe miasto, żołnierze śpiewali z wieśniakami,

a starcy radowali się razem z dziećmi.

Przełożony i biskup uścisnęli się jak bracia. Teodor stanął

nieruchomo przed Izis.

— Nikt — powiedziała — nie dotrze do Zachodu, siedzi by istoty bez skazy, prócz tego, czyje serce praktykuje Regułę. Tam nie ma żadnej różnicy pomiędzy biednym a bogatym, albowiem waga i odważniki znajdują się w rękach pana wieczności.

Przełożona złożyła pocałunek na czole biskupa. Ten znak pokoju przepalił jego duszę.

Ostatni tekst spisany hieroglifami, modlitwa adresowana do Izydy, został wyryty w kamieniu File we wrześniu 437 roku. Na Boże Narodzenie 535 roku Sabni wyrył ostatnią płaskorzeźbę egipskiej cywilizacji: na nadprożu kaplicy Imhotepa naszkicował fartuch mistrza stworzenia i jego tron. Nie dokończył żadnej linii. Żadna twarz nie wyłoniła się z kamienia.

Wspólnota spaliła kulki kadzidła wewnątrz małego budynku. Wonny zapach miał oczarować nozdrza bogów, którzy pływali w barkach nocy i barkach dnia. Może kiedyś jakaś ręka chwyci za dłuto, by dokończyć pozostawione przez Sabniego niekompletne figury.

Kiedy przełożony cofnął się, by obejrzeć swoje dzieło, poczuł, jak wzrasta w nim bunt. Tyle jeszcze zostało do stworzenia, tyle do przeżycia! Izis przytuliła się czule do niego; jej włosy pieściły jego twarz.

— Sanktuarium nie zostanie rozebrane.

— Jak temu zapobiegniemy?

— Nie wiem.

— Chcesz mnie uspokoić.

— Widziałam File w dali, gdzieś poza naszymi istnieniami. Te linie, które narysowałeś w kamieniu, nie pozostaną jałowe.

Paweł podziękował Bogu. Alarmując patriarchę Aleksandrii, eremici osiągnęli to, czego się spodziewali. Chcąc uchronić swoją władzę i nie narazić się na niezadowolenie cesarza, przywódca egipskiego Kościoła udał się do Bizancjum, by donieść o skandalu w Elefantynie. Potężny władca w swojej mądrości podjął najlepszą z możliwych decyzji: wysłał żołnierzy, którzy mieli wymordować pogan.

Teodor chciał jeszcze raz spróbować uratować życie swego przyjaciela Sabniego. Na szczęście posłaniec z Aleksandrii był gadatliwy i szczęśliwy, że może dowieść, jaką jest ważną osobą; nowiny miały zmienić los prowincji. Poznawszy treść cesarskich listów, Paweł uznał, że powierzono mu świętą misję. Był pewien, że tym razem uda mu się przechytrzyć biskupa.

— Kiedy zaatakują? — zapytała siostra zajmująca się posiłkami.

— Kiedy tylko armia bizantyjska przekroczy bramy Ele-

fantyny — odpowiedziała Izis.

— Dwa tygodnie?

— Może tylko tydzień. O tej porze roku słońce jest łagodne; idąc forsownym marszem, piechota dotrze tu szybko.

— Jak jeden tydzień jest krótki...

Bracia i siostry czekali na chwilę, kiedy rzeka zaroi się od wojennych statków. Na świątecznym stole był czosnek, cebula, bochenki z ziarnami lotosu i chleb świętojański. Najstarsi, pozbawieni zębów, zadowalali się papką z łodyg papirusów.

Sabni obserwował brzeg, z którego mieli odbić napastnicy.

Próbował zdobyć się na szyderczą odwagę, którą wrzaski rozpasanej soldateski mogły w jednej chwili zniweczyć.

W górze granat zwycięskiej nocy; potem głęboka i spokojna niebieskość, która niknie w narodzinach pomarańczowego i kona na granicy intensywnej czerwieni, ostatniego krzyku zmroku; wreszcie czerń, brutalnie oddzielona krzywą linią nieprzekraczalnej granicy pomiędzy dniem wczorajszym a jutrzejszym od pożaru umierającego dnia. Wewnętrzne światło osłabło; niebieskość i czerń skierowały się ku sobie, szczęśliwe, że mogą się połączyć po długim rozstaniu. Niebieskość pozwoliła się wchłonąć, czerwień przesunęła się ku granicy, pomarańczowy wyzionął ducha. Góra i dół połączyły się w ciemnej zasłonie, którą rozścielał Stwórca, by

przykryć ziemię.

— To ostatnia noc — przepowiedziała Izis.

Kiedy słońce rozwiało ostatnie zagubione chmury, dzień miał posmak dojrzałego owocu. Na opuszczonym brzegu piasek zabierany przez wiatr pustyni podnosił się w płochliwych spiralach.

Izis i Sabni zeszli do jedynej łodzi, która była w posiadaniu świątyni. Przełożony długą tyczką odepchnął ją od przystani i skierował w nurt rzeki. Zwrócony ku wschodowi monotonnie śpiewał poranną modlitwę, jego głos gubił się gdzieś w górskich grzbietach. Przełożona napiła się wody z rzeki, łagodnej w dotyku i smaku — miała jeszcze w sobie świeżość źródeł ukrytych w skałach Elefantyny. Izis rozmyślała o szczęśliwych dniach, kiedy życie przepływało wraz z Nilem, otwierając się na złoto wydm i białe żagle. Kiedy bogowie lubili przebywać na zielonych brzegach, ich posągi wyznaczały granice pól i wiosek, w których ludzie czuli się gospodarzami.

— W czasach faraonów chodziliśmy bez obaw po drogach, spokojnie żeglowaliśmy po rzece, rozmawialiśmy przy studniach i zbiornikach, nieopodal pastwisk, po których chodziło swobodnie bydło. Widzę twoją twarz, Sabni; schodzisz z dziobu do rufy sosnowej łodzi i otwierasz dom, który

zbudowałaś. Na ogniu smaży się wołowina, dzban jest otwarty. Wokół nas śpiew, tańczą młode dziewczyny, recytują wiersze, polewają nas wonnościami i ozdabiają girlandami kwiatów. Przygotowują łoże, w którym połączy nas upojenie.

— Takie było nasze życie tysiąc lat temu... Marzenie zagubione w samotni katarakty. Czy naprawdę musimy rzucać wyzwanie temu, co niemożliwe?

— Poprzysięgliśmy przekazywać tajemnicę.

— A gdybyś wyjechała? Ocalona Isis mogłaby podtrzymać tradycję.

— Rozdzielać się byłoby szaleństwem.

— Twoje życie jest cenne. Jako przełożona stanowisz o przyszłości.

— Przyszłość już nie istnieje. Pozostała nam teraźniejszość, nawet jeśli jej oblicze jest groźniejsze od Przerazającej. Jeśli świątynia przeżyje, oznacza to, że dobrze służyliśmy Regule. Niebo ucieleśnia się w File.

— A jednak czasem wydaje mi się tak surowa.

— Mnie także, Sabni, gdyż jesteśmy jej niegodni; właśnie dlatego musi być nas dwoje.

— Z miłości do File...

Objęli się. Barka, pozostawiona nurtowi, popłynęła w kierunku ziemi umarłych, drzemiących w zimowym słońcu.

Jedno i drugie pomyślało o chwili, kiedy połączyli się w grobowcu Ozyrysa, i o absolutnym szczęściu, które odradzało się w biegu dni i nocy.

— File jest ostatnią świątynią świata, który nasi wrogowie mają za zgubiony. Religie będą następować po sobie, będą walczyć ze sobą i legną u stóp sanktuarium, nawet jeśli wspólnota wygaśnie.

— Czy naprawdę tak chcesz zniknąć, Izis?

— Ani trochę. Chcę żyć sto dziesięć lat, starzeć się u twego boku i patrzeć, jak rozkwitają moi bracia i siostry.

Prąd skierował łódź z powrotem ku File.

To nie ekspedycyjny korpus bizantyjski zaatakował File przed południem, lecz mieszany oddział złożony z eremitów, żołnierzy bez przydziału i mieszkańców Elefantyny, których Paweł przywiódł do szaleństwa. Eremici pościli od czterech dni; pozostali napastnicy byli pijani. Uzbroili się we włócznie, miecze i widły. Śpiewali psalmy głoszące zwycięstwo Pana nad demonami.

Paweł nie chciał, by tego aktu wiary dokonał jakiś obcy generał. To do niego należało zmiażdżyć raz na zawsze głowę pogańskiej hydry i zawładnąć świątynią. Biskup nie został uprzedzony o niczym. Kiedy dotrą doń odgłosy masakry, będzie już za późno.

Adeptów przestraszył widok wrzeszczącej hordy. Napastnicy pod dowództwem Krótkiego wypełnili dziedziniec.

Bracia i siostry, zdecydowani podjąć walkę, stanęli za Izis i Sabnim.

Przełożona miała na sobie ozdoby odpowiadające jej pozycji: naszyjnik z lazurytu, siedmiorzędowy napierśnik z pereł, srebrne bransolety i złote pierścienie. Długa biała suknia podkreślała wspaniałość klejnotów.

Jeden z eremitów podniósł na wpół ociosany kij. Izis nie cofnęła się. Dwóch braci skoczyło na napastnika, powstrzymując atak. Żołnierze zareagowali natychmiast, zadając

ciosy. Bracia padli na ziemię z twarzami zalanymi krwią.

Krótki związał rzemieniem nadgarstki przełożonej; Sabni próbował ją uwolnić, lecz szybko go skrupowano.

Kiedy jeden z eremitów dusił jakąś obłożnie chorą siostrę, dwaj żołnierze zaprotestowali:

— Mamy ich przegnać, a nie wymordować.

— Zamilczcie, letnie dusze! Cesarz chce oczyścić tę przeklętą wyspę!

Ci, którzy się jeszcze wahali, musieli odstąpić, popychani z tyłu przez rozgorączkowanych wieśniaków. Siostrę zdeptano. Rzężenia konającej zginęły w krzykach zasypywanych razami adeptów. Kije wznosiły się i opadały, widły grzebały w brzuchach, miecze podcinały gardła. Odkrycie małej kultowej barki rozwścieczyło jeszcze bardziej napastników. Rozbili na drobne kawałki dziób i rufę w kształcie głowy Hathor. Paweł podpalił szczątki.

Ani Izis, ani Sabni nie płakali. Łzy powstrzymywał palący i zarazem lodowaty ból. Gdzie się podziała uśmiechnięta i łagodna śmierć obiecywana mędrcom? Wedle nauki misterium wtajemniczenia, adept wychodził na światło dnia i spacerował w zaświatach, tam gdzie zapragnęło jego serce.

Niebawem zasłona zostanie rozdarta, a drzwi się otworzą.

Krótki zerwał naszyjnik Izis; rozzuchwalony tym sukcesem rozdarł górę jej sukni. Sabni odrzucił go w tył uderze-

niem głowy.

— Nie dotykaj jej!

Mając związane ręce, nie mógł się bronić. Jednak z jego głosu i wzroku biła taka moc, że napastnik się cofnął.

— Jesteś już nikim, przełożony. Odpowiesz za swoje grzechy przed Wszechmogącym!

Nie napotykając żadnego oporu, wrzaskliwa hałastrza rzuciła się na świątynię, by stwierdzić z rozczarowaniem, że nie ma w niej żadnych skarbów. Najbardziej podekscytowani opluli płaskorzeźby z wyobrażeniami bogiń. Kiedy jedni akolici Pawła je niszczyli, inni podpalali maszty z cylicyjskich sosen, symbole boskiej potęgi. Eremita nieraz marzył o zniszczeniu tych dumnych emblematów.

Przy pomocy garstki dezertersów Krótki zajął się dobijaniem rannych. Jeden z żołnierzy oszalał i rzucił się do Nilu z wysokości krytej galerii, na której adepci zwykli byli oddawać się medytacji. Paweł rozkazał zniszczyć drzwi sanktuariów i wpuścić światło do ciemnych sal.

Nagle poczuł się nieswojo. Spoczął na nim wzrok Sabniego i Izis. Ale teraz już się ich nie obawiał: magia wielkiej bogini nie była w stanie zatrzymać jego zwycięskiego pochodu.

Wspólnota została unicestwiona; już nigdy Egipcjanie nie odprawią obrządku na cześć fałszywych bogów, których strącono do piekieł.

Izis położyła głowę na ramieniu Sabniego.

— Daj mi wody; niechaj jej świeżość uspokoi moje serce.

Obróć moją głowę ku północy, ona wskaże nam drogę. To, co połączyliśmy na ziemi, będzie złączone w niebie.

Te rytualne słowa, wołanie do oceanu energii, w którym dusza piła ze swojego źródła, uspokoiły Sabniego. Bał się, że zobaczy ją zbrukaną, okaleczoną, że nie będzie mógł zapobiec jej cierpieniom. Izis pozostała spokojna. Natchnęła go siłą, która pozwoli mu odważnie znieść ostatnią próbę, zanim stanie przed sądem Ozyrysa.

Paweł szedł ku nim.

— Żałujcie za grzechy i błagajcie Pana o przebaczenie.

— Nie jesteś ani Bogiem, ani jego posłańcem.

— Biedny szaleńcze... nie rozumiesz, że wielka bogini umarła? Okaż skruczę, obłąkańcze!

— Masz rację, Pawle; z nami niknie świat zamieszkały przez bogów, którzy uświęcali go swoją obecnością.

Nie mordujesz wspólnoty, lecz pewną wizję, świątynię budowaną od tysiącleci wspólnotą myśli.

— Będziesz patrzył na zburzenie świątyni. Zginie, tak jak zginęli adepci, słudzy ciemności.

— Mylisz się — powiedziała Izis. — Świątynia przeżyje.

Jeden ze współwyznawców powiadomił pustelnika, że zbliża się statek biskupa; zapewne Teodora zaniepokoił

widoczny z Elefantyny pożar masztów pylonów.

Zwycięstwo Pawła byłoby niepełne, gdyby para przełożonych umknęła przed bożym gniewem.

— Niech przyciągną tutaj łódź należącą do wspólnoty!

Rozkaz wykonano błyskawicznie. Krótki zmusił Sabniego

i Izis, by weszli na pokład łodzi stojącej naprzeciw esplanady,

między przystanią a pierwszym pylonem. W oddali trzepotał

na wietrze biały żagiel biskupa.

Na znak eremity żołnierze podłożyli ogień pod naprędce

wzniesionym stosem.

— Rozwiążcie nam ręce — zażądał Sabni.

Miecz przeciął więzy. Sabni objął Izis i przytulił ją do

siebie.

— Świątynia nie zostanie zniszczona — powtórzyła.

Paweł wypatrywał oznak ich rozpacz, pragnął krzyków

nienawiści, przekleństw, szyderstw czy buntu. Jednak para

młodych ludzi nie zwracała uwagi ani na niego, ani na

płonący stos. Izis i Sabni pocałowali się i stopili w jedną

istotę z Tą-która-daje-światło, zrodzoną z tańca ognia i miłości

bogini.

Biskup uklęknął przed stosem i pobłogosławił ciała mę-

czenników. Nie mógł się modlić. Stojący za nim Paweł

wybuchnął śmiechem.

— Cesarz będzie zadowolony. Zbierzesz owoce mojej

walki, biskupie. Tobie honory, a mnie boskie pochwały!

Zrobiłem to, czego ty się bałeś.

Teodor podniósł się i pastorałem uderzył pustelnika.

Paweł cofnął się z rozkrwawionym czołem.

— Kaleczysz wizerunek Zbawiciela. To z powodu takich fanatyków jak ty religia sieje nieszczęście i śmierć.

Żaden bóg nie zechce cię rozgrzeszyć. Bądź przeklęty na wieki wieków.

— Dzięki mnie Egipt uwolnił się od zła; wystarczy tylko zburzyć tę świątynię.

— File pozostanie nietknięta. Kiedy nadejdzie koniec świata, będzie oglądać ostatni wschód słońca.

— File ma zostać zrównana z ziemią. Chce tego cesarz!

— Zamieniam tę pogańską świątynię w kościół. To tutaj odprawię niedzielną mszę. Całe Cesarstwo się dowie, że Bóg obrał najpiękniejsze miejsce za swoją siedzibę.

Oszupiały eremita skurczył się, z czołem na zbrukanej krwi posadzce świątyni.

Nad Teodorem pojawił się nagły cień. Biskup podniósł oczy i zobaczył parę dzikich gęsi o olbrzymich skrzydłach. Zatoczyły nad nim krąg, po czym wzbiły się w powietrze i rozplynęły w światłości.